

TONY
PARSONS



Za moje
dziecko





BRYTYJSKI BESTSELLER # 1!
Najnowsza powieść autora
MĘŻCZYZNY I CHŁOPCA

ISBN 83-88722-10-7



9 788388 722103



Tony
PARSONS

Za moje dziecko

Z angielskiego przełożył
ANDRZEJ SZULC



WARSZAWA 2002

Tytuł oryginału: ONE FOR MY BABY

Copyright © Tony Parsons 2001 All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Aleksandra i Andrzej Kuryłowicz 2002

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Szulc 2002

Redakcja: Barbara Syczewska-Olszewska

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 83-88722-10-7

Zamówienia hurtowe:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa

tel./fax (22)-631-4832, (22)-632-9155

e-mail: hurt@olesiejuk.pl

www.olesiejuk.pl

Wydawnictwo L & L/Dział Handlowy

Kościuszki 38/3, 80-445 Gdańsk tel. (58)-520-3557, fax (58)-344-1338

Zamówienia wysyłkowe:

Księgarnia Wysyłkowa Faktor

skr, poczt. 60, 02-792 Warszawa 78

tel. (22)-649-5599

WYDAWNICTWO ALEKSANDRA I ANDRZEJ KURYŁOWICZ

adres dla korespondencji:

skr, poczt. 55, 02-792 Warszawa 78

Warszawa 2002. Wydanie I

Skład: Laguna; Montaż okładki: Plus 2

Druk: Łódzkie Zakłady Graficzne

Dla mojego syna

Część pierwsza

LUBIĘ CIĘ,
JESTEŚ MIŁY

Zimna owsianka

– Trzeba jeść zimną owsiankę – powiedział mi kiedyś.

To takie chińskie powiedzenie. Chyba kantońskie, bo choć mój rozmówca ma staroświecki niebieski brytyjski paszport i z dumą określa się mianem Anglika, to urodził się w Hongkongu i czasami widać, że wszystkie istotne rzeczy, w które wierzy, ukształtowały się dawno temu i daleko stąd. Na przykład to, jak ważne jest jedzenie zimnej owsianki.

Zastygłem w bezruchu i wlepiłem w niego wzrok. O czym on teraz nawija ?

– *Jeść zimną owsiankę.*

Z tonu, jakim to powiedział, wynikało, iż zdarza ci się jeść zimną owsiankę, gdy pracujesz nad czymś tak długo, że po powrocie do domu nie ma do jedzenia nic innego.

Z kim on, do licha, mieszka, pomyślałem. Ze Złotowłosą i trzema niedźwiadkami?

Dzięki temu możesz stać się w czymś dobry, zaznaczył. Dzięki temu możesz stać się dobry w czymkolwiek. Wcinając zimną owsiankę.

Pracujesz nad tym, podczas gdy inni się bawią. Pracujesz nad tym, kiedy inni oglądają telewizję. Pracujesz nad tym, kiedy inni śpią.

Musisz jeść zimną owsiankę, żeby osiągnąć w czymś mistrzostwo, Świerszczyku.

Prawdę mówiąc, nie nazwał mnie wcale Świerszczykiem.

Ale zawsze miałem wrażenie, że tak mnie nazwie.

I bardzo starałem się go zrozumieć. Był moim nauczycielem, lecz również przyjacielem, a ja zawsze starałem się być dobrym uczniem. Dziś też się staram. Nie mogę jednak na to nic poradzić — coś sprawia, że zimna owsianka oznacza dla mnie coś innego. Coś diametralnie innego aniżeli w tym chińskim powiedzeniu.

Wbiłem sobie jakoś do mojego twardego łba, że zimna owsianka oznacza cierpienie. Trudne dni, miesiące i lata; trudne, ponieważ nie ma się wyboru.

Poplątałem zimną owsiankę Wschodu z gorzką pigułką Zachodu. Teraz nie mogę ich oddzielić.

To nie jest wcale to, co miał na myśli. Chodziło mu o rezygnację z wygod i przyjemności dla jakiegoś większego dobra. Chodziło mu o odłożenie gratyfikacji dla jakiegoś odległego celu.

Miał na myśli, że usuwa się zimną owsiankę, żeby zasłużyć na lepsze jutro. Albo pojutrze. Albo popojutrze. To nie ma nic wspólnego ze Złotowłosą i trzema niedźwiadkami.

Sądzę jednak, że o wiele łatwiej pojąć ideę poświęcania się w imię wyższego celu, jeśli człowiek urodził się w uboższych rejonach Kowloonu. Tam, skąd pochodzę, raczej nie przywiązuje się wagi do takich rzeczy.

Zimna owsianka to dla mnie konieczność poddania się cierpieniu. Co więcej, to sytuacja, w której kogoś nam brakuje. Naprawdę brakuje.

Tak jak jej mi brakuje.

Ale ona odeszła i już nie wróci.

Teraz to wiem.

Nigdy już jej nie pocałuję. Nigdy się przy niej nie obudzę. Nigdy nie będę patrzył, jak śpi.

Na pewno nigdy już nie doczekam tego cudownego momentu, gdy otwierała oczy i na jej twarzy pojawiał się

gapiowaty uśmiech, który odstaniał zarówno zęby, jak i dziąsła, i na widok którego zawsze coś się we mnie roztopiało. Jest dziesięć tysięcy rzeczy, których nigdy już nie będziemy razem robić.

— Spotkasz kogoś innego — mówi mi z całą cierpliwością, na jaką nigdy nie potrafił się zdobyć mój prawdziwy ojciec. — Oczekaj trochę. Poznasz inną kobietę. Ożenisz się. Możesz to jeszcze wszystko mieć. Dzieci i całą resztę.

Stara się być miły. Dobry z niego człowiek. Może zresztą mówi to, co myśli.

Ale ja nie wierzę w ani jedno jego słowo.

Moim zdaniem, można zużyć całą swoją miłość. Moim zdaniem, można ją całą zużyć na jedną osobę. Można kochać tak mocno i tak głęboko, że nie zostaje już nic dla nikogo.

Można poświęcić tej miłości cały czas, jaki jest nam dany na tym świecie; nigdy nie znajdę nikogo, kto wypełniłby pustkę, jaka po niej została.

Bo jak można znaleźć substytut miłości swojego życia ?

I po co w ogóle tego pragnąć?

Rose nigdy już nie wróci do domu.

Do mnie.

Do nikogo.

I może nauczyłbym się z tym żyć, gdybym potrafił opanować tę śmieszna chęć, żeby do niej zatelefonować. Sytuacja byłaby łatwiejsza do zniesienia, gdybym pamiętał, naprawdę pamiętał, że Rose odeszła, i nigdy o tym nie zapomniał.

Ale ja tego nie potrafię.

Przeciętnie raz na dzień mam ochotę do niej zadzwonić. Tak naprawdę nigdy nie wystukałem numeru, ale często byłem bliski. Myślicie, że muszę sprawdzać jej numer w notesie? Nie muszę go nawet pamiętać. Pamiętają go moje palce.

I boję się, że któregoś dnia wystukam jej stary numer i ktoś inny podniesie słuchawkę. Ktoś obcy. Co się wtedy stanie? Co wtedy zrobię?

Może mnie to najść w każdej chwili — ta chęć, żeby do niej

odczuwam nagle potrzebę, żeby o tym z nią pogadać. Tak zatelefonować. Gdy jestem szczęśliwy, smutny albo zatroskany, jak to zawsze robiliśmy, kiedy byliśmy... na końcu języka miałem słowo „kochankami”, ale to było coś o wiele ważniejszego.

Razem. Kiedy byliśmy razem.

Rose odeszła i ja wiem, że odeszła.

Rzecz w tym, że czasami o tym zapominam.

To wszystko.

Więc teraz wiem, co muszę robić.

Muszę wciąć zimną owsiankę i walczyć z tym przemożnym pragnieniem, żeby do niej zadzwonić.

1.

Coś jest nie w porządku z moim sercem.

Nie powinno pracować w ten sposób. Powinno zachowywać się inaczej. Normalnie. Tak jak serca innych ludzi.

Nie rozumiem tego. Biegałem po parku tylko przez dziesięć minut, a moje świeżo kupione buty mają z boku świecące wkładki amortyzacyjne. Mimo to bolą mnie mięśnie nóg, rżęzę przy każdym oddechu, a moje serce... nie kaźcie mi mówić o sercu. Moje serce wypełnia klatkę piersiową niczym wielki nieprzetrawiony kebab.

Moje serce dźga mnie w żebra.

Moje serce ma ochotę mnie zaatakować.

Jest niedzielny ranek, wspaniały słoneczny wrześniowy dzień i park jest prawie pusty. Pusty, ale niezupełnie.

Na pasie trawy, tam gdzie nie wolno grać w piłkę, stoi ten stary Chińczyk z krótko przyciętymi srebrzystymi włosami i skórą koloru polerowanego złota. Musi być mniej więcej w wieku mojego taty — koło sześćdziesiątki — lecz jest w świetnej formie i sprawia dziwnie młodzińcze wrażenie.

Ma na sobie workowaty czarny strój podobny do piżamy i porusza bardzo powoli rękoma i nogami w rytmie jakiejś cichej melodii, która rozbrzmiewa w jego głowie.

Widywałem to codziennie, kiedy mieszkałem w Hongkongu.

Starych ludzi w parku, którzy ćwiczyli *tai chi*, poruszając się tak, jakby mieli do dyspozycji cały czas na tym świecie.

Starszy pan nie spogląda na mnie, kiedy sapiąc i dysząc, biegnę w jego kierunku. Patrzy prosto przed siebie, zatopiony w swoim powolnym tańcu. Nagle go poznaję. Widziałem tę twarz już wcześniej. Nie tę konkretną twarz, ale tysiące twarzy takich jak ta.

Mieszkając w Hongkongu, widziałem tę twarz na pokładzie promu linii Star, widziałem ją u kierowcy taksówki w Kowloonie, widziałem ją zasmuconą na wyścigach w Happy Valley. Widziałem tę twarz, kiedy pochylała się nad wnuczką o sarnich oczach, odrabiającą lekcje na tyłach małego sklepiku. Widziałem ją u klienta siorbiącego kluski w ulicznym barze *daipai-dong*. Widziałem ją, pokrytą kurzem, na budowie nowych wieżowców wyrastających na skrawkach lądu, który wydarto morzu.

Ta twarz jest mi świetnie znana. Jest beznamiętna, opanowana i całkowicie obojętna na moje istnienie. Osadzone w niej oczy patrzą na mnie, jakbym był powietrzem. Tej twarzy jest wszystko jedno, czy będę żył, czy umrę.

Widywałem tam stale takie twarze.

Doprowadzały mnie do szału.

Kiedy mijam starego Chińczyka, spostrzega, że na niego patrzę. I nagle coś mówi. Dwa słowa. Nie wiem. Brzmi to jak „płodźcie się”.

I ogarnia mnie nagle wielki smutek. Jeśli o to chodzi, to możesz na mnie nie liczyć, stary, myślę.

Jestem ostatni z rodu.

W Hongkongu czuliśmy się szczególnie.

Spoglądając w dół na migoczące serce Central, czuliśmy się spadkobiercami czegoś epickiego, heroicznego i dostojnego.

Patrzyliśmy na wszystkie te światła, całą tę forszę, wszystkich tych ludzi żyjących w przyczółku Wielkiej Brytanii

położonym nad Morzem Południowochińskim i czuliśmy się tak, jak nigdy niedane nam było czuć się w Londynie, Liverpool albo Edynburgu.

Oczywiście nie mieliśmy prawa czuć się szczególnie. To nie my w końcu zbudowaliśmy Hongkong. Większość z nas przybyła tam dopiero wtedy, gdy przyszła pora oddać go Chińczykom. Ale trudno jest nie czuć się szczególnie w tym jasnym świetlistym miejscu.

Można tam było spotkać Brytyjczyków, którzy naprawdę byli specyjni, pracujących w Central bystrzaków w lekkich jak piórko garniturach od Armaniego, którzy pewnego dnia mieli triumfalnie wrócić do domu z siedmiocyfrowym saldem w banku. Ja do nich nie należałem. Nawet się o nich nie otarłem.

Pracowałem w Szkole Językowej Double Fortune, ucząc angielskiego bogate eleganckie Chinki, które chciały rozmawiać z okrągłookimi kelnerami w ich ojczystym języku. Kelner! W mojej zupie z płetwy rekina pływa mucha. To oburzające. Te kluski są zimne. Gdzie jest kierownik? Czy można tu płacić kartą American Express?

Ćwiczyliśmy koniugację licznych czasowników związanych z kelnerowaniem, ponieważ kiedy przybyłem do Hongkongu w 1996 roku, stoliki w restauracjach obsługiwało wielu białych chłopców.

Różniłem się trochę od moich kolegów. Wyglądało na to, że wszyscy inni nauczyciele Szkoły Językowej Double Fortune — naszą dewizą było „angielski bez łez tylko w dwa lata” — mają jakiś powód, by przebywać w Hongkongu — powód niezwiązany z tym szczególnym uczuciem.

Mieliśmy tam panią z Brighton, która była praktykującą buddystką. I bardzo cichego faceta z Wilmslow, który każdą wolną chwilę poświęcał na studiowanie *wing chun kung fu*. Był też urodzony w Anglii Chińczyk, który przed przejściem rodzinnego biznesu na Gerrard Street w londyńskim Chinatown chciał zobaczyć, skąd pochodzą rysy jego twarzy.

Wszyscy mieli powód, żeby tam być. Podobnie jak Brytyjczycy w bankach i kancelariach prawniczych Central. Podobnie jak inni ekspaci, którzy budowali nowe lotnisko w Lantau.

Każdy miał jakiś powód, żeby tam się znaleźć. Oprócz mnie.

Przyjechałem do Hongkongu, bo miałem już dosyć Londynu. Przez pięć lat uczyłem literatury angielskiej w śródmiejskiej szkole dla chłopców. Nie było to łatwe. Może nawet o nas słyszeliście. Czy nazwa Męskie Liceum imienia księżnej Diany nie wydaje się wam znajoma? Nie? To ta szkoła w północnym Londynie, gdzie nauczycielowi robót ręcznych wsadzono głowę w jego własne imadło. Donosiły o tym wszystkie gazety.

O ile to możliwe, rodzice byli tam jeszcze bardziej niebezpieczni niż dzieci. Na wywiadówkach musiałem stawiać czoło zwałistym indywidualom o dzikim spojrzeniu i z krzykliwymi tatuażami.

A były to tylko matki.

Miałem tego dosyć i zmęczyło mnie to. Miałem dosyć czytania wypracowań, które zaczynały się od zdania „Można powiedzieć, że Merkućjo miał w sobie coś z koniochlasta”. Zmęczyło mnie omawianie „Romea i Julii” z dziećmi, które wybuchały śmiechem, kiedy któryś z „szekspirologów” z tylnych ławek nadmuchał kondom w trakcie omawiania sceny balkonowej. Zmęczyły mnie próby ukazania piękna i wielkości języka angielskiego dzieciakom, które używały *fuck*, *fucking*, *fucked* niczym keczupu w barze z hamburgerami.

A potem dowiedziałem się, że Brytyjczyk może w dalszym ciągu wyjechać do Hongkongu i dostaje automatycznie pozwolenie pracy na rok. Na rok, choć raczej nie na dłużej.

To było mniej wężej wtedy, gdy któreś z rodziców moich uczniów, żeby było śmieszniej, jeden z tatusiów, mężczyzna, który chodził zawsze ubrany jak na plażę, nawet w środku zimy, zrobił sobie na ramieniu tatuaż z patriotycznym napisem i w tym napisie był błąd.

„Wielka Brytana” napisane było pod obrazkiem rozjuszonego buldoga ubranego w koszulkę ozdobioną brytyjską flagą, która była albo zbyt obcisła, albo o kilka numerów za mała.

Wielka Brytania.

Słodki Jezu.

Wyrwałem się więc stamtąd. Najtrudniej było się zdecydować. Potem jakoś to poszło. Po dwunastu godzinach lotu, czterech filmach, trzech posiłkach i dwóch atakach bolesnych skurczów w jednym z tylnych rzędów boeinga 747, wylądowałem na starym lotnisku Kai Tak, tym, do którego podchodzi się między drapaczami chmur, dość blisko, żeby z biciem serca widzieć pranie suszące się na każdym balkonie. I zostałem, ponieważ Hongkong dał mi to uczucie, to szczególne uczucie.

Daleko było stamtąd do „Wielkiej Brytany”. To był inny świat. Objawił mi się w momencie, gdy właśnie tego w życiu potrzebowałem. I ten inny świat sprawił, że pokochałem mój kraj w sposób, w jaki nie kochałem go nigdy dotąd.

Miałem tam wrażenie, że mój kraj uczynił niegdyś coś ważnego i jedyne w swoim rodzaju. Coś magicznego i odważnego. Patrząc na te wszystkie światła, czułem w sobie małą cząstkę tego czegoś.

W przeciwieństwie jednak do brytyjskiego Chińczyka oraz ludzi, którzy przyjechali do Hongkongu z powodu Buddy albo Bruce'a Lee, ja nie miałem prawdziwego powodu, żeby tam być.

A potem spotkałem Rose.

I ona stała się moją racją bytu.

Stary Chińczyk nie jest tutaj jedynym przedstawicielem homo sapiens. Po drugiej stronie parku widzę kilku zabłąkanych sobotnich imprezowiczów, grupkę zapyziałych nastolatków, którzy nie dotarli jeszcze do domu.

Członkowie tej małej paczki reprezentują wszystkie kolory ludzkiej tęczy i choć jestem gorącym zwolennikiem wielokulturowego społeczeństwa, sposób, w jaki plują na gołębce, nie napawa mnie optymizmem co do zdolności rasy ludzkiej do życia w pokoju.

Widząc, jak zbliżam się z mozołem w ich stronę, wymieniają porozumiewawcze uśmiechy. Z czego oni się śmieją?

Natychmiast domyślam się odpowiedzi.

Śmieją się z zaczerwienionego tłustego faceta w fabrycznie nowym kostiumie do biegania, który najwyraźniej nie miał dokąd i nie miał z kim pójść w sobotni wieczór. Z kogoś, kto kładzie się spać z kurami. Kogoś, kto niczym się nie wyróżnia.

A może jestem wobec siebie zbyt surowy?

— Patrz na tego camemberta — mówi jeden z nich.

Camembert? Co to znaczy? Czy mówią o mnie? Camembert?

To jakieś nowe powiedzenie?

— Jest tak gruby, że wygląda jak dwie dziwki tłukące się pod kołdrą, nie?

— Jest tak gruby, że zdjęcie do paszportu robią mu, no wiesz, z satelity.

— Jest tak gruby, że kapitan Ahab założył jego fanklub.

Jako były nauczyciel angielskiego jestem pod wrażeniem tego przypadkowego nawiązania do „Moby Dicka”. To nie są złe dzieciaki. Chociaż śmieją się ze mnie na całe gardło, posyłam im uśmiech, który, mam nadzieję, może ująć za przyjazny. Dając do zrozumienia, że camembert jest dobrym kumplem i zna się na żartach. Jednak oni szczerzą tylko zęby do siebie i dalej się śmieją. Szczerzą zęby i przechodzą, emanując w równej mierze młodością jak głupotą.

Odwracam szybko wzrok i kiedy są już za mną, przypominam sobie, że w kieszeni dresu mam schowany na wszelki wypadek batonik Snickers. Obserwowany przez szarą wyleniałą wiewiórkę, zjadam go na mokrej parkowej ławce.

A potem przez długi czas po prostu siedzę, obracając ślubną obrączkę na serdecznym palcu lewej ręki i czując się bardziej samotny niż kiedykolwiek.

Poznałem ją na promie linii Star, zielono-białej, dwupokładowej starej krypie, która kursuje między położonym na

samym koniuszku chińskiego lądu Kowloonem a wyspą Hongkong.

Chociaż to niezupełnie prawda — tak naprawdę nie poznałem jej na promie Star. Nie przedstawiliśmy się sobie ani nie wymieniliśmy numerów telefonów. Nigdy nie byłem dobry w podrywaniu dziewczyn i z Rose nie wypadło to inaczej. Tam właśnie po raz pierwszy ją zobaczyłem, kiedy przeciskała się przez bramkę wejściową z wielkim tekturowym pudłem w rękach i oparła je o biodro, wrzucając monety do otworu.

Po chwili dołączyła do ludzi czekających na prom: dziewczyna z Zachodu otoczona przez tłum miejscowych — bystrych młodych biznesmenów z Kantonu, jadących do swoich biur w Central; wbitych w modne minispódniczki sekretarek z komórkami i rozwianymi czarnymi włosami; ulicznych sprzedawców w koszulkach z krótkim rękawem, odcharkujących flegmę wielkości hongkońskiego dolara; młodych matek ze swymi prześlicznymi dzidziusiami o tłusciutkich buziach i zaczesanych à la Elvis lokach nad czołem; drobnutkich staruszek ze złotymi zębami i siwymi kokami; jadących do pracy filipińskich służących, a także dziwacznie wyglądających turystów *gweilo**, w milczeniu smażących się w upale.

* *Gweilo* — (chin.) cudzoziemcy, dosłownie: zagraniczne diabły.

Miała czarne włosy, dokładnie tak jak Chińczycy, ale jej twarz była blada, jakby przyjechała z kraju, gdzie nigdy nie przestaje padać deszcz. Chociaż była ubrana w prosty dwuczęściowy kostium, z tym wielkim tekturowym pudłem wyglądała, jakby jechała do pracy na jednym z małych targowisk nad Sheung Wan, na zachód od Central. Wiedziałem jednak, że to niemożliwe.

Pomost opadł na nabrzeże i tłum wbiegł na pokład promu w typowo kantońskim stylu. Widziałem, jak dziewczyna przepycha się ze swoim pudłem, i zauważyłem, że ma okrągłą, poważną i bardzo młodą twarz.

Miała również zbyt szeroko rozstawione oczy i za małe usta.

Mimo to można by ją uznać za piękność, póki się nie uśmiechnęła. Kiedy się uśmiechnęła — przepaszając jakiegogo chińskiego biznesmena za to, że uderzyła go pudłem w plecy — zakłęcie przestało działać. Miała szeroki koński uśmiech, absolutnie niepasujący do kanonów konwencjonalnej urody. Jednak widok jej odsłoniętych dziąseł poruszył moje serce bardziej, niż uczyniłaby to uroda. Miała w sobie coś więcej.

Znalazłem miejsce siedzące. Pasażerowie szybko je zajmowali. Dziewczyna stanęła obok mnie. Uśmiechając się nieśmiało i ściskając w rękach pudło, poddawała się kołysaniu promu wraz z całym kruczowłosym tłumem.

Rejs z Kowloonu do Hongkongu trwa tylko siedem minut — najkrótsza morska podróż na świecie, zaledwie jeden kilometr lawirowania między dżonkami, barkami, jachtami i holownikami. Jednak musi wydawać się długa, kiedy ktoś dźwiga pudło niewiele mniejsze od niego samego.

Wstałem.

— Przepraszam. Może chce pani usiąść?

W odpowiedzi zmierzyła mnie wzrokiem. W tamtym okresie byłem naprawdę dość szczupły. Nie mówię, że wyglądałem jak Brad Pitt albo ktoś w tym rodzaju, ale daleko mi było do człowieka-słonia. Nie spodziewałem się, że zemdleje z pożądania albo obrzydzenia. Myślałem jednak, że jakoś zareaguje. Lecz ona tylko się we mnie wpatrywała.

Uznałem wcześniej, że jest Brytyjką albo Amerykanką. Teraz jednak doszedłem do wniosku, że z tymi włosami, oczyma i tymi kośćmi policzkowymi może równie dobrze pochodzić z jakiegoś kraju leżącego nad Morzem Śródziemnym.

— Mówi pani po angielsku?

Kiwnęła głową.

— Chce pani usiąść?

— Dziękuję — odpowiedziała — ale to bardzo krótki rejs.

— Ma pani wielkie pudło.

— Nosłam większe.

Znowu się uśmiechnęła. Jednak powoli i z ociąganiem. Kim

jest ten dziwny facet w koszulce z Frankiem Sinatrą (Frank uśmiecha się na niej spod ronda kapelusza; zdjęcie wydała wytwórnia EMI w 1958 roku, jego złotych latach) i w podartych spodniach? Kim jest ten tajemniczy mężczyzna? Ten szczupły chłopiec, który per saldo bardziej przypomina Brada Pitta niż człowieka-słonia?

W pudle miała akta, brązowe koperty i dokumenty z eleganckimi czerwonymi pieczęciami. A więc była prawniczką. Poczuliśmy się nagle nieswojo. Rozmawiała prawdopodobnie wyłącznie z facetami w garniturach, z sześciocyfrowym rocznym dochodem. A ja byłem facetem w spłóviałym podkoszulku z Sinatrą, którego zarobki, po przeliczeniu na funty szterlingi, ledwie sięgały pięciu cyfr.

— Nie sędzę, żeby ustępowanie miejsca kobiecie na promie linii Star było czymś normalnym — powiedziała i dodała: — W dzisiejszych czasach.

— Nie sędzę, żeby normalne było ustępowanie miejsca kobiecie gdziekolwiek — odparłem. — W dzisiejszych czasach.

— Mimo to dziękuję.

— Nie ma sprawy.

Chciałem ponownie usiąść, gdy jakiś stary Chińczyk w nylonowej koszuli i ze sportową gazetą w ręku zajął moje miejsce, odcharknął głośno i splunął dokładnie między moimi martenkami. Spojrzałem na niego oszołomiony, a on rozpostarł gazetę i zaczął studiować wyniki wyścigów w Happy Valley.

— Widzi pan — roześmiała się. — Kiedy ma się miejsce, lepiej go pilnować.

Patrzyłem, jak zanoszą swoim końskim śmiechem. Prom dopływał do Hongkongu. Wszędzie wokół nas wyrosły wielkie budynki. Bank of China. Hongkong & Shanghai Bank. Hotel Mandarin. Wszystkie te srebrzystozłote, przeszlone biurowce Central, za którymi majaczyła bujna zieleń Victoria Peak, okryta welonem tropikalnej mgły.

Nagle ogarnął mnie lęk, że już nigdy jej nie zobaczę.

— Ma pani ochotę na kawę? — zapytałem, rozpaczliwie się

rumieniać. Byłem na siebie wściekły. Wiem, że kobiety nigdy nie mówią „tak”, jeśli zaczepiający je mężczyzna się czerwieni.

— Kawę?

— No wie pani. Espresso. Cappuccino. Latte. Kawę.

— Niech pan da spokój. Ustąpienie miejsca było w porządku. Ale kawa... nie sądzę. To troszkę zbyt oczywiste. A poza tym muszę odnieść te rzeczy.

Prom otarł się o nabrzeże. Pomost opadł ze szczękiem w dół. Tłum szykował się do wyjścia.

— Nie próbuję pani poderwać — zapewnilem.

— Nie? — Miała poważną minę i nie potrafiłem powiedzieć, czy się ze mnie nabija, czy mówi serio. — To fatalnie.

A potem uniósł ją prąd kantończyków i znikła ze swoim pudłem prawniczych dokumentów w biurowej dzielnicy Central.

Wypatrywałem jej na promie linii Star nazajutrz i w następne dni, oczekując, że zobaczę nagle, jak uśmiecha się do kogoś, kogo potrafiła wielkim pudłem pełnym prawniczych dokumentów. Albo — jeśli będę miał szczęście — że potrafi właśnie mnie. Jednak nigdy jej już tam nie zobaczyłem.

Nie, żebym wymyślił jakąś nową inteligentną odzywkę.

Chciałem po prostu zobaczyć ten uśmiech.

Był piątkowy wieczór. Bar na najwyższym piętrze hotelu Mandarin pękał w szwach.

Biorąc pod uwagę pieniądze, jakie zarabiałem w Szkole Językowej Double Fortune, nie bardzo było mnie stać na drinka. Lubilem jednak przejechać się co jakiś czas windą na ostatnie piętro słynnego starego hotelu i popatrzeć na zachód słońca, popijając lodowate piwo Tsingtao — najlepsze piwo w Chinach. Urządzić sobie małe święto.

Tego dnia jednak, gdy sączyłem piwo przy barze, jakiś zakałkownik z wielkiej wody zaczął wszystko psuć.

— Jak tylko wejdzie tutaj Armia Ludowo-Wyzwoleńcza,

wszyscy z Central popędzą na lotnisko — oświadczył. — I dobrze tak sukinsynom. Hongkong był rybacką wioską, kiedy tutaj przybyliśmy, i będzie rybacką wioską po naszym wyjeździe.

Miał głos, który przeszywał mnie na wskroś, głos człowieka, który chodził do prywatnej szkoły, całe życie korzystał z przywilejów i wszystko wie najlepiej. Głos, który uświadomił mi, że w swoim kraju nienawidzę nie tylko tatuaży z buldogiem.

— Kiedy odda się to miejsce hołocie, zaraz zarzną złotą kurę — powiedział. — Ale hołota oczywiście zje byle gówno.

Odwrociłem się, żeby mu się przyjrzeć.

Siedział przy oknie z jakąś dziewczyną, próbując zrobić na niej wrażenie. Dziewczyna odwrócona była do mnie plecami. Właściwie z początku w ogóle nie zwróciłem na nią uwagi. Widziałem tylko jego — umięśnionego młodego blondyna w garniturze w prążki, na diecie złożonej z czerwonego mięsa, rugby oraz anglikańskich hymnów. Potężną tuszę brytyjskiej wołowiny być może z niewielką domieszką choroby szalonych krów.

Bysio nie starał się nawet ściszyć głosu. Młody kantoński barman i ja wymieniliśmy spojrzenia, gdy nalewał mi drugie piwo. Barman — właściwie jeszcze dziecko — uśmiechnął się ze smutkiem, potrząsając lekko głową, i nieskończona łagodność tego gestu sprawiła, że coś we mnie pękło.

Nie, tego już za wiele, pomyślałem, odstawiając moje tsingtao. Nie chodziło tylko o to, że bysio obrażał mieszkańców Hongkongu. Plugawił również to szczególne uczucie, które ogarniało mnie, gdy patrzyłem na światła tego miasta. Oczy barmana mówiły mi, żebym dał sobie spokój.

Za późno.

— Przepraszam. Przepraszam pana.

Bysio spojrział na mnie. Dziewczyna również. Poznałem ją. Była skąpana w blasku.

To znaczy autentycznie się świeciła — zachodzące słońce,

które przebijało się przez toksyczne wyziewy południowochińskich fabryk, rzuciło ostatnie promienie na jej twarz.

Rozświetlało ją.

Bysio jasny, ona ciemnowłosa, wyglądali na typową parę, prawdopodobnie we wczesnym stadium biurowego romansu. Przynajmniej w małym mózdzku bysia.

— Czego? — zapytał. Ordynarnie.

— Niech pan tylko posłucha, co pan wygaduje — powiedziałem. — Niech pan tylko posłucha. Dają panu służbowe mieszkanie i filipińską pokojówkę, a panu się wydaje, że buduje pan imperium. Kim jesteś w tym tygodniu, chłopie? Stamfordem Rafflesem? Cecilem Rhodesem? Zdobywającym Antarktydę Scottem?

— Przepraszam... czy pan jest niezdrów na umyśle? — zapytał, najwyraźniej nie wiedząc, czy ma wybuchnąć śmiechem, czy mnie znokautować. Wstał. Wielki sukinsyn. Dużo sportów kontaktowych. Owłosiona pierś. Prawdopodobnie.

— Spokojnie, Josh — powiedziała dziewczyna, dotykając jego ramienia.

Moglibyście go nazwać pozbawionym kośćca moralnego bufonem, lecz grubo byście się pomylili. Składał się z samego twardego kośćca. Z tego, co wiem, ludzie jego pokroju zawsze się z niego składają. Z kośćca i zadartego nosa. Ten zadarty nos i wystający podbródek ścieśniał jego wargi w wąską, władczą, złośliwą kreskę.

Jeśli już, to był pozbawionym warg bufonem.

— Jesteśmy tutaj gośćmi — dodałem głosem drżącym z emocji, których nie potrafiłem poprawnie zidentyfikować. — Anglia nie panuje już dłużej nad morzami. Powinniśmy pamiętać o dobrych manierach.

Milczał przez chwilę, a potem przemówił.

— Chcesz, żebym nauczył cię dobrych manier, ty obrzydliwy konusie?

— Może spróbujesz?

— Może to zrobię.

— Może powinienes.

— Och, zamknijcie się — przerwała nam dziewczyna. — I tak pewnego dnia wróćcie obaj do domu.

Wrócimy pewnego dnia do domu? Do domu? Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Spojrzałem na nią i pomyślałem: dom.

A potem popatrzyłem na Josha. Po kilku sekundach piorowania się wzrokiem poczuliśmy się jak idioci i zdaliśmy sobie sprawę, że nie będziemy się bić. Albo raczej, że on mnie nie pobije. Dziewczyna skłoniła go w końcu, żeby usiadł. A potem jej wargi wykrzywiły się w tym końskim uśmiechu.

— Ma pan rację — stwierdziła, wyciągając do mnie rękę. — Nie powinniśmy zapominać o dobrych manierach. Jestem Rose.

Uścisnąłem jej dłoń.

— Alfie Budd — przedstawiłem się.

Wymieniłem nawet uścisk dłoni z poczciwym starym Joshem. Napiliśmy się we trójkę i unikając patrzenia na Josha, opowiedziałem im o swojej pracy w Szkole Językowej Double Fortune. Ona opowiedziała mi o ich kancelarii. Josh nie przestawał zerkać na zegarek. Trochę z tym przesadza, pomyślałem. Umyślnie pokazywał mi — a przy okazji jej — że się niewiarygodnie nudzi.

Ale ona się do mnie uśmiechała; ten uśmiech, te zęby, te różowe jak u niemowlaka dziąsła bez reszty zawładnęły moim sercem i poczułem to: naprawdę to poczułem.

Że gdzieś na tym świecie rzeczywiście czeka na mnie dom.

Tak to się zaczyna. Spoglądasz na kogoś, kogo nie widziałeś nigdy przedtem, i nagle go rozpoznajesz. To wszystko. Po prostu go rozpoznajesz. Tak to się zaczyna.

Rose klasnęła nagle dłonią w stół.

— Zaczekaj chwilę — roześmiała się. — Pamiętam cię.

To nie powinno się było udać. Wszyscy jej przyjaciele uważali, że jest dla mnie za dobra, i mieli rację. Rose była dziewczyną z Hongkongu. Ja byłem facetem z Kowloonu.

Ona robiła karierę. Ja miałem pracę. Ona jadła kolację w China Club w towarzystwie rekinów finansjery. Ja sączyłem tsingtao w Lan Kwai Fong otoczony przez drobne płotki. Ona przyleciała do Hongkongu, zajmując miejsce przy oknie w pierwszej klasie. Ja siedziałem przy przejściu w klasie turystycznej.

Rose odniosła już sukces, mając dwadzieścia pięć lat. Ja, starszy od niej o siedem lat — i przy tej wilgotności powietrza oraz hektolitrach wypijanego tsingtao absolutnie wyglądający na swój wiek — nadal czekałem, że coś zacznie się w końcu dziać w moim życiu.

Ona mieszkała w małym, lecz pięknym apartamencie przy Conduit Road w Upper Mid-Levels w cieniu Victoria Peak — w rajku ekspatów. Ochroniarzem był tam dyżurujący przez dwadzieścia cztery godziny na dobę Gurkha. Ja wynajmowałem pokój we wspólnym mieszkaniu, za sublokatorów mając moich kolegów z Double Fortune: Chińczyka z Gerrard Street oraz zgłębiającego tajniki *kung fu* faceta z Wilmslow.

Nasz dom był jedną z tych zatłoczonych ruder ze ścianami tak cienkimi, że słychać było rodzinę po drugiej stronie korytarza, oglądającą kanał Star. Ochroniarzem był zaspany sikh, który pojawiał się i znikał, kiedy mu się żywnie podobało.

W przeciwieństwie do mnie Rose nie trafiła do Hongkongu przez przypadek. Była prawniczką przyslaną tu na rok i nabijającą kabzę swojej kancelarii — nazywała ją biurem — na rynku, który w ostatnim roku brytyjskich rządów prosperował jak nigdy dotąd.

Podczas gdy ja kombinowałem, jak zapłacić czynsz, za zamkniętymi drzwiami Central rozdziły się fortuny. Hongkong skarżył się na brak prawników i na lotnisku Kai Tak lądowały codziennie ich kolejne zastępy.

Rose była jedną z nich.

— W Londynie nadal parzyłabym herbatę — oświadczyła mi tamtego pierwszego wieczoru, gdy zamiast skrzyżować pięści Josh i ja postanowiliśmy wspólnie wychylić drinka. —

Podszczyrywana przez jakiegoś tłustego starca. Tutaj jestem kimś.

— Czym się dokładnie zajmujesz, Rose?

— Korporacyjnymi finansami — odparła. — Pomagam firmom znaleźć pieniądze poprzez emisje akcji chińskich przedsiębiorstw. Chodzi o oferty publiczne na rynku pierwotnym. Nazywają to strażą pożarną.

— Kurczę — mruknąłem. — Niesamowite.

Nie miałem bladego pojęcia, o czym mówi. Ale autentycznie mi zaimponowała. Wydawała się bardziej dorosła, niż ja kiedykolwiek się stanę.

Większość jej kolegów — tych hałaśliwych młodzieńców i dziewcząt, którzy co noc tankowali ostro w barze na ostatnim piętrze hotelu Mandarin, ignorując zachodzące nad portem słońce — traktowało Hongkong z przymrużeniem oka.

Widząc tabliczkę z nazwą ulicy Wan King Road, wyli ze śmiechu, tak jakby Hongkong istniał wyłącznie dla ich rozrywki. Śliniąc się, zbierali kolejne dowody tutejszego obłądu. A było ich wiele.

Miejscowy papier toaletowy marki My Fanny. Dom towarowy w Causeway Bay — prowadzony akurat przez Japończyków, ale to nieważne — gdzie sprzedawali czekoladki o nazwie Chocolate Negro Balls. Popularny w Hongkongu płyn do odmrażania znany jako My Piss*.

Ja też śmiałem się, widząc po raz pierwszy reklamy My Piss. Nie twierdzę, że mnie to nie bawiło. Pozbawieni warg bufoni śmieli się przerwy. Prędzej czy później trzeba było zapomnieć o My Fanny i obejrzeć zachód słońca, pójść obejrzeć światła. Ale bufoni jakoś nigdy nie doszli do tego stadium.

* Szereg zbitek językowych, których zabawny charakter wynika z połączenia w jednej nazwie słów angielskich z chińskimi bądź też z niedostatecznej znajomości języka angielskiego. Wan King Road znaczy dosłownie „ulica wąskiego króla”. My Fanny to w angielskim slangu „moja cipka”. Chocolate Negro Balls można przetłumaczyć jako „murzyńskie jaja w czekoladzie”, a My Piss — „moje siki” (przyp. tłum.).

Rose nie była do nich podobna. Rose kochała to miejsce.

Nie chcę, żeby w mojej relacji wyszła na Matkę Teresę w prawniczej todze. Kantończycy potrafią czasem zaleźć człowiekowi za skórę i w starciu z nadąsanym taksówkarzem, ordynarnym kelnerem lub natarczywym żebrakiem Rose ulegała często tej samej frustracji, jaką odczuwa tu każdy spocony, umordowany przybysz. Nigdy jednak nie chowała długo urazy.

Kochała Hongkong. Kochała jego mieszkańców i — co rzadko się zdarza u kobiet jej profesji, z jej wynagrodzeniem i jej kolorem skóry — uważała, że robimy słusznie, oddając go Chińczykom.

— Och, daj spokój, Alfie — upomniała mnie któregoś wieczoru, gdy rozwodziłem się nad tym specyficznym uczuciem i nad tym, że nie chcę, żeby kiedykolwiek zgasło. — Hongkong może i jest brytyjskim wynalazkiem, ale bije w nim chińskie serce.

Chciała odkryć prawdziwe oblicze miasta. Zdany na własną inwencję, sączyłbym pewnie dalej tsingtao w Lan Kwai Fong i przyglądał się światłom. Zdany na siebie samego, wegetowałbym dalej szczęśliwie w nierealnym Hongkongu, przekonany, iż owo szczególne uczucie to wszystko, czego mi trzeba.

Z Rose dotarłem głębiej. Rose zabrała mnie poza rozświetlone śródmieście. Czyniąc to, zmieniła zwykły afekt w coś więcej. Do Hongkongu. I do niej.

Zabrała mnie do świątyni, całej w złocie i czerwieni, gdzie w powietrzu unosił się duszący zapach kadzidła, a drobne stare kobiety paliły fałszywe pieniądze w wielkich kamiennych, dzbanach. W pachnących oparach widać było dwa lśniące, stojące na ołtarzu mosiężne jelenie.

— Za długowieczność — powiedziała i gdy przypominam sobie dzisiaj Rose mówiącą o długowieczności, chce mi się płakać.

W tamtych czasach, które w naszym przekonaniu miały się nigdy nie skończyć, zabrała mnie w miejsca, których nigdy bym bez niej nie odwiedził. Jedliśmy w mieszczącej się niedaleko

mojego mieszkania restauracji *dim sum*, gdzie byliśmy jedy-
nymi *gweilo*. Przemierzaliśmy wąskie uliczki między domami
obwieszonymi antenami, roślinami w doniczkach i suszącym
się praniem. Rose brała mnie za rękę i skręcała w wiecznie
zacienione alejki, gdzie bezzębni staruszkowie w japonkach
obstawiali dwa świerszcze walczące w drewnianej skrzynce.

Czasami spotykałem się z nią po pracy i płynęliśmy pro-
mem do Kowloonu, do kina, gdzie miało się wrażenie, że
dzwonią wszystkie należące do publiczności komórki. Moich
znajomych coś takiego doprowadziłoby do szału, lecz ona skrę-
cała się ze śmiechu.

— To jest prawdziwy Hongkong — mówiła. — Chce pan od-
kryć Hongkong, mój panie? Oto on — dodawała, unosząc dłoń
ku symfonii dzwonek.

Mimo to uwielbiała stare angielskie zwyczaje. W każde so-
botnie popołudnie — kancelaria życzyła sobie, żeby pół soboty
spędzała w pracy — jedliśmy podwieczorek w hotelu Peninsula,
przyglądając się wieżowcom Central stojącym po drugiej stro-
nie portu, popijając herbatę Earl Grey i zajadając rożki z dze-
mem oraz sandwicze z obciętą skórką. Raz czy dwa kibicowali-
śmy nawet Joshowi i jego owłosionym kolegom, grającym w
rugby lub krykieta.

Hołdowanie tym wszystkim angielskim zwyczajom było za-
bawne nie dlatego, że przypominały nam o ojczyźnie, lecz po-
nieważ w domu nigdy tego nie robiliśmy.

Krykieta, rugby, sandwicze z odciętą skórką — kto o tym dzi-
siał słyszał? Ja nie. I nie Rose, której bliżej niezidentyfikowany
akcent skrywał fakt, że wychowała się w wykładanym kamy-
kami bliźniaku pod Londynem. Rose nie dostała od losu nicze-
go za darmo. Osiągnęła swoją pozycję, ucząc się i ciężko pracu-
jąc.

— Więc gdzie dokładnie straciłaś swój akcent z Essex? —
spytałem ją kiedyś. — Na uniwersytecie?

— Na dworcu Liverpool Street — odparła.

W Azji odkryliśmy nie tylko prawdziwy Hongkong, ale i Anglię, której nigdy nie znaleźliśmy.

Rose pokochała to wszystko.

A ja pokochałem ją.

To nie było trudne. Jediną trudną rzeczą było zdobycie się na odwagę i zatelefonowanie do niej po tym, jak dała mi swoją wizytówkę w barze w hotelu Mandarin. Zajęło mi to siedem dni. Od samego początku zbyt wiele dla mnie znaczyła. Od samego początku nie mogłem sobie wyobrazić bez niej życia.

Ponieważ była piękna, inteligentna i miła. Była ciekawa i dzielna. Nikt, kogo kiedykolwiek znałem, nie miał tak wielkiego serca. Wykonywała dobrze swoją pracę, ale jej poczucie własnej wartości wcale od tego nie zależało. Kochałem ją ze wszystkich tych powodów. I kochałem ją, bo stała po mojej stronie. Stała po mojej stronie bez żadnych warunków i bez żadnych zastrzeżeń. Bardzo łatwo kogoś pokochać, kiedy ten ktoś jest po twojej stronie.

Pewnego dnia, kiedy spotkaliśmy się wszyscy na dachu China Club, Josh powiedział po kilku tsingtao coś ciekawego — niewykluczone, że zdarzyło mu się to po raz pierwszy w życiu.

— Gdyby Rose spotkała Pana Boga, zapytałaby go: dlaczego jesteś taki niedobry dla Alfiego, Boże?

Powiedział to tym swoim piskliwym dziewczęcym głosem i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ja też się uśmiechnąłem, gdyż starałem się być miły w stosunku do tego gamonia. Zabiło mi szybciej serce. Bo wiedziałem, że to prawda.

Rose stała po mojej stronie w sposób, w jaki nikt jeszcze tego nie robił. Z wyjątkiem moich rodziców. I dziadków. Ale oni byli do tego jakby zobligowani. Rose była ochotniczką. Dbała o mnie. Ci chłopcy w parku — ci, co wyzwali mnie od camember-ta — uśmieliby się na myśl, że taka kobieta może dbać o kogoś takiego jak ja. Ale ona naprawdę o mnie dbała. Nie zmyślam.

I kochając mnie, wyzwoliła mnie. Pozwoliła być sobą.

Miałem pewne marzenie, które nawiedzało mnie kiedyś w Londynie — marzenie, że zostanę pisarzem — i którego nigdy nie miałem odwagi zrealizować. Dzięki Rose uwierzyłem, że jeśli tylko przysiędę fałdów, może mi się to udać. Mogę pewnego dnia zostać pisarzem. Widziała we mnie nie tylko kogoś, kim byłem, ale także kogoś, kim mogłem się stać. Dzięki jej miłości uwierzyłem, że mogą się spełnić moje marzenia.

Dlatego wszystko jest teraz takie trudne.

Dlatego zmuszam się, żeby przeżyć każdy kolejny dzień.

Ponieważ wtedy, przez krótki okres, nie mogłem mieć lepiej.

Stary Chińczyk zakończył swój wykonywany w zwolnionym tempie taniec.

Kiedy mijam go po raz drugi truchtem — choć teraz bardziej przypomina to powolne powłóczenie nogami aniżeli trucht — spogląda na mnie, jakby widział moją twarz tysiące razy. Jakby on też mnie rozpoznał.

Odzywa się do mnie ponownie i tym razem dokładnie pojmuję, co mówi. To wcale nie jest „plóďte się”.

— Płuca źle — mówi.

— Co? — pytam, kurczowo łapiąc powietrze.

— Płuca źle oddychają.

— Czyje płuca?

— Czyje? — parska. — Czyje? Pytka. Nie oddycha dobrze. Za płytki oddech. Niedobrze. Nie ma oddechu, nie ma życia.

Wbijam w niego wzrok.

Nie ma oddechu, nie ma życia? Za kogo on się uważa? Za jakiegoś Yodę?

— Co to ma być? — pytam w końcu niezbyt przyjaznym tonem. — Jakieś stare mądre chińskie przysłowie?

— Nie. Nie stare mądre chińskie przysłowie. Po prostu zdrowy rozsądek — odpowiada, po czym odwraca się, kończąc rozmowę.

A ja wybiegam z parku i biorę to sobie jednak do serca.
Wdycham głęboko powietrze, wypełniam nim płuca, czuję, jak się rozszerzają, a potem powoli wypuszczam. Powtarzam to jeszcze raz. Robię wdech i wydech. Powoli i regularnie.

Rozkopując stopami zeszlóroczne liście, zmuszam się do zacierpnięcia kolejnego oddechu.

To wcale nie jest łatwe.

Bo, widzicie, ona była moją racją bytu.

2.

Skąd się biorą marzenia? Moje marzenie, żeby zostać pisarzem, zrodziło się w dzieciństwie. Tam się zaczęło i umarło, kiedy stałem się młodzieńcem. Więc nie wyglądało to tak źle. Trwało znacznie dłużej niż większość marzeń.

Mój ojciec pracował jako dziennikarz sportowy w ogólnokrajowej gazecie. Zajmował się najczęściej wyścigami konnymi, piłką nożną i boksem — sportami, pośród których wyrastał na East Endzie. Relacjonował również lekką atletykę podczas igrzysk olimpijskich, tenis podczas Wimbledonu i jeśli musiał, w zasadzie wszystkie inne dyscypliny. Pod koniec dziennikarskiej kariery napisał nawet kilka tekstów o nowego typu zapalnikach, tych gniewnych facetach w błyszczącym lateksie, którzy wyglądają, jakby brali sterydy, podczas gdy tak naprawdę powinni brać lekcje aktorstwa.

Mój stary nie był znanym dziennikarzem. Przy artykułach nie zamieszczali na ogół jego fotki. Dla mnie był jednak kimś fascynującym. Inni tatusiowie, ojcowie moich kolegów, musieli codziennie siedzieć w tym samym miejscu. Mój tato podróżował po całym kraju, przeprowadzając wywiady z ludźmi, którzy byli otoczeni uwielbieniem, i chociaż czasami moja mama i ja nie widzieliśmy go przez cały tydzień, zawsze podobało mi się to, że nie obowiązują go normalne godziny pracy.

Nawet będąc małym dzieckiem, wiedziałem, że dziennikarstwo to nie to samo co dwa tygodnie w Benidormie. Rozumiałem, czym jest tyrania nieprzekraczalnego terminu i co czuje człowiek, gdy redaktor ucina mu ostatnią linijkę tekstu. Wiedziałem, że dzisiejsza gazeta jutro staje się podściółką dla kota.

Mimo to mój tato wydawał mi się swobodny jak ptak.

Ojciec nie lubił nigdy regularnej reporterskiej roboty — przesiadywania w łoży prasowej w Upton Park, przesyłania przez telefon tekstów z hali NEC w Birminghamie — ale kiedy pozwalano mu napisać o ludziach kryjących się za wynikami i statystyką, kiedy opowiadał o znakomitym młodym futboliście, którego karierę przerwała nagle kontuzja kostki, albo o olimpijskiej nadziei, u której stwierdzono właśnie raka piersi, jego artykuły potrafiły łapać za serce. Mój tato umiał pisać sentymentalne teksty. Potrafił wycisnąć łzy liczącym tysiąc dwieście słów artykułem na rozkładówce. A kiedy mój stary wycisnął z ciebie łzy, miałeś przez dłuższy czas wilgotne oczy.

Nigdy nie był wielkim dziennikarzem sportowym, ponieważ tak naprawdę nigdy nie miał fioła na punkcie sportu. Byłby o wiele szczęśliwszy i odniósłby o wiele większy sukces, gdyby pisywał na pierwszych, nie na ostatnich stronach.

Ale był moim bohaterem. I przez długie lata chciałem kontynuować rodzinną tradycję.

A potem napisał książkę. Może o niej słyszeliście. Niewykluczone, że nawet ją przeczytaliście. Ponieważ „Pomarańcze na Boże Narodzenie — wspomnienia z dzieciństwa” należą do tych książek, które raz trafiwszy na rynek, nie przestają się nigdy sprzedawać. I po jej wydaniu moje marzenia o pisaniu stały się nieco śmieszne. Jak mogłem konkurować z moim ojcem? Jako niezły dziennikarz sportowy inspirował mnie. Jako autor, który odniósł oszałamiający sukces, totalnie mnie onieśmielił.

Kiedy ukazała się książka mojego taty, studiowałem w szkole pedagogicznej i z pewnego dystansu obserwowałem jej wspinanie się na listach bestsellerów. Wydawało się, że jeszcze

przed chwilą ojciec był tym, kim zawsze — reporterem kręcącym się przy boisku w nadziei, iż uzyska w charakterze wywiadu kilka nieartykułowanych burknięć od piłkarza zarabiającego trzydzieści kawalków tygodniowo — a już chwilę później stał się wziętym autorem, pobierającym sześciocyfrowe honoraria, regularnie pojawiającym się w bardziej ambitnych talk-show i rozpoznawanym w restauracjach

Wiedziałem, że to nie było takie łatwe. Pisanie „Pomarańczy na Boże Narodzenie” zajęło mu długie lata. Sukces zawsze wydaje się szybki, bez względu na to, w jak twardej skale został wykuty. Odnosiło się wrażenie, że prawie z dnia na dzień ojciec przeobraził się z nieznanego sportowego dziennikarza w szanowanego pisarza, zapraszanego do dużych księgarni, gdzie odczytywał fragmenty książki, odpowiadał na pytania i podpisywał egzemplarze „Pomarańczy”. W dzisiejszych czasach ludzie autentycznie cenią sobie jego autograf, zupełnie jak ci fani, którzy kręcą się przy boisku, czekając na dwudziestoletnich piłkarzy zarabiających trzydzieści kawalków tygodniowo.

„Pomarańcze na Boże Narodzenie — wspomnienia z dzieciństwa” były dobrą książką. Bardzo mi się podobała. Nie żałowałem tego, że rzuciła wielki cień na moje własne niespełnione marzenia o pisarskiej karierze. Zasługiwała na swój sukces.

Opowiadała o dzieciństwie mojego ojca na East Endzie, o tym, jacy byli biedni, ale szczęśliwi, i jak mój tato wraz z całą armią braci i siostr o mało nie umierali z radości, kiedy dostali pomarańczę na Boże Narodzenie.

Świat „Pomarańczy na Boże Narodzenie” zaludniają urwisy o brudnych twarzach, którzy bawią się w najlepsze, polując na szczury w lejach po bombach wtedy, gdy ich najbliżsi sąsiedzi giną podczas nalotów Luftwaffe. W tej książce mówi się dużo o śmierci, chorobach i racjonowaniu żywności, ale sprzedawała się tak dobrze, ponieważ w gruncie rzeczy jest krzepiąca niczym filiżanka gorącej słodkiej herbaty i tabliczka mlecznej czekolady. Mimo wszystkich ponurych historii o polio, gnidach

oraz o nazistach, książka mojego starego opisuje w niebywale sentymentalny sposób typ rodziny, która już nie istnieje.

I to stanowi swego rodzaju paradoks, ponieważ „Pomarańcze na Boże Narodzenie” spadły na rodzinę mojego ojca niczym hitlerowskie bomby. Kiedy książka się ukazała, wszyscy jego bracia i siostry szczęśliwie na stare lata się ustatkowali. I nagle ich przygody sprzed pół wieku stały się publiczną tajemnicą.

Starsza siostra ojca, ciotka Janet, nie była mu wcale wdzięczna za to, że poinformował cały świat, iż mój dziadek złapał ją, gdy pomagała w osiągnięciu orgazmu amerykańskiemu żołnierzowi podczas zaciemnienia. Incydent ten przedstawiony jest w książce w uroczym, przezabawnym stylu (gdzie podziały się moje spodnie?), lecz jego ujawnienie spowodowało prawdziwą burzę w lokalnym oddziale ligi kobiet, gdzie ciocia Janet po dziś dzień robi najlepsze konfitury.

Bratu mojego taty, Regowi, również krew uderzyła do głowy, kiedy przekartkował „Pomarańcze”. Od wielu lat stryjek pełnił funkcję dyrektora podlondyńskiego oddziału banku i uznał, że ojciec posunął się nieco za daleko, opisując, jak w trakcie nocnych bombardowań czteroletni wówczas Reg wbiegł do schronu przeciwlotniczego na tyłach ich domu ze zsuniętymi do kostek spodniami i trzęsącym się ze strachu siusiakiem. Stryjek Reg uważał, że nie jest to wizerunek, jaki w dzisiejszych czasach powinien prezentować swoim klientom dyrektor banku.

Był jeszcze stryjek Pete, w książce nastolatek. Jego sukcesy na czarnym rynku powodowały, że wiele młodych kobiet, które nie miało nylonowych pończoch, a za to miało mężów na froncie, nabierało ochoty, żeby — jak to określał Pete — „nastawić wodę na herbatę”. Stryjek Pete — a właściwie, jak nazywają go obecnie, ojciec Pete, musiał się z tego gęsto tłumaczyć w swoim zgromadzeniu.

Ciocia Janet przynosząca ulgę młodemu amerykańskiemu żołnierzowi szykującemu się do desantu w Normandii, stryjek Reg popuszczający w spodnie podczas bombardowania, stryjek Pete oddający swoje dziewictwo za parę nylonów — czytelnicy

uwielbiają takie rzeczy. I dzięki „Pomarańczom na Boże Narodzenie” wszyscy uwielbiają mojego ojca. Z wyjątkiem jego rodzeństwa i większości ludzi, wśród których dorastał w naszym starym miejscu zamieszkania. Już z nim nie rozmawiają.

Ktoś, kto wraca do domu po dłuższym pobycie za granicą, ogląda swój kraj oczyma podróżnika w czasie.

Nie było mnie trochę ponad dwa lata, od wiosny 1996 do lata 1998 roku. Nie jest to wcale długi okres, ale mam wrażenie, jakby nastąpiło jakieś przesunięcie w czasie. W dużej części wiąże się to oczywiście z Rose. Wyjeżdżając, nie miałem pojęcia o jej istnieniu, teraz, kiedy wróciłem, nie wiem, jak bez niej żyć.

To poczucie przesunięcia w czasie nie wiąże się tylko z Rose.

Pojawia się, gdy prowadzę samochód ojca, zerkam na gazetę, jem posiłek u moich rodziców. Wszystko jest jakieś inne.

Na Euston Road koczują uchodźcy. Widzę ich, jadąc należącym do ojca mercedesem-benzem SLK. A oni widzą mnie, ponieważ samochód ojca zaprojektowano po to, żeby przyciągał uwagę, chociaż może niekoniecznie uwagę ludzi, którzy uciekli ostatnio przed prześladowaniami i biedą.

Kiedy wyjeżdżałem, na Euston Road nie było uchodźców. Widywało się pijaczków z puszką na datki, ale nie mieszkańców Bałkanów. Teraz ci szczupli mężczyźni i chłopcy kręcą się między samochodami tkwiącymi w korku przed dworcem King's Cross, polewając wodą przednie szyby i zmywając błoto, nawet jeśli prosisz, żeby tego nie robili. Uchodźcy wskazują usta gestem, który jest lekko obsceniczny. Ale im chodzi tylko o to, że są głodni.

To wszystko jest nowe.

I chodzi nie tylko o uchodźców na Euston Road.

Terry Wogan puszcza zespół REM w Radio 2. Rzadko wspomina się o księżnej Dianie. A najbardziej szokujące jest chyba to, że mój ojciec zaczął chodzić do siłowni.

Wszystkie te rzeczy wydają się niewiarygodne. Myślałem, że Wogan uznaje tylko muzykę środka — ale być może zaczęto do niej zaliczać REM, kiedy ja byłem odwrócony plecami. Wydawało mi się, że Diana będzie tak samo widoczna po śmierci, jak była za życia. Byłem przekonany, że mój tato jest ostatnią osobą na świecie, która zacznie się przejmować łańdką tłuszczu na pośladkach.

Nasz dom wygląda mniej więcej podobnie — w gruncie rzeczy, przerażająco podobnie — ale wszędzie widać znaki, które świadczą, iż dokonała się tajemnicza zmiana.

Zawodzenia Michaela Stipe'a uznano nagle za muzykę łatwą, lekką i przyjemną. Diana przeszła do historii. A mój stary przestał odżywiać się kurczakiem *Tikka masalla* i opowiada o korzyściach z ćwiczeń, które regulują krążenie.

Czasami wydaje mi się, że znalazłem się w zupełnie innym kraju.

Obecnie mieszkam u moich rodziców. Kiedy ma się trzydzieści cztery lata, nie jest to zbyt zabawne. Ale to nie ten sam dom, w którym dorastałem — to rzeczywiście byłoby zbyt smutne — w związku z czym, mieszkając z nimi, nie odnoszę wrażenia, jakbym kompletnie cofnął się w dzieciństwo. Przynajmniej dopóki mama nie wręczy mi wypranych i wyprasowanych piżam.

To tymczasowa sytuacja. Kiedy tylko pozbieram się do kupy, gdy tylko dostanę jakąś robotę, mam zamiar znaleźć własny kątek. Gdzieś blisko pracy. Chcę, żeby wyglądał dokładnie tak, jak mieszkanie, które ja i Rose mieliśmy w Hongkongu. Mieliśmy fajne mieszkanie. Byłem tam szczęśliwy.

Wiem, że powinienem starać się iść do przodu. Wiem, że powinienem oddzielić grubą kreską ten czas, który spędziłem z Rose. Wszystko to wiem.

Ale jeśli wierzysz, że potrafisz rozpoznać kogoś, kogo nigdy przedtem nie widziałeś, jeśli wierzysz, że na całym świecie jest

tylko jedna przeznaczona ci osoba, jeśli wierzysz, że tylko tę jedną osobę potrafisz pokochać, naprawdę pokochać, pokochać na całe życie — a ja w to wierzę — wtedy nie ma sensu wma-
wiać sobie, że jutro zacznie się nowy dzień, nie ma sensu kar-
mić się tymi bzdurami.

Wykorzystałem już swoją szansę.

Mama i tato mają ten dom od niedawna. Jeden z tych wy-
sokich białych domów w Islington, które wyglądają na duże już
od frontu i ciągną się bez końca, kiedy się do nich wejdzie.
Mamy tu nawet kryty basen. Nie zawsze opływaliśmy w do-
statki.

Kiedy dorastałem i mój stary był jeszcze dziennikarzem
sportowym, mieszkaliśmy w obskurnym wiktoriańskim domku
w dzielnicy, do której nigdy nie dotarła rewitalizacja. Wszystko
się zmieniło, gdy „Pomarańcze na Boże Narodzenie” wspięły
się na szczyt listy bestsellerów.

Pieniądze też mamy od niedawna.

Obecnie tato próbuje pisać dalszy ciąg „Pomarańczy” — o
tym, jak strasznie biedna, lecz obłędnie szczęśliwa była jego
rodzina zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej. Ma to
być wzruszające spojrzenie na dobre stare czasy, kiedy racjo-
nowano banany, dzieci bawiły się w lejach po bombach i roz-
kwitały slumsy. Nie wiem, jak mu idzie. Większość czasu wyda-
je się spędzać w siłowni.

Wiem, że mój stary martwi się o mnie. Podobnie jak mama.
Dlatego muszę się wynieść z ich wielkiego pięknego domu. Jak
najszybciej.

Rodzice chcą tylko mojego szczęścia, lecz stale wyrzucają
mi, że nie pozbierałem się po stracie Rose, że nie pozbyłem się
jej z mojego krwiobiegu, że nie robię nic z moim życiem.

Kocham rodziców, ale doprowadzają mnie do szału. Krzy-
wią się z irytacją, kiedy mówię, że nie spieszy mi się, żeby robić
coś z życiem w pomniejszonym wymiarze.

— Rób, jak uważasz, chłopie — mówi czasami tato i wychodzi, trzaskając drzwiami.

— Och, Alfie — wzdycha czasami mama i płacze.

Oboje zachowują się tak, jakby fakt, że nie mogą dojść do siebie po stracie Rose, kwalifikował mnie do domu wariatów.

Mam ochotę ich zapytać: A może to wcale nie kwalifikuje mnie do domu wariatów?

Może tak właśnie powinniśmy się zachowywać?

Na progu naszego domu widzę kogoś obcego.

Ma na głowie spiczasty hełm podobny do tych, które nosili strażnicy Imperium w „Powrocie Jedi”. Trzymając się konsekwentnie tego futurystycznego wizerunku, ma również czarne gogle, jaskrawożółtą kolarską koszulkę oraz czarne spodnie z lycry, które namiętnie opinają pośladki. Pod spiczastym hełmem tkwi walkman firmy Sony. Obcy wtacza rower na naszą alejkę i teraz, kiedy kuca, żeby zajrzeć do skrzynki pocztowej, widać, jak z tyłu na jego nogach rozciągają się i kurczą mięśnie.

Wygląda jak niesamowicie sprawny insekt.

— Tato?

— Alfie — odpowiada ojciec — znowu zapomniałem klucza. Mógłbyś mi pomóc z tym rowerem?

Kiedy ściąga spiczasty hełm i walkmana, dobiega mnie dźwięk muzyki — silny metaliczny śpiew z podkładem basowej gitary, w którym rozpoznaję natychmiast „Signed, Sealed, Delivered” Steviego Wondera.

Ze swoim modnym rowerem oraz owadzią powierzchownością ojciec wygląda na kogoś, kto słucha tylko najnowszych brzmień. W rzeczywistości jednak nadal kocha starą muzykę. Szczególnie z wytwórni Tamla Motown. Steviego. Smokeya. Marvinina. Dianę, Four Tops i Temptations. Sound of Young America z czasów, gdy Ameryka i on sam byli jeszcze młodzi.

Ja bardziej lubię Sinatrę. Mam to po dziadku. Nie żyje od

wielu lat, ale kiedy byłem mały, sadzał mnie na kolanach w salonie wielkiej czynszowej kamienicy w Dagenham na East Endzie, domu, w którym toczy się akcja „Pomarańczy na Boże Narodzenie”, i wdychając zapach jego old spice'a oraz skrętów nabijanych tytoniem Old Holborn, słuchałem Franka, który śpiewał swoje słodkie piosenki o niczym. Dopiero po wielu latach zdałem sobie sprawę, że wszystkie są o kobietach. O tym, jak się je kocha, pragnie i traci.

Przedtem myślałem, że są o byciu ze swoim dziadkiem.

Czasami razem z dziadkiem oglądaliśmy Sinatrę w jednym ze starych filmów, kiedy pokazywali je w telewizji. W „Stąd do wieczności”, w „Tony Rome” i w „Some Came Running”. Zawsze grał w nich twardego faceta ze złamanym sercem, postać, która wydawała się znakomitym dopełnieniem muzyki.

— Dziadku! — wołałem. — To Frank.

— Zgadza się — przytakiwał dziadek. Obejmował mnie wytatuowaną ręką i razem wlepialiśmy oczy w ekran czarno-białego telewizora. — To Frank.

W dzieciństwie pokochałem Sinatrę, ale słuchając go teraz, nie śnię o Las Vegas, o Palm Springs i o Nowym Jorku. Kiedy słucham Franka, nie myślę o Rat Pack, Avie Gardner, o Dino ani o Sammym. O wszystkich tych postaciach, które powinno się pamiętać.

Głos Sinatry przypomina mi, jak siedziałem na kolanach dziadka w naszym bandzo — tak właśnie nazywaliśmy naszą czynszówkę, bo miała kształt tego instrumentu — głos Sinatry przypomina mi old holborn i old spice'a, prostą bezwarunkową miłość, którą byłem wówczas otoczony i która, jak sądziłem, będzie trwała wiecznie.

Mój stary zawsze próbował nawrócić mnie na Motown. Lubiłem te wszystkie kawałki w stylu *ooh-baby-baby* — któż mógłby ich nie lubić. Dorastając, stwierdziłem, że istnieje wielka różnica między muzyką, którą lubił dziadek, a tą, którą lubił tato.

Piosenki, które puszczał mi ojciec, opowiadały o byciu

młodym. Piosenki, które wybierał dziadek, opowiadały o byciu żywym.

Otwieram drzwi i pomagam tacie wtoczyć rower do przedpokoju. To jakiś sportowy model z nisko opuszczoną kierownicą i siodełkiem wielkości marchewki. Nigdy go przedtem nie widziałem.

— Nowe dwa kółka, tato?

— Pomyślałem sobie, że mogę popedałować na siłownię. Nie ma sensu jeździć tam samochodem. To dla mnie dobre. Pobudza do ruchu stare serducho.

Kręcę z uśmiechem głową, po raz kolejny zadziwiony i wzruszony transformacją, jaka zaszła w moim ojcu. Gdy dorastałem, był typowym okazem tyjącego żurnalisty, na diecie składającej się z nieregularnych posiłków i regularnie spożywanego alkoholu. Teraz, zbliżając się do sześćdziesiątki, zmienił się nagle w Jean-Claude'a Van Damme'a.

— Naprawdę się tym przejmujesz? Tymi ćwiczeniami na utrzymanie kondycji?

— Powinieneś tam kiedyś ze mną się wybrać. Mówię serio, Alfie. Musisz zacząć kontrolować swoją wagę. Robi się z ciebie prawdziwy grubas.

Czasami wydaje mi się, że ojciec zdradza objawy syndromu Tourette'a.

Jestem zbyt zakłopotany, żeby opowiedzieć Jean-Claude'owi o moim żalonym joggingu w parku. I nie mam ochoty się z nim kłócić. Chyba po tym właśnie człowiek poznaje, że nie jest już młody — nie czuje potrzeby, aby sprzeciwiać się na każdym kroku rodzicom. Kiedy ojciec prowadzi rower korytarzem i widzę przez chwilę swoje odbicie w lustrze, myślę sobie: jakie to w końcu ma znaczenie? I tak nie wybieram się na podryw.

Tato i ja wchodzimy do salonu, gdzie siedzi w swoim ulubionym fotelu moja babcia. Na kolanach trzyma „News of the World”. Wygląda na to, że studiuje historię zatytułowaną „Tańcząca na stole dziwka ukradła mojego telewizyjnego ogiera”.

— Cześć, mamo — mówi ojciec, całując ją w czoło. — Widzę, że interesują cię wszystkie skandale?

— Cześć, babciu — mówię, robiąc to samo. W mojej rodzinie dużo się całujemy.

Skóra babci jest miękka i sucha niczym papier, który zbyt długo leżał na słońcu. Obraca ku mnie wodniste niebieskie oczy i powoli potrząsa głową.

Biorę ją za rękę. Kocham moją babcię.

— Nie miałam szczęścia, Alfie — mówi. — Znowu nie miałam szczęścia, kochanie.

Widzę, że trzyma w ręku los loterii i sprawdza, czy jej numeru nie ma wśród wygranych. To jeden z rytuałów, który co tydzień wspólnie odprawiamy. Za każdym razem jest autentycznie zdumiona, że nie udało jej się wygrać dziesięciu milionów funtów. Co niedziela przychodzi do nas w porze lunchu, żeby wyrazić z tego powodu totalne zaskoczenie. A ja ją pocieszam.

— Nie miałaś szczęścia, babciu? Nie przejmuj się.

— W poniedziałek znowu do roboty, Alfie — mówi z uśmiechem, chociaż oczywiście ani ja, ani ona nie musimy iść nazajutrz do pracy. Następnie zaczyna drzeć swój los. Ta czynność najwyraźniej ją męczy. Uporawszy się z losem, babcia natychmiast zasypia.

Przez wysokie okno salonu widzę matkę grabiącą liście w ogrodzie. Czasami sprawia wrażenie zagubionej w naszym nowym wielkim domu kupionym za pieniądze, które ojciec dostał za książkę. Od początku jednak pokochała ogród.

Na mój widok uśmiecha się i zaczyna biec w miejscu, wydymając policzki. Dopiero po kilku sekundach uświadamiam sobie, że parodiuje moje truchtanie w parku. Pokazuję jej podniesione kciuki, a mama wraca do grabienia liści, uśmiechając się pod nosem. Wiem, że ucieszyła się, widząc, że wychodzę z domu, by jak to mówi, „łyknąć świeżego powietrza”.

Trzaskają frontowe drzwi i po chwili do salonu zagląda uśmiechnięta młoda kobieta. Wygląda jak drugie podejście

Pana Boga do postaci Cameron Diaz — prawie komiksowy amalgamat blond włosów, niebieskich oczu i narciarskiej opalenizny. Lena jest naszą czeską pomocą domową. Jest naprawdę inteligentna. Wydaje się troszeczkę głupawa tylko wtedy, gdy słucha radia, ponieważ nawet siedząc przy stole i zajadając swoje płatki z otrębami, porusza się jakby w rytm muzyki.

Ale Lena nie jest wcale głupia. Jest po prostu młoda. Szczepnie mówiąc, sędzę, że czuje do mnie miętę. Irracjonalną słabość, która zdarza się tylko bardzo młodym. Może będę musiał powiedzieć jej, najłagodniej jak to możliwe, że nie szukam nowego związku. Jest z pewnością piękną dziewczyną — pewnego razu nasz gazeciarz wjechał przez nią na latarnię. Wszędzie wały się kolorowe magazyny i dodatki. To dziwne, że nie jestem nią zainteresowany. A może to wcale nie jest dziwne?

Trzask zamykanych drzwi budzi z drzemki babcie, która pożyła promienne spojrzenie Lenie. Uważa ją pewnie za jakąś naszą daleką krewną.

— Przepraszam za spóźnienie — mówi Lena angielszczyzną tak nieskazitelną, że może uchodzić za kogoś, kto urodził się w tym kraju. — W niedzielę strasznie długo czeka się na metro. Zaraz zacznę szykować lunch.

— TO NIE MA ZNACZENIA — mówi bardzo powoli babcia. Najwyraźniej uważa również, że Lena jest albo głucha, albo głupia, albo nie zna ani słowa po angielsku. A być może wszystkie te trzy rzeczy naraz. — ON NIE GŁODNY — dodaje, wskazując mnie palcem.

— To świetnie — uśmiecha się Lena, która zna pięć języków i studiuje administrację biznesu na UCL. — Już zabieram się za lunch.

— Pomogę ci — proponuje ojciec.

— Naprawdę nie trzeba.

— Ale ja chcę.

Wychodzą do kuchni, a babcia i ja oglądamy program,

w którym ludzie wymieniają między sobą ciosy, ponieważ jeden z nich odkrył, że jego dziewczyna jest w rzeczywistości facetem. Wcześniej tego nie widziałem. Nawet chłam jest nowy.

Z kuchni dobiegają mnie śmiechy: Lena i tato opróżniają zmywarke.

Nigdy w życiu nie widziałem, żeby ojciec pomagał w pracach domowych.

To także jest coś nowego.

3.

Spaceruję po Chinatown.

Od powrotu do kraju to właśnie robię przez cały dzień. Jadę metrem na West End i wysiadam w tej małej dzielnicy Londynu, gdzie tabliczki z nazwami ulic są po angielsku i chińsku. I spaceruję.

Wchodzę do Chinatown przez jedną z trzech bram — przy Wardour Street na zachodzie, Macclesfield Street na północy lub Newport Court na wschodzie — i wałęsam się gwarnymi zatłoczonymi uliczkami tak długo, aż to miejsce wypełni moje zmysły, aż przypomni mi inne miejsce po drugiej stronie świata.

Po kilku chwilach jestem w Hongkongu. Brakuje mi trochę spektakularnej panoramy miasta, portu i wzgórze. Jednak wiele widoków przypomina te, które oglądałem, będąc w Kowloonie albo Wanchai.

Stojące w oknach rzędy laminowanych kaczek, rozmawiające przez kolorowe komórki przystojne dziewczyny o lśniących włosach, staruszkowie ze złotymi zębami, pchający wózki z niemowlętami z oczyma przypominającymi brązowe klejnoty, młode matki spacerujące z wystrojonymi dziećmi, krzepcy chłopcy z wypomadowanymi włosami, kręcący się przed salonomi gier i udający żołnierzy triad, odziane w bezbarwne mundurki kelnerki, które spieszą do pracy albo szorują malutki

kwadrat chodnika przed swoją restauracją, tumany pary wydobywające się z niewielkich kuchni schowanych za matowymi szybami, mężczyźni w brudnych kamizelkach dostarczający skrzynki z mrożoną rybą.

Chinatown jest jedynym miejscem, w którym mogą być szczęśliwi. Przypomina mi nie tylko Hongkong. Przypomina mi czasy, kiedy Rose i ja byliśmy razem.

Są tutaj sklepy, supermarkety i oczywiście zatrzęsienie restauracji, ale tak naprawdę nie ma miejsca, gdzie można by spokojnie przysiąść i obserwować toczące się dookoła życie. Mimo bliskości urządzonego w stylu śródziemnomorskim Soho, nie ma tu małych kafejek, kawiarni ani barów. Jeśli chcesz się napić cappuccino i posiedzieć pół godziny, trafiłeś w złe miejsce. To nie po kantońsku. Mnie to wcale nie przeszkadza.

W związku z czym stale się przemieszczam — z głównej arterii, Gerrard Street, skręcam w Wardour Street, gdzie zachodnia granica Chinatown ociera się o pizzerie i nocne kluby, potem w mroczną, wąską Lisle Street z jej zapachem pieczonej kaczki i spalin, potem być może w Little Newport Street, gdzie w sklepie z akcesoriami sztuk walki można zobaczyć zrobioną z papier-mâché wielką głowę smoka, który strzeże bokerskich gruszek, pantofli do *tae-kwon* oraz tekturowych pudeł z czarnymi spodniami do *kung fu*. Na koniec, dotarłszy do księgarni i teatrów przy Charing Cross Road, zawracam do Newport Court, gdzie można kupić chińskie czasopisma, chińskie płyty kompaktowe, wszystko, co chińskie.

Przemierzając na chybił trafił uliczki Chinatown, wracam pamięcią do pewnego wiersza Kiplinga, który przerabialiśmy, gdy uczyłem literatury angielskiej w Męskim Liceum imienia księżnej Diany.

„Mandalay” opowiada o zwolnionym do domu angielskim żołnierzu, który po zakończeniu służby na wschodzie, gdzieś za Suezem, przemierza ulice Londynu (Czy ten eksżołnierz nie jest przypadkiem gońcem w City? Czy nie zarabia na życie, biegając na posyłki dla przodków Josha?) i rozmyśla o wietrze

poruszającym liście palm, o słoniach ciągnących tekowe pnie i o kobiecie, którą tam zostawił. Nasz bohater nie powinien czuć się samotny — powiada, że w angielskiej słocie „od Chelsea, aż do Strandu, kucht tuziny za mną gnają”. Ale pamięta to miejsce, „gdzie świt wybucha jak burza sponad Chin i niebo tnie”, i pamięta ten czas, kiedy ona była przy jego boku.

— Więc to jest o jego cizi. Tak, panie psorze? — dopytywał się jeden z moich najinteligentniejszych i najniesforniejszych uczniów przy akompaniamencie chichotów w tylnych ławkach. — Czy to jest... jak to się nazywa?... indoktrynacja seksualnej turystyki? Nie, nie indoktrynacja, panie psorze. Jak to się mówi? Inkryminacja? Inkryminacja, panie psorze? Panie psorze?

„Mandalay” nie znaczył wówczas wiele dla moich szczerzących ironicznie zęby bladych, chudych wychowanków w ciuchach od Tommy'ego Hilfigera. Prawdę mówiąc, dla mnie też niewiele znaczył. Teraz, kiedy wróciłem do Londynu, tłucze mi się po głowie, nie chce dać spokoju i sprawia, że tęsknię aż do bólu za moim utraconym domem, za utraconą żoną.

*Bo świątynny dzwon przyzywa i tam tylko być już chcę —
Przed pagoda starą w Moulmein, tam gdzie morza senny*

*brzeg **

* Przeł. Maciej Słomczyński.

Lubię przyjeżdżać do Chinatown wcześniej, zanim pojawiają się turyści ze swoimi kamerami, pustymi twarzami i paranoicznymi plecakami, zawieszonymi tyłem do przodu. Lubię tam przyjeżdżać, kiedy z ciężarówek wyładowują jeszcze towary, gdy starsze panie rozkładają swoje stragany, a mężczyźni stoją w grupkach, plotkując po kantońsku ^— mężczyźni, którzy później zaczną pracować w restauracjach albo znikną w podziemnych kasynach, gdzie gra się w madżonga.

Wtedy właśnie lubię Chinatown najbardziej — kiedy zaludniają go sami Chińczycy przygotowujący się do nadchodzącego dnia. Wtedy najbardziej przypomina mi Hongkong.

Zawsze jem tam lunch. Czasami jem go wcześniej, na ogół w New World przy Gerrard Street, jednej z tych staroświeckich restauracji *dim sum*, teraz na wymarcu, gdzie młode dziewczyny nadal pchają przed sobą wózki obładowane parującymi pierożkami, grillowaną wieprzowiną oraz smażonymi bakłażanami. Wózki toczą się powoli po wielkiej czerwono-złotej restauracji i zamiast podawać ci menu, jak to się dzisiaj robi w większości knajp *dim sum*, pozwalają ci brać jedzenie wprost z wózków.

Zdarza się też, że jem później, przeważnie zupę z kluskami w jednej z mniejszych restauracji przy Gerrard Street, gdzie nie obrażają się, jeśli poprosisz ich o stolik o czwartej po południu.

W Chinatown można w zasadzie jeść, kiedy ci się żywnie podoba. To właśnie zawsze podobało mi się u kantończyków. Pozwalają ci żyć, jak chcesz. Nie ustalają reguł. Po prostu to olewają.

O olewaniu można powiedzieć wiele dobrego.

Moim zdaniem, olewanie jest w dużym stopniu niedoceniane.

Od pobytu w Hongkongu stałem się wielkim miłośnikiem podwieczorku, tej zrytualizowanej działki cukru oraz kofeiny branej w momencie, gdy twój poziom energii zaczyna się obniżać. Rose też lubiła podwieczorek. Twierdziła, że to najbardziej hulaszczy posiłek, ponieważ tylko podwieczorek spożywamy w porze, gdy powinniśmy pracować.

Rose zawsze mówiła takie rzeczy — rzeczy, dzięki którym człowiek lepiej uświadamiał sobie to, co czuje. Wcześniej sądziłem po prostu, że lubię napchać się po południu ciasteczkami i dżemem. Rose wskazała mi, że tak naprawdę lubię urwać się ze Szkoły Językowej Double Fortune.

Niedaleko Bond Street jest taki modny hotelik, gdzie serwują podwieczorek. Klientelę stanowią wyłącznie turyści, szukający starej autentycznej Anglii w czajniczku earl greya. No i ja.

Kiedy wchodzę tam z „Evening Standard” pod pachą, sala rozbrzmiewa tuzinem obcych języków. Kelner spogląda na mnie, jakbym trafił w złe miejsce.

— Podwieczorek, proszę pana? Dla ilu osób?

— Podwieczorek dla jednej osoby.

Przynosi mi czajniczek herbaty i srebrną piętrową tackę, która wygląda niczym ślubny tort. Tacka obładowana jest placuszkami z jęczmiennej mąki, spodeczkami ze śmietanką i dżemem i fikuśnymi kanapkami.

Kelner jest przyjaźnie nastawiony. Turyści niezbyt hałaśliwi. Placuszki jeszcze ciepłe. Sandwicze z łososiem i ogórkiem mają obciętą skórkę. Herbata parzona jest na listkach, nigdy z saszetki.

Wszystko jest tak, jak powinno.

Ale po prostu nie smakuje tak jak tam.

Idąc do metra, mijam Oxford Street.

Z kawiarni, z butików i ze sklepów z płytami płynie muzyka, od której dzwonią mi plomby w zębach. Plebejski, wibrujący splendor tej ulicy stanowił kiedyś kwintesencję Londynu. Dziś się czuję tutaj obco, bombardowany nową muzyką, przeterminowaną modą i przyszczatym tłumem. Teraz to wszystko przypomina mi, że się starzeję. Oxford Street jest taka sama; to ja się zmieniłem. Próbuję przecisnąć się szybko przez tłum, ale zaczęła się godzina szczytu i idzie mi niesporo.

Koło stacji metra stoi para cudzoziemców opartych o ścianę niczym znudzeni przechodnie. To cudzoziemcy, którzy przestrzegają najnowszej mody — mają posępne spojrzenia i buty na platformach.

Ona jest Azjatką z włosami utlenionymi na blond, on Włochem lub Hiszpanem z cienkim jak ołówek wąsikiem i ostrymi niczym brzytwa bokobrodami.

Trzymając w rękach ulotki i gawędząc ze sobą kulawą angielszczyzną, rozdają je od niechcienia przechodniom. Ma się

wrażenie, że jest im kompletnie wszystko jedno, czy rozdada
cały plik, czy cisną go do najbliższego przepełnionego kosza.

Biorę jedną.

Naucz się dobrze mówić po angielsku
@ Międzynarodowa Szkoła Językowa Churchilla
Pierwsza i najlepsza
Można zacząć w każdy poniedziałek
Niskie niskie ceny
Koło hipermarketu Virgin
Pomoc w załatwianiu wiz, zezwoleń na pracę
oraz zakwaterowaniu
Gwarancja doskonałości!

Ulotka ma obramowanie z brytyjskiej flagi, wewnątrz którego widnieje kolejne obramowanie skomponowane z flag z całego świata. Widzę flagi Włoch, Japonii, Chin, Brazylii i dużo innych, których nie rozpoznaję.

Przy napisie Międzynarodowa Szkoła Językowa Churchilla umieszczona jest czarna sylwetka łysego grubego faceta, który może być Alfredem Hitchcockiem, ale również Winstonem Churchillem. Mężczyzna unosi w górę rozczapierzone dwa palce, co ma sugerować, żebym się stąd natychmiast wynosił, względnie że zwycięstwo jest bliskie. W ustach trzyma niezwykle wielką parówkę lub cygaro.

Sylwetkę namalował ktoś posiadający artystyczne zdolności gołębia. Mierzi mnie banalna nowoczesność symbolu, Jestem niemile zdziwiony, że mieszcząca się przy Oxford Street szkoła upadła tak nisko, iż posiłkuje się nazwiskiem Winstona Churchilla w celu przydania sobie fałszywego autorytetu. Kryjący się w tym wszystkim tani cynizm wyjaśnia, dlaczego czuję się tak obco na tej ulicy.

Uświadamiam sobie jednak, że nie mogę wyrzucić ulotki. W tym nagromadzeniu różnych flag, składanych hojnie obietnicach

pomocy i wykrzykniku, z jakim zapewnia się o doskonałości, jest coś, co podnosi mnie na duchu. Sam nie wiem. Wygląda to na ślad nadziei.

W Hongkongu zawsze byliśmy blisko wody.

Od małej kawiarenki na Victoria Peak aż do herbaciarni w hotelu Peninsula, każde malownicze miejsce, gdzie kiedykolwiek trzymaliśmy się za ręce, znajdowało się blisko wody. Stale pływalimy linią Star, kursując między naszymi mieszkaniami po obu stronach portu. A firma Rose miała własny jacht, który nazywali dżonką.

Ta nazwa przywoływała obraz osobliwie powyginanych drewnianych stateczków z pomarańczowymi żaglami, które kołyszą się na falach w hongkońskim porcie na tysiącach pocztówek. Taki był zapewne zamiar.

W rzeczywistości firma Rose posiadała nowoczesny motorowy jacht lśniący chromem i polerowanym drewnem, z załogą składającą się z uśmiechniętego kantońskiego małżeństwa w schludnych białych uniformach. Jeszcze wiosną 1997 roku na dżonce można było się ludzić, że nigdy nie dojdzie do przekazania Hongkongu Chinom, iż nic się nigdy nie zmieni, że życie będzie zawsze takie słodkie.

Dżonka przeznaczona była w zasadzie dla gości firmy, lecz jeśli nie korzystał z niej akurat jakiś *taipan* z Londynu, Szanghaju lub Tokio, pracownicy biura Rose mogli wypłynąć na morze i cały dzień kluczyć między setkami małych wysepek, które tworzą Hongkong.

Normalnie wypływali nią mężczyźni pracownicy firmy podrywający Azjatki, które pracowały jako stewardesy na linii Cathay Pacific. Rose i ja znajdowaliśmy się już w stadium, gdy poza nami dwojgiem nikt nie był nam potrzebny do szczęścia, i wypływaliśmy tylko z załogą.

Kiedy ostatnim razem mieliśmy okazję pływać dżonką, przycumowaliśmy przy małej wysepce bez nazwy. Stary Chińczyk

w japonkach podał nam zimne piwo i przyrządzone na ostro krewetki w restauracji niewiele większej od szalasu. Pamiętam drewniany pomost, półdzikie psy biegające po plaży i ciszę zakłócaną tylko przez nasze głosy i szum morza.

W drodze powrotnej zdrzemnąłem się na pokładzie z brzuchem wypełnionym tsingtao i z całą pewnością najlepszym na świecie morskim żarciem.

Nie wiem, jak długo spałem, ale kiedy się obudziłem, słońce zmieniło pozycję. Było bardzo gorąco. Pod plażowym ręcznikiem, na którym leżałem, palił mnie pokład. Słyszałem skrzeczące w oddali mewy, cichy szepot bijących o brzeg fal i skrzywienie łodzi kołyszącej się na Morzu Południowochińskim.

Raptem, dokładnie nade mną pojawiła się Rose, uśmiechnięta, z twarzą przyćmioną przez blask popołudniowego słońca.

Zerknąłem na nią, osłaniając oczy. Słońce świeciło ostro i widziałem tylko jej ciemną sylwetkę, spoza której błyskało co chwila oślepiające światło. Nie odrywając od niej przymrużonych oczu, uniosłem się, żeby wstać.

Rose podniosła rękę.

— Nie ruszaj się z miejsca — powiedziała, po czym ustawiła się tak, że jej głowa kompletnie zasłoniła słońce. Jego korona płonęła wokół niej jak podczas całkowitego zaćmienia. Teraz, kiedy padł na mnie cień Rose, mogłem ją lepiej dojrzeć.

Otworzyłem szerzej oczy i strząsnąłem z powiek łzy. Jej twarz była teraz wyraźna. Uśmiechała się w cieniu, tym cieniu, który sama rzuciła.

Zasłoniła mi niebo.

— Widzisz mnie teraz?

— Tak.

— Na pewno?

— Na pewno.

— To dobrze.

Dłuższą chwilę oboje się nie poruszaliśmy. Tak jakby chciała wyrycić swoją twarz w mojej pamięci; zachować ten moment na zawsze; upewnić się, że nigdy jej nie zapomnę.

A potem odsunęła się.

— Powinieneś coś włożyć — powiedziała. — Spalisz się na tym słońcu.

Zanim udaje mi się znaleźć Międzynarodową Szkołę Językową Churchilla, trzy razy mijam prowadzące tam wejście.

Wciśnięte pomiędzy sklep ze starymi džinsami a świeżo otwartą kawiarnię, w tej części Oxford Street, gdzie panuje największy tłok, jest tak niepozorne, jakby go w ogóle nie było. Zdążyłem wypić dwa przesłodzone cappuccino i o mało nie kupiłem pary lewisów, zanim dostrzegłem w końcu otwarte drzwi.

Stoi przy nich dwoje kolejnych apatycznych uczniów. Gawędząc ze sobą, skubią kolczyki — ona wbity w pępek, on w nos oraz brwi — i oferują ulotki ignorującemu ich tłumowi. Nie patrzą na mnie, gdy mijam ich i wspinam się na górę po stromych schodach.

Szkoła zajmuje całe piętro budynku, który zdaje się puchnąć, kiedy człowiek wchodzi do środka — niczym jakaś tajemna pieczara albo magiczna szafa prowadząca do Narnii. Słychać tutaj głosy z obcym akcentem, rozbrzmiewający w oddali śmiech oraz nauczyciela, który cierpliwie wyjaśnia idiom „przejrzeć na oczy”.

Międzynarodowa Szkoła Językowa Churchilla wydaje się o wiele weselszym miejscem zarówno od Męskiego Liceum imienia księżnej Diany, jak i od Szkoły Językowej Double Fortune. Czuję zapach rozpuszczalnej kawy i kurczaka *teriyaki*. Na żółtych ścianach, z których obłazi tynk, wiszą tablice informacyjne i kolorowe plakaty. Ktoś sprzedaje elektryczny garnek do ryżu, bo wraca do domu. Ogłoszenia są po angielsku, francusku, włosku oraz w języku, który wygląda na japoński. Pokoje do wynajęcia, sprzęty domowe na sprzedaż, oferowane i poszukiwane kursy — cała mizéria studenckiego życia takiego samego, jak gdzie indziej pod słońcem.

Nie ma tutaj atmosfery zagrożenia jak w Liceum księżnej Diany, ani zadęcia jak w Double Fortune. Szkoła jest młoda, kipiąca życiem, przyjazna. Czuję się tutaj tak dobrze, że pytam w recepcji, czy mają jakieś wolne miejsca. Po wypełnieniu kwestionariusza i dwudziestu minutach oczekiwania siadam naprzeciwko dyrektor szkoły, pani Lisy Smith. Ma farbowane rude włosy, wojskowe buciory i te wielgachne kolczyki w lekko etnicznym stylu, które wydają się zbyt ciężkie dla ludzkich uszu. Mimo że ubiera się jak jedna z uczennic, musi dobiegać sześćdziesiątki. Prezentuje rzeczowy sposób bycia — bez uśmiechu, grzeczna, o ile to niezbędne. Studiuję wypełniony przeze mnie kwestionariusz.

— Światu potrzebny jest język angielski — oznajmia. — Nasi uczniowie wyjadą, żeby szukać pracy w turystyce, biznesie, mediach. W żadnym z tych miejsc nie można się obyć bez dobrej znajomości angielskiego. Angielski jest globalnym językiem. Językiem nadchodzącego stulecia.

— To zabawne — wtrącam. — Byłem w Hongkongu w nocy, kiedy przekazano go Chińczykom. Wszyscy mówili, że to już ostateczny koniec imperium, koniec kolonialnych rządów, stulecia zdominowanego przez Zachód. I tak dalej. Tymczasem język angielski trzyma się lepiej niż kiedykolwiek.

Zimny uśmiech ze strony pani dyrektor Smith.

— Och, nasi uczniowie nie marzą, żeby zostać Anglikami, panie Budd. Nie mają ambicji, żeby zostać Brytyjczykami. Marzą o tym, żeby stać się obywatelami świata.

Stać się obywatelem świata. To mi się podoba. Kiedy pojechałem do Hongkongu, marzyłem o tym, by stać się częścią większej ode mnie całości. I przez moment nią byłem. Nie z powodu jasnych lśniących światel, lecz z powodu kobiety.

Rose mnie odmieniła. Uczyniła ze mnie osobę, którą zawsze chciałem być. Dzięki niej znalazłem się na najlepszej drodze, by stać się sobą. Zacząłem nawet pisać krótkie kawalki. A potem nagle wszystko się skończyło, wszystko wypadło mi z rąk.

Nie mówię Lisie Smith, że często miałem po dziurki w nosie

tej profesji. Nie mówię jej, że nudziłem się i frustrowałem, ucząc ubrane w markowe ciuchy starsze panie w Double Fortune, i że bałem się i czułem bezradny, ucząc ubranych w markowe ciuchy młodych zbirów w Liceum księżnej Diany.

Zachowuję się zgodnie z regułami gry, pytając o wynagrodzenie i warunki pracy, bo czuję, że tak właśnie powinienem się zachować.

Lecz i tak wiem, że pragnę stać się częścią Międzynarodowej Szkoły Językowej Churchilla, pragnę być otoczony ludźmi, którym nie rozsypały się jeszcze w proch ich marzenia, pragnę słyszeć koło siebie ten rozbrzmiewający w oddali śmiech.

4.

Josh wychodzi z windy zaraz po szóstej, jasnowłosy i ledwo się mieszczący w garniturze w prążki, czarując promiennym uśmiechem jakąś sekretarkę, która wpatruje się w niego jak w obraz. Czeka, aż młoda kobieta zniknie w spieszącym do domu tłumie, i dopiero wtedy podchodzi do mnie z gasnącym na twarzy uśmiechem.

— Wyglądasz okropnie — mówi. — Chcesz się czegoś napić? Co powiesz na kropelkę czegoś mocniejszego w Mother Murphy's?

— Mają tam tsingtao?

— Nie, nie mają tam cholernego tsingtao. To irlandzki pub, Alfie. W irlandzkich pubach nie serwują chińskiego piwa. Boże, nie warto wypuszczać się z tobą na miasto. Nie powinieneś ruszać swojego tłustego tyłka z domu.

Josh jest moim najlepszym przyjacielem. Często mam wrażenie, że zbytnio mnie nie lubi. Czasami myślę, że żałuje, iż się w ogóle urodziłem. Kiedy idziemy się czegoś napić, przez większą część wieczoru stara się mnie obrazić, choć bez wątpienia uważa swoje bezmyślne impertynencje za konstruktywny krytycyzm.

W drodze do Mother Murphy's informuje mnie, że zmarnowałem swoje życie. Mówi, że żadna kobieta nigdy mnie nie

zechce. Gdy słyszy radosną wiadomość, że zatrudniłem się w Międzynarodowej Szkole Językowej Churchilla, nie kryje, iż nie podoba mu się moja nowa praca, podobnie zresztą jak nie podobała mu się stara.

Mimo to Josh jest najbliższy miana mojego prawdziwego przyjaciela. Jesteśmy w kontakcie, odkąd wróciliśmy obaj z Hongkongu, kiedy to właściwie powinniśmy się rozstać — on, który tak świetnie radzi sobie w City, ja, który włóczę się całymi godzinami po Chinatown. Mimo to teraz jesteśmy ze sobą bliżej związani, niż byliśmy w Hongkongu.

Są ludzie, którzy dłużej mnie znają i o wiele bardziej lubią. Ludzie, których poznałem na studiach i z którymi pracowałem w Męskim Liceum imienia księżnej Diany. Jednak żaden z nich nie jest moim prawdziwym przyjacielem.

To nie ich wina, lecz moja. Pozwoliłem, żeby usunęli się z mojego życia. Nie odpowiadałem na telefony, szukałem tanich wymówek, kiedy zapraszali mnie na obiad. Nie czyniłem żadnych wysiłków, które są potrzebne, żeby zachować przyjaźń. To dobrzy ludzie. Prawdą jest, że nie zależało mi w wystarczającym stopniu na tym, by utrzymywać z nimi stały kontakt.

Po powrocie z Londynu kilkakrotnie umówiłem się na drinka lub kawę, ale te spotkania zawsze okazywały się czcze. Jedyną osobą, z którą naprawdę pragnę się spotykać, jest Josh. To ostatnie ogniwo łączące mnie z Hongkongiem, łączące mnie z życiem, które wiodłem z Rose. Gdybym pozwolił mu odejść, wtedy naprawdę mógłbym uznać, że Hongkong się dla mnie skończył. A ja tego wcale nie chcę.

— Zawsze był z ciebie sentymentalny turysta — mówi mi Josh w barze pełnym wystrojonych w garnitury Anglików. — Zakochanym w tym, co miejscowe. Szukającym pięknych widoków. Traktującym świat jak jeden wielki Disneyland. Kupującym upominki, żeby postawić je na kominku. Ty i Rose. Para sentymentalnych turystów.

Dlaczego Josh dzwoni do mnie i zaprasza na drinka? Dlaczego nie spędza wolnego czasu z innymi wziętymi młodymi

prawnikami? Ponieważ nasz układ jest dwustronny. Ja również jestem ostatnim ogniwem, które łączy go ze szczęśliwą przeszłością.

Josh pracuje teraz w City. Zarabia mnóstwo pieniędzy, dobrze mu się wiedzie, wkrótce zostanie współnikiem. Mówi, że nie tęskni za Hongkongiem. Wydaje mi się jednak, że w głębi ducha brakuje mu tych nieograniczonych możliwości, tego poczucia, że otwiera się przed tobą całe życie, że możesz zostać dokładnie tym, kim chcesz. Po powrocie do domu wszystko to tracisz. Odkrywasz, że jesteś ponownie starym sobą.

Wydaje mi się, że Josh czuje się ograbiony. W Hongkongu uchodził za faceta, za jakiego chciał uchodzić — wyluzowanego, aroganckiego dziedzica wielkiej fortuny, wyedukowanego w szkołach, gdzie chesne wynosi piętnaście tysięcy funtów rocznie.

Prawda wygląda inaczej. Po powrocie do Londynu pewni ludzie przejrżeli go na wylot.

W zamierzchłej przeszłości Josha była niewielka fortuna. Jego ojciec był agentem ubezpieczeniowym u Lloyd'a i do dziecięcego roku życia Josh chodził do prywatnej szkoły, brał lekcje tenisa i mieszkał w dużym domu na przedmieściu. Potem jego ojciec dostał zawału i wszystko to stanęło pod znakiem zapytania.

W wieku dwunastu lat Josh poszedł do zbiorczej szkoły pod Londynem, gdzie znęcano się nad nim, gdyż wysławiał się niczym książe Karol. Jego ojciec stracił pracę. Josh stracił przyszłość. A żadna polisa ubezpieczeniowa na świecie nie jest w stanie zwrócić ci przeszłości. Kilkunastoletniemu Joshowi zostało tylko jego nazwisko, akcent oraz poza. To całkiem przekonująca poza. Nawet dzisiaj dają się na nią nabrać — podobnie jak wiele innych osób.

W firmie Josha są ludzie, którzy naprawdę chodzili do Eton, Harrow i Westminster, pampersi z Barbados i Gstaad, pochodzący z rodzin, w których pieniądze nigdy się nie skończyły, w których ojciec nigdy nie dostał zawału.

Ci ludzie patrzą na Josha i uśmiechają się. Nie nabierze ich nawet przez minutę.

To dziwne. Josh udaje, że wszystko co ma — dyplom prawa, ascetycznie umeblowane poddasze w Clerkenwell oraz fabrycznie nowe bmw coupé — przyszło mu łatwo. Prawda jest bardziej imponująca. Ja wiem, że nic z tego nie przyszło mu łatwo, i chyba dlatego demonstruje swoją antypatię. Dlatego nigdy nie przestaje mnie obrażać. Ale jest coś, co nas łączy, coś, czego nie rozumiem inni.

— Hongkong — mówi. — Jak można tęsknić za Hongkongiem? Wszystkie te wesela i pogrzeby w języku, którego nie rozumiesz. Linia brzegu zmieniająca się za każdym razem, kiedy na nią spojrzysz. Wszystkie te komórki brzęczące w kinie. Sprawdzanie, czy owoce morza na twoim talerzu nie są zarażone żółtaczką typu B. Ani śladu uśmiechu, chyba że spotkasz przypadkiem dziewczynę z Filipin. Obsesja na punkcie pieniędzy, seksu i zakupów. Właśnie w tej kolejności. A także obsesja na punkcie tajfunu, canto-popu i Louisa Vuittona. Powietrze tak wilgotne, że sznurowadła wypuszczają liście. Klimatyzacja tak lodowata, że dostajesz hipotermii w supermarkecie. Ludzie, którzy wyrzucają przez okno śmieci z osiemnastego piętra. W tym również lodówki.

— Tobie też tego brakuje, prawda?

Josh kiwa głową.

— Kraje mi się serce, do cholery — przyznaje. — Pamiętam, kiedy pierwszy raz uprawiałem seks w Hongkongu. Mam chyba jeszcze gdzieś pokwitowanie.

Josh mnie lubi. Próbuje to ukryć, ale mnie lubi. Czasami myślę, że mi zazdrości. To prawda, nie zrobiłem kariery, nie mam pieniędzy, fajnego wozu ani żadnej z rzeczy, których powinno się pożądać. Ale nie mam również szefa oraz garnituru, który musiałbym nosić, nie mam pozycji, której musiałbym bronić. Nie mam chrapki na lukratywne stanowisko współnika. I nie mam niczego, co ktokolwiek chciałby mi odebrać. Nie teraz.

Mimo to w moich stosunkach z Joshem można odczuć pewne napięcie. Jego wrogość nie jest maską mającą ukryć, że tak za mną przepada. Myślę, że Josh uważa, iż ukradłem mu Rose.

Osobiście nie wierzę, że można komuś kogoś ukraść. Wbrew temu, co uważa Josh, nie można ukraść ludzi. Ludzie są zabawni.

Po prostu się wymykają.

Kiedy mamy już mocno w czubie, wychodzimy z pubu i przemierzamy całą City Road i Upper Street, szukając taksówki.

Docieramy do drugiej strony Highbury Corner, gdzie bogactwo i styl ustępuje gwałtownie miejsca nędzy i funkcjonalności. Gdzieś między rzędami obskurnych pawilonów kręci się brudne żółte światło.

— Ty jedź taksówką — mówię Joshowi. — Ja pójdę do domu na piechotę.

— Najpierw trzeba coś zjeść — protestuje. — Wrzucić coś na ruszt.

Chociaż zostawiliśmy za sobą światła wielkiego miasta, wiem, że w okolicy jest kilka naprawdę dobrych knajp. Po jednej stronie Holloway Road jest Trevi, mała angielsko-włoska kafejka, po drugiej Bu-San, jedna z najstarszych w mieście koreańskich restauracji. Ale Trevi jest zamknięta, a w Bu-San nie mają wolnych stolików.

— Co powiesz na tę garkuchnię? — pyta Josh. — Wygląda paskudnie, ale jestem zdesperowany.

Wskazuje chińską restaurację wciśniętą pomiędzy pralnię chemiczną a bar z kebabami. Nazywa się Shanghai Dragon i nie wydaje się zbyt zachęcająca. Przydymione szyby ozdobione są antycznymi kartami dań, pozwijanymi wycinkami z lokalnych gazetek i kilkoma wielkimi czerwonymi hieroglifami, które złożone razem stanowią prawdopodobnie chińską nazwę

knajpy. Na jednym z okien widnieje mały napis: Psom wstęp wzbroniony.

Wymalowany na oszklonych drzwiach, uśmiechający się chytrze złoty smok pamięta z pewnością lepsze czasy. Za tymi wszystkimi ciemnymi oknami i pozaginanymi kartami dań widać ludzkie głowy. W środku jest pełno klientów. To dobry znak.

W środku nie ma na czym zatrzymać oka. Wnętrze przypomina swoim minimalizmem taksówkarską firmę o północy. Sala w kształcie litery L podzielona jest na większą część restauracyjną i mniejszą dla klientów biorących dania na wynos. W części restauracyjnej zostało już tylko kilka migdałących się do siebie par pochyłonych nad kawą i miętowymi czekoladkami. Za to w części, gdzie bierze się dania na wynos, kłębią się ludzie, którzy wyszli właśnie z lokalnych pubów. Jest tu kilka długich stołów i krzeseł, ale wszystkie zajęte. Pod sufitem wisi wielki telewizor, na ekranie sceny z jakiegoś filmu o Karolu i Dianie.

W kącie sali stara Chinka opiera się o ladę baru wielkości budki telefonicznej, przyjmując zamówienia, które zapisuje na kartce chińskimi literami. Stoi przed nią filiżanka zielonej herbaty.

Zza zdezelowanych drzwi kuchni dobiegają zapachy czosnku i dymki, smażonej wołowiny, sosu z czarnej fasoli, klusek i ryżu. Patrzę na Josha i widzę, że myśli to samo co ja. To są zapachy dobrej knajpy. Czytamy kartę dań.

— Następny — mówi starsza pani.

Do lady dotacza się ogolony na łyso mężczyzna w szortach khaki. Ubrany jest jak młodzieniaszek, ale nie jest młody. Wygląda jak czterdziestoletni skinhead, który wybrał się na letnie wakacje — to całkiem popularny styl w tej okolicy. Jego brzuch przypomina wiadro pomyj wylanych do rynsztoka. Śmierdzi wodą.

— Torebkę frytek — mówi.

— Frytki tylko do posiłków — odpowiada starsza pani.

Mężczyzna ciemnieje na twarzy.

— Daj mi po prostu pierdolone frytki, ty małpo — mówi.

W jasnobrązowych oczach starszej pani nie widać strachu.

— Bez brzydkich słów! Frytki tylko do posiłków! — Stuka długopisem w kartę. — Tak tu pisze. Chcesz frytki, zamawiasz danie. Na litość boską, nie urodziłam się jutro.

— Nie chcę pierdolonego dania — warczy mężczyzna.

— Bez brzydkich słów!

— Chcę torebkę frytek.

— Frytki tylko do posiłków — oświadcza kategorycznym tonem starsza pani i spogląda za ramię mężczyzny. — Nie moja wina, że wstałeś z łóżka prawą nogą. Następny!

Pozostali klienci czekają na zamówione dania. To oznacza, że my jesteśmy następni. Podchodzę do lady i zaczynam składać zamówienie. Facet z ogoloną głową opiera mięsiste łapsko na mojej piersi i odsuwa mnie.

— Daj mi torebkę pierdolonych frytek, stara krowo — mówi.

— Za kogo pan się, do jasnej cholery, uważa? — odzywa się Josh.

Skinhead w średnim wieku odwraca się i wali Josha bykiem w nos. Mój przyjaciel zatacza się, zszokowany i obolały. Na jego białej koszuli i jedwabnym krawacie zakwita plama krwi w stylu Jacksona Pollocka.

— Będzie pan łaskaw zaczekać na swoją kolej, wasza lordowska mość — mówi skinhead i łapie starszą panią za sweter.

Ta robi się bardzo mała. I po raz pierwszy wydaje się wystraszona.

Kładę dłoń na ramieniu skinheada. Ten odwraca się i uderza mnie trzy razy w żebra — bardzo szybko i bardzo mocno. Wyłączony z dalszej rozgrywki, ściskam się za boki i dochodzę do wniosku, że facet albo uprawiał kiedyś boks, albo naoglądał się go cholernie dużo w satelitarnej telewizji. Uuch, myślę także. Nie, naprawdę: uuch!

— Nie chcę żadnego tłustego cudzoziemskiego żarcia —

mówi skinhead tonem, w którym skrajna furia łączy się z racjonalnością. — Po prostu... dajcie mi... torebkę... pierdolonych... frytek.

— Frytki tylko do posiłku! — krzyczy starsza pani.

Skinhead ciągnie ją za sweter i w tym momencie otwierają się nagle drzwi kuchni.

W progu staje kucharz. Ma koło sześćdziesiątki i jest ubrany w poplamiony i postrzępiony biały fartuch. On też ma ogoloną głowę. Przez sekundę nie może się zorientować, skąd go znam.

A potem przypominam sobie. To ten stary facet z parku, którego widziałem, jak wykonywał swój powolny taniec. Ten, który powiedział mi, żebyśmy prawidłowo oddychał. Facet uprawiający *tai chi*.

Kucharz zbliża się do skinheada i ten puszcza starszą panią. Dwaj mężczyźni mierzą się wzrokiem. Skinhead szykuje się do bójki, podnosząc mięsiste pięści, ale kucharz po prostu się na niego patrzy. Czeka i nic nie robi.

Skinhead aż kipi agresją, kucharz wydaje się jednak całkowicie odprężony. Ręce zwisają mu swobodnie po bokach. Najwyraźniej wcale się nie boi znacznie od siebie większego mężczyzny. Starsza pani wyszczekuje kilka zdań w dialekcie kantońskim, wskazując skinheada.

— Frytki tylko do posiłku — mówi kucharz, bardzo cicho.

Nie dodaje nic więcej.

Dwaj mężczyźni mierzą się przez dłuższą chwilę wzrokiem. A potem skinhead odwraca wzrok z krótkim pogardliwym chichotem i mrużąc coś o żółtkach, frytkach i tłustym cudzoziemskim żarciu, wychodzi z Shanghai Dragon, trzaskając za sobą drzwiami.

Wszyscy gapimy się na kucharza, zastanawiając się, co takiego się wydarzyło.

Drzwi kuchni otwierają się ponownie i wychodzi z niej kolejny Chińczyk, o wiele młodszy i pulchniejszy, niosąc w plastikowej torbie srebrne pojemniki. Zdumiony spogląda na mnie i na Josha.

Ja niemal płaczę z bólu. Josh osunął się na jedno z plastikowych krzesel, odchylił do tyłu głowę i przyciska do twarzy zakrwawioną chusteczkę.

Starsza pani znowu mówi coś w dialekcie kantońskim, teraz już mniej zdenerwowana. Kucharz po raz pierwszy na nas spogląda.

— Chodźcie — mówi.

Stary kucharz prowadzi nas przez rozbrzmiewającą szczękiem garnków, zaparowaną kuchnię na górę, do małego mieszkanka, gdzie licznie zgromadzeni Chińczycy, duzi i mali, oglądają film o Karolu i Dianie.

Obracają ku nam niezbyt zaciekawione brązowe oczy, a stary kucharz wprowadza nas do ciasnej łazienki i bada zimnymi, wprawnymi palcami. Na moich żebrach zdążyły się już pojawić sińce, lecz kucharz zapewnia mnie, że nie są złamane. Jednak nos Josha wyraźnie się wykrzywił.

— Złamany — mówi kucharz. — Musi iść do szpitala. Ale najpierw wepchnie z powrotem, tak jak był.

— Co wepchnie z powrotem? — pyta Josh. — Nie ma pan chyba na myśli mojego nosa?

— Lepiej później ustawić — wyjaśnia kucharz. — Łatwiej ustawić doktorowi. W szpitalu.

Pojękując trochę i powtarzając „Och, Boże, Boże”, Josh prostuje ostrożnie swój nos. W łazience pojawia się nagle starsza Chinka, niemal płacząc z przejęcia i wygłaszając gniewne tyrady po angielsku i kantońsku.

— Co oni wiedzą? — woła. — Piją piwo. Biją się. Brzydko się wyrażają. To wszystko, co wiedzą. Ci Anglicy. Na litość boską. Moja cierpliwość się wykończyła. Jedzą słodko-kwaśną wieprzowinę. I frytki. Frytki i brzydkie słowa do wszystkiego.

— Nie wszyscy Anglicy — prostuje kucharz.

Starsza pani spogląda na nas bez cienia zakłopotania.

— Mówię o złych Anglikach, mężu — mruczy i uśmiecha się do nas. — Chcecie filiżankę herbaty? — pyta. — Filiżankę angielskiej herbaty?

Ona ma na imię Joyce, on George. Joyce i George Chango-wie. On mówi niewiele. Jej nie zamykają się usta. Jest niczym siła natury, kalecząca każdy idiom, który stanie jej na drodze, przerabiająca na własne kopyto każde powiedzonko.

— To tylko burza w czajniku... udawał, że nie złapałby mu-
chy... martwy jak trup... wtrąciłam swoje cztery grosze... nie
przebierajcie w myślach... trafili pana w samo sedno... nie bądź
głuptasowaty!

Joyce i George. Noszą angielskie imiona, które kantończycy
uwielbiają nadawać swoim dzieciom — imiona królów i starych
panien, które w samej Anglii wyszły z użycia przed kilkadzie-
sięciu laty. Od tak dawna niemodne, że grozi nam być może ich
triumfalny powrót.

George składa nas do kupy, wcierając żel przeciwbólowy w
moją obolałą klatkę piersiową i delikatnie ścierając zaschniętą
krew z twarzy Josha. A potem Joyce, której ani na chwilę nie
zamykają się usta, częstuje nas herbatą i biszkoptami w salo-
nie.

W pokoju siedzi cała rodzina. Oprócz George'a i Joyce jest
tam Harold, ich pulchny syn z kuchni, a także żona Harolda,
Doris (ponownie jedno z tych typowo kantońskich imion, które
wydają się żywcem przeniesione z angielskiej prowincji sprzed
czterdziestu lat), młoda kobieta w okularach, unikająca nasze-
go wzroku. Jest również dwoje ich dzieci, pięcioletni chłopczyk
i trochę starsza siostra. Dzieci nie zostają nam przedstawione,
choć starsi stale zwracają na nie uwagę: George sadza sobie
dziewczynkę na kolanach, a Joyce obejmuje chłopca, kiedy
pijemy wszyscy herbatę — oni zieloną, my angielską. Przez
chwilę oglądamy telewizyjny film o Karolu i Dianie, a potem
Joyce przerywa nagle milczenie.

— Co się z tobą dzieje? — pyta, mierząc mnie wzrokiem znad filiżanki z herbatą. — Zabrakło ci języka w zębach?

Dziwna z niej kobieta. Mimo to wypełniony kantończykami pokój wydaje mi się dziwnie bliski. Czy chodzi o telewizor, który zajmuje dominujące miejsce w całym pomieszczeniu? Czy o to, jak idealnie wydają się ze sobą żyte te trzy pokolenia? Czy to po prostu słodka herbata i biszkopty, które spożywam błogo na zatłoczonej, wytartej kanapie?

W tym pokoju jest coś, co przypomina mi rodzinę sprzed wielu lat, rodzinę, którą znałem w dzieciństwie i z którą w pewnym momencie straciłem kontakt.

5.

W Międzynarodowej Szkole Językowej Churchilla podoba mi się to, że uczniowie z całą pewnością nie są dziećmi. To młodzi chłopcy i dziewczęta, na ogół koło dwudziestki, chociaż jest kilka starszych osób, które trafiły do Londynu po wielu latach nudnej biurowej pracy w Tokio, po rozpadzie niedobranego małżeństwa w Seulu albo po kilkakrotnym odrzuceniu podania o wizę przez jakiegoś złośliwego gryzipiórka w brytyjskiej ambasadzie w Pekinie, Lagos lub Warszawie.

Podoba mi się ich optymizm, młodość, fakt, że przyszłość nie jest jeszcze dla nich wykuta w kamieniu. I podziwiam ich odwagę: to, że przemierzyli pół świata, by opanować do perfekcji obcy język.

Więc dlaczego mnie tak nie lubią?

Czasami się spóźniają. Czasami w ogóle nie przychodzą na zajęcia. A jeśli już się pojawiają, ziewają, przeciągają się i walczą z ogarniającą ich sennością.

Wybucham w końcu, gdy jeden z nich, Chińczyk w potłuczonych okularach, niejaki Zeng, przegrywa tę walkę i zapada w drzemkę w trakcie mojej interesującej pogadanki o czasie *present perfect*.

— Co się z wami dzieje?! — podnoszę głos. — Nie przychodzicie na połowę zajęć, a kiedy przychodzicie, zachowujecie się

tak, jakbyście byli pod działaniem środków usypiających. Spójrzcie na tego kolegę. Świat może dla niego nie istnieć. Czy moje lekcje są aż takie nudne? Słucham. Powiedzmy to sobie w oczy.

Gapię się na mnie w osłupieniu. Jedno albo drugie przeciera oczy. Zeng zaczyna chrapać.

— Wcale nie — oświadcza Japonka w pierwszym rzędzie. To jedna z „nowych” Japoniek: ma farbowane blond włosy, mocny makijaż i buty na platformach. Wygląda jak członkini zespołu Glitter Band. — Lubimy pana lekcje. — Rozgląda się po klasie. Kilka osób potakuje. — *Present perfect! Present perfect continuous!* — Japonka uśmiecha się i przypominam sobie jej imię. Yumi. — Jest naprawdę bardzo miło — mówi i kiwa głową.

— Więc dlaczego nie przychodzicie na zajęcia? Dlaczego ten facet nie reaguje? Dlaczego wszyscy są na skraju totalnego załamania?

— Proszę — mówi wysoki chudy Polak, który musi być w tym samym wieku co ja. Dziesięć lat trwało, zanim wbili mu wizę w ambasadzie brytyjskiej w Warszawie. — Zeng jest bardzo... jak to się mówi... wyczerpany.

— Pracuje w nocy — dodaje siedzący obok Zenga przystojny Pakistańczyk, Imran, i potrząsa nim. — Obudź się. Nauczyciel do ciebie mówi.

Zeng chrząka, otwiera oczy i zastanawia się, na jaką trafił planetę.

— Pracujesz, Zeng, prawda? — pyta Yumi.

Zeng kiwa głową.

— W General Lee's Tasty Tennessee Kitchen. Przy Leicester Square. Bardzo popularna knajpa. I bardzo zatłoczona.

— To cię wcale nie usprawiedliwia — mówię. — Nie obchodzi mnie to, czy bierzecie jakąś lekką dodatkową pracę. Nie powinniście spać na lekcjach. To niegrzeczne.

— To nie jest lekka praca — stwierdza Imran.

— Pracujemy do trzeciej w nocy — wyjaśnia Zeng. — „Chce

pan do tego frytki?”, „Coś do picia?”, „Życzy pan sobie zestaw General's Happy Meal?”, „Toalety tylko dla klientów”. Rany — dodaje, potrząsając głową.

— Nie chcemy pana obrażać — mówi Imran. — Londyn taki drogi. On musi ciężko pracować. Wszyscy musimy.

— Ja nie pracuję — oświadcza młoda Francuzka, Vanessa. W szkole Churchilla jest tylko kilkoro Francuzów. Vanessa obrzuca resztę lekceważącym spojrzeniem. — Ale oni, jak sądzę, muszą.

— Ja pracuję w Pampas Steak Bar — mówi Witold. — Nie-dobre miejsce. Dużo pijaków. Nazywają mnie cholernym Argolem. „Jak to jest, kiedy przegra się wojnę, Argolu?”, „Ręce precz od Falklandów, Argolu, rozumiesz?”, „Hej, Argolu, lubisz posuwać owce?”, „Nie dotykaj swoimi brudnymi łapskami naszych brytyjskich owiec, Argolu”. Kiedy mówię, że jestem Polakiem, odpowiadają, że rozkwasał mi pysk bez względu na to, skąd przyjechałem.

— Typowi Anglicy, nie? — śmieje się Vanessa. — Poprzeklinać, pobić się i zjeść coś niesmacznego. Dla Anglika to udany wieczór.

— Ja pracuję w Funky Sushi — odzywa się Japończyk o imieniu Gen. Jest bardzo nieśmiały i do tej pory nic o sobie nie mówił. — Znacie Funky Sushi? Nie? Naprawdę? To jedna z tych... — Urywa i przez chwilę szepcze z Yumi.

— Restauracja, gdzie dania jeżdżą na taśmociągu — wyjaśnia Yumi, wykonując okrężny ruch ręką. — Jedzenie jeździ w kółko.

— Jedzenie z taśmociągu — przytakuje Gen. — W Japonii bardzo nieeleganckie. Tanie bary dla robotników. Dla kierowców ciężarówek i tak dalej. Bo *sushi* nie jest świeże, kiedy jeździ ciągle w kółko. Za stare. Ale tu... bardzo modne. W Funky Sushi zawsze tłok. W kuchni zawsze... jak wy to mówicie... urwanie głowy.

— Wszyscy pracujemy — oświadcza Yumi. — Ja pracuję w pubie Michael Collins.

— To irlandzki pub — mówi Zeng. — Bardzo dobra atmosfera. Piwo Guinness i Corrs. Lubię sobie golnąć w irlandzkim pubie.

Yumi wzrusza ramionami.

— Trzeba pracować. Życie w Londynie dużo kosztuje. Jeszcze więcej niż w Tokio. Więc po pracy jesteśmy zmęczeni. Wszyscy oprócz Vanessy.

— Mnie męczy mój chłopak — śmieje się Vanessa.

— Ale lubimy pana lekcje — dodaje z przekonaniem Yumi. Uśmiecha się do mnie i widzę, jaka jest ładna, mimo tych wszystkich barw wojennych. — To nie jest... jak wy to mówicie... nic osobistego.

Spuszcza oczy, a potem znowu spogląda na mnie z uśmiechem i w końcu to ja jestem zmuszony odwrócić wzrok.

W domu zastaję popłakującą w kuchni Lenę.

Nie powinno mnie to wcale tak dziwić. Odkąd „Pomarańcze na Boże Narodzenie” pobiły rekordy sprzedaży i rodzice przeprowadzili się do naszego dużego białego domu, mieliśmy całą serię gospoś i widziałem, jak kilka z nich płakało. Mieliśmy Włoszkę z Sardynii, której brakowało kuchni jej matki. Finkę, która tęskniła za swoim chłopakiem. Niemkę, która odkryła, że nie lubi wstawać z łóżka przed południem.

Rodzice traktowali te wszystkie dziewczyny bardzo dobrze. Ani mama, ani tato, dorastając, nie mieli styczności z dzisiejszą służbą domową, w związku z czym odnosili się do naszych gospoś nader przyjaźnie. Mieli niemal wyrzuty sumienia. Mimo to gosposie w dalszym ciągu znajdowały jakiś powód, by ronić łzy nad niskotłuszczowym jogurtem.

Myślałem, że Lena różni się od innych. Roztaczała wokół siebie tę aurę niedostępności, którą odznacza się tylko prawdziwe piękno. Tym z nas, którzy są tylko przeciętnie urodziwi — bądź też, jak w moim przypadku, mniej niż przeciętnie —

piękno wydaje się rodzajem magicznej tarczy. Trudno sobie wyobrazić, że życie da kiedykolwiek popalić tym, których chroni.

Ale przeciętnie urodziwi zawsze wyolbrzymiają moc piękna. Wystarczy spojrzeć na Lenę. Dużo jej dała ta cała uroda. Ryczy jak bóbr.

Widząc mnie, zaczyna zakłopotana wycierać oczy kuchennym ręcznikiem. Ja też jestem zakłopotany, zwłaszcza po tym, jak zadaję jej głupie pytanie.

— Dobrze się czujesz, Leno?

— Nic mi nie jest — kłamie, wycierając wierzchem dłoni swój doskonały nos.

— Chcesz kawy albo czegoś innego?

Patrzy na mnie zranionymi oczyma.

— Może trochę mleka. Zostało trochę ekologicznego w lodówce. Dziękuję.

Przynoszę Lenie szklankę ekologicznego mleka i siadam naprzeciw niej przy kuchennym stole. Nie chcę się do niej zbyt zbliżyć. W obecności piękna czuję, iż powinienem zachować dystans. Nawet w takiej chwili jak ta.

Patrzę, jak popija małymi ptasimi łyżkami mleko. Jej śliczna twarz jest pokryta rumieńcami, wielkie niebieskie oczy zapuchnięte od płaczu, anielskie blond włosy mokre od smarków i łez. W palcach międli kawałek kuchennego ręcznika.

— Co się stało? — pytam, chociaż w gruncie rzeczy znam odpowiedź. Pomoc domowa nie zalewa się tak rozpaczliwie łzami tylko dlatego, że tęskni za strudlem swojej Mutti.

Ma kłopoty z mężczyzną.

Lena przez chwilę milczy, a potem wbija wzrok w sufit. Drżą jej usta i podbródek, a oczy wypełniają się nagle łzami.

— Chcę tylko, żeby ktoś pokochał mnie na zawsze — mówi cicho i robi mi się jej żal.

Na zawsze? W „zawsze” jedna rzecz napawa mnie niepokojem.

Ostatnio wydaje się coraz krótsze. Na tym polega problem z „zawsze”.

Wystarczy mrugnąć i człowiek nie zauważy, że minęło.

Rano matka czeka, aż ojciec wyjdzie do siłowni, po czym oznajmia, że chce mu wyprawić urodzinowe przyjęcie.

Jest wesoła jak skowronek i bardzo jej się podoba ten pomysł, chociaż próbuje jej go wyperswadować.

— On nienawidzi przyjęć — zauważam. — Zwłaszcza urodzin. Zwłaszcza własnych urodzin.

— Skończy pięćdziesiąt osiem lat — odpowiada, jakby to robiło jakąś różnicę. — I ma masę przyjaciół, twój tato.

Czasami, rozmawiając z matką, mam poczucie, że prowadzimy dwie różne rozmowy. Ja mówię, że ojciec nie lubi, żeby przypominać mu o jego wieku. Ona mówi, że skończy pięćdziesiąt osiem lat i ma masę przyjaciół. Rozmawiając z nią, odnośnie często wrażenie, że czegoś tutaj nie rozumiem.

— A co to ma wspólnego z ukończeniem pięćdziesięciu ośmiu lat, mamgo? — pytam. — Myślisz, że chce, żeby przypominać mu, ile ma lat? I wcale nie ma wielu przyjaciół. Kim są ci jego przyjaciele?

— No wiesz, dziennikarze, z którymi pracował w gazecie. Wszyscy ci ludzie związani ze sportem. I z wydawnictwem.

— Nikt z nich nie jest jego przyjacielem, mamgo. To są po prostu znajomi. Większości z nich nawet nie lubi.

Matka w ogóle mnie nie słucha. Podjęła już decyzję i ma mnóstwo spraw do załatwienia. Włożyła roboczy uniform — sukienkę z krótkimi rękawami uszytą z nylonu albo jakiegoś innego sztucznego materiału, z czymś w rodzaju fartuszka z przodu. Później zaczesze do tyłu włosy — które są nadal lśniące i ciemne, choć mam wrażenie, że od kilku lat je farbuję — i założy swój mały biały kapelusik.

Moja mama przygotowuje obiady w miejscowej szkole. To nie jest Męskie Liceum imienia księżnej Diany, gdzie uczyłem.

Pracuje w Średniej Szkole imienia Nelsona Mandeli, która jest koedukacyjna i do której chodzą jeszcze trudniejsi uczniowie.

— Dziewczynki są dzisiaj tak samo niesforne jak chłopcy — mówi mama. — A nawet gorsze.

Nie chciała jednak zrezygnować z, jak ją określa, „mojej małej synekury”, kiedy za książkę mojego ojca zaczęły napływać poważne pieniądze. Dlatego właśnie rodzice potrzebują kogoś do pomocy w swoim dużym domu. Dlatego jest tutaj Lena. Ponieważ mama nie chce zrezygnować ze swojej małej synekury.

Mama uwielbia Średnią Szkołę imienia Nelsona Mandeli. Naprawdę. Lubi pośmiać się z paniami, z którymi pracuje w kuchni. Lubi wychodzić z domu i nadawać jakiś określony kształt każdemu dniowi. A najbardziej w tej pracy mama lubi dzieci.

Napisałem „dzieci”, chociaż oczywiście wiele z tych dzieci to przerośnięte barytony, które sprzedałyby swoją babcię za działkę towaru. Tak ja przynajmniej je widzę. Matka uważa, że nie ma czegoś takiego jak złe dziecko.

„Moje dzieciaki” mówi o nich. Ma do nich słabość, choć wie, do czego są zdolne i jakie potrafią być nieokrzesane i agresywne. Ma do nich słabość, mimo że naprawdę nie są tego warte. Nadal nazywa je „moimi dzieciakami”.

Nie pozwala, żeby się do niej wulgarnie odzywały, kiedy stoją w kolejce po hamburgery i frytki. Nie toleruje brzydkich słów w szkolnej stołówce. Nie pozwala nawet małym sukinsynom bić się ze sobą (choć jeśli chcecie znać moje zdanie, lepiej, żeby tłukli się ze sobą, niż podnosili rękę na swoich biednych, nisko opłacanych nauczycieli).

Matka znana jest z tego, że odłożyła swoją warząchew — czy też inne narzędzie, którym nakłada im papu — wymaszerowała na boisko i przerwała bójkę. Powtarzałem jej dziesiątki razy, że jest szalona, że mogła zostać poważnie ranna. Matka mnie nie słucha. Ma tylko sto pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ale jest twarda. I bardzo uparta.

Pracuje w Szkole imienia Nelsona Mandeli prawie od dwudziestu lat: pracowała tam w czasach, kiedy była to jeszcze

Średnia Szkoła imienia Clementa Atlee. A to oznacza, że mężczyźni i kobiety wchodzący obecnie w wiek średni pamiętają ją z czasów, gdy chodzili do szkoły. Kiedy człowiek idzie z moją mamą ulicą, może się zdarzyć, że podejdzie do niej jakieś piwne monstrum i powie:

— Dzień dobry, pani Budd, pamięta mnie pani?

— To jeden z moich dzieciaków — wyjaśnia mama.

Nie rozumiem, dlaczego się do nich tak życzliwie odnosi. Może dlatego, że ma tyle miłości do ofiarowania. O wiele więcej aniżeli mój ojciec i ja kiedykolwiek tak naprawdę od niej potrzebowaliśmy.

Kiedy dorastałem, matka kilka razy poroniła. Była to rzecz, o której w tamtym czasie się nie mówiło. I nie mówiło się o niej później. Ale dobrze pamiętam, że byłem świadkiem dramatu moich rodziców.

Nie wiem, ile razy to się zdarzyło. Na pewno więcej niż raz. Pamiętam, że w moim dzieciństwie była czasem mowa, że będę miał małą siostrzyczkę albo braciszka. Nie słyszałem tego od rodziców — przypuszczam, że po pierwszym poronieniu jest się zbyt ostrożnym, by na cokolwiek liczyć — lecz od ciotek i sąsiadek, które napomykały z uśmiechem, że niedługo pojawi się ktoś, kim będę mógł się zaopiekować.

Nie pojmowałem, o czym mówią. Nie rozumiałem słodkich jak syrop uśmiechów ani luźnych aluzji. Nie wyobrażałem sobie, by mógł istnieć ktoś do tego stopnia zdesperowany, żeby Uczyc z mojej strony na opiekę. Po prostu tego nie pojmowałem.

Ale później, widząc, jak matka szlocha bez żadnego wyraźnego powodu na schodach małego domu, gdzie dorastałem, widząc, jak wypłakuje oczy, podczas gdy ojciec próbuje ją pocieszyć, pojąłem, o co chodzi. Przymilne uwagi przemądrzałych sąsiadek skończyły się jak nożem uciął. Domyśliłem się, że nie będę miał braciszka ani siostrzyczki. Rodzice nie będą mieli następnego dziecka. Nie tym razem. Nie teraz. I jak się okazało, już nigdy.

Zastanawiałem się, gdzie są moi nienarodzeni bracia i siostry. W niebie? Starłem się z całej siły wyobrazić ich sobie, ale

nigdy nie byli dla mnie prawdziwymi dziećmi — takimi jak koledzy w szkole czy w parku albo jak bracia i siostry kolegów.

To nieistniejące rodzeństwo wydawało się bardziej pomysłem, który przyszedł komuś do głowy, idea, która została przeanalizowana i porzucona. Pamiętam jednak, jak matka szlochała na schodach, pamiętam, jak wypłakiwała oczy. Tak jakby te dzieci były równie prawdziwe jak ja.

Kochała mnie. Kochała mojego ojca. Była w tym bardzo dobra. Kiedy było nam nielekkko — gdy ojciec próbował pisać książkę, nadal pracując na pełnym etacie, gdy ja straciłem Rose — mama była dla nas opoką.

Bez względu na to, ile dawała nam miłości, czułem, że ma do zaoferowania więcej. Nie twierdzę, że dlatego pracowała w Średniej Szkole imienia Nelsona Mandeli. Ale chyba właśnie z powodu swojej niespożytkowanej do końca miłości mama potrafiła dbać o te wredne bachory, potrafiła darzyć je autentycznym uczuciem.

— Wyprawimy mu urodzinowe przyjęcie — oznajmia, wkładając płaszcz. — Nie mów nic babci, Ani Lenie. Ani jemu.

— Nie bardzo mi się to podoba, mammo.

— Dobrze mu zrobią huczne urodziny — stwierdza i przez ułamek sekundy widzę w niej kobietę, która w wieku pięćdziesięciu czterech lat nadal rozdziela walczących na szkolnym boisku.

Mojemu staremu słabo idzie pisanie.

Kiedy pisanie szło mu dobrze, drzwi do gabinetu w suterenie były zamknięte, ale dobiegała zza nich muzyka. Ojciec puszcza zawsze starą muzykę soulową, muzykę, która pełna jest głębokiej melancholii i nieposkromionej bujności, melodie młodej Ameryki sprzed trzydziestu lat.

Gdy pisanie szło dobrze, tato puszczał wszystkie godowe trele z lat swojej młodości — Four Tops i Supremes, Temptations, Smokeya Robinsona i Miracles, Steviego Wondera —

lecz teraz, kiedy pisanie idzie źle albo w ogóle nie idzie, w jego gabinecie zalega cisza.

Czasami widzę, jak siedzi za biurkiem, wpatrując się w komputer i leżące z boku listy fanów. Ludzie stale piszą do jego wydawcy o tym, jak bardzo podobały im się „Pomarańcze na Boże Narodzenie”, jak śmieli się i płakali i jak bardzo przypominało im to własną rodzinę. Listy, które wydawca przekazuje ojcu, powinny poprawić mu samopoczucie, lecz wszystkie te dowody uznania najwyraźniej mu ciążyą, utrudniają rozpoczęcie pracy nad nową książką.

Ostatnio ojciec rzadko bywa w domu. Rano jedzie do siłowni, gdzie pompuje mięśnie piersiowe, ćwiczy mięśnie podbrzusza i rzeźbi pośladki, aż pot zalewa mu oczy. Wieczorem musi wypełnić różne serwituty — jest zapraszany na drinki, kolacje, premiery literackie, ceremonie rozdania nagród oraz do ambitnych programów telewizyjnych i radiowych, gdzie wygłasza mądre i dowcipne uwagi. Problemem są dla niego te długie popołudnia. Przez dłuższą chwilę wpatruje się w ekran monitora, nie wyjmując nawet z pudełek płyt Smokeya, Steviego i Diany, a potem wzywa taksówkę i wymyka się na West End.

W ten właśnie sposób ojciec spędza popołudnia. Chodzi po księgarniach przy Covent Garden, Charing Cross Road i Oxford Street i podpisuje tam egzemplarze „Pomarańczy na Boże Narodzenie”. Ułatwia to sprzedaż książki, w związku z czym w księgarniach zawsze cieszą się na jego widok, choć pojawia się niezapowiedziany i na ogół mają co innego na głowie. Młodszy pracownicy dają mu stertę książek i filiżankę kawy i ojciec zabiera się do pracy.

Widziałem go raz w jednej z tych księgarni, gdzie sprzedają płyty, czasopisma i markową kawę, w jednej z tych księgarni nowego typu, gdzie książki stanowią tylko jeden z wielu sprzedawanych produktów. Ojciec nie widział mnie, a ja wolałem do niego nie podchodzić. Nie chciałem włączyć w buciorych w czyjś prywatny smutek.

Wydawał się taki samotny.

Niewykluczone, że uciekając od swojej pracy, rodziny i domu,

ojciec robi na West Endzie inne rzeczy. Ale tak właśnie go widzę, tak wrył mi się w pamięć — gdy siedzi w rogu zatłoczonej księgarni ze stygnącą filiżanką kawy i spędza długie samotne godziny, gryzmołąc bez końca swoje nazwisko.

W piątkowy wieczór moi uczniowie chcą iść ze mną do pubu.

Próbuję się jakoś wymigać, mówiąc, że nie piję zbyt dużo i nie chodzę zbyt często do pubów, lecz oni robią rozczarowane i urażone miny i chyba mi nie wierzą.

Anglik, który nie lubi pubów?

Czy ten facet jest chory?

Oświadczam więc, że wybiorę się z nimi na szybkiego drinka, a oni odpowiadają, że nie ma problemu, chodzi właśnie o szybkiego drinka, ponieważ wieczorem większość musi i tak pracować w barach z hamburgerami, restauracjach z podawanym taśmowo *sushi* oraz innych miejscach, gdzie zarabiają na utrzymanie.

Ich ulubionym lokalem jest irlandzki pub Eamona de Valery przy Tottenham Court Road i chociaż nie ma jeszcze szóstej, w środku widzę wiele młodych kobiet i mężczyzn z całego świata, a nawet kilku miejscowych, którzy wychylają ciemne szklanki guinnessa, murphy's i coli.

— Irlandzki pub — informuje mnie Zeng. — Bardzo przyjazna atmosfera.

Znajdujemy wolny kąt u Eamona de Valery i zestawiamy razem dwa stoły. Kiedy moi uczniowie zaczynają wyciągać pieniądze, oświadczam, że dziś funduje nauczyciel. Zamawiam kolejkę ciemnego piwa i coli.

Jest nas pięcioro — ja, Zeng, Wit, Gen oraz Astrud, Kubanka ożeniona z Anglikiem. W pubie są już Yumi i Imran; przerywają rozmowę przy barze i podchodzą do nas. Potem pojawia się Vanessa z inną Francuzką ze szkoły i jakimś czarnym młodzieńcem z loczkami i wkrótce przyłącza się do nas i odłącza tyle osób — Astrud dziękuje mi za colę i odchodzi, mówiąc, że

musi wracać do męża — że nie wiem, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy nasza grupa.

W naszym małym zgromadzeniu jest coś wzruszająco demokratycznego. Nie tylko dlatego, że jego uczestnicy pochodzą ze wszystkich stron świata. Nie sposób wyobrazić sobie, żeby ci ludzie zostali przyjaciółmi albo nawet wspólnie się czegoś napi-li w swoich rodzinnych krajach. Wit dobiega czterdziestki Yumi jest prawie nastolatką. Wit permanentnie bieduje, wysy-lając każdego zaoszczędzonego funta swojej rodzinie, podczas gdy Vanessa ma najwyraźniej jakieś prywatne dochody jej tor-by na zakupy noszą nadruki Tiffany'ego i Cartiera. Mamy tutaj Imrana, przystojnego młodzieńca ubranego w ciuchy od Ar-maniego, i Zenga, noszącego skarpetki nie do pary i okulary zlepi- one taśmą. Łączy ich wyłącznie Międzynarodowa Szkoła Językowa Churchilla — nic więcej.

Uświadamiam sobie, że dobrze się bawię.

Zamawiamy kolejne drinki. Z trudem dukający po angielsku uczniowie przekrzykują grupę Corrs, której członkinie pytają, co mogą zrobić, by nas uszczęśliwić. Zeng siedzi tuż obok mnie i kiedy zapada w drzemkę, odsuwam szklanekę z guinnessem, którą zaciska w dłoni.

— Stale śpi — sarka Yumi.

— Ech — mruczy Zeng, budząc się. Uśmiecha się przeproszająco i przysuwa do siebie piwo. — Przepraszam, przepra- szam. Ostatniej nocy nie spałem. Moi gospodarze się kłócili. Teraz jestem bardzo... bardzo pierdolony.

Przy stole konsternacja. Słyszę kilka chichotów.

— Tylko bez brzydkich słów! — mówi Yumi.

Zeng robi zakłopotaną minę.

— Przepraszam — mruczy, unikając kontaktu wzrokowego ze swoim nauczycielem.

— Nic się nie stało — oświadczam. — Te słowa należą do ję- zyka, którego się uczycie. Wielu wielkich pisarzy używało wul- garnego słownictwa. To ciekawe. Co chciałeś powiedzieć? Że jesteś zmęczony?

Zeng wzdycha.

— Wczoraj w nocy rodzina moich gospodarzy o coś się kłóciła. Byli bardzo pijani.

— On wynajmuje pokój u rodziny, która wynajmuje mieszkanie od kogoś innego — wyjaśnia Yumi. — Nielegalnie. Bardzo ordynarni ludzie. Niewykształceni.

— Nie są tacy źli — protestuje Zeng. — Ale teraz jestem bardzo, bardzo... przypierdolony.

— Nie — mówi Witold. — Jesteś wpierdolony.

— Wpierdolony znaczy wściekły — mówię.

— Więc może zapierdolony? — nie rezygnuje Wit.

— Można tak powiedzieć. Ale to sugeruje coś innego niż zmęczenie. Mógł powiedzieć po prostu: jestem upierdolony.

Zeng chichocze.

— Tak, to prawda, jestem upierdolony.

— W angielskim jest tyle brzydkich słów — zauważa Wit. — W niemieckim jest mnóstwo odpowiedników angielskiego *you*. *Du, dich, dir, Sie, Ihnen, ihr, euch*. W angielskim jest tylko *you*. Za to dużo brzydkich słów.

— Nie ma ich aż tak dużo — protestuję. — Każde ma dużo różnych znaczeń.

— Tak — mówi Gen. — Na przykład: *I do not give a fuck*.

Yumi jest zgorziona. Vanessa chichocze. Wit pociera podbródek w zadumie.

— To znaczy „mam to w nosie” — tłumaczy uczenie Gen.

— Można też powiedzieć na kogoś *useless fuck* — mówię.

— To znaczy, że nie najlepiej uprawia seks? — pyta Yumi.

— Nie, nie — zaprzeczam, wściekle się czerwieniąc. — To znaczy, że ktoś po prostu do niczego się nie nadaje.

— Eskimosi mają pięćdziesiąt słów na określenie śniegu — oznajmia Wit. — Anglicy mają pięćdziesiąt słów na *fuck*.

— *Fuck my old boots* — mówię. Moi uczniowie marszczą brwi.

— Co to znaczy *fuck old boots!* — pyta Wit.

— To zwrot wyrażający zdumienie — wyjaśniam. — Podobnie jak *fuck a duck*.

— Seks ze zwierzętami — dziwi się Zeng. — Jak w żółtych filmach? Miłość z kaczką?

— Nie nazywamy takich filmów żółtymi. To chińskie wyrażenie. Pornografię nazywamy tutaj niebieskimi filmami.

— Kurczę!

— Nie, *fuck a duck* to kolejny zwrot wyrażający zdumienie.

— Tak jak *fuck all*? — pyta Wit.

— Nie. *Fuck all* znaczy nic.

— Nic?

— Zgadza się. Myślisz pewnie o *fuck me*.

— Do knajpy, gdzie pracuję — opowiada Wit — przyszli źli ludzie. Bardzo pijani.

— Hmm — mruczy Vanessa. — Typowi Anglicy, prawda?

— Nie spodobał im się rachunek i wezwali kierownika — ciągnie Wit. — Jeden z nich powiedział: *I kick the fuck out of you*. A drugi nazwał go *fuck face*!

— Bardzo nieładnie — stwierdzam.

— Jak brzmi to określenie... *fuck someone's arse off*! — dopytuje się Gen, jakby badał jakiś zawily problem etymologiczny. — Czy to chodzi o seks... jak to powiedzieć? Od tyłu? To znaczy, że ktoś lubi dawać w odbyt?

— Nie, to nie ma z tym nic wspólnego. Chodzi po prostu o seks, który uprawia się z dużą dozą entuzjazmu. Widzicie? — pytam. — W angielskim wspaniale jest to, że to nieskończenie elastyczny język. I dlatego uczycie się angielskiego, a nie chińskiego, hiszpańskiego czy francuskiego.

— Ale angielski to dziwny język — upiera się Wit. — Jak się nazywa ta śmieszna książka? „Roger's Thesaurus”?

— „Roget's Thesaurus” — mówię.

— Tak, tak. To nie jest słownik. To księga synonimów, prawda? W moim kraju nie ma takiej książki.

— Moim zdaniem tego rodzaju książka ma rację bytu tylko w języku angielskim. Dlatego tyle angielskich słów wchodzi do

innych języków. Można z nimi robić, co się komu żywnie podoba.

— Proszę wybaczyć — mówi Zeng, zrywając się z miejsca. — Muszę spierdalać.

— Zeng wychodzi — zauważa triumfalnie Gen. — Musi iść do General Lee's Tasty Tennessee Kitchen.

— Musi zapierdalać do pracy — wyjaśnia Wit, wymawiając dokładnie każdą sylabę niczym profesor fonetyki podsumowujący wyjątkowo trudne seminarium. — Bo inaczej pierdolony kierownik wypierdoli go na zbity pysk.

I wkrótce kolejni uczniowie wymykają się z pubu. Gen na Brewer Street, do restauracji z podawanym taśmowo *sushi*, Wit na Shaftesbury Avenue, do ponurej, obitej czerwonym pluszem staroświeckiej knajpy, którą odwiedzają źli ludzie, Vanessa do czekającego przy barze, zadurzonego w niej chłopaka, który zabierze ją na tańce.

W końcu przy stoliku zostają tylko ja i Yumi i czuję, że pod wpływem dwóch kufli piwa i jej lśniących brązowych oczu zaczyna mi brakować słów.

— Lubię cię, jesteś miły — mówi.
Ja pierdołę.

6.

Moja babcia informuje jakiegoś ważniaka z BBC, że w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat wciąż ma wszystkie własne zęby. Matka wygląda wspaniale w długiej czerwonej sukni i z upiętymi włosami. Robiąc wrażenie bardzo szczęśliwej, przechadza się z uśmiechem między gośćmi i sprawdza, czy wszystko w porządku.

Ja kryję się po kątach, próbując przezwyciężyć cichą panikę, którą zawsze odczuwam na przyjęciach, lęk, że nie będę miał z kim pogadać. Po jakimś czasie zaczynam się jednak odprężyć. Zapowiada się udany wieczór.

To prawda, goście są bardzo zróżnicowani. Rechoczący głośno dziennikarze sportowi z akcentem z Liverpoolu, Irlandii i londyńskich przedmieść nie pasują do świata rozszechbiotanych elokwentnych panienek z telewizji. Okryci akrami sztruku i džinsu autorzy wydają się dziwnie speszeni w obecności uśmiechających się kpiąco nocnych didżejów z wielkimi cygarami. Moja babcia, krucha niczym jaskółka w wieczorowej kwiecistej sukni, zdaje się pochodzić z innego stulecia niż ubrany w ciuchy od Armaniego facet z BBC.

Zadziwiająco, jak dobrze dogadują się ze sobą ludzie z różnych światów, gdy panuje miła atmosfera, w żyłach krąży drogi

alkohol, a na półmiskach serwuje się dobre *sushi*. W powietrzu czuć autentyczną sympatię dla mojego ojca.

Powiedziałem matce, iż nie ma prawdziwych przyjaciół, ale to nieprawda. Wszyscy ci ludzie są naprawdę dumni, że go znają. Mam wrażenie, że go podziwiają i lubią. Czują się zaszczyceni, mogąc go odwiedzić, i podekscytowani na myśl o czekającej go niespodziance. Jestem z niego dumny, cieszę się, że mam takiego ojca.

Przybyli tu z czterech stron miasta, żeby uczcić jego urodziny. Są wśród nich bezczelni umięśnieni faceci, którzy poznali go, kiedy pisał o sporcie dla ogólnokrajowych gazet. Są młodzi duchem mężczyźni w średnim wieku i krzykliwe dziewczęta w wojskowych butach, które znają go z programów telewizyjnych i radiowych. Są ludzie z jego wydawnictwa, zaprzyjaźnieni krytycy, ważni księgarze, gospodarze różnych talk-show, inni pisarze oraz wszyscy znajomi, koledzy i sojusznicy, którzy przyłożyli rękę do jego sukcesu.

Przyjęcie odbywa się wokół krytego basenu, ponieważ tylko tutaj w całym naszym dużym domu można było ukryć prawie sto osób. Goście przechadzają się dookoła, biorą drinki oraz pierożki *satay* i *tamaki* od kelnerów i żartują, że warto by się wykąpać. Ale to dobre miejsce na uroczystość.

Jaskrawe jarzeniówki powodują wrażenie, że przyjęcie odbywa się w świetle olbrzymiego reflektora. Basen mieni się turkusowymi i złotymi błyskami, światło odbija się od srebrnych tac i białych strojów kelnerów, którzy krążą wokół gości trzymających migotliwe kieliszki szampana. Wyjątkowy wieczór dla wyjątkowego jubilata.

— Przyjechał! — ogłasza moja matka i gasną górne światła. W pomieszczeniu nadal nie jest ciemno, ponieważ w basenie są małe reflektorki, które połyskują pod powierzchnią wody niczym żółte duszki. Ktoś przekręca inny wyłącznik i zapada nagle kompletna ciemność.

Goście chichoczą i szepczą, słuchając dobiegającego z ulicy warkotu mercedesa. Po chwili silnik gaśnie i wkrótce słychać

zgrzyt obracanego w zamku klucza. Znowu rozlegają się nieśmiało chichoty, natychmiast uciszane przez innych. Czekamy na mojego ojca w kompletnej ciemności i absolutnym milczeniu. Nic się nie dzieje. Czekamy jeszcze trochę. Nadal nic się nie dzieje. Nikt się nie odzywa. A potem drzwi na basen w końcu się otwierają.

W progę pokazują się cienie, słycać szelest ubrania i coś, co brzmi jak westchnienie. Słyszymy, jak ojciec wchodzi do ciemnego pomieszczenia, i czekamy, aż zapali światło. Ale on tego nie robi. Zamiast tego słycać skrzypienie deski. Wszedł na trampolinę! Będzie pływał! Wszędzie wokół siebie słyseż stłumione chichoty, czuję, jak rośnie napięcie.

Nagle zapalają się światła i w pomieszczeniu pełnym uśmiechniętych ludzi robi się zdecydowanie zbyt jasno.

— Niespodzianka! — krzyczy ktoś i nagle śmiech więźnie nam w gardłach.

Ojciec stoi nagi na trampolinie, omiatając powoli pełnym niedowierzania wzrokiem wszystkich swoich znajomych. Jego oczy zatrzymują się na krótki straszliwy moment na matce, a potem uciekają ze wstydem w bok.

Przed nim kłęczy zupełnie ubrana Lena. Jej okolona złotymi włosami głowa porusza się w górę i w dół w jakimś wewnętrznym rytmie. To ten ruch powoduje skrzypienie trampoliny.

Ale przecież to do mnie czuła miętę, myślę. To ja powinienem stać na trampolinie! To nie w porządku! A potem ojciec kładzie jej rękę na głowie. Lena przestaje się poruszać, powoli otwiera oczy i podnosi wzrok.

Dźwięk, który wydaje moja matka, nie jest krzykiem. Jest na to zbyt mało ukształtowany, zbyt słabo określony znaczeniowo. Dźwięk, który wyrывa się z gardła matce, przypomina bardziej wycie. Zdołała w nim jakoś zawrzeć niedowierzanie, upokorzenie oraz wstyd, na które sobie nie zasłużyła.

Przez kilka sekund wszyscy stoją jak sparaliżowani. W końcu matka rusza z miejsca i przeciska się między gośćmi, odsuwając od siebie kelnera, który traci równowagę, na chwilę ją

odzyskuje, a potem wpada do basenu. Srebrna taca, na której było sześć kieliszków z szampanem, wyslizguje mu się z ręki i łąduje z brzękiem metalu i szkła na podłodze.

— Czy to znaczy, że przyjęcie jest skończone? — pyta babcia.

Moi rodzice występowali zawsze jako Mike i Sandy. Nigdy odwrotnie. Zawsze Mike i Sandy. Pierwsze miejsce na afiszu zajmował zawsze i wszędzie ojciec.

Ich imiona wydawały mi się zawsze staroświeckie: Mike i Sandy, imiona z Anglii, której już nie ma, Anglii, która istniała, gdy moi rodzice, ich przyjaciele i sąsiedzi oraz moi stryjowie i ciotki byli wszyscy młodzi.

To była Anglia wiejskich pubów, dansingów i świątecznych wycieczek nad morze. Kraj dyskretnie zaznawanych drobnych przyjemności — karcianych szkół (mężczyźni i kobiety) w pierwszy dzień Bożego Narodzenia i futbolu (mężczyźni i chłopcy) w drugi, wypadów do lokalnego pubu na partyjkę gry w strzałki, ewentualnie kilka piw (tylko mężczyźni), kiedy mieliśmy gości.

Ten kraj był chłodną wyspą, gdzie panowały surowe zimy i każdy wyjazd na wakacje do Grecji lub Hiszpanii wydawał się życiową podróżą. Beatlesi pojawili się i odeszli, zostawiając po sobie królestwo, w którym zaludniający przedmieścia dorośli palili trawkę oraz nosili kolorowe koszule z tego samego powodu, dla którego nerwowo odwiedzali włoskie i hinduskie knajpy — ponieważ uważali, że dzięki temu wydadzą się młodzi i wyrafinowani. Taka była Anglia mojego dzieciństwa, to niewinne miejsce, które pragnęło dorosnąć. Kraj Mike'a i Sandy.

Mike i Sandy. Sympatyczne imiona, przystępne i przyjacielskie, imiona cieszących się szacunkiem małżonków, którzy znają się na żartach. W granicach rozsądku.

Mike i Sandy. Oczywiście to nie są ich chrzestne imiona. Mój ojciec nazywa się w rzeczywistości Michael, matka Sandra.

Ale w którymś momencie w latach sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych, gdy garderoba, telewizory oraz oczekiwania ludzi zmieniły się z czarno-białych na kolorowe, gdy zgrzebność, która niczym trądzik przywarła do tego kraju na mniej więcej dwadzieścia lat, w końcu odeszła w przeszłość, imiona młodych — a także wcale już nie takich młodych nowego chowu matek i ojców — również stały się bardziej kolorowe i świeże.

Mike i Sandy. Imiona pary, która dobrze się czuła w kraju, gdzie nikt nikogo nie opuszczał, nikt się nie rozwodził, nikt nie umarł i wszystkie rodziny żyły wiecznie.

Udało mu się jakoś ubrać i uciec z Leną — albo może wcale się nie ubrał, może po prostu wskoczył nagi jak go Pan Bóg stworzył, do swojego sportowego wozu i odjechał. Tak czy owak, gdy inni kelnerzy wyłowili w końcu swojego kolegę z basenu, usłyszeliśmy, że mercedes rusza z przeraźliwym piśkiem opon z miejsca — tak jakby ojciec chciał jak najszybciej wynieść się z naszego życia.

Włócząc się nazajutrz rano po pograżonym w ciszy domu, przyglądając się wszystkim luksusowym szczątkom jego życia, wszystkim tym rzeczom, które tak bardzo cenił, zastanawiam się, dlaczego matka nie wywali ich na śmietnik. Nie wyrównałaby w ten sposób rachunków, ale może poczułaby się lepiej.

Matka mogłaby zatrzeć wszystkie ślady jego obecności. Wcale bym jej o to nie winił. W gruncie rzeczy z radością bym jej pomógł.

Lecz ona nie dotyka żadnej jego rzeczy.

Zamiast tego, kiedy w końcu wychodzi nazajutrz rano z sypialni, pobladła i z zaczerwienionymi oczyma, nadal ubrana w swoją piękną wieczorową suknię, uparcie powtarzając, że nic jej nie jest, i nie chcąc niczego wypić ani zjeść, idzie do swojego ukochanego ogrodu i zaczyna go niszczyć.

Przy końcu ogrodu jest kratka, na której rośnie kapryfolium pachnące słodko w letnie poranki. Matka próbuje wyrwać je gołymi rękoma, ale nie bardzo jest w stanie to zrobić. Udaje się jej wyrwać tylko połowę i zostawia resztę poszarpaną, lecz nadal przylegającą do ściany.

Potem dopada glinianych doniczek z nowymi cebulkami i wali nimi o mur ogrodu, zostawiając za sobą rozbite skorupy i rozsypane grudy ziemi. Następnie rozoruje grządki widłami, rydlem i gołymi palcami, wygrzebując wszystkie wiosenne cebulki, które niedawno z taką starannością sadziła.

Kiedy do niej dobiegam, kaleczy sobie ręce do krwi, wyrывая z ziemi różane krzaki. Obejmuję ją i mocno trzymam, zdecydowany nie puszczać dopóty, dopóki się nie uspokoi. Ale ona nie przestaje drżeć. Jej ciało drży z gniewu, szoku i żalu i nie mogę na to nic poradzić. Drży długo po tym, jak odprowadzam ją do pustego domu i zasuвам wszystkie rolety, próbując odgrodzić ją od świata.

I teraz rozumiem, na czym to polega, widzę, jak świat zatacza krąg i dziecko staje się rodzicem, chroniony — chroniącym.

— Nie płacz — powtarzam, tak jak ona powtarzała mi, kiedy przegrałem pierwszą bójkę na podwórku. — Nie płacz już.

Nie potrafię jej uspokoić. Ponieważ matka nie płacze tylko nad sobą. Oplakuje Mike'a i Sandy.

Trzeba być zimnym facetem bez skrupułów, żeby w ten sposób porzucić rodzinę. A mój ojciec nie jest zimnym facetem.

Może słabym. Na pewno samolubnym. Głupim, to nie ulega kwestii. Ale nie jest zimny. Przynajmniej nie do tego stopnia, żeby zrobić od niechcienia to, co właśnie zrobił — żeby amputować rodzinę ze swojego życia. Kiedy stoję na progu jego wynajętego mieszkania, wydaje się rozdarty. Rozdarty pomiędzy życiem, które się jeszcze nie skończyło, a życiem, które tak naprawdę jeszcze się nie zaczęło.

- Jak się czuje matka?
- Zgadnij. Jak twoim zdaniem może się czuć?
- Jesteś za młody, żeby to zrozumieć — odpowiada ostrożnie, wpuszczając mnie do środka.

Leny nie ma, ale na kaloryferze suszą się rzeczy młodej dziewczyny.

— Co mam zrozumieć? Że chciałeś pociupciać sobie na boku? Że myślałeś, iż możesz się zabawić i ujdzie ci to na sucho? Że jesteś starym facetem, który chce desperacko odzyskać młodość? Co mam konkretnie zrozumieć?

— Zrozumieć, że coś może się popsuć w małżeństwie. Nawet w dobrym małżeństwie. Pasja wygasa. Po prostu wygasa, Alfie, i musisz zdecydować, czy potrafisz bez niej żyć. Czy może nie potrafisz. Chcesz filiżankę herbaty? Mam tu chyba gdzieś czajnik.

To dobre mieszkanie w zamożnej, zielonej dzielnicy. Ale jest bardzo małe i należy do kogoś innego. Kto inny wybrał kolor, na jaki pomalowano ściany. Obrazy na ścianach dobrze, żeby zadowolić cudze gusta. Choć bardzo się staram, nie potrafię sobie wyobrazić ojca mieszkającego tutaj. To miejsce nie pasuje do niego pod żadnym możliwym do wyobrażenia względem. Wszystko wydaje się wynajęte, w każdej chwili gotowe do tego, by przejął je ktoś inny, odzyskał prawowity właściciel. Mieszkanie, meble, dziewczyna. Wszystko pożyczone od kogoś innego.

— Jak długo to potrwa? — pytam go. Nadal szuka czajnika, ale nie może go znaleźć. — Tato? Czy możemy na chwilę zapomnieć o herbacie? Nie masz już własnego czajnika, rozumiesz? Zaczynij z tym żyć. Bez czajnika. W porządku?

- O czym ty mówisz?
- Jak długo masz tu zamiar zostać z Leną?
- Dopóki nie znajdziemy czegoś lepszego.
- Ile ona ma lat? Dwadzieścia trzy?
- Dwadzieścia pięć — odpowiada ojciec. — Prawie.
- Młodsza ode mnie.

— Jest bardzo dojrzała jak na swój wiek.

— Nie wątpię.

— Co to miało oznaczać?

Osuwam się na skórzaną sofę. Ojciec nie znosi skórzanych sof. W każdym razie nie nosił.

— Dlaczego nie mogłeś z nią po prostu sypiać? — pytam, choć bardzo się boję, że zaczniesz mi zdradzać szczegóły ich niebiańskiego życia seksualnego. Proszę. Wszystko tylko nie to. — Czy nie tak właśnie miało to funkcjonować? Potrafię zrozumieć, co cię w niej pociąga. Potrafię nawet trochę zrozumieć, co ją pociąga w tobie. Starszy pan, który osiągnął sukces. Tego rodzaju rzeczy. Ale nie macie chyba zamiaru założyć domu? To obłęd, tato.

Mój stary zaczyna spacerować w tę i z powrotem. Salon wynajętego mieszkania znacznie przewyższa wielkością inne pokoje, ale i tak nie jest zbyt duży. Ojciec robi kilka kroków i zaraz musi zawrócić. Zaciera ręce. Robi mi się nagle żal biednego starego sukinsyna. Nie jest stworzony do tego rodzaju gier. Nie potrafi rozgrywać ich tak bezwzględnie, jak powinien.

— Te sprawy mają swoją własną dynamikę. Próbowałem nad tym zapanować, naprawdę. Przez jakiś czas czułem się najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Miałem idealną żonę i idealną kochankę.

— Twoja idealna żona chce cię udusić — wtrącam.

— Ale to nie trwa wiecznie — kontynuuje, ignorując mnie.

— Ten czas nie trwa wiecznie. On mija. Nie można mieć wszystkiego. Trzeba się zdecydować. — Odwraca się do mnie, błagając o zrozumienie. — Czy nie tego właśnie pragnie każdy mężczyzna? Żony i kochanki? Chcemy stabilności, wsparcia, spokojnego życia. Ale chcemy również romansu, podniecenia, pasji. Czy to źle, że chcemy tego, co jest najlepsze w obu światach?

— Chcecie za dużo. Chcesz za dużo. I chcąc za dużo, rujnujesz innym życie.

— Nic nie poradzę, że się zakochałem. Nie planowałem, że to się tak ułoży, Alfie.

— Miłość — pryham. — Opuść sobie. Nie nazywaj tego miłością.

— A jak inaczej mam to nazwać? — wybucha nagle. — Słuchaj, przykro mi z powodu twojej matki, Alfie. Naprawdę mi przykro. To straszne, w jaki sposób to odkryła. Lecz serce nie sługa.

— Posłuchaj mnie, tato. Lena to wspaniała dziewczyna. Ale ona tańczy przy jedzeniu. Nadal tańczy przy jedzeniu, rozumiesz? Nie zauważyłeś tego? Kołysze się, słuchając radia, nawet kiedy zajada śniadanie. To jeszcze dziecko.

— Wygląda uroczo, kiedy to robi.

— Daj spokój. Jest dość młoda, żeby być twoją córką.

— Wiek nie ma tutaj nic do rzeczy.

— Czy kochałbyś Lenę, gdyby była w twoim wieku? Gdyby zbliżała się do sześćdziesiątki? Nie wierzę. Ona też by ciebie nie chciała, gdybyś miał dwadzieścia trzy lata, żył ze studenckiej pożyczki i pracował w barze z hamburgerami.

— Dwadzieścia pięć lat — poprawia mnie. — Prawie dwadzieścia pięć.

— Możesz to jakoś załatwić z mamą. Przeprosić ją. Poprosić o przebaczenie. Wszyscy popełniamy błędy. Nie można zakończyć małżeństwa, ponieważ jakaś gospośnia zagięła na ciebie parol.

— Nie mogę tego zrobić. Odszedłem od twojej matki. I zrobiłem to z miłości. Przykro mi, Alfie, ale mam swoje zasady.

Mam ochotę mu przywalić.

— Ty obraziłeś miłość — mówię, myśląc o ogrodzie matki. — Splunąłeś jej w twarz, ty śmieszny starcze. Miałeś w swoim życiu kogoś, kto był przy tobie przez długie lata, kto pomagał ci, kiedy nic nie miałeś. A teraz zrobiłeś jej coś takiego.

Nie opowiadaj mi o zasadach. Nie strój się w szatki jakiegoś romantycznego bohatera. Nie jesteś nim. I wcale nie odszedłeś. Uciekłeś.

Ojciec przestaje chodzić po pokoju.

— Przykro mi, Alfie, ale uważam, że postąpiłem słusznie.

— No tak. Uważasz, że postąpiłeś słusznie? Uważasz, że słusznie postąpiłeś, dając się złapać ze spuszczoneymi gaciami w obecności wszystkich swoich znajomych? Uważasz, że to było sprytne zagranie? Pozwolisz, tato, że ja będę miał w tej sprawie inne zdanie.

— Uważam, że postąpiłem słusznie, odchodząc — mówi, dziwnie na mnie spoglądając. — Wiesz, że kiedy braliśmy ślub, twoja matka była z tobą w ciąży?

— Domyśliłem się. Nie trzeba być matematycznym geniuszem, żeby to obliczyć. Między waszym ślubem a moim urodzeniem minęło pięć miesięcy.

— Zaszła w ciążę. Dlatego wzięliśmy ślub. Kochałem ją i tak dalej. Ale wzięliśmy ślub, ponieważ... tak to wówczas wyglądało. Teraz jest inaczej. I wiesz, co wszyscy wtedy mi mówili? Rodzina, przyjaciele, teściowie? Wszyscy mi powtarzali: zabawiłeś się. A ja milczałem. Ale w duchu pytałem się: więc to było to? To miała być zabawa?

— Myślałeś, że bal dopiero się zaczyna, prawda?

— Słuchaj, chcę żyć z osobą, którą kocham. Czy to coś złego? Jesteś mężczyzną. Powinieneś mnie zrozumieć. Mówi się, że jeśli chcesz z nią zostać, nie masz ochoty się z nią pieprzyć, a jeśli chcesz się z nią pieprzyć, wtedy nie masz ochoty z nią zostać. Ale wiem, że to nieprawda. Chcę od Leny jednego i drugiego.

— Tak nie wygląda prawdziwe życie. Nasłuchałeś się za dużo starych płyt. To nie jest piosenka Smokeya Robinsona, tato. To rzeczywistość.

Ojciec spogląda na mnie z czymś, co graniczy ze współczuciem.

— Nie mów mi o prawdziwym życiu, Alfie — oznajmia cicho i domyślam się, co zaraz powie. Wstaję, żeby wyjść. Próbuję stamtąd jak najszybciej uciec, bo nie chcę tego słyszeć. Jestem już prawie w progu jego wynajętego mieszkania, kiedy docierają

do mnie jego słowa. — Ty wciąż kochasz kogoś, kto nie żyje — mówi ojciec.

Miłość nie uczyniła mnie kimś lepszym. Wprost przeciwnie. Miłość sprawiła, że zobojętniałem na cały świat. Miłość zawęziła mój horyzont do pary błękitnych oczu i gapiowatego uśmiechu, do jednej młodej kobiety.

Wkrótce po tym, jak się poznaliśmy, leciałem samolotem do Hongkongu. Spędziłem właśnie tydzień u rodziców; odwiedziłem ich po raz pierwszy od wyjazdu z Londynu i wykupiłem lot na długo przedtem, nim poznałem Rose. Było już za późno, żeby oddać bilet, poleciałem więc, żeby zobaczyć się z matką, ojcem i babcią, ale wcale mnie to nie cieszyło. Moje serce było gdzie indziej. Chciałem mieć to jak najszybciej za sobą, wyrwać się z Londynu, wrócić do Hongkongu, wrócić do niej, wrócić do Rose.

W samolocie powstał problem. Poważny problem. Pewien mężczyzna — siedzący po drugiej stronie przejścia, wyglądający na dyrektora facet w średnim wieku — zaczął mieć nagle trudności z oddychaniem. Kurczowo łapał powietrze, wydawał dziwne dźwięki, wyglądał, jakby miał się zaraz zadusić. Z początku myślałem, że przedawkował darmowy alkohol. Ale kiedy przykucnęła przy nim stewardesa i pilot zapytał, czy na pokładzie jest lekarz, stało się jasne, że facet jest chory, poważnie chory.

Położyli go na podłodze w przejściu, tuż obok mnie, dość blisko, żebym mógł dotknąć jego przerażonej twarzy. Dwaj młodzi lekarze uklękli przy nim, rozpięli mu koszulę i zaczęli do niego przemawiać niczym kapłani przy łożu śmierci.

Nie mogliśmy lecieć do Hongkongu. Facet musiał się jak najszybciej znaleźć w szpitalu, w związku z czym wylądowaliśmy w Kopenhadze, gdzie ekipa medyczna czekała już, żeby zabrać go z samolotu. Wszyscy pasażerowie odnieśli się z pełnym zrozumieniem do faktu, że musimy czekać kilka godzin

na lotnisku w Kopenhadze, aż zorganizują nam nową załogę. Pilot wyjaśnił wcześniej, że stara załoga nie może z nami dalej lecieć do Hongkongu, ponieważ po lądowaniu w Kopenhadze przekroczyliby limit godzin w powietrzu. Musieliśmy więc czekać. Kilka godzin.

Wszyscy odnieśli się do tego ze zrozumieniem. Wszyscy oprócz mnie.

Nienawidziłem tego chorego faceta. Nie chciałem lądować w Kopenhadze, żeby zapewniono mu opiekę medyczną. Chciałem, żeby pilot zabrał go razem z jego walizami; niech facet walczy o życie. To było gorsze niż obojętność. Czułem do niego złość, którą z trudem hamowałem. Nie obchodziło mnie, czy będzie żył, czy umrze. Było mi wszystko jedno. Chciałem po prostu, żeby usunął się z drogi, chciałem wracać do Hongkongu, do mojej dziewczyny, do najlepszej rzeczy, jaka mi się w życiu przytrafiła.

To właśnie uczyniła ze mną miłość.

Zwichrowała mi serce.

7.

W wodzie Rose była piękna. Nurkowała od wielu lat, na długo przed tym, zanim przyjechała do Hongkongu, i miała w sobie tę prawdziwą lekkość i spokój, która różni dobrych nurków od całej reszty.

Pod wodą wyglądaliśmy jak przedstawiciele dwóch różnych gatunków. Ja byłem zawsze kłębkim nerwów; starając się utrzymać zerową pływalność, bez przerwy majstrowałem przy inflatorze, wypuszczając trochę powietrza, kiedy zaczynałem wypływać, i wpuszczając, gdy się zanurzałem, nigdy nie potrafiąc na dłużej zachować równowagi.

Rose po prostu unosiła się w wodzie, załatwiając cały problem oddechem, zwiększając lub zmniejszając ilość powietrza w płucach, utrzymując się w stanie nieważkości za pomocą czegoś, co przypominało ciche westchnienia.

Ja nigdy nie czułem się dobrze w kombinezonie: co chwila wylewałem wodę z maski, sprawdzałem nerwowo manometr, żeby zobaczyć, ile mi zostało powietrza (miałem na tym punkcie chyżia, zawsze musiałem się wynurzyć o wiele wcześniej od całej reszty), poprawiałem ciężką butlę, która ześlizgiwała mi się z pleców.

Po prostu nie czułem się dobrze pod wodą. Rose, podobnie

jak wszyscy dobrzy nurkowie, wyglądała, jakby nigdzie indziej nie czuła się lepiej.

Nauczyła się nurkować w kraju. Certyfikat PADI zdobywała w zatopionym kamieniołomie i lodowato zimnych, mrocznych wodach przy południowym wybrzeżu Anglii. Nie było to łatwe. W związku z czym miejsca, w których nurkowaliśmy w Azji — ciepłe błękitne akweny, niekończące się rafy koralowe, tak bujne podwodne życie, że ryby zasłaniały czasami niebo — musiały się jej wydać rajem.

Ja nauczyłem się nurkować ze względu na Rose. Odbylem przyspieszony kurs w Puerto Galera na Filipinach, ćwicząc podwodne oddychanie w hotelowym basenie wraz z parą dwunastoletnich Tajwańczyków, zgłębiając teorię w małej salce na tyłach sklepu ze sprzętem i dopiero egzamin zdając na otwartych wodach. Kiedy dostałem kartę PADI, Rose była tak samo podniecona jak ja. Może nawet bardziej.

Kilka razy całkiem fajnie nam się nurkowało. Kiedyś, podczas weekendu na wyspie Cebu na Filipinach, zużyłem w śmiesznie krótkim czasie większość powietrza i zostałem wysłany na górę przez instruktora. Na głębokości pięciu metrów musiałem się zatrzymać na trzy minuty, żeby pozbyć się nadmiaru azotu z organizmu. Mimo że w jej butli zostało jeszcze mnóstwo powietrza, Rose popłynęła wraz ze mną i te kilka minut postoju wspominam najlepiej z całego nurkowania. Unosiliśmy się w płytkich migotliwych wodach, obserwując lśniąca niczym zatopiony skarb rafę koralową i kolonię rojących się wokół nas aniołów morskich. Wypuszczane przez nas bańki powietrza mieszały się ze sobą i leniwie unosiły do góry.

Nurkowanie było jedną z wielu rzeczy, które przychodziły jej o wiele łatwiej ode mnie. Rose dobrze się czuła na przyjęciach, poznając nowych ludzi i unosząc się piętnaście metrów pod powierzchnią Morza Południowochińskiego. Ja zaś bez względu na to, jak się starałem — a starałem się bardzo mocno, bo niczego na świecie nie pragnąłem tak bardzo, jak ją zadowolić — nie czułem się dobrze. Po prostu mi to nie leżało. Tym

różniliśmy się pod wodą i kiedy o tym teraz myślę, chyba wszędzie gdzie indziej.

Ja pływałem.

Ona fruwała.

Miałem złe przeczucia od samego początku.

W piątek wieczorem pogoda była wciąż ładna, typowa dla późnej wiosny w tej części Filipin, ale kiedy szliśmy na plażę w sobotę rano, błękitne niebo pokryło się metaliczną szarością, a fale na morzu miały spienione grzbiety.

Włożyliśmy już wcześniej kombinezony do nurkowania. Ja niosłem wielką dużą torbę, w której były nasze maski, fajki i płetwy. Resztę sprzętu mieliśmy wypożyczyć na przystani. Patrzyłem, jak Rose zerka na niebo.

— Moglibyśmy zostać w hotelu — powiedziałem. — Pogoda nie jest zbyt zachęcająca.

— Będzie fajnie — odparła. — Ramon nie wypłynie z nami, jeśli coś będzie nie w porządku.

Ramon był naszym instruktorem: przysadzisty, zbliżający się do czterdziestki Filipińczyk, który opiekował się nurkami ze spokojem i znajomością rzeczy. W wielu miejscach na Filipinach prądy są zupełnie nieprzewidywalne i dzięki temu człowiek może czasem zupełnie nieoczekiwanie trafić na piękne rafy koralowe. Zdradliwe prądy oznaczają jednak również, że nurkowanie powinno się odbywać pod opieką doświadczonego instruktora. Spędziliśmy kilka weekendów w tym kurorcie i zawsze nurkowaliśmy z Ramonem, który dobrze się nami zajmował. Gdy jednak dotarliśmy na przystań, Ramona nie było.

Zastępował go najwyżej dwudziestoletni, niezwykle wysoki jak na Filipińczyka chudy młodzieniec w sfatygowanym, podartym kombinezonie, który zsuwał się z jego brązowych kościstych ramion. Flirtował z dwiema europejskimi turystkami, wysokimi blondynkami w kostiumach kąpielowych, tak zdrowymi i

obficie wykarmionymi mlekiem, że mogły pochodzić tylko ze Skandynawii.

— Gdzie jest Ramon? — zapytałem.

— Ramon chory — odparł, zerkając na mnie tylko przez sekundę, po czym ponownie skupił uwagę na blondynkach. — Dziś ja prowadzę nurkowanie.

Spojrzałem na Rose, która uśmiechnęła się tylko i wzruszyła ramionami. Naprawdę miała tego dnia wielką ochotę ponurkować. Dołączyliśmy więc do innych nurków, stojących przed rzędem poobijanych butli i zaczęliśmy kompletować sprzęt. Do zatoki wpłynęła tymczasem nasza łódź i popyrkotała w stronę plaży z unoszącym się i opadającym na falach dziobem.

Wybrałem butlę, kamizelkę oraz automat oddechowy, przymocowałem kamizelkę do butli, sprawdziłem, czy jest dobrze i ciasno przypięta, po czym przykręciłem automat oddechowy. Wystające z niego cztery czarne węże wiły się niczym ramiona ośmiornicy przy moich nogach.

Do dwóch z nich przymocowane były ustniki — czarny dla mnie oraz jaskrawożółty dla osoby, która chciałaby z niego awaryjnie skorzystać. Przy kolejnym wężu zamontowane były manometr i głębokościomierz. Ostatni wąż kończył się metalową końcówką, którą podłączyłem do inflatora — dużej karbowanej rury z dwoma przyciskami, za pomocą których mogłem regulować swoją pływalność, dodając lub ujmując powietrza. Na koniec włączyłem zawór od butli i kiedy zasyczał, sprawdziłem zapas powietrza.

Manometr pokazywał dwieście dziesięć barów. Butla była pełna. Wszystko było jak należy. Choć w gruncie rzeczy wcale nie było.

U Ramona podobało mi się, że zawsze asystował nam, kiedy składaliśmy ekwipunek. Radził, ile powinniśmy wziąć ciężarków, sprawdzał, czy sprzęt prawidłowo działa i czy wszystko dobrze zamontowaliśmy. Było mi to potrzebne.

Przy Ramonie byłem zawsze przekonany, że najważniejsze jest dla niego bezpieczeństwo. Tego dnia, patrząc na morze,

które smagał coraz silniejszy wiatr, miałem wrażenie, że dla tego młodego wysokiego chłopaka najważniejsze są dwa wielkie norweskie biusty.

Stojąc na rufie łodzi, która unosiła się i opadała pod moimi stopami, miałem wrażenie, że przy każdym bujnięciu w dół tracę część żołądka. Dzięki płetwom, które miałem na nogach, łatwiej mi było zachować równowagę, ale jednocześnie trudniej się poruszać. Stałem tam, wpatrując się w unoszące się na rozkołysanym morzu głowy. Wydawały się takie małe.

Wszyscy poza mną byli już w wodzie. Chudy instruktor. Dwie Norweżki. Młoda japońska para. Pomarszczony stary Niemiec, który wyglądał, jakby całe życie spędził pod tropikalnym słońcem. I Rose z twarzą schowaną częściowo pod maską, ale zwróconą w moją stronę. Wszyscy na mnie czekali.

Łało teraz całkiem zdrowo. Do brzegu nie było wcale daleko — dopłynęliśmy na miejsce nurkowania w niecałe dwadzieścia minut — ale kompletnie zasłaniała go mgła, która z sekundy na sekundę robiła się gęstsza. Czarne chmury przetaczały się z łoskotem nad naszą łódką. Gdzieś wysoko zagrzmiało i horyzont rozjaśnił zygzak błyskawicy. Deszcz najwyraźniej zaciął z boku. Zacisnąłem jedną dłoń na masce, drugą na butli i przestąpiłem burzę.

Wpadłem do wody, zanurzyłem się i po chwili wypłynąłem na powierzchnię. Fale były jeszcze większe, niż wydawało mi się z pokładu. Nabrałem pełne usta wody, ale na szczęście udało mi się ją wypluć.

Maska zdążyła zaparować. Powiniennem napłuć na szkło i przemyć je morską wodą, co zawsze zapobiegało zaparowaniu, ale zabrakło mi chyba na to czasu. Chudy instruktor zabrał nas na dziób, żeby omówić plan nurkowania, a potem, nim się zorientowałem, wszyscy znaleźli się w wodzie. Zdjąłem maskę, splunąłem na szkło, zanurzyłem je pod wodą i przetarłem mocno palcami.

Rose podpłynęła do mnie.
— W porządku? — zapytała.
— Brakuje mi Ramona — odparłem, czując w ustach żółć i sól.

— Mnie też. Zostaliśmy chyba sami.

Naciągnąłem maskę i zobaczyłem, że inni już zanurkowali. Wcisnąłem szybko ustnik automatu i spojrzałem na Rose. Kiedy obróciła kciuki w dół, sygnalizując, że wchodzi pod wodę, pokazałem jej to samo. Wypuściłem kilka baniek powietrza z kamizelki, zrobiłem wydech i natychmiast zacząłem zanurzać się nogami w dół.

Zobaczyłem kadłub łodzi, innych nurków i unoszącego się znacznie niżej instruktora. Chwilę później poczułem przeszywający ból w uszach. Schodziłem w dół zbyt szybko.

Rose była obok mnie. Kołysząc dłońmi przed sobą, pokazywała, żebym nie wpadał w panikę — spokojnie, spokojnie. Pokiwałem głową, uniosłem się o jeden metr i ból natychmiast zelżał.

Dotknąwszy kciukiem palca wskazującego na znak, że jest mi lepiej, zacisnąłem palce drugiej dłoni na nosie, delikatnie go wydmuchałem i ponownie starałem się zejść niżej. Tym razem udało mi się i zacząłem się powoli zanurzać, mając przez cały czas wrażenie, że mój nos tkwi w imadle.

Widoczność była słaba. Przywykłem oglądać te wody zalane światłem, pełne podmorskiego życia, jednak tego dnia morze było mętne i ciemne. W półmroku przemykało tylko kilka rybek, jasne plamki koloru we wszechobejmującej ciemności. Nagle zdałem sobie sprawę, że ja i Rose jesteśmy sami.

Unosiła się nieważka przy moim boku, rozglądając się dookoła. Nigdzie nie było widać śladu innych nurków. Zostawili nas. Woda zaczęła się sączyć do mojej maski. Przechyliłem głowę do góry, odchyliłem maskę i energicznie wypuściłem powietrze przez nos. Woda wypłynęła. Rose spoglądała na mnie przez szybkę szeroko otwartymi, niebieskimi oczyma, wskazując kciukiem w różne strony.

Dokąd płyniemy?

Rozejrzałem się, mając nadzieję ujrzeć krzepiący widok jakiejś przemykającej w ciemności ludzkiej istoty. Nie zobaczyłem nikogo. We wszystkich kierunkach morze wyglądało tak samo. Zerknąłem w górę, ku kadłubowi unoszącej się wysoko nad nami łodzi. Miałem wrażenie, że się od nas oddala. A może to my się od niej oddalaliśmy. Rose wskazała kciukiem na prawo.

Tam.

Potrząsnąłem głową. Czy ona oszalała? Jej zdaniem powinniśmy płynąć na pełne morze. Wskazałem kciukiem przeciwny kierunek: w stronę brzegu. W każdym razie tam, gdzie wyobrażałem sobie, że jest brzeg.

Tam.

Pokręciła głową i postukała palcem przypięty do nadgarstka kompas. Mój kciuk i palec wskazujący połączyły się niechętnie na znak zgody.

Dobrze.

Ruszyła przodem i popłynęliśmy w mrok. W ustach zaschło mi ze zdenerwowania. Spojrzałem na wskaźnik ciśnienia w butli. Nadal była prawie pełna.

A potem znaleźliśmy się nagle dokładnie nad nim. Wynurzył się z półmroku niczym jakieś wielkie opuszczone miasto ze ścianami ze skorodowanego szarego i czarnego metalu, inkrurowanego ponadpięćdziesięcioletnią warstwą koralu.

Zatopiony japoński transportowiec z drugiej wojny światowej.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, podekscytowani i zdumieni. Ten statek był celem naszej podwodnej wycieczki. Nadal nie widzieliśmy innych nurków, ale znajdowali się prawdopodobnie nad inną częścią statku. Przy tym świetle widać było tylko jego fragment. Teraz jednak wcale się tym nie przejmowaliśmy.

Statek osiadł na głębokiej wodzie, lecz górny pokład i mostek były w naszym zasięgu. Popłynęliśmy w poprzek pokładu i poczułem, jak coś lodowatego ściska mnie za serce. Ziejące na

mostku okna wyglądały jak puste oczodoły, zmurszałe deski pokładu przypominały wyschnięte kości. W tym miejscu zginęli ludzie.

Byliśmy na cmentarzu.

Zdałem sobie sprawę, że nie powinniśmy tu w ogóle przy-
pływać. Rose wskazała zięjący czernią, otwarty właz do ładowni
i podniosła w górę kciuki. Potrzęsnałem energicznie głową. Czy
ona zwariowała? Postukałem palcem manometr. Pora wracać
na górę.

Rose unosiła się nieważka nad otchłanią, ze skrzyżowanymi
swobodnie na piersi rękoma, regularnie oddychając. Nagle
odchyliła się gwałtownie do tyłu; z ciemnej ładowni wyłonił się
olbrzymi żółw i o mało się z nią nie zderzył. W jej szeroko
otwartych oczach malował się zachwyty. Nie mogłem się nie
uśmiechnąć.

Żółw miał głowę tysiącletniego starca, lecz mimo to poru-
szał się z nieopisaną gracją. Jego wystające spod skorupy nogi
były niczym magiczne wiosła. Sunął nad pokładem zatopione-
go statku, jakby uważał się za uosobienie wiecznego piękna. I
na swój sposób nim był. Nie zdziwiłem się więc wcale, gdy
Rose popłynęła w ślad za nim w chłodniejsze wody, tam gdzie
dno morza opadało gwałtownie w dół.

Żółw — tak duży, że to musiała być samica — obrócił łusą
głowę ku Rose i zamrugał wielkimi oczyma, bardziej onieśmie-
lony niż wystraszony. Rose dotknęła delikatnie łuskowatej
skorupy i potrzęsając głową, obróciła się na plecy, bezgranicz-
nie szczęśliwa.

A potem porwał nas prąd.

Miałem wrażenie, jakby czyjaś wielka ręka złapała mnie i ci-
snęła w tunel, który kończy się na krańcu świata.

Rose, żółw i statek zniknęli. Spadałem w lodowatą czerń i
nie mogłem się w ogóle zatrzymać. Z boku zobaczyłem piono-
wą ścianę koralu i próbowałem do niej dopłynąć. Wymachiwa-
łem nogami, aż zdrętwiały mi ze zmęczenia, lecz denny prąd
był niczym winda, w której zerwała się lina, i pomyślałem, że to
ostatni dzień w moim życiu.

W końcu rąbnąłem całym ciałem w ścianę koralu i rozbiłem o nią maskę. Automat wypadł mi z ust. Złapałem się oburącz ostrzych jak brzytwa koralu i nie puszczałem, mimo że kaleczyły mi palce. Łyknąwszy morskiej wody, poszukałem na oślep automatu, wcisnąłem go do ust i przerażony zaczerpnąłem powietrza. Kompletnie zaschło mi w ustach. Mój kombinezon był rozdarty z boku. Czuję straszliwy ból w biodrze.

Poszukałem wzrokiem Rose. Nigdzie jej nie było. Sprawdziłem manometr. Czterdzieści metrów. I tylko trzydzieści barów ciśnienia w butli. Nie mogłem się jednak wynurzyć. Rose mogła mnie szukać. Rose na pewno mnie szukała.

A potem zobaczyłem ją. Wyprostowana w horyzontalnej pozycji, trzymała w rękach bryłę martwych koralu. Zgubiła maskę. Oczy miała przymknięte i na pół ślepe, lecz podpłynęła do mnie. Trzymając jedną ręką koral, drugą dawała mi znaki.

Spokojnie, spokojnie.

Pokiwałem głową, mając ochotę jednocześnie śmiać się i płakać. Zacząłem płynąć do góry, lecz ona złapała mnie za kamizelkę i przyciągnęła do siebie z siłą, o którą nigdy bym jej nie podejrzewał. Gdybym wynurzył się zbyt szybko z tej głębokości, nabawiłbym się choroby dekompresyjnej i najprawdopodobniej umarł. Ale ja nie mogłem nic poradzić na to, że wypływałem. Po prostu nie mogłem.

Rose wskazała głową moje biodra. Zgubiłem gdzieś pas balastowy. Nie puszcżając mnie, odłamała desperacko kamień od ściany koralu i wcisnęła mi w dłonie, żeby mnie obciążyć. Lecz ja miałem obtarte i pokaleczone ręce i nie zdołałem go utrzymać. Wyślizgnął mi się z palców.

Zerknąłem na manometr. Powietrze się skończyło. Rose wcisnęła mi w usta swój zapasowy ustnik. Ale i jej butla była prawie pusta. Zaczerpnąłem kilka płytkich haustów i na tym się skończyło. Oddychaliśmy pożyczonym powietrzem.

Rose dotknęła mojej głowy.

A potem puściliśmy się ściany.

Ja zacząłem unosić się ku światłu, podczas gdy Rose,

niczym zagubiona w kosmosie, odcięta od pępowiny astronautka, nie znacząc już swego śladu bąbelkami powietrza, opadła w dół, w mrok, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność.

Patrzyłem przez łyżę i krwawy śluz, który zachlapał wnętrze maski, jak się ode mnie oddala. Chciałem wymówić jej imię, lecz nie zdołałem wydobyć z siebie dźwięku.

Była moją racją bytu.

8.

Tym, co zwraca na nią w pierwszej chwili moją uwagę, jest strój.

Pod rozpiętym czarnym płaszczem przeciwdeszczowym ma krótką spódniczkę, top oraz ozdobione futrem szpilki bez pięt. Czy takie buty nie nazywają się futrzaki? Wygląda, jakby wybierała się do klubu. Trochę zbyt intensywny makijaż. Biała cera, czarne rajstopy i włosy ufarbowane na blond. Mogłaby bardziej zadbać o odrosty. Czy na kostce pod rajstopami nie ma przypadkiem złotego łańcuszka? Całkiem możliwe. Nie wygląda jak ktoś, kto wybiera się do modnego ekskluzywnego klubu w środku miasta. Jej klub mieści się raczej w jakiejś zapadłej dziurze.

Jest ładna, ale robi wrażenie znużonej, niczym niegdysiejsza piękność, od której odwróciło się szczęście.

Zastaję ją w pokoju nauczycielskim po przyjściu do pracy. O tej porze nie ma tu na ogół nikogo, lecz dzisiaj w naszym jedynym fotelu siedzi ta zmęczona ładna kobieta, z nosem wetkniętym w tanią książkę.

To dziwne, myślę sobie. Nie widuje się na ogół tak ubranych nauczycielek.

— Czytał pan to? — pyta, podnosząc wzrok.

Ma czysty proletariacki akcent. Musi pochodzić z Essex. W Londynie nikt już tak nie mówi.

- Co to za książka?
- „Serce to samotny myśliwy” — odpowiada. — Autorką jest Carson McCullers. Napisała to, kiedy miała dwadzieścia trzy lata. Książka jest o młodej dziewczynie... na imię ma Mick... która dorasta w Georgii podczas drugiej wojny światowej.
- Wiem, o czym jest ta książka. Jest o samotności. Uczyłem o niej w szkole.
- Naprawdę? — mówi i w jej umalowanych oczach pojawia się podziw.
- Owszem. Mając za słuchaczy piętnastoletnich wyrostków, którzy nie odróżniają serca od łokcia.
- Naprawdę pan o niej uczył?
- Zgadza się.
- Ale czy pan ją przeczytał?
- Co pani ma na myśli?
- Chodzi mi o to, czy pan ją pokochał? Czy coś dla pana znaczy?
- No cóż, moim zdaniem fabuła jest nieco...
- Bo dla mnie ta książka jest o tym, jak życie może cię oszukać.
- Cóż, głównym tematem książki...
- Niech pan spojrzy na Mick. Na początku ma tyle marzeń, tyle planów. Chce podróżować po świecie. Chce zostać piosenkarką. Chce się wyrwać z tego małego miasteczka. Wszystko ją podnieca. A potem zostaje oszukana.
- Oszukana?
- Oszukana. Ile ma lat pod koniec książki? Szesnaście? Piętnaście? Zatrudnia się w Woolworth, bo jej rodzina jest taka biedna. I wie już, że żadne z jej marzeń się nie spełni. Mick została oszukana. — Moja rozmówczyni uśmiecha się i potrząsa głową. — Kurczę! Przerabiał pan tę książkę w szkole. Nie-wiarygodne.
- Swoją drogą, jestem Alfie.
- Jackie Day — przedstawia się, wstając.

A potem robi rzecz, która uświadamia mi, że nie jest wcale nauczycielką.

Podchodzi do stojącej w kącie szafki, przez chwilę czegoś w niej szuka, po czym wraca do mnie w żółtych rękawicach. Dlaczego ma zamiar uczyć cudzoziemców angielskiego w żółtych rękawicach?

Następnie wkłada niebieski nylonowy fartuch, podobny trochę do tego, jaki moja mama nosi w Szkole imienia Nelsona Mandeli, i staje przede mną z wiadrem w jednej i butelką płynu dezynfekcyjnego w drugiej ręce.

Przypomina to trochę przemianę Clarka Kenta w Supermana.

Zakładając, że Supermanem jest sprzątaczką.

Wyciągnęli mnie z morza i podali tlen na pokładzie łodzi. Pamiętam dobiegające z radia głosy w języku tagalog i warkot uruchamianego silnika. Ktoś mówił coś o komorze dekompresyjnej w Cebu. Musieli dowieźć mnie do komory dekompresyjnej. Wynurzyłem się zbyt szybko ze zbyt dużej głębokości. W moim ciele i krwi było zbyt wiele pęcherzyków azotu, chociaż na razie ich nie czułem. Nie ulegało kwestii, że zachoruję. Zachoruję na chorobę dekompresyjną.

Pamiętam, że leżałem na plecach z maską tlenową na ustach i deszcz siekł mnie po twarzy. Kiedy próbowałem usiąść i powiedzieć im, żeby poczekali na Rose, plecy przeszył mi potworny ból i głośno zapłakałem. Nigdy jeszcze nic mnie tak nie bolało. Wszystkie kontury były rozmazane przez łzy i pozostały rozmazane nawet wtedy, gdy przestałem płakać. Z każdą sekundą pogarszał mi się wzrok. Kręciło mi się w głowie, było mi niedobrze i odczuwałem mrowiący ból we wszystkich stawach, zwłaszcza w karku, ramionach i plecach, ale ze wszystkich tych objawów najbardziej bałem się utraty wzroku. Bardzo szybko ślepełem. Kiedy dotarliśmy do Cebu, nie otwierałem w ogóle oczu, ponieważ ciemność mnie przerażała, po prostu przerażała.

Przymocowanego do noszy przetransportowano mnie na pomost i do ambulansu. W tym momencie nie mogłem już poruszać nogami. Właściwie nawet ich nie czułem. Miałem wrażenie, jakby ktoś walił mnie w głowę młotkiem. Jakiś głos mówił coś o zatorze powietrznym. W podstawie mojego mózgu był mały pęcherzyk powietrza i dlatego nie czułem nóg. Zator powietrzny. Jezu. Pamiętam, że dalej nie otwierałem oczu. Pamiętam, że się modliłem. Mimo że straciłem wszystko, co było dla mnie ważne, nie chciałem umrzeć. Bardzo się bałem.

Ambulans przebiegał się powoli z wyjącą syreną przez zatłoczone filipińskie ulice. W miejscu przeznaczenia usłyszałem podniecone głosy w tagalog i w języku angielskim. Niesiono mnie przez zatłoczone korytarze. W końcu znaleźliśmy się w pomieszczeniu, które przypominało chłodny podziemny grobowiec. Pamiętam odgłos otwieranych, a potem, gdy wniesiono mnie do środka, zamykanych ciężkich metalowych drzwi. Pamiętam, że czułem się, jakby złożono mnie w bankowym sejfie. To była komora dekompresyjna.

Ktoś był razem ze mną. Kobieta. Filipinka w średnim wieku. Trzymała mnie za rękę, gładziła po twarzy i powtarzała w języku angielskim, który znała całkiem dobrze, że jestem bardzo chory, ale wszystko będzie dobrze. Obiecała, że ze mną zostanie.

W komorze pachniało stęchlizną i wilgocią. Wszystko spowijała czern. Zastanawiałem się, po czym człowiek poznaje, że umarł, i czy można pomylić śmierć z czymś innym. Pamiętam, że wciąż myślałem, że już nie żyję. A potem, po niewyobrażalnie długim czasie, w komorze pojawiły się cienie i poczułem mrowienie w nogach.

Kobieta trzymająca mnie za rękę powiedziała, że świetnie mi idzie, ale że potrzebuję specjalnego zastrzyku, żeby zahamować powiększanie się pęcherzyka powietrza w mózgu. Zastrzyku sterydów. Kobieta roześmiała się nerwowo i oznajmiła, że do tej pory robiła zastrzyki wyłącznie pomarańczom.

Zaglądający do środka przez małe okienka ludzie mówili jej, co ma robić. Słyszałem podniecone głosy w tagalog, ale język tagalog zawsze brzmi, jakby mówiący nim byli podnieceni.

Szczerze mówiąc, igła w rękach kobiety, która ćwiczyła dotąd zastrzyki wyłącznie na pomarańczach, wydawała się najmniejszym z moich problemów. I po wszystkich tych przygotowaniach, nerwach i podnieconych głosach zastrzyk okazał się mało bolesny — niczym ukąszenie komara dla kogoś, kto doznał przed chwilą ciężkiego nokautu.

Pamiętam, że moja towarzyszka w ogóle nie spała. Stale mnie pocieszała i była taka miła, że chciało mi się płakać. Powoli zaczęłam odzyskiwać wzrok.

I zobaczyłem, że jest drobną kobietą w wieku mojej matki.

Przez ostatnie dziesięć godzin w komorze dekompresyjnej mieliśmy na ustach specjalne maski tlenowe i kobieta ścisnęła moją dłoń za każdym razem, kiedy musiałem wziąć oddech. To właśnie musiała robić, ta kobieta, która uratowała mi życie. Musiała mi przypominać, żebym wziął kolejny oddech.

Siedzieliśmy w komorze dekompresyjnej przez dwa dni i dwie noce. Choroba powoli ustępowała. Jednak czasami wydaje mi się, że nie udało im się wyleczyć mnie do końca. Czasami wydaje mi się, że choroba, na którą zapadłem tamtego dnia, nie skończy się dopóty, dopóki żyję.

Dziwne, jak wielką lukę może spowodować w czyimś życiu utrata jednej osoby. Ta luka, którą po sobie zostawiają, nie ma rozmiarów innej ludzkiej istoty.

Ta luka jest tak wielka, że mógłby się w niej zmieścić cały świat.

Powinienem częściej wychodzić z domu. Naprawdę powinienem. Nie codziennie. Jest jeszcze za wcześnie, żeby codziennie wychodzić z domu. Zawsze będzie na to za wcześnie. Czasami jednak powinienem wyjść.

Za tysiąc lat będę gotów wyjść gdzieś do klubu. Zapiszę to w pamiętniku. Mężczyzna ma swoje potrzeby, wicie. Kobieta zresztą też.

Kiedy nie spotykam się z Joshem, a nie spotykam się z nim aż tak często, wieczory spędzam w swoim pokoju, puszczać na mojej miniwieży Sinatrę, na ogół któryś ze wspaniałych albumów wydanych przez Capitol, ale czasami również jakąś płytę wytwórni Reprise z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych — nie tak dobrą oczywiście, ale i nie tak ograną.

Cóż jest takiego w tej muzyce? Lubię te melodyjne kawalki, piosenki takie jak „Come Fly With Me” i „They Can't Take That Away From Me”, albumy takie jak „A Swingin' Affair!” i „Songs For Swingin' Lovers!”. Najbardziej podobają mi się jednak piosenki o nieszczęśliwej miłości. „In the Wee Small Hours”, „Angel Eyes”, „One For My Baby”, „Night and Day”, „My Funny Valentine” i cała reszta.

Słuchając Sinatry, mam wrażenie, że nie jestem jedyną osobą we wszechświecie, która znalazła się nagle w miejscu, o którego istnieniu nie miała wcześniej pojęcia. Słuchając Sinatry, czuję, że nie jestem samotny. Słuchając Sinatry, czuję się w większym stopniu człowiekiem.

Frank nagrywał całe albumy — „Where Are You?”, „No One Cares, Only the Lonely” — o tęsknocie za jakąś kobietą. Hippisom wydaje się, że to oni wymyślili w latach sześćdziesiątych tematyczne albumy, ale Frank Sinatra nagrywał je już w latach pięćdziesiątych. Sinatra może wam o tym wszystkim nawijać przez całą noc, jeśli tego potrzebujecie. A ja tego potrzebuję.

Potrzebuję tej muzyki, tak jak normalni mężczyźni potrzebują jedzenia i futbolu. Sinatra najwyraźniej wskazuje mi drogę, zachęca, żebym zrobił coś ze swoim życiem. Kiedy śpiewa o mijającej miłości, gdzieś między wierszami zawarta jest wzmianka o tej, która dopiero nadejdzie. W tych piosenkach miłość jest niczym autobus. Za parę minut zawsze nadejdzie następna.

Wiem, że to nie tak wyglądało w przypadku samego Sinatry. Przeczytałem wszystkie klasyczne teksty i wiem, że nigdy nie doszedł do siebie po utracie Avy Gardner. Była kobietą, która zawładnęła jego sercem. To jej fotografie darł, wyrzucał, a potem sklejał taśmą. Więc skoro Sinatra nigdy nie doszedł do siebie po utracie Avy, dlaczego ja miałbym dojść do siebie po utracie Rose?

Tak czy inaczej jego muzyka stanowi niewyczerpane źródło pociechy. Sinatra sprawia, że tęsknota za kimś wydaje się szlachetna, heroiczna, uniwersalna. Sprawia, że cierpienie wydaje się czymś, co ma sens. A w realnym świecie cierpienie nie ma sensu. Po prostu doskwiera jak wszyscy diabli.

I jest coś jeszcze. Gdy Sinatra oplakuje miłość, celebruje miłość i spodziewa się miłości, czuję niemal w nozdrzach męski koktajl old holborna i old spice'a z okresu, kiedy dziadek sadzał mnie na kolanach, kiedy świat był jeszcze młody, a życie było przede mną i miałem wrażenie, że wszyscy, których kiedykolwiek kochałem, nigdy nie umrą.

Matka radzi sobie z odejściem ojca, żyjąc dalej tak, jak żyła. Wstaje rano, idzie do Szkoły imienia Nelsona Mandeli i wraca do domu z czułym uśmiechem na twarzy oraz opowieściami o swoich dzieciakach. Zaczyna nawet interesować się ogrodem — w każdym razie uprzęta zniszczenia, których dokonała, kiedy stary sukinsyn ją rzucił. Tak właśnie moja mama reaguje na kryzys.

Nie chodzi o to, że go ignoruje. Nie chce po prostu zmierzyć się z nim twarzą w twarz.

Ja chodzę do pracy, przemierzam uliczki Chinatown i słucham Sinatry. I przez cały czas snuję fantazje o tym, jak to ojciec wraca z kwiatami, jak przeprosza matkę i błaga ją na kolanach o wybaczenie. Nic takiego się nie zdarza.

Nie rozumiem, jak może budować życie z Leną na tak kruchych podstawach. Nie wyobrażam sobie, jak mogą stworzyć

trwały związek, skoro nie mają nawet czajnika. Jestem przekonany, że któregoś ranka zobaczy, jak Lena podryguje na krześle, zjadając na śniadanie dietetyczne otręby, i to doprowadzi go do szału.

Zaczynam sobie jednak uświadamiać, że nawet jeśli ich miłosne gniazdko zajmie ktoś inny, nie oznacza to wcale, że mój stary wróci do domu.

Moi rodzice rozmawiają ze sobą przez telefon. Nie próbuję ich podsłuchiwać, ponieważ są rzeczy między matką a ojcem, wobec których człowiek woli zachować dystans. Wygląda to zawsze tak samo. On dzwoni do niej. Matka milczy długo, podczas gdy on... nie wiem... prosi o zrozumienie? Pyta, kiedy będzie mógł odebrać płyty Steviego Wondera? Pyta, czy mógłby pożyczyć czajnik? Nie wiem, co odpowiada mu na to matka, ale słyszę, jak stara się, by w jej głosie nie zabrzmiała gorycz, uraza ani gniew.

To niemożliwe.

Lubi się zachowywać, jakby nic, co robi ojciec, nie mogło jej zaskoczyć, jakby świetnie go znała i całego tego, trzęsienia ziemi można się było spodziewać po facecie, który pół życia spędził z jedną kobietą. To nieprawda.

Jego nowe życie, które toczy się gdzieś w innej części miasta, jest dla niej niewyobrażalne. Nie rozumie, jakim cudem tam się znalazł, dlaczego to się wydarzyło i kiedy powstała ta luka wielkości całego świata.

Odchodząc od telefonu, uśmiecha się — ten uśmiech jest po to, by ją chronić, sztywny niczym kuloodporna kamizelka.

Matka i ja jemy wczesną kolację w Shanghai Dragon.

To nie jest dla nas zwyczajny wieczór. Z wyjątkiem letnich wakacji — w pensjonatach nadmorskich miast na południu Anglii, kiedy byłem mały, i w turystycznych hotelach Grecji i

Hiszpanii, gdy trochę dorosłem — nie chodziliśmy zbyt często do restauracji. Choć może się to wydawać dziwne u kobiety, która z taką radością karmi codziennie tysiąc nastolatków w szkolnej stołówce, moja matka preferuje domową kuchnię.

Od czasu odejścia ojca je bardzo mało i to mnie niepokoi. Zawsze szczupła — podczas gdy kariera ojca jako dziennikarza sportowego oznaczała stały wzrost obwodu w pasie i rocznie średnio jeden funt wagi więcej — mama robi się coraz bardziej mizerna i ma podkrążone oczy. Wiem, że częściowo wynika to z braku snu, ponieważ słyszę, jak chodzi po domu w środku nocy, podczas gdy ja przewracam się z boku na bok, walcząc z własną samotnością. Wynika to również z faktu, że nie musi już szykować prawdziwych rodzinnych posiłków; nie ma już prawdziwej rodziny.

Mama wydaje się zadowolona, wchodząc po raz pierwszy do Shanghai Dragon.

— Bardzo tu miło, kochanie — mówi, podziwiając pływający w słoiku groteskowo zdeformowany korzeń, który wygląda niczym odrażający rezultat jakiegoś naukowego eksperymentu.

Widzę teraz, że te korzenie stoją we wszystkich zakamarkach Shanghai Dragon. — Naprawdę bardzo miło.

Z kuchni wyłania się Joyce i spogląda na moją matkę, która podziwia to, co znajduje się w słoiku.

— Podoba się?

— Urocze!

— Wie co to?

Matka zerka na słoiki.

— To żeń-szeń, prawda? Prawdziwy żeń-szeń. Nie kapsułki ani tabletki, które kupuje się w aptece.

Joyce uśmiecha się, zadowolona z jej odpowiedzi.

— Żeń-szeń — mówi. — Nie namydlę ci oczu. Tak, żeń-szeń. Dobry na stres. Kiedy twoje ciało zmęczone. Kiedy twoje ciało smutne.

— Przydałoby mi się trochę — stwierdza mama i mam ochotę ją uściskać.

— Proszę — mówi Joyce i wskazując zamaszystym gestem wewnątrz restauracji, zachęca nas, żebyśmy wybrali stolik.

Atmosfera w Shanghai Dragon o szóstej różni się od tej, jaka panuje tu o północy. Nie ma pijaków. Z wyjątkiem mnie i matki nie ma właściwie żadnych gości.

Kiedy jemy kaczkę po pekińsku i naleśniki z dymką, ogórkiem i sosem śliwkowym — mama radzi sobie z pałeczkami o wiele lepiej, niż się spodziewałem — rodzina Changów również pałaszuje kolację przy jednym ze stolików w części, gdzie kupuje się dania na wynos. W Shanghai Dragon wszystkie stoliki z wyjątkiem jednego mają białe obrusy. Stolik bez obrusu to ten, przy którym Changowie jedzą posiłki.

Siedzi tam cała rodzina. George nalewa zupę z kluskami z wielkiej wazy do sześciu mniejszych miseczek. Przy sobie ma wnuki — chłopca po jednej i dziewczynkę po drugiej stronie — które świetnie posługują się pałeczkami, choć te wydają się dla nich o wiele za duże. Ojciec dzieci, pulchny Harold, siorbie zupę, jakby musiał się zmieścić w określonym limicie czasu. Jego żona Doris je wolniej, ale z twarzą tak blisko miski, że ma zaparowane okulary. Joyce wydaje polecenia mężowi, synowi i jego żonie, ale przede wszystkim dwojgu wnukom — w przerwach zaś sprawdza, czy mnie i mojej mamie niczego nie brakuje.

Uświadamiam sobie, jak bardzo zazdroścę Changom. Zazdroścę im bliskości, poczucia przynależności, nienaruszonej jakości życia. Zazdroścę kompletności. Ich widok napędza mnie smutkiem. Chociaż właściwie to nie jest smutek. To coś w rodzaju nostalgii. Ponieważ ja też byłem kiedyś częścią takiej rodziny.

Changowie rozchodzą się, kiedy płacimy rachunek — George i Harold znikają w kuchni, dzieci i Doris w mieszkaniu na górze. Na posterunku zostaje tylko Joyce, by stawić czoło pierwszej wieczornej fali klientów.

Kiedy wychodzimy, wciska matce w ręce brązową papierową

torbę, której zawartość ma stanowić lek na całe zło, które się na nią zważyło. — Prezent ode mnie — mówi Joyce.

Co widziała we mnie Rose? Mogła mieć każdego rasowego bystrzaka ze swojej firmy. Dlaczego wybrała akurat mnie?

Ponieważ jestem miłym facetem. To w zasadzie niezbyt wiele... to brzmi jak coś, o czym kobiety mówią, że tego pragną, po czym wsiadają z umięśnionym ogierem do jego maserati. Rose chciała miłego faceta. I wybrała mnie.

To prawda. Jestem miłym facetem. Zawsze zakochuję się w kobiecie, z którą śpię, nawet wtedy, gdy miłość nie jest ani pożądana, ani w dobrym tonie. Nigdy nie potrafiłem się bzykać bez uczucia. Dużo rzeczy, które robią młodzi mężczyźni, w ogóle o tym nie myśląc, nie mieści mi się po prostu w głowie. Słuchałem za dużo płyt Sinatry. Zawsze wolałem podróż w chmurach od szybkiego numerku. Ponieważ szukałem tej jedynej.

Coś we mnie zobaczyła. Coś, co było warte miłości.

Ale człowiek nie jest wiecznie miły. To tak jak z pieniędzmi i młodością. Odpływają, kiedy jesteś odwrócony plecami. Spójrzcie na mnie teraz. Nie jestem nawet w przybliżeniu taki miły jak kiedyś.

Nie chcę rezygnować z życia, miłości i całej reszty, ale nie mogę na to nic poradzić. To dlatego, że życie, miłość i cała reszta dały mi nieźle w kość. Życie stało się dla mnie rozgrzewką przed śmiercią.

Straciłem wiarę i nie wiem, jak zdołam ją kiedykolwiek odzyskać. Nadal kogoś mi brakuje. Zawsze będzie mi jej brakować.

Czy to w porządku, Rose? Czy to w porządku, że mi ciebie brakuje?

9.

Jest późne popołudnie, jednak prywatny klub wciąż pełen jest rozlanych mężczyzn i twardych kobiet popijających drinki i dyskutujących o projektach, które najprawdopodobniej nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Ojciec robi dokładnie to samo.

Gdyby ktoś mnie pytał o zdanie, nowy romans ojca jest przedsięwzięciem z góry skazanym na niepowodzenie. Mój stary i Lena — coś mi mówi, że to się nie może udać. Takie mam przeczucie.

— Mam nadzieję, że przyjdiesz na ślub — zauważa.

Patrzę, jak chowa się za butelką niegazowanej wody mineralnej w swoim klubie na Soho, nerwowo pogryzając darmowe chrupki. Nie potrafię powiedzieć, czy mnie prowokuje, czy kompletnie znikował.

— O czym ślubie mówisz?

— O moim. O moim ślubie z Leną.

— Aha. Wziąłeś już rozwód?

— Jeszcze nie.

— To może wynajmiesz chociaż adwokata?

— Jeszcze nie.

— Więc może trochę za wcześnie na to, żeby zacząć grać marsz Mendelssohna i sypać konfetti? Może powinieneś się

trochę wstrzymać z wysyłaniem zaproszeń i zamawianiem weselnego tortu?

Ojciec pochyła się do przodu i ścisza głos. Chce, żeby to stało między nami.

— Próbuję cię przekonać, że to poważna sprawa, a ty zachowujesz się, jakby to było coś śmiesznego.

— Jesteś starszym panem, który udaje młodzieniaszka. Czy to nie śmieszne?

— Śmieszne byłoby, gdybym pragnął kobiety w moim wieku. Dlaczego miałbym pragnąć kogoś, kto wygląda tak samo jak ja?

— Chciałeś powiedzieć: jak moja żona?

— Kocham twoją matkę, Alfie. Zawsze ją kochałem i zawsze będę. I zamierzam się nią opiekować.

— Jaki ty jesteś kochany.

— Namiętność umiera. Naprawdę. Nie wierzysz mi, ponieważ nigdy nie miałeś okazji się o tym przekonać.

— Święta racja.

— Przykro mi z tego powodu, Alfie, naprawdę mi przykro. Kochałem Rose. Wiesz o tym.

To prawda. Tato kochał Rose. Na pogrzebie się załamał. Pod sam koniec. Po prostu kompletnie się załamał.

— Namiętność wygasa, Alfie. Zmienia się w coś innego. W przyjaźń. Przywiązanie. Przyzwyczajenie. Niektórym ludziom to starcza. Inni nigdy się tym nie zadowolą.

Proszę o rachunek, mając dosyć tej dyskusji, lecz ojciec upiera się, że to on zapłaci. Cóż za wielkoduszność!

Na ulicy kładzie mi pojednawczo rękę na ramieniu i chociaż nie odwzajemniam w żaden sposób tego gestu, nie mogę nic poradzić na to, że go kocham. Zawsze będzie moim ojcem. Nie mogę liczyć na to, że wymienię go kiedyś na lepszy model. Jestem na niego skazany.

— Chcę po prostu zaznać jeszcze raz szczęścia — mówi. — Czy to takie złe?

Patrzę, jak oddala się wąskimi uliczkami Soho, o dobre

trzydzieści lat starszy od większości ludzi, którzy mitrężą tutaj czas, popijając markową kawę i gapiąc się jeden na drugiego, wszystkich tych nie mających nic do roboty młodzieżowców; patrzę na mojego ojca i robi mi się go strasznie żal.

Chce zaznać jeszcze raz szczęścia.

Czy on o tym nie wie? Czy tego nie pojmuje? Czy mój ojciec niczego nie rozumie?

Szczęścia można zaznać tylko raz.

Pogrzeb wypadł fatalnie.

Bywałem wcześniej na pogrzebach, ale wcale nie były do tego podobne. Pogrzeby moich dwóch dziadków i jednej babci w niczym nie przypominały dnia, w którym pochowaliśmy Rose.

Za młodzi. Nie tylko ona i ja. Za młodzi byli żałobnicy. W większości dwudziestoletni, koledzy ze szkoły i z podwórka, kumple z uniwersytetu i z firmy. Wielu sprawiało wrażenie, jakby uczestniczyli w pogrzebie po raz pierwszy w życiu. Zapewne nie pochowali jeszcze babci ani dziadka. Kilkoro mogło stracić złotą rybkę albo chomika. Byli zszokowani. Nie mieli nawet odpowiednich strojów — byli tak absurdalnie młodzi. Nie wiedzieli, jak się ubrać, jak się zachować, co powiedzieć. To wszystko stało się za wcześnie. Za wcześnie. Wiem, jak się czuli.

Siedziałem w pierwszym samochodzie z matką i ojcem Rose i nie potrafiłem znaleźć słów, by ich pocieszyć, ponieważ takie słowa nie istnieją. Co gorsza, nie było między nami więzi. Zaczynaliśmy już być sobie obcy, zaczynaliśmy się od siebie oddalać. To, co nas wiązało, leżało w jadącym przodem samochodzie, w sosnowej trumnie nakrytej trzema wieńcami z czerwonych róż. Jednym od rodziców Rose, jednym ode mnie i jednym od mojej mamy i taty. Oddzielne wieńce, oddzielny żal.

Orszak dotarł do kościółka na szczycie niewielkiego wznieślenia. Rozciągające się niżej pola Essex rozkwitały żółcią.

Rzepakowe pola. Patrząc na te żółte kwietniowe pola, zawsze myślałem o dniu, w którym pogrzebaliśmy Rose.

Pastor, który w ogóle nie znał Rose, mówił o jej zaletach. Starał się, jak mógł, rozmawiał wcześniej z jej przyjaciółmi, rodzicami i ze mną, i dzięki temu mógł wspomnieć o jej poczuciu humoru, o tym, jaka była ciepła i jak kochała życie. Dopiero gdy na podwyższenie wszedł Josh, zdałem sobie sprawę z tego, co to wszystko znaczy.

— Słowa kanonika Henry'ego Scotta Hollanda — zaczej. — „Śmierć jest w ogóle niczym. Wymknąłem się tylko do sąsiedniego pokoju. Ja jestem mną i ty jesteś sobą. Czymkolwiek dla siebie byliśmy, jesteście tym dalej”.

Trzymałem się jakoś, ponieważ los doświadczył cięższej rodziny Rose, tego cichego mężczyznę i jego miłą żonę, którzy byli tacy dumni ze swojej córki prawnika, tych porządných ludzi, z którymi spędziłem Boże Narodzenie i których prawdopodobnie nie miałem nigdy więcej zobaczyć. Trzymałem się jakoś, ponieważ nie wypadało stawiać wyżej mojej rozpacz. Doznali najgorszej rzeczy, jaka może się komukolwiek przytrafić. Grzebali własne dziecko.

— „Zwracaj się do mnie starym pieszczotliwym imieniem” — ciągnął Josh. — „Mów do mnie, tak jak zawsze mówiłeś. Nie zmieniaj tonu, niech nie będzie przepojony sztuczną powagą ani smutkiem. Śmieję się, tak jak zawsze śmieliśmy się z drobnych żarcików, które nas śmieszyły. Baw się, uśmiechaj, myśl o mnie. Módl się za mnie”.

Nie można było pocieszać się w sposób, w jaki człowiek pociesza się, chowając kogoś pod koniec długiego wspólnego życia. Josh zrobił, co mógł. Ale ten czarny dzień nadszedł o pięćdziesiąt lat za wcześnie. Pogwałcone zostały prawa natury. Chociaż próbowałem znaleźć jakiś sens w słowach, które słyszałem, chociaż powtarzałem sobie, że los doświadczył cięższej jej rodziny, w głowie tłukła mi się tylko jedna samolubna myśl: chcę odzyskać moją żonę.

— „Niechaj moje imię będzie zawsze swojskim imieniem, takim, jakim zawsze było. Niech wypowiedane będzie bez naciśku, bez cienia żaloby. Życie składa się z tego wszystkiego, z czego zawsze się składało. Jest takie samo, jak było — nic nie przerwie jego ciągłości. Czymże innym jest ta śmierć jak nie blahym wypadkiem? Czy mam zniknąć z pamięci tylko dlatego, że usunąłem się z widoku? Ja tylko czekam na ciebie, przez krótką chwilę, gdzieś bardzo blisko, za rogiem. Wszystko jest w porządku”.

Trudny moment nadszedł, kiedy wprowadzano trumnę z kościoła. Czulem na sobie wszystkie te oczy, całe to współczucie, które nie było mi potrzebne. Idąc za trumną, jakoś się trzymałem. Kolejny trudny moment nadszedł, kiedy rodzice Rose zostali przy grobie, a jej najstarsi przyjaciele zaczęli się rozchodzić. Stojąc przy grobie, jakoś się trzymałem.

Dopiero kiedy kierownik pogrzebu — nie nazywa ich się już grabarzami — wziął mnie na bok i cicho zapytał, czy mają pochować wieńce razem z trumną, czy też położyć je na grobie, coś we mnie pękło.

— Wszystko razem z nią. Pochowajcie wszystko razem z nią — powiedziałem i z oczu pociekły mi nagle bezradne łzy.

Nie opłakiwałem siebie ani jej rodziców, ani nawet samej Rose. Opłakiwałem nasze dzieci, te dzieci, które nigdy nie miały się urodzić.

Wchodząc do mojej babci, jestem zawsze lekko zaskoczony. Jej mieszczące się w domu spokojnej starości samodzielne mieszkanko urządzone jest w minimalistycznym stylu, który bardziej pasowałby do kawiarni względnie galerii sztuki — same białe ściany i kremowe płaszczyzny, studium nowomodnej pustki. Damien Hirst czułby się u mojej babci jak w domu. Spojrzałby tylko raz na to wnętrze, przekroił ją na pół i wsadził do słoja z formaliną.

Nie wynika to z faktu, że babcia stara się dotrzymać kroku aktualnym trendom w projektowaniu wnętrz. Przed kilkoma laty zmęczyły ją schody w domu, w którym przeżyła przeszło pół wieku, w tym słynnym, opisywanym w „Pomarańczach na Boże Narodzenie” bandžo na East Endzie, i rada miejska przeniosła ją w to miejsce. Babcia nie chciała wprowadzać się do moich rodziców.

— Cenię sobie swoją wolność, kochanie — powiedziała mi.

Fonia w telewizorze jest ściszona i słyszę Sinatrę. To

„Sinatra at the Sands with Count Basie and the Orchestra”, moim zdaniem najlepszy album Franka na żywo. Babcia puszcza płyty Sinatry z przyzwyczajenia. Właściwie nie jest zainteresowana muzyką, ale wiem, że Frank przypomina jej dziadka. Choć w gruncie rzeczy kiedy słucha Sinatry śpiewającego „You Make Me Feel So Young”, „Fly Me to the Moon” i „The Shadow of Your Smile”, nie chodzi jej tylko o to, żeby go sobie przypomnieć. To coś w rodzaju komunii.

Na kominku, pośród wszystkich cudzych pamiątek z wakacji — babcia uwielbia hiszpańskie osiołki szczerzące zęby i krasnali lypiących chytrze okiem — stoi dużo rodzinnych fotografii. Rose i ja w dniu ślubu. Ja jako dziecko. Moi rodzice w dniu ich ślubu. Jej własne ślubne zdjęcie — ma na nim czarne włosy i uśmiecha się, piękna młoda promienna kobieta, wsparta o ramię męża, mojego dziadka. Jednak białe mieszkanie pozostaje uparcie obojętne na wszystkie te oznaki życia. Babcia nie miała dość czasu, by wycisnąć tu piętno swojej osobowości, tak jak to uczyniła w poprzednim domu. Patrząc, jak krząta się po kuchni, przygotowując nam herbatę — nie pozwala mi się tym zająć, ponieważ jestem gościem — zastanawiam się, czy zdąży to zrobić.

— Był tutaj — mówi. — Wczoraj. Ze swoją flamą.

Z jakiegoś powodu wprawia mnie to w osłupienie.

— Tato?

Babcia kiwa głową, ponuro się uśmiechając.

- Z nią. Ze swoją flamą.
- Przyprowałził Lene? Tutaj?
- Swoją flamę. Swoją kokotę. Lalunię. Lubą. Swoją cizię.

Cieszę się, że babcia nie wspiera syna w demontażu naszej małej rodziny. Wciąż zachodzi do nas w niedzielę na lunch. Mama albo ja robimy jej raz w tygodniu zakupy. Rozmawiamy codziennie przez telefon, nawet kiedy nie mamy sobie wiele do powiedzenia. Wszyscy udajemy, że nasza rodzina nadal normalnie funkcjonuje, i to udawanie przynosi mi ulgę. Ale coś sprawia, że nie potakuję z uśmiechem, gdy babcia obrzuca Lenę wyzwiskami.

— Jeszcze niedawno naprawdę ją lubiłaś — stwierdzam. — Mówię o Lenie. Twoim zdaniem była w porządku.

Babcia parska pogardliwym śmiechem.

— Jest dość młoda, żeby być jego córką. I co oni teraz zrobią? Będą mieli dziecko? — Kolejne parsknięcie. — Nie potrafi go wychować. Stary cap. Chcesz biskopta?

— Nie, dziękuję, babciu.

— Z czekoladą czy z kremem Custard?

— Naprawdę dziękuję.

— Przyniosę parę na wypadek, gdybyś zmienił zdanie. W tym małżeństwie nie układało się od czasu jej ostatniej nieudanej ciąży. No wiesz. Poronienia. Zmiękną, jeśli zamoczysz je w herbacie. Dałam ci cukier? Nie pamiętam. — Babcia śmieje się wesoło, potrząsając głową. — Przepraszam, Alfie. To ta moja skleroza.

— Czego chciał? — pytam, pomagając jej przenieść herbatę i biskopty na niski stolik przed telewizorem. Nie ma mi za złe, że to robię. — To znaczy, oczywiście chciał się z tobą zobaczyć. Jesteś w końcu jego mamą. Ale czego konkretnie chciał?

— Wytlumaczyć. Chcę ci wszystko wytłumaczyć, oznajmił. I przyprowałził ją ze sobą. Nie mają wstydu. Siedzieli tu, trzymając się za ręce. Jakby się do siebie zalecali. Nie życzę sobie takich rzeczy w moim domu, powiedziałam. Żadnego trzymania

się za rączki. Przynieśli mi bombonierkę Quality Street. A potem ona zjadła czekoladkę z truskawką. Bezczelna. On wie, że lubię truskawki. Mogę jeść tylko miękkie rzeczy.

Domyślam się, że babcia dała nieźle popalić swojemu synowi i jego dziewczynie. Babcia jest bezgranicznie tolerancyjna, kiedy odwiedza moich rodziców. Przyjmuje z łagodnym uśmiechem wszelkiego rodzaju dziwne fenomeny, z którymi nie miała nigdy do czynienia w swoim życiu — gosposie, sprzęt gimnastyczny, zagraniczne jedzenie, książki z list bestsellerów.

W swoim domu to ona ustanawia reguły gry i wymaga ich przestrzegania.

— On mówi, że ją kocha.

— Mężczyźni mówią dużo rzeczy. Nie można wierzyć w to, co mówią. Mężczyźni powiedzą wszystko, żeby tylko dostać to, czego chcą.

— Mówi, że nie wróci do mamy.

— Ja bym go nie przyjęła. Wykopałabym go z domu. Zrobiłabym to, gdyby wrócił. Na miejscu twojej mamy, miałabym nadzieję, że wróci, po to żebym mogła go wykopać. Mówię serio. Wiedziałałam, że coś się kroi. To śmieszne.

„Śmieszne” to jedno z ulubionych słów babci.

— Martwię się o mamę.

— On jest żenujący.

„Żenujące” jest kolejnym. Oba przydają się jej w każdych okolicznościach.

— Bez niego jest kompletnie zagubiona. Udaje, że tak nie jest, ale w rzeczywistości nie ma pojęcia, co ze sobą zrobić. Tyle w niego zainwestowała — mówię.

Babcia już mnie nie słucha. Wyłącza Sinatrę i Counta Basiego i wciska przycisk fonii w telewizorze, autentycznie wciska go z całej siły, jakby nigdy nie nauczyła się korzystać z pilota. Następnie bierze starą puszkę po biszkoptach z obrazkiem kobziarza w spódniczce, wyjmuję z niej los i wpatruje się z

wielkim skupieniem w rozchichotanego faceta, który prowadzi w tym tygodniu losowanie.

Babcia może ze mną chętnie podyskutować na temat cudzołóstwa, poronień oraz kokot.

Jednak tylko pod warunkiem, że nie koliduje to z nadawanym na żywo kolejnym ciągnięciem Loterii Krajowej.

10.

Widywałem ich codziennie, starych Chińczyków ćwiczących w porannej mgle w Kowloon Park, Victoria Park i Chater Gardens. Nigdy jednak nie zwracałem na nich uwagi. Nie dostrzegłem piękna i większego znaczenia w ich niespiesznym balecie. Byli starzy, a ja byłem młody i uważałem, że niczego nie potrafią mnie nauczyć.

Obserwowałem, jak wykonują swoje powolne ćwiczenia — prawie codziennie przez ponad dwa lata — lecz zawsze stanowiło to dla mnie tylko część barwnego tła. *Tai chi*, które oglądałem w Hongkongu, rejestrowałem na tym samym powierzchniowym poziomie co stragany z bezimiennymi ziołami na Ko Shing Street, kadzidła tłące się w świątynnych kamiennych dzbanach przy Hollywood Road, niezliczone doniczki na balkonach dziesięcio-, dwudziesto- i trzydziestopiętrowych bloków mieszkalnych, dyskusje na temat dobrego i złego *feng shui*, prowadzone wśród pracujących w Szkole Językowej Double Fortune kantończyków oraz fałszywe banknoty, które każdego sierpnia palono na ulicy podczas Święta Głodnych Duchów.

Widziałem to wszystko, ale nigdy nie miało to dla mnie znaczenia, co najwyżej przypominało, jak daleko znalazłem się od domu. Było pocztówkami bez żadnej wiadomości na odwrocie.

Ale teraz, kiedy sapiąc i dysząc, truchtam po Highbury Fields, kiedy nie wiem, jak odnaleźć się we własnej skórze, widzę wykonującego *tai chi* George'a Changa i ten starodawny taniec zaczyna mieć dla mnie wreszcie jakiś sens.

Czasami nie jest sam. Czasami ma ze sobą jednego albo dwóch uczniów, jeśli w ogóle można nazwać ich uczniami, te długowłose hippiski i ogolonych (lecz nie w agresywny sposób) facetów w okularach Johna Lennona. Alternatywne typki, myśłę sobie. Uznają tylko to, co organiczne. Nigdy jednak nie wytrzymują z nim długo i właściwie mnie to cieszy.

Najbardziej lubię go oglądać, kiedy jest sam.

Ćwiczy zawsze bardzo wcześnie, w tej przelotnej chwili, kiedy całe miasto wydaje się jeszcze pogrążone we śnie. Wszyscy ludzie nocy — moczymordy, hulaki i swawolnicy — śpią już smacznie w łózkach, lecz ludzie dnia — biegacze, ludzie sukcesu i ranne ptaszki zarabiające po kilkaset tysięcy rocznie — przewracają się jeszcze z boku na bok. Słyszać tylko toczącą się gdzieś po Holloway Road ciężarówkę. Ta chwila nie trwa długo. Mimo to Chang porusza się tak, jakby miał do dyspozycji całą wieczność.

Porusza się tak, jakby jednocześnie zapuścił korzenie w ziemi i znajdował się w stanie nieważkości. Jego ramiona i ręce podnoszą się i opuszczają z prężną gracją skrzydeł, bez żadnego widocznego wysiłku. Kiedy przenosi wagę ciała z jednej nogi na drugą, jego plecy pozostają proste jak drut, głowa zadarta do góry. Nieprzerwana linia biegnie od podstawy kręgosłupa aż do czaszki.

Jest w nim coś, czego nie potrafię nazwać. Z początku wydaje mi się, że to pogoda ducha, ale to coś więcej. To coś więcej niż łagodność. Ta rzecz łączy w sobie spokój i siłę.

Jego twarz jest spokojna, skupiona, opanowana. Tułów wydaje się niesamowicie rozluźniony. Przez cały czas. Może to właśnie przyciągnęło moją uwagę. Nigdy nie widziałem kogoś, kto byłby tak wewnętrznie wyluzowany. Kiedy kończy, podchodzę do niego.

— Dziękuję za tamten wieczór — mówię.
Patrzy na mnie przez sekundę, zastanawiając się, skąd mnie zna.

— Co z nosem pańskiego przyjaciela?

— Cały zabandażowany. Miał pan rację, że trzeba go od razu wyprostować. Dzięki temu o wiele łatwiej było go nastawić.

— Aha. To dobrze.

— Chyba panu o tym nie mówiłem. Mieszkałem kiedyś w Hongkongu. Dopiero od niedawna jestem z powrotem w Londynie.

Znowu podnosi wzrok. Zdaje sobie sprawę, że na coś czeka.

— Byłem tam dwa lata — dodaję. — Pracowałem jako nauczyciel. W szkole językowej. Ożeniłem się.

Kiwa głową, jak mi się wydaje, z aprobatą.

— Z panią z Hongkongu?

— Z Angielką.

Nie mówię mu nic więcej o Rose. Nie opowiadam o tym przez cały czas. Po prostu nie chcę. Historycznie rzecz biorąc, Brytyjczycy są podobno zbyt nieśmiali, żeby opowiadać obcym o swoich najgłębszych, najmroczniejszych uczuciach. Uświadamiam sobie, że to kolejna rzecz — oprócz Terry'ego Wogana puszczającego REM oraz mego ojca zachowującego się jak Rod Stewart — która zmieniła się podczas mojej nieobecności. W dzisiejszych czasach Brytyjczycy nie potrafią przestać gadać o swoich uczuciach.

Może ma to coś wspólnego z księżną Dianą, może to ona skłoniła nas, byśmy zmienili stoicką sztywność na emocjonalne rozchwianie. A może to dziura ozonowa sprawiła, że upodobniłiśmy się do reszty Europy, nie tylko jeśli idzie o pogodę, ale i temperament. Tak czy owak, nasz narodowy charakter z pewnością się zmienił.

Problem nie polega dziś na tym, żeby zmusić Brytyjczyka do mówienia o swoich uczuciach. Problem polega na tym, żeby się w końcu przymknął.

— Widziałem dużo *tai chi* w Hongkongu — mówię. — W parkach.

— Bardzo popularne w Hongkongu. Bardziej niż w Wielkiej Brytanii.

— Owszem. Tak naprawdę nigdy nie potrafiłem zrozumieć, co to daje. To znaczy, wygląda to wspaniale — dodaję szybko. — Zwłaszcza kiedy pan to robi. Ale ja tego po prostu nie pojmowałem.

— *Tai chi* dobre na wiele rzeczy. Na zdrowie. Na stres. Na to, żeby twoje ciało nie było atakowane.

— Ma pan na myśli samoobronę?

— Dużo rodzajów samoobrony. Wiesz? Dużo rodzajów. Można być atakowanym z zewnątrz i od wewnątrz. Na przykład ten zuchwały człowiek, który złamał nos twojemu przyjacielowi.

— Zuchwały człowiek?

— Zuchwały człowiek. Jest również choroba. *Tai chi* dobre na organy wewnętrzne. Na dolegliwości. Wiesz, co znaczy chińskie słowo *chi*?

— Wiem, że oznacza podobno wewnętrzną energię ciała. Jego siłę żywotną.

— Tak.

— Nie sądzę, żebym jakąś miał. Przynajmniej nigdy tego nie czułem.

— Masz jakąś krew w żyłach?

— Co?

— Czy masz krew w żyłach?

— Jasne.

— A czy ją czujesz? — pyta i kiwa z satysfakcją głową. — Oczywiście nie. Tak samo z *chi*. Jest tam. Czy to czujesz, czy nie. *Chi* oznacza powietrze. A także energię. Duch rządzi umysłem. Umysł rządzi *chi*. *Chi* rządzi krwią. *Tai chi* to kontrolowanie twojego *chi*, żeby lepiej żyć. Zwykliśmy mawiać, że każda podróż tysiąca mil zaczyna się od małego kroku. Ten pierwszy krok to *tai chi*.

Kiwam głową na znak, że rozumiem, lecz nagle zaczyna mnie ssać w żołądku. Czując, że wyczerpują się moje siły żywotne, wyciągam z kieszeni dresu snickersa. George Chang mruży oczy.

— Chce pan połowę?

— Dobrze.

Rozpakowuję snickersa, łamię go na pół i wręczam Changowi jego część. Przez kilka sekund żujemy w milczeniu.

— Wolę marsa — mówi z ustami pełnymi czekolady, ziemnych orzeszków i smacznego nugatu. Delektuje się batonikiem Snickers niczym koneser wina zastanawiający się nad bukietem wyjątkowo udanego burgunda. A potem zamyka oczy i wyteęza pamięć.

— Mars... żeby życie miało smak — mówi.

— Co to jest? — pytam. — Jakieś stare chińskie powiedzenie?

George Chan tylko się do mnie uśmiecha.

Przez cały tydzień żeń-szeń stoi w naszej kuchni niczym jakaś nowoczesna rzeźba. Matka i ja wpatrujemy się weń przez długie chwile jak zdezorientowani miłośnicy sztuki szukający znaczenia dzieła, które nie do końca pojmują.

Żeń-szeń wygląda jak warzywo z innej planety. Jest bladobiałe i białe, potwornie okaleczony, cienkie korzenie zwisają z niego niczym macki. Te dyndające pędy upodabniają go trochę do kałamarnicy.

— A ja myślałem, że kupuje się to w aptece — mówię. — W wygodnych, łatwych do przełknięcia kapsułkach.

— Może powinno się go ugotować? — zastanawia się matka.

— No wiesz. Jak marchewkę.

— Jak marchewkę? Oczywiście. To chyba możliwe.

— A może trzeba go posiekać i podsmażyć? Jak cebulę.

— Jak cebulę? Skoro tak, to można go chyba również zjeść na surowo.

Przyglądamy się żeń-szeniowi. To jedyna roślina, jaką znam, która przypomina człowieka-słonia.

— Nie mam na to wielkiej ochoty, kochanie — stwierdza matka.

— Ja też nie. Słuchaj, może zapytamy po prostu Joyce, co mamy z tym zrobić?

— Teraz?

— Czemu nie? Jest dopiero szósta. Restauracja nie jest jeszcze otwarta. Chcesz mieć z niego w końcu jakiś pożytek, prawda?

— Oczywiście, kochanie — odpowiada matka. — Podobno jest bardzo dobry na stres.

W Shanghai Dragon słychać podniesiony głos. Kobięcy głos. Matka i ja wchodzimy do środka po krótkim wahaniu.

W restauracji jest ciemno i zimno. Spodziewaliśmy się zastać całą rodzinę przy stole, z radością siorbiącą zupę z kłuskami. Dzisiaj jednak są tu tylko Joyce i jej mały wnuczek. Jest na niego bardzo zagniewana i strofuje go po angielsku i kantońsku na zmianę.

— Myślisz, że jesteś Anglikiem?! — krzyczy i dodaje kilka słów po kantońsku. — Spójrz na swoją twarz w lustrze! — Znowu potok kantońskich słów. — Spójrz na swoją twarz! Nie jesteś Anglikiem!

Chociaż mały nie może mieć więcej niż pięć lat, ślęczy nad pracą domową, gryzmołąc coś w swoim małym zeszytce. Jego okrągła jak księżyc śliczna twarz jest cała mokra od łez.

— Jesteś Chińczykiem! Masz chińską twarz! Zawsze będziesz miał chińską twarz! — Znowu po kantońsku. — Musisz być mądrzejszy od Anglików!

Joyce spostrzega, że stoimy w progu, i patrzy na nas bez cienia zakłopotania. Właściwie nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ta kobieta była z jakiegokolwiek powodu zakłopotana.

— Cześć! — woła. Nadal jest bardzo podekscytowana. — Nie widziałam was. Nie mam oczu z tyłu twarzy.

— Może to zły moment? — pytam.

— Co? Zły moment? Nie. Uczę po prostu krnąbrnego wnuka, że musi ciężko pracować.

— Wydaje się za młody, żeby odrabiać pracę domową — mówi matka.

— To ojciec zadaje pracę domową. Nie szkoła. W szkole pozwalają im na wszystko. Odpoczywać. Oglądać telewizję. Grać w gry wideo. Po prostu odpoczywać. Jakby byli milionerami. Playboyami. Jakby świat miał głaskać ich po głowie.

— Wiem, wiem — wzdycha mama, patrząc ze współczuciem na dziecko. — Jak masz na imię, kochanie?

Mały nie odpowiada.

— Odpowiedz pani! — wrzeszczy Joyce niczym sierżant, który trafił na nierozgarniętego szeregowca.

— William — mówi chłopiec cienkim zapłakanyim głosem.

— Jak księżę William — dodaje Joyce, po czym czochna jego gęste czarne włosy i szczypte gładki okrągły policzek. — Siostra ma na imię Diana. Jak księżna Diana.

— Urocze imiona — stwierdza matka.

— Zastanawialiśmy się, jak przyrzędzić żeń-szeń — mówię, chcąc się stąd jak najszybciej wynieść. — Jak mamy go zażywać.

— Zażywać? Wiele sposobów. Można go wypić. Jak herbatę. W filiżance milej herbaty. Można go wrzucić do zupy. Jak Koreańczycy. Najłatwiej po prostu posiekać żeń-szeń. Włożyć do garnka, zalać wodą. Zagotować. Niech się gotuje dziesięć minut. Odcedzić. Używać jednej kwarty wody na każdą uncję żeń-szenia.

— To wydaje się dość łatwe — mówi matka, uśmiechając się do Williama.

Chłopiec wpatruje się w nas pustymi zażawionymi oczyma.

— Próbowala pani żeń-szenia? — chce wiedzieć Joyce.

— Jeszcze nie. Dlatego właśnie...

— Jest dla pani dobry. — Joyce wlepia w matkę brązowe płonące oczy. — Zwłaszcza dla kobiet. Starszych pań. Ale nie tylko dla starszych pań. — Spogląda na mnie. — Dobrze dla ciebie, kiedy nie możesz spać. Stale zmęczony. Jesteś... jak to się mówi... trochę rozbolały.

— Obolały.

— Tak. Rozbolały. — Joyce zbliża swoją twarz do mojej. — Wygląda pan trochę rozbolały, mój panie.

— Tego właśnie potrzebuję ! — woła mama, klaszcząc radośnie w dłonie.

Joyce proponuje nam herbatę — nazywają angielską herbatą — lecz my przepraszamy i wychodzimy. Zanim zamkną się za nami drzwi, słyszymy, jak ponownie wrzeszczy na Williama, że ma chińską twarz.

Po raz pierwszy w życiu zdaję sobie sprawę, jak ciężkie życie czeka kogoś, kto chce zostać obywatelem świata.

— Nie mogę długo zostać — oznajmia Josh, gdy spotykamy się w porze lunchu w City, w zatłoczonym pubie, gdzie jestem jedynym facetem nieubranym w garnitur.

— Musisz dodzwonić się do kogoś w Hongkongu, zanim wyjdzie z biura? — pytam.

Jego firma nadal prowadzi interesy w Hongkongu i lubię o tym słuchać. Mam dzięki temu wrażenie, że coś nadal wiąże mnie z tym miejscem. Coś więcej niż wspomnienia.

— Nie. Mam spotkanie z klientką. Powinieneś ją zobaczyć, Alfie. Odlotowa laska, chłopie. Wygląda jak Claudia Schiffer, ale wysławia się jak księżna Windsoru albo ktoś w tym rodzaju. Mucha nie siada. Nie tyle cycki i dupencja, co cycki i klasa. Chyba mam u niej szansę.

— Akurat dla ciebie, Josh. Nauczy cię dobrych manier. Pokaże ci, jakiego użyć widelca. Wskaże, kiedy mówić toaleta, a kiedy sofa. Oduczy wycierania nosa w rękaw. Trzymania węgla w łazience. I tak dalej.

Josh czerwieni się, nie bardzo zadowolony z tego, iż daje do zrozumienia, że nie jest księciem Westminsteru. Na ogół można mu powiedzieć wszystko. Ma skórę grubą jak nosorożec. Nie wolno jednak sugerować, iż nie urodził się ze srebrną łyżką w siedzeniu.

— Przychodzi do biura o drugiej — mówi, zerkając na zegarek. — Nie mogę długo zostać.

Nie czuję się obrażony. Josh często oznajmia, że jest umówiony gdzie indziej, już na samym wstępie naszych spotkań. Zdążyłem się do tego przyzwyczaić.

Zamawiamy curry przy barze i dostrzegam, że obrażenia na jego twarzy są coraz mniej widoczne. Dawno temu zdjął bandaż i trudno poznać, że miał złamany nos. Pod oczyma ma czarne i żółte kręgi, ale wyglądają bardziej jak rezultat bezsennej nocy aniżeli uderzenia głową, które zadał mu pijany skinhead w średnim wieku. Odbieramy nasze curry i znajdujemy zastawiony szkłem stolik w zadymionym kącie pubu.

— Myślałeś kiedyś o tamtym wieczorze? — pytam.

— Jakim wieczorze?

— No wiesz. O wieczorze w Shanghai Dragon. Kiedy ten facet złamał ci nos. Kiedy ja oberwałem po zębach.

— Próbuję o tym nie myśleć.

— A ja myślę o tym przez cały czas. Nie bardzo rozumiem, co się wtedy wydarzyło.

— Atak z zaskoczenia. Nie byłem przygotowany. Pearl Harbor i tak dalej. Gruby sukinsyn. Powinienem wezwać policję.

— Nie mówię o tym, co się nam przytrafiło. Mówię o tym starym Chińczyku. Co jemu się przytrafiło.

— Nic mu się nie przytrafiło. Kiedy się pojawił, było już po wszystkim.

Potrząsam głową.

— Ten facet... ten gruby skinhead... miał ochotę dokopać każdemu, kto stanie mu na drodze. A potem pojawił się ten stary Chińczyk. I skinhead zrejterował. Nie pojmwiałem tego. Nadal nie pojmuję.

— Nie ma w tym nic dziwnego — oznajmia z pełnymi ustami Josh. — Skinhead myślał pewnie, że Charlie Chan ma na zapleczu pięćdziesięciu swoich uzbrojonych w maczety krewnych. Pospiesz się. Nie mam dużo czasu. Jedz curry, zanim ostygnie.

— Nie, to nie to. W każdym razie moim zdaniem. Rzecz w tym, że ten Chińczyk był... sam nie wiem... absolutnie wyluzowany. To było widoczne. Wcale się nie bał. Nie bał się młodszego, o wiele większego faceta, który był gotów dokopać każdemu. Po prostu się go nie bał. I skinhead wyczuł to. Nie było w nim lęku.

Josh parska śmiechem.

— Poczuleś drżenie Mocy, Alfie? Wyczułeś, że Moc jest silna w tym starym kucharzu? Poznałeś kiedyś lepiej tajemnice Wschodu?

— Mówię tylko, że wcale się nie bał. To wszystko. A powinien się bać.

Josh już mnie nie słucha. Zmiata szybko curry, myśląc o jasnowłosej, wysoko urodzonej klientce, która przyjdzie do jego biura o drugiej. Dumając, jakie ma u niej szanse. Lecz ja nadal chcę mu koniecznie coś wyjaśnić.

— Pomyślałem sobie po prostu, jakie to musi być wspaniałe — przeżyć życie bez lęku. Wyobraź sobie, jakie to musi być wyzwalające uczucie, Josh. Jak bardzo czujesz się dzięki temu wolny. Jeśli niczego się nie boisz, to nie sposób cię zranić, prawda?

— Pod warunkiem, że masz kij baseballowy — odpowiada Josh. — Co słyhać u twojego starego? Nadal mieszka z tą Miss Szwecji?

— Z Miss Czech. Odszedł na dobre. Nie mam co do tego cienia wątpliwości.

Josh potrząsa głową.

— Powinieneś chylić przed nim czoło. Przygruchać sobie w tym wieku taką panienkę. Nie można zbyć czegoś takiego pogardliwym parsknięciem.

— Nie chcę mieć za ojca starego jebaki. Nikt nie chce. Wszyscy podziwiają Hugh Hefnera. Wszyscy lubią starszego pana, który potrafi się zabawić. Ale nikt nie chce go mieć za ojca.

— To chyba nie najlepszy wzór do naśladowania. Facet, który posuwa własną gospozię.

— Nie musi być wzorem do naśladowania. Chcę od niego po prostu trochę stabilności. Trochę spokoju i ciszy. Czy nie tego właśnie wszyscy pragną od swoich rodziców? To najlepsza rzecz, jaką mogą ci zaoferować: żebyś się za nich nie wstydził. Nie chcę, żeby mój tato uganiał się za młodymi Czeszkami i rzeźbił bicepsy na siłowni. Chcę, żeby myślał o czymś innym. Jego czas minął. Powinien to zrozumieć. Mógł się wyszaleć w młodości. Dzisiaj nikt już nie chce być stary, prawda?

— Jeśli tylko może temu zaradzić.

— Nikt nie chce usunąć się z drogi, ustąpić miejsca następnemu pokoleniu.

— A co jest w tym złego?

— To naigrawanie się z przeszłości. Za każdym razem, gdy zaczynasz od nowa, pomniejszasz to, co przeżyłeś wcześniej. Nie widzisz tego? W ten sposób kroisz jakby swoje życie na małe kęsy. Jeśli masz nieograniczoną liczbę podejść, to nigdy nie postąpisz tak, jak trzeba. Nawet raz. Ponieważ ciągle zaczynanie wszystkiego od nowa zmienia najlepszą rzecz na świecie w kolejne danie na wynos. Szybka miłość. Gówniana miłość. Miłość do wyrzucenia.

— A ty nie chcesz jeszcze jednej szansy, Alfie?

— Ja już miałem swoją szansę.

11.

W pokoju nauczycielskim zastaje Jackie Day. W jednej ręce trzyma wiadro, w drugiej egzemplarz powieści „Serce to samotny myśliwy”. Ma na sobie kombinezon — żółte rękawice, niebieski nylonowy fartuch, płaskie buty, w których sprząta — ale najwyraźniej nie kwapi się do pracy. Dochodzi dziewiąta, a ona nadal trzyma nos w książce.

— Jak się miewa Mick? — pytam. — Nie przestaje marzyć?

— Cześć — mówi, nie podnosząc wzroku.

Do pokoju wchodzi Lubieźny Lenny. To jeden z tych niskich, grubych mężczyzn, którzy zachowują się, jakby byli wysokimi, szczupłymi kawalerami do wzięcia. Lenny, podobnie jak ja, wyjechał w swoim czasie z kraju, by uczyć angielskiego w Azji — w jego przypadku w Manili i Bangkoku. Coś się w nim tam popsulo. Ma w sobie tę miękką rozlazłość, której nabywają Europejczycy, kiedy przebywają zbyt długo w tropikach — albo przesiadują zbyt długo w tropikalnych barach. Lenny zaliczył w Azji więcej kobiet, niż kiedykolwiek miał w kraju, i teraz spogląda na nie tak, jak farmer patrzy na swoje krowy. W szkole Churchilla krążą legendy na temat jego lubieżności.

— Widziałeś tę nową polską laskę z kursu dla zaawansowanych początkujących? — pyta mnie, przewracając oczyma. —

Chętnie okazałbym jej trochę solidarności. Jak myślisz, Alfie? Wcale bym się nie pogniewał, gdyby ta mała towarzyszka położyła swoje gorące rączki na moich środkach produkcji.

— Polacy nie są już chyba komunistami, Lenny.

— To urodzona flirciara, nie ma co do tego dwóch zdań — mówi Lubieżny Lenny i spostrzega Jackie. — O, nasze dyżurne dziewczę z Essex. Kłaniam ci się nisko, moje dziecko. — Podchodzi do niej i kładzie zaborczą dłoń na jej ramieniu. — Powiedz, jeśli już to słyszałaś. Dlaczego dziewczęta z Essex nie nawidzą wibratorów? Poddajesz się? Ponieważ...

Jackie zrywa się z płonącym wzrokiem z fotela, wywracając niechcący wiadro.

— Bo poszczerbiły nam się od nich zęby — mówi. — Już to słyszałam, Lenny. To trochę zbyt oczywiste. Dziewczyna z Essex mogłaby użyć wibratora wyłącznie do obciągania. Prawda, Lenny? Chyba stać cię na coś lepszego.

— Spokojnie — mówi Lenny. — To tylko żart.

— A ja słyszałam je wszystkie. Dlaczego dziewczyna z Essex myje włosy w zlewie? Bo przecież tam właśnie myje się warzywa. Co mają wspólnego dziewczyna z Essex i butelka po piwie? No powiedz, Lenny, nie krępuj się.

— Nie wiem — mówi Lenny, drapiąc się w swoją tłustą głowę.

— Obie są puste od szyjki w dół.

— Całkiem zabawne — chichocze Lenny.

Jackie się nie uśmiecha.

— Tak sądzisz? W takim razie ten ci się spodoba. Co mają wspólnego dziewczyna z Essex i samolot?

— Czarne skrzynki — odpowiada Lenny. — Znam tę zagadkę.

— Naprawdę? Założę się, że nie znasz ich tyle co ja. Słyszałam ich mnóstwo, Lenny. Jaka jest różnica między dziewczyną z Essex a komarem? Komar przestaje cię ssać, kiedy walniesz go w głowę. Dlaczego dziewczyny z Essex noszą majtki? Żeby

było im ciepło w kostki. Co zrobić, żeby dziewczynie z Essex zabłyśły oczy? Zaświecić jej w ucho latarką.

Lenny uśmiecha się, ale zaczyna mieć głupią minę. Jackie stoi przed nim, trzymając w dłoni egzemplarz „Serca” i starając się powstrzymać drżenie głosu.

— Znam te wszystkie dowcipy — mówi. — I wiesz co, Lenny? Wcale się z nich nie śmieję.

— Nie musisz się tak jeżyć, kochanie — replikuje obrażonym tonem Lenny. — Nie traktuj tego tak osobiście.

— Wiem, że to nie jest sprawa osobista, Lenny. Wiem nawet, że nie ma nic wspólnego z dziewczynami z Essex. Wiem, że mężczyzna twojego pokroju uważa wszystkie kobiety za głupie kurwy.

— Ja kocham kobiety! — protestuje Lenny i odwraca się do mnie. — Gdybym tylko potrafił to powiedzieć innym tonem niż Julio Iglesias.

— Nie sądzę, żeby ci się udało — bąkam.

— Z tego, co słyszę — wtrąca Jackie — tylko jedna osoba w tym pokoju jest głupią cipą. Ale wiesz co, Lenny? Tą osobą na pewno nie jestem ja.

Co powiedziawszy, wsuwa książkę pod nylonowy fartuch, bierze wiadro i wychodzi.

— Niektórzy ludzie nie znają się po prostu na żartach — skarży się Lubieżny Lenny.

Lena czeka na mnie przy końcu naszej ulicy.

Na rogu jest stary brązowy pub z brudnymi szybami. Mężczyźni z kuflami w rękach gapią się na nią, szczerząc zęby, takując ją wzrokiem i drapiąc się po brzuchach, które prezentują niczym dorodne dynie.

— Alfie.

Mijam ją, nie zwalniając kroku.

— Kiedyś mnie lubieś...

Patrzę na nią, na tę młodą kobietę, która rzuciła urok na mojego ojca, skłoniła go, by przeprowadził się do wynajętego mieszkania, zachęciła, żeby szukał swej młodości na maszynie do wiosłowania, sprawiła, że ściągnął kąpielówki w publicznym miejscu, patrzę i staram się ujrzeć w niej coś śmiesznego. To nie jest łatwe. Ma blond włosy i nogi aż do nieba, lecz wiem, że nie jest idiotką. Wiem, że jest bystra. Czy rzeczywiście jest taka bystra, skoro zamieszkała z moim starym?

Lena nie jest śmieszna. To sytuacja, w której się znalazła, jest śmieszna. To mój ojciec jest absurdalny.

— Nadal cię lubię — mówię.

— Po prostu nie podoba ci się myśl, że ktoś uprawia seks z twoim ojcem. Ktoś oprócz twojej matki.

— Skoro o tym mowa, łącznie z moją matką.

Uśmiechamy się do siebie.

— Nie wiem, co ci powiedzieć, Leno. Trudno cię uważać za przyjaciela rodziny. Moja rodzina jest rozbita.

Spoglądam na nią, próbując sobie wyobrazić, co widzi w niej mój ojciec. Potrafię zrozumieć, że zakochał się w jej twarzy, nogach, ciele. Potrafię zrozumieć, jaka musi być podniecająca po kilkudziesięciu latach małżeństwa. Chyba jednak zdaje sobie sprawę, że pożądam jej, grzeszy zachłannością?

— Powinieneś to zrozumieć, Alfie. Jeśli kogoś kochasz, to chcesz z nim mieszkać.

— Mój ojciec nie ma najmniejszego pojęcia o miłości.

— Dlaczego taki jesteś? Wiem, że żal ci twojej matki. Ale jest coś więcej.

— Chodzi mi o to, że on za dużo chce. Za dużo życia. Przeżył już swoje życie. Powinien się z tym pogodzić.

— Nie można chcieć za dużo życia.

— Można, Leno. Można być żarłokiem życia, tak samo jak można obżerać się jedzeniem, za dużo pić albo zażywać narkotyki. Jeżeli ta historia między wami to coś więcej niż chwilowy

kaprys, jeżeli mój tato naprawdę chce zacząć od nowa, jeżeli to poważna sprawa, w takim razie chce więcej, niż na to zasługuje.

Lena pyta, czy chce się napić kawy, i godzę się przejść na drugą stronę ulicy, do małej włoskiej kawiarni o nazwie Trevi, po prostu żeby nie stać z nią na ulicy. Nie przejmuję się szczerzącymi zęby facetami w pubie. Bardziej obawiam się, że w każdej chwili zza rogu może wyjść moja matka.

— Nie rozumiem po prostu, co ci to daje — mówię, kiedy zamówiliśmy już nasze cappuccino. — Nie masz chyba żadnych problemów z wizą? Może nie pozwalają ci zostać w tym kraju?

— To poniżej pasa.

— Dlaczego? Nawet jeśli lubisz starszych panów, nie musiałś podrywać mojego ojca. Jest w końcu jakaś różnica między starszym panem a kimś, kto stoi jedną nogą nad grobem. Między starością a parkiem jurajskim.

— On jest najlepszą rzeczą, jaka kiedykolwiek mi się przydarzyła. Jest mądry. Miły. Tryska życiem.

— Nie wątpię.

— Tyle wie. Tyle w życiu zobaczył. Uwielbiam jego książkę, „Pomarańcze na Boże Narodzenie”. Jest tak sama jak on. Czula i pełna serca.

— A co będzie z moją matką? Co się z nią stanie? Czy ma zaszyć się w kącie i umrzeć? Czy ona też doznała tej czułości i serca?

— Żal mi twojej matki. Naprawdę. Była dla mnie zawsze bardzo dobra. Ale takie rzeczy się zdarzają. Wiesz o tym. Kiedy dwoje ludzi się w sobie zakochuje, często cierpi na tym ktoś inny.

— Nic z tego nigdy nie wyjdzie. On jest starym człowiekiem. Ty jesteś studentką.

— Już nie jestem studentką. Zrezygnowałam ze studiów. A co to ma do rzeczy?

— Co się stało?

— Przerwałam studia. Będę osobistą asystentką Mike'a.

- Mike nie potrzebuje osobistej asystentki.
- Potrzebuje, Alfie. Ludzie stale do niego dzwonią i proszą, żeby napisał różne rzeczy. Żeby uczestniczył w imprezach. Żeby wystąpił w telewizji albo w radiu.
- Do tego wystarczy automatyczna sekretarka.
- Potrzebuje kogoś, kto będzie go chronił przed zewnętrznym światem. Nie może się skoncentrować. Mogę mu pomóc. Wtedy skupi się na pisaniu. Ja zajmę się całą resztą. To więcej warte niż dyplom. I dzięki temu będziemy bez przerwy razem.
- Brzmi to jak jakiś koszmar.
- Powinieneś się cieszyć, że jesteśmy razem, Alfie. On mnie potrzebuje. A ja potrzebuję jego.
- Oboje potrzebujecie psychiatry. Zwłaszcza ty.
- Starzy ludzie są niesamowici. Byliśmy u twojej babci. Zanieśliśmy jej czekoladki, te, które lubi. Ze staroświeckimi żołnierzami i damami na pudełku. I z jakąś ulicą w nazwie.
- Quality Street. Babcia powiedziała, że wyjadłaś wszystkie miękkie.
- Nie dziwię się, że jesteś na mnie zły.
- Nie jestem na ciebie zły. Żal mi ciebie. Jestem zły na ojca. Ty jesteś niemądra. On jest okrutnym głupim tchórzem.
- Och, Alfie. To wspaniały człowiek.
- Potrząsam głową.
- Robi to tylko dlatego... to znaczy, zakłada z tobą dom... bo nie miał innego wyjścia.
- Doszłoby do tego wcześniej czy później.
- Żonaci mężczyźni tak nie postępują. Żonaci mężczyźni zostają. Zostają w swoich domach tak długo, jak mogą. — Pod stołem dotykam obrączki, którą wciąż noszę. — Tak długo, aż są zmuszeni odejść.

Jedna z moich studentek skarży się na Lubieżnego Lenny'ego. Yumi — młoda Japonka z blond włosami — zostaje po zajęciach i mówi, że Lenny ją napastuje.

— Na korytarzu stara się mnie dotknąć. Powtarza: choć ze mną na drinka, skarbie. Dam ci dodatkowe lekcje, skarbie. Oralne lekcje. Ha, ha, ha. — Yumi potrząsa głową. — Nie chcę, żeby Lubieżny Lenny udzielał mi takich lekcji. Nie jest nawet moim nauczycielem. Ty nim jesteś.

— Nie możesz mu powiedzieć, że nie jesteś zainteresowana?

— Nie słucha mnie.

Ma oczy pełne łez.

— Porozmawiam z nim, dobrze? — mówię i klepię ją po ramieniu.

Podczas przerwy śniadaniowej odnajduję Lenny'ego w pokoju nauczycielskim. Pije rozpuszczalną kawę z Hamiszem, wysportowanym trzydziestolatkiem z Glasgow, który jest zdecydowanie zbyt przystojny, żeby być heteroseksualistą.

— Więc w zasadzie przyjechałeś do Londynu, bo jesteś ciotą? — pyta Lenny.

— Można tak to ująć — odpowiada Hamisz. — Przyjechałem, bo to najlepsze miejsce, żeby prowadzić dyskretnie gejowski tryb życia.

— A czy dyskretnie gejowski tryb życia oznacza, że utrzymujesz trwały związek z jednym partnerem? Czy że każdej nocy dajesz sobie obciągnąć innemu nieznanemu na Hampstead Heath?

— Mogę z tobą zamienić słówko, Lenny? — pytam.

Zabieram go na bok. Lenny od razu obejmuje mnie ramieniem. To bardzo kontaktowy facet. Ale w jego geście jest coś więcej. Wydaje mi się, że autentycznie mnie lubi. Ponieważ ja również uczyłem w Azji, ludzi się, że jesteśmy podobni.

— O co chodzi, staruszku?

— To trochę kłopotliwa sprawa, Lenny. Rozmawiała ze mną jedna ze studentek. Na twój temat. Yumi.

— Ta mała japońska modelka? Miss Toyota tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem? Niezbyt duża, ale na pewno dobra w te klocki.

— Yumi. Ta dziewczyna z blond włosami. Ona twierdzi, Lenny, że niewłaściwie odczytujesz jej sygnały.

— Niewłaściwie odczytuję jej sygnały?

— Jak mam to ująć? Ona nie jest tobą zainteresowana, Lenny. — Monstrualnie wielkie, spocone czoło Lenny'ego całe się marszczy. — Bóg jeden raczy widzieć dlaczego, Len, ale tak to wygląda. Takie już one są. Po prostu nic z tego nie wyjdzie, stary.

— Przepraszam, chłopie — odpowiada w końcu. — Naprawdę. Nie miałem pojęcia, że mała Yumi jest już zajęta.

— To nie o to...

— W morzu pływa wiele rybek — mówi i chichocze w ten charakterystyczny dla Lubieżnego Lenny'ego sposób. — Zarzuć mój monstrualny haczyk gdzie indziej. *No problemo* — dodaje, klepiąc mnie po plecach.

Odwracam się, żeby odejść.

— I wiesz co, Alfie?

— Tak?

— Przeleć ją raz za Lubieżnego Lenny'ego.

Yumi siedzi sama u Eamona de Valery, popijając wodę mineralną przy stoliku w rogu.

— Nie będzie ci się już narzucał — mówię.

— Dziękuję. Postawię ci drinka.

— Nie trzeba, Yumi.

— Ale ja chcę ci postawić.

Podchodzi do kontuaru i przez pół wieczoru przelicza drobne, którymi chce zapłacić. Zazwyczaj trochę zazdroszczę moim uczniom, ale teraz żal mi Yumi. Przejechała pół świata, żeby podszlifować swój angielski, i trafiła na tłustego starego Angoła w rodzaju Lubieżnego Lenny'ego, który proponuje jej oralne lekcje. W końcu wraca, trzymając w obu rękach kufel guinnessa i stawia go przede mną.

— To bardzo zły człowiek — stwierdza. — Wszystkie dziewczęta ze szkoły tak mówią. Z każdą chce bara-bara. Z każdą studentką o ładnej twarzy. I nawet z niektórymi brzydkimi. Jeśli mają duże piersi.

A potem patrzy na mnie tymi swoimi wilgotnymi brązowymi oczyma i uświadamiam sobie, jaki jestem samotny.

— To nie do wiary — mówię. — Jaki nauczyciel mógłby zrobić coś takiego?

12.

Pokój Yumi mieści się przy końcu ciemnego korytarza w dużej zaniedbanej kamienicy, którą przez ostatnie pięćdziesiąt lat dzielono na coraz mniejsze mieszkania. Po drodze słychać muzykę, głosy, śmiech, trzaskanie drzwi, dzwoniące telefony. Kakofonię zbyt wielu ludzi stłoczonych w zbyt małej przestrzeni. Którzy świetnie się bawią. Zdejmujemy buty przy drzwiach i wchodzimy do środka.

Nie ma tu specjalnie na czym zatrzymać oka. W pokoju dominuje wielkie wykuszowe okno, ale widać z niego jakieś złomowisko wypełnione sprasowanymi samochodami. Wytarty dywan wygląda, jakby zdeptała go wędrowna armia studentów. Jedyne ogrzewanie zapewnia elektryczny kominek z dwiema spiralami.

To prawdziwa nora. Jednak nie czuje się tego, ponieważ Yumi udekorowała odłączające tapety zdjęciami z domu. Wszędzie wiszą zrobione polaroidem, zwykłym aparatem oraz w automacie fotografie uśmiechniętych Japonek pokazujących rozwidlone na znak zwycięstwa dwa palce. Jedna z nich, z okrągłą twarzą, na której maluje się nieśmiały uśmiech, występuje na wielu zdjęciach.

— Młodsza siostra — wyjaśnia Yumi.

Jest coś głęboko wzruszającego w tym, jak stara się zmienić

tę zimną wynajętą norę w coś w rodzaju domu. Uzbrojona tylko we wspomnienia i stos fotografii, chce uczynić z niej coś własnego.

Yumi zapala zapachową świecę, nastawia radio na stację nadającą jazz i rozwija dużą karimatę. Rozłożona zajmuje większą część podłogi. Stoimy przez chwilę naprzeciwko siebie i uświadamiam sobie, jaki jestem zdenerwowany.

— Nic nie mam — mówię.

— To nieprawda — odpowiada. — Masz dobre serce. Miły uśmiech. Fajne poczucie humoru.

— Nie, chodzi mi o to, że wiesz, nie mam kondomów.

— Aha. Nie szkodzi. Ja mam kilka. Chyba.

— I z nikim nie byłem — dodaję. — To znaczy, od czasu mojej żony.

Yumi dotyka mojej twarzy.

— Nie szkodzi — mówi. — Cokolwiek się zdarzy, będzie dobrze.

To właśnie chcę usłyszeć. Kocham się z nią tak wolno, jak potrafię, i chociaż z początku jestem oszołomiony tym, jak bardzo różni się od Rose, idzie mi o wiele lepiej, niż mogłem się spodziewać. Ma zaskakująco młode i gibkie ciało i jest słodką i czułą kochanką. Uśmiecha się, widząc, jak bardzo jestem podniecony, ale robi to w sposób, który wcale mnie nie peszy. Wszystko, co robi, wprawia mnie w dobry nastrój.

Potem kładzie głowę na mojej piersi, śmieje się i mówi, że jestem jej ulubionym nauczycielem — *sensei* — po czym tuli się do mnie z siłą, która mnie zdumiewa. Ja też się śmieję, z ulgą i radością, zaskoczony własnym fartem.

W końcu zasypia w moich ramionach, a ja wpatruję się w świeczkę aż do chwili, gdy gaśnie i mały pokoik oświetlają tylko żarzące się spirale elektrycznego kominka. Po dłuższym czasie, szczęśliwszy, niż byłem od dawien dawna, ja też zasypiam.

Tuż przed zapadnięciem w sen spostrzegam dużą czerwoną

waliżę, która stoi w kącie, tak jakby Yumi dopiero co przyjechała albo wkrótce miała wyjechać.

Budzę się, kiedy do pokoju wpada pierwsze światło dnia. Yumi śpi przytulona do mnie. Te niesamowite blond włosy prawie kompletnie zakrywają jej twarz; widać spod nich tylko czubek nosa. Uśmiecham się do siebie. Nie mogę uwierzyć, że jest ze mną.

Delikatnie rozplątuję nasze kończyny, naciągam slipy i wymykam się cicho na korytarz w poszukiwaniu toalety.

Nagle rzuca się na mnie nagi mężczyzna. Tkwiące w zarośniętej twarzy metalowe ćwieki i kółka połyskują groźnie w ciemności. Ma ogoloną głowę. Wielka czarna paszcza rozdziawia się, żeby rozerwać mnie na strzępy.

— Słodki Jezu — mamroczę, odskakując do tyłu.

Ale to tylko ziewnięcie. Facet zamyka usta, mlaska, drapie się po obnażonym kroczu i kilka razy do mnie mruga.

— Nie przeszkadza ci, jeśli ja pierwszy skorzystam, człowieku? — pyta z australijskim akcentem. — Miałem ciężką noc.

Rozdygotany, opieram się o obłazący tynk, próbując uspokoić wściekle bijące serce. Facet spuszcza wodę, wyłazi z łazienki i znika w mroku.

Kiedy wracam na materac, Yumi przeciąga się, ciepła jak grzanka i gładka jak lody, a ja próbuję opowiedzieć, jaką miałem straszną wizję.

— Aha — mruczy sennie — to sublokator.

Spędzamy idealny weekend. Takie chwile najbardziej lubię — jednocześnie zwyczajne i wyjątkowe.

Budzimy się późno i Yumi oświadcza, że zrobi śniadanie. Ale ktoś — moim zdaniem najprawdopodobniej lokator z podziurawioną kółkami gębą — ukradł jej pieczywo, a mleko, które powinno być jeszcze dobre, skwaśniało. W związku z tym po wspólnym przysnucu — wydaje się to dobrym pomysłem,

lecz jesteśmy w stosunku do siebie zaskakująco nieśmiali — idziemy do małej kafejki przy końcu ulicy i zamawiamy solidne angielskie śniadanie. Wieki trwa, nim Yumi zmiecie do czysta smażony boczek, jajka i frytki.

Po południu wałęsamy się po targu w Camden. Yumi uwielbia oglądać używane ciuchy, a ja cieszę się, widząc, jaka jest szczęśliwa.

Trzymamy się za ręce, a ona całuje mnie lekko, kiedy się tego zupełnie nie spodziewam. Zauważam teraz u niej rzeczy, na które w ogóle nie zwracałem uwagi w szkole. Ubiera się nieco ekstrawagancko — dziś włożyła starą suknię, która wygląda, jakby należała niegdyś do Zeldy Fitzgerald — a jej grzywa farbowanych blond włosów przyciąga wiele spojrzeń. Ale ja i tak jestem dumny z tego, że z nią idę. Jest wspaniałą dziewczyną, wesołą i mądrą, i popijając z nią latte w małej kafejce, słucham, jak opowiada mi o swojej rodzinie w Osace.

Jej ojciec był przedstawicielem handlowym w dużej korporacji, ale stracił pracę podczas recesji. Nagle okazało się, że matka — typowa japońska kura domowa — musi utrzymywać całą rodzinę ze swojej pensji sekretarki. Siostra jest wybitną skrzypaczką i rodzice zawsze bardziej ją lubili, ponieważ nigdy nie farbowała włosów i nie chodziła z chłopakami, którzy je farbują. Yumi twierdzi, że przyjechała do Londynu, ponieważ życie w Japonii było podobne do sztuki, w której wszyscy znali na pamięć swoje role. Wszyscy oprócz niej.

Ja opowiadałem jej o sobie. Chcę tego. Mówię jej o tym, jak uczyłem w Londynie, a potem przenieśliśmy się do Hongkongu i spotkałem Rose. Opowiadałem, jak ją straciłem, o całym wypadku, a Yumi trzyma mnie za rękę i w jej brązowych oczach pojawiają się łzy. Opowiadałem jej nawet o moim ojcu i jego dziewczynie.

A potem przypominam sobie nagle, że muszę kupić kilka rzeczy dla babci. Oczekuję, że Yumi wróci do domu albo pójdzie gdzieś indziej, lecz ona oświadcza, że zrobi zakupy ze mną. Odnajdujemy więc supermarket i kupuję babci to, co zawsze w sobotę: biały chleb, masło roślinne, pieczoną fasolę, wołowinę

w puszcze, konserwową szynkę, boczek, cukier, mleko, herbatę w saszetkach, krem Custard, czekoladowe biszkopty, pierniczki i jednego banana. Ten jeden banan zawsze porusza moje serce. To dla mnie coś więcej niż lista zakupów dla starszej osoby. To lista zakupów sprzed wielu lat.

Babcia, która zawsze lubi oglądać nowe twarze, wita Yumi z otwartymi rękoma. Słuchając „A Swingin' Affair!” Sinatry — według mnie najlepszego albumu Franka, chociaż tradycyjnie będą oczywiście zawsze wymieniać „Songs For Swingin' Lovers!” — gawędzą ze sobą, podczas gdy ja rozpakowuję torby.

Yumi mówi babci, że naprawdę musi zobaczyć świątynie w Kioto, śnieg na górze Fuji i kwitnące na wiosnę wiśnie. Babcia ze swej strony zapewnia, że postara się jak najszybciej zrealizować wszystkie te postulaty.

— Śliczne zęby — mówi, kiedy Yumi znika w łazience. — To chyba przez ten ryż. Mówiłeś, że skąd ona jest, kochanie? Z Chin?

— Z Japonii, babciu.

— Dzisiaj wszyscy znają angielski — stwierdza babcia.

Yumi jest wdzięcznym gościem — dzielnie zajada pierniczki, którymi częstuje ją babcia, i wystukuje stopą rytm do „A Swingin' Affair!”.

— Ach — wzdycha. — Ta stara muzyka.

— Lubisz trochę Sinatrę, prawda, skarbie? — pyta babcia.

Te czule słówka są jej najmiłą cechą. Nawet do kompletnie obcych ludzi zwraca się, używając najmiłszych określeń pod słońcem. Kochanie, skarbie, złotko, kotku. Babcia zwraca się tak do każdego, kogo spotka.

W przypadku Yumi ma się wrażenie, że nie zasługuje na nic innego.

Pod koniec roku moja matka wraca do ogrodu. Sądziłem, że w listopadzie ogród jest martwy, lecz matka oznajmia z radością, że jest mnóstwo rzeczy do zrobienia.

— Nie masz pojęcia o ogrodnictwie — śmieje się. — O tej porze roku trzeba skończyć sadzenie tulipanów i innych wiosennych cebulek. Trzeba oczyścić i zmagazynować wszystkie doniczki i szalki nasienne. I trzeba przygotować ziemię na róże. Wyrwać chwasty, dodać dużo kompostu i nawozów, zasadzić krzaki. — Matka uśmiecha się do mnie. — Wiesz, ile to pracy?

Czasami wracając do domu, widzę, że nie jest sama. Słyszę kantoński dialekt zmieszany z angielskim i domyślam się, że razem z mamą w ogrodzie jest Joyce Chang i jej wnuki. Joyce i mama klęczą ramię przy ramieniu, zaśmiewając się z czegoś i ryjąc palcami w ziemi, a William i Diana solennie zamiatają ostatnie zeschnięte liście miotłami, które są większe od nich.

— Dobry czas na przygotowanie grządek warzywnych — mówi Joyce. — Co słychać w pracy?

— Słucham?

— Jak idzie w szkole? Dobrze płacą? W tym kraju nauczyciele bardzo źle traktowani. Nie ma szacunku dla nauczycieli. W Chinach nauczyciel równy ojcu.

Patrzę z wyrzutem na matkę, ale ona dalej grzebie się w ziemi. Co jeszcze opowiedziała tej kobiecie?

— Praca nauczyciela słabo opłacana, ale pewna — informuje mnie Joyce. — Świat zawsze potrzebuje nauczycieli. Ale praca ciężka. Nie zarobi się na mydło i powidło. — Wbijają swoje guzowate dłonie w ziemię. — Trzeba pomóc matce.

Czy mówi o mnie, o sobie, czy o nas obojgu?

— Listopad — dodaje. — Najlepszy czas na grządki warzywne.

— Joyce pomoże mi założyć warzywnik — mówi mama. — Czy to nie cudowne, kochanie?

Matka robi coś, co zdawało się niemożliwe po odejściu ojca. Przygotowuje się do sadzenia róż. I wiem, że chce, żebym poszedł w jej ślady.

— Cieszę się, że wychodzisz częściej na miasto, kochanie — mówi.

Joyce potakuje, mierząc mnie swoimi bystrymi paciorkowatymi oczyma.

— Powinien się trochę wywietrzyć. Nie ma jeszcze bokobrodów przyprószonych siwizną.

Potrzęsam głową.

— Chciałaś powiedzieć, że powinienem się trochę przewietrzyć. I że nie mam skroni przyprószonych siwizną.

— Dokładnie wiesz, co chciałam powiedzieć, mój panie — mówi i nie sposób odmówić jej racji.

13.

W sobotę wieczorem idziemy potańczyć. Próbuje się jakoś wymigać, ale Yumi stwierdza kategorycznie, że w sobotni wieczór trzeba potańczyć, w związku z czym idziemy do małego klubu w Soho, gdzie muzyka nie jest taka zła, jak sądziłem, a atmosfera nie taka sztywna, jak się obawiałem. I świetnie się bawimy. Nikt nie stara się wyglądać jak z zumała ani nie udaje chojraka. Nikogo nie obchodzi, jak się ubierasz i jak tańczysz. Podskakujemy więc, objamy się o siebie i zanosimy śmiechem, i wkrótce Yumi chce usiąść i uzupełnić niedobór wody w organizmie butelką wody Evian, a ja upieram się, żeby tańczyć dalej.

Późnym wieczorem przenosimy się do restauracji na Brewer Street, gdzie taśmowo podają *sushi*. Siedzi się tam przy długim okrągłym barze, talerzyki przejeżdżają przed oczyma i można się częstować wszystkim, na co człowiekowi przyjdzie ochota. Okazuje się, że tu właśnie pracuje Gen, który podchodzi, żeby się przywitać. Z jakiegoś powodu nie wydaje się wcale zdziwiony, że jestem z Yumi.

Potem Gen wraca do pracy, a Yumi mówi, że Japończycy nie lubią na ogół takich lokali, ponieważ ryba nie jest tak świeża jak wtedy, kiedy przyrządza się ją na zamówienie. Ale mnie bardzo smakuje i opróżniamy cały stos kolorowych talerzyków,

z których na każdym leżą po dwa kawałki tuńczyka, łososia, węgorka, jajka albo dwie krewetki.

W jej mieszkaniu Kochamy się — powoli i sennie, teraz już ze sobą oswojeni — i zbudziwszy się nazajutrz koło południa, wybieramy się na spacer na szczyt Primrose Hill. Jest jeden z tych jasnych zimowych dni i widzimy rozpościerający się pod nami cały Londyn.

— Taka piękna panorama — mówi Yumi.

— Tak — odpowiadam, patrząc na jej twarz. — Taka piękna.

W poniedziałek rano, kiedy matka wychodzi, żeby podawać hamburgery, fasolkę i *tacos* w Średniej Szkole imienia Nelsona Mandeli, w domu zjawia się ojciec.

Właściwie cieszę się, że go widzę. Brakuje mi go. Po prostu brakuje mi jego obecności. Tego, co było kiedyś. Zdaję sobie jednak sprawę, że wybrał tę porę z tchórzostwa, i gardzę nim za to. Siedzę na schodach, kiedy pakuje dwie walizki. Papiery, książki, ubrania. Kasyety wideo, dokumenty, stopy płyt kompaktowych.

Zabiera je, opuszcza nas.

Leżąca na samym szczycie płyta to „Dancing in the Street” — „43 Motown Dance Classics”, okno na świat młodości, optymizmu oraz szczytowej formy, album, który wydaje się zupełnie nie na miejscu i nie na czasie.

— Jak ci idzie książka? — pytam. — Pewnie ją kończysz?

Nie patrząc na mnie, próbuje zamknąć walizkę Samsonite, do której zapakował za dużo rzeczy. Nie będzie mu łatwo zmieścić ją w bagażniku SLK. Nie proponuję, że mu pomogę.

— Książka będzie udana.

— Masz o czym pisać.

— Wydaje ci się, że mi łatwo. Ale tak nie jest. Tęsknię za domem. Nie wyobrażasz sobie, jak za nim tęsknię.

— A za nami?

— Jak myślisz? Oczywiście, że za wami tęsknię. Za obojgiem.

- Nie rozumiem tylko, jak to sobie tłumaczysz.
- O czym ty mówisz?
- Mam na myśli twoje odejście. Zadałeś tyle bólu mamie i nie rozumiem, jak możesz z tym żyć. Musisz to jakoś zracjonalizować. Nie wiem jak.
- Lena to wyjątkowa dziewczyna. Właściwie nie dziewczyna. Wyjątkowa młoda kobieta.
- A jeśli nie jest wcale wyjątkowa, tato? Jeśli jest po prostu zwyczajną dziewczyną, tak się składa, że naprawdę ładną? Czy to znaczy, że źle zrobiłeś? Że to wszystko było pomyłką? Czy nadal będziesz uważał, że było warto?
- Lena to o wiele więcej niż ładna buzia. Naprawdę sądzisz, że wyróciłbym do góry nogami mój świat dla ładnej buzi?
- Jak najbardziej.
- Tak czy owak — mówi, zatraskując w końcu samsonite
- cieszę się, że to wszystko ujrzało wreszcie światło dzienne.
- Twój niegrzeczny mały ptaszek?
- Mój związek z Leną. Miałem dosyć tego ukrywania się. To nie mogło wiecznie trwać.
- Więc Lena jest kim? Twoją utrzymanką?
- Boże. Nie. Nie jest z pewnością moją utrzymanką.
- Chyba musisz jej dawać pieniądze? Odpalasz jej trochę kasy, tak czy nie?
- No tak, ale to nie powinno cię w ogóle interesować.
- Za prawo wyłączności.
- To nie jest powód.
- Dajesz jej forszę za prawo wyłączności. Jeśli to nie znaczy, że jest utrzymanką, to kim jest utrzymanka? I widzisz się z nią tylko, kiedy możesz?
- Już nie. — Mój stary spogląda na mnie po raz pierwszy z lekkim zniecierpliwieniem. — Teraz widuję się z nią przez cały czas. Kiedy chcę.
- Prawie skończył się pakować. W domu zostało jeszcze mnóstwo jego rzeczy. Szafy pełne garniturów. Gabinet pełen książek.

Dosyć sprzętu sportowego, żeby wyposażyć niedużą siłownię. Ale to był tylko krótki wypad, żeby zabrać kilka podstawowych rzeczy. Dziś nie czas jeszcze na ostateczny rozrachunek. Teraz chce tylko zabrać świeżą bieliznę i składanki Diany Rose.

— Jak sobie z tym radziłeś? — pytam. — Jak udawało ci się to ukryć? Musiałeś łąać w żywe oczy. Musiałeś udawać, że robisz coś innego, podczas gdy w rzeczywistości spotykałeś się z Leną.

— Uważaj, co mówisz.

— Czy nie czułeś się trochę podle? Kłamiąc w ten sposób?

— Nie było mi łatwo.

— Ale nie brzydziłeś się tym aż tak bardzo, żeby przestać to robić.

— Chyba nie.

— Ona nic nie wiedziała. Mówię o mamie. Niczego nie podejrzewała. Niewiedza to błogosławiony stan, prawda? W każdym razie bardzo niedoceniany.

— Naprawdę muszę już iść.

— Mama ci ufała, ty sukinsynu. Dlatego tak długo uchodziło ci to na sucho. Nie dlatego, że jesteś taki sprytny. Dlatego, że ci ufała. Bo jest miła i dobra. A ty prawdopodobnie nadal uważasz się za porządnego faceta, prawda? Czy mama powinna teraz po prostu zaszyć się w kącie i umrzeć?

— Chryste! Robisz z tego większą aferę niż ona.

Ojciec próbuje wyjść. Zastawiam mu drogę.

— Słuchaj, nie jestem już dzieckiem, rozumiesz?

— Więc przestań zachowywać się jak dziecko.

— Rozumiem, dlaczego miałeś ochotę przespać się z Leną. Rozumiem nawet, dlaczego chciałeś to zrobić więcej niż raz.

— Dziękuję za wyrozumiałość.

— Nie pojmuję tylko, jak mogłeś być taki okrutny.

— Nie chcę być okrutny. Próbuję po prostu dalej żyć. Nigdy nie czułeś czegoś podobnego, Alfie? Że chcesz dalej żyć? — Ojciec potrząsa głową. — Nie. Chyba nie.

Jest jedna rzecz, której nie rozumiem. Co się stanie ze starymi fotografiami? Z tymi wszystkimi starymi fotografiami w albumach, pudełkach na buty i szufladach — dokąd one trafią?

Ojciec nie zabierze ich ze sobą. Nie zasiądzie razem z Leną w swoim wynajętym miłosnym gniazdku i nie będzie ich oglądał. Ona nie ma ochoty oglądać obrazków przedstawiających mnie, moją mamę i tatę nad morzem, w ogrodzie domu, gdzie dorastałem, w balowych kapelusikach podczas wszystkich tych utraconych świąt Bożego Narodzenia.

Te rzeczy nie interesują Leny. Ojca zresztą też. Już nie. Nie chce pamiątek po starym życiu. Chce zacząć nowe.

Stare fotografie nie są również zbyt miłe dla matki. Ona też nie chce ich oglądać. To właśnie najbardziej mnie boli. To, co zrobił ojciec, zatruło nie tylko teraźniejszość. Zatruło również minione lata i teraz nasze szczęście wydaje się niewczesne, nasza niewinność głupia, a wszystko, co było dobre, zostało zdewaluowane.

Nasze balowe kapelusiki, uśmiechnięte twarze w ogrodzie, nasza duma i radość, kiedy ubrani w najlepsze ciuchy bawimy się na weselu kuzynki — jakie to wszystko wydaje się teraz niestosowne. Stare fotografie do niczego się już nie nadają.

Ojciec nie popsuł wyłącznie teraźniejszości. Popsuł również przeszłość.

W drodze do pracy kupuję Yumi kwiaty. Nic ostentacyjnego. Nie chcę przesadzać. Zwykły bukietik tulipanów, który chcę jej dać, kiedy będziemy mieli wolną chwilę.

Jedno mnie dziwi. Yumi zachowuje się tak jak zawsze. To znaczy, jest taka sama jak przedtem — żartuje sobie i wygłasza cięte komentarze na zajęciach, ale pilnie pracuje, odrabia pracę domową, jest dobrą, sumienną uczennicą. Tak samo jak zawsze. Jakby nic się nie wydarzyło. Jakby świat się nie zmienił.

Podczas przerwy na lunch bierze książki i rusza do wyjścia.

— Możemy porozmawiać? — pytam, wyciągając spod biurka tulipany.

— Później — odpowiada, nie patrząc na kwiaty.

Upadam na duchu, lecz ona całuje mnie szybko w policzek, gniotąc lekko tulipany. I to podnosi mnie na duchu.

Pod koniec dnia zabieram kwiaty do Eamona de Valery i stając w progu, widzę, że Yumi siedzi przy barze razem z Imranem. Ruszam w ich stronę, ale potem się zatrzymuję, bo Imran jedną ręką obejmuje ją w szczupłej talii, a drugą klepie po pupie.

Yumi całuje go w usta, po czym ociera się głową o jego ramię jak mała kotka, która nie dostała jeszcze śmietanki, ale spodziewa się, że dostanie ją wkrótce. Tak jak to robiła ze mną. Odwracam się szybko i wychodzę z pubu, ściskając kwiaty tak mocno, że łodygi łamią się w mojej dłoni.

Nagle widzę przy sobie Gena, który spogląda na mnie z troską.

— Ona go lubi — mówi po prostu.

— Nieważne.

Gen wzrusza ramionami.

— Lubi go od dawna. Odkąd zaczął się uczyć w tej szkole. — Gapi się na mnie, zastanawiając się, co jeszcze powiedzieć. — Przykro mi.

— Dzięki, Gen.

— Dobrze się pan czuje?

— Nic mi nie jest.

— Niech pan wejdzie do środka, *sensei*. Napije się guinnessa. Posłucha Corrs.

— Może innym razem.

— W takim razie dobranoc, *sensei*.

— Dobranoc, Gen.

Jaki ty jesteś głupi, mówię sobie, wyrzucając kwiaty do najbliższego kosza. Przez kilka słodkich chwil — tańcząc w tym

małym klubie, w niedzielny ranek na Primrose Hill, kochając się, kiedy na straży stała czerwona walizka — szczerze wierzyłem, że dzwoni do mnie jutrzejszy dzień. Ups, pomyłka.

Widzę ją. To znaczy Rose. Widzę ją na ulicy w Londynie, w miejscu, gdzie nigdy nie powinienem jej zobaczyć.

Jadę taksówką, wracając z West Endu. I nagle widzę Rose. Nie kobietę, która wygląda jak Rose. Rose we własnej osobie — ta sama twarz, ta sama cierpliwa mina, którą zawsze przybierała, czekając na kogoś. Ubranie jest inne, ale to ta sama dziewczyna. I chociaż wiem, że to nie może być ona, przez dłuższą, przyprawiającą o zawrót głowy chwilę naprawdę w to wierzę.

Czeka na przystanku autobusowym. Muszę się hamować, żeby nie kazać kierowcy się zatrzymać i nie pobiec do niej. Wiem, że jeśli się do niej zbliżę, Rose zniknie i zastąpi ją jakaś niedoskonała obca kobieta. To nie jest Rose. Ona odeszła i nigdy już jej nie zobaczę. Przynajmniej na tym świecie.

Czyżbym kontaktował się z umarłymi?

To śmieszne.

Ja nie mam nawet kontaktu z żywymi.

14.

Jest poniedziałek rano i moi uczniowie doprowadzają mnie do szafu.

Zeng drzemie w końcu sali. Imran gapi się na SMS na swojej komórce. Astrud i Vanessa plotkują. Witold próbuje opamnować płacz, Yumi stara się go pocieszyć. Tylko Gen wpatruje się we mnie, jakby czekał, że coś się zaraz wydarzy.

Stoję przed nimi, mając nadzieję, że zauważą moją osobę. Zeng zaczyna chrapać.

Imran wklepuje wiadomość tekstową do komórki. Astrud i Vanessa wybuchają śmiechem. Witold zaczyna płakać i chowa twarz w dłoniach. Yumi obejmuje go ramieniem. Gen odwraca wzrok, jakby się za mnie wstydził.

— No dobrze, kto ma dla mnie pracę domową? — pytam. — Praca domowa. Czy ktoś ją odrobił?

Po tym, jak wiercą się w ławkach i unikają kontaktu wzrokowego, poznaję, że nikt.

Normalnie machnąłbym na to ręką. Dzisiaj brak pracy domowej każe mi się zastanowić, co ja tutaj robię. I co oni tutaj robią.

— Czy ktoś pamięta, co było zadane?

— Wypracowanie w formie dyskursu — odpowiada Yumi,

wręczając Witoldowi chusteczkę. — Podać jakąś informację oraz swoją opinię na jej temat. — Wpatrujemy się w siebie. — W bardzo oficjalnym stylu.

W bardzo oficjalnym stylu. Zgadza się. Nie wiem, czy mówić o nas, czy o wypracowaniu w formie dyskursu.

— Co ci się stało, Witold?

Witold potrząsa swoją pomarszczoną polską głową.

— Nic.

— Nic ci się nie stało?

— Nie.

— Więc dlaczego płaczesz?

Yumi obejmuje go obronnym gestem.

— On tęskni za swoją rodziną — mówi.

Witold zaczyna łkać głośniej. Trzęsą mu się ramiona i cieknie z nosa.

— Za moją żoną. Moimi dziećmi. Moją matką. Są tak daleko — szlocha. — Tutaj jest tak... tak ciężko. Trudno tu wytrzymać. Trudno wytrzymać w Pampas Steak Bar. „Ręce precz od Falklandów, Argolu. Powiedz Maradonie, że utniemy mu ręce, Argolu”.

— Przez dziesięć lat starałeś się o wizę do tego kraju, a teraz tęsknisz za rodziną?

— Tak.

— Cóż, w przyszłości lepiej uważaj, o czym marzysz, Wit. Bo twoje marzenia mogą się spełnić.

Yumi piorunuje mnie wzrokiem.

— On ma prawo tęsknić za rodziną — mówi.

Odpowiadam jej równie ostrym spojrzeniem.

— A ja jako wasz nauczyciel mam prawo do odrobiny szacunku. To oznacza, że w klasie nie będzie załamania nerwowych. To oznacza, że w klasie nie będzie telefonów komórkowych. Dziękuję, Imran. To oznacza, że będziecie traktować tę szkołę jako miejsce, gdzie się uczycie, a nie uderzacie w kimono.

— Uderzacie w kimono? — dziwi się ktoś.

— Nowy idiom — wyjaśnia ktoś inny.

Zeng nadal śpi jak suseł. Kucam przy nim. Ma miękką i gładką skórę z zaledwie kilkoma czarnymi włoskami na górnej wardze. Przysuwam twarz do jego ucha.

— Czy podać do tego frytki? — syczę i Zeng wzdryga się i budzi. Vanessa i Astrud wybuchają śmiechem, lecz zaraz milkną, widząc moją minę.

— Po co przyjechałeś do tego kraju, Zeng?

— Żeby lepiej żyć.

— Jeśli chcesz lepiej żyć, postaraj się nie zasypiać w klasie — mówię z zimnym uśmiechem. — Trochę mniej wysiłku w General Lee's Tasty Tennessee Kitchen. Trochę więcej wysiłku w Międzynarodowej Szkole Językowej Churchilla. Rozumiesz?

— Tak.

A potem każę małym sukinsynom napisać wypracowanie w formie dyskursu. Tematem jest rozwój nauki i technologii i to, czy wpływa on negatywnie, czy pozytywnie na rodzaj ludzki. Kiedy gryzmołą długopisami na kartkach, krążę między ławkami.

— Chcę usłyszeć obie strony sporu — mówię. — Za i przeciw. Negatywy i pozytywy. Przedstawiając różne opinie, użyjcie zwrotów takich jak: „Niektórzy mogliby powiedzieć... inni mogliby dowodzić, że... istnieją jednak pewne zagrożenia, takie jak...”.

Normalnie pytają mnie o radę lub się przekomarzają, lecz dzisiaj są zbyt przestraszeni albo rozeźnieni, żeby prosić o pomoc. A mnie przygnębia myśl, że już mnie nie lubią.

Po dzwonku wszyscy starają się jak najszybciej uciec z klasy. Z wyjątkiem Yumi. Gdy pakuję swoje rzeczy, uświadamiam sobie nagle, że stoi przy moim biurku.

— Nie odgrywaj się na nich — mówi.

Nie patrzę na nią.

— Przepraszam, Alfie.

— Za co przepraszasz? Nie ma za co przepraszać.

— Było mi z tobą dobrze — wyjaśnia — ale mnie przestraszyłeś.

— Jak cię przestraszyłem?

— Kwiatami. Przestraszyły mnie kwiaty. Poczulałam, że chcesz... no nie wiem. Za dużo.

Kończę upychać książki w torbie i zamykam suwak.

— Nie przejmuj się tym — mówię. — To były ostatnie kwiaty.

Josh i jego nowa dziewczyna znajdują się na etapie, gdy chcą podzielić się swoim szczęściem z resztą świata. Nie rozumiem, dlaczego szczęśliwe pary nie mogą być szczęśliwe w domowym zaciszu. Dlaczego chcą, żeby inni zatwierdzili ich szczęście? Czy przypadkiem nie dlatego, że tak naprawdę nie wierzą w to, co im się przytrafiło? Podejrzewają, że to tylko złudzenie? Dlaczego nie mogą po prostu się odpiardolić i zostawić nas w spokoju?

Josh i Tamsin — nowa dziewczyna, jak się okazuje, klientka, do której tak mu było spieszo, kiedy się ostatnim razem spotkaliśmy — wydają przyjęcie u niej w domu. To ich pierwszy bal w charakterze oficjalnej pary, więc nie udaje mi się w żaden sposób wykręcić, choć Bóg mi świadkiem, próbuję. Przedstawiam kilka naprawdę dobrych wymówek, ale Josh stale proponuje nowe daty, chytra sztuka. Mogę co najwyżej powiedzieć: „Odpiardol się, Josh, i zdychaj”. Prawdę mówiąc, nawet się nad tym zastanawiam. Nie mogę jednak tak go potraktować, bo Josh jest moim najlepszym przyjacielem, jedynym ogniwiem, które łączy mnie z przeszłością, i boję się go stracić.

Dlatego któregoś wieczoru staję przed dużym białym domem w Notting Hill, trzymając w ręku butelkę czegoś wytrawnego i białego, i wpuszczają mnie na trzecie piętro. Jestem trochę wytrącony z równowagi, ponieważ widziałem w metrze kogoś, kto czytał tanie wydanie „Pomarańczy na Boże Narodzenie”.

To zawsze robi na mnie dziwne wrażenie. Zwłaszcza gdy ktoś taki zaczyna się śmiać z jednej z przezabawnych anegdot mojego ojca na temat cudownej nędzy i wyrzeczeń, jakie cierpieliśmy na East Endzie.

Josh otwiera drzwi i wpuszcza mnie do małego ekskluzywnego apartamentu. Podłoga wyłożona jest polerowanymi na wysoki połysk drewnianymi deskami, na ścianach wiszą oprawione w czarne ramy japońskie grafiki przedstawiające kościastych wieśniaków, którzy mozolą się na tle deszczowego krajobrazu. Prostokątny szklany stół nakryty jest na sześć osób. Mieszkanie ma w sobie coś z kostnicy.

Josh nie włożył krawata — oczywisty znak, że nie jest na służbie. Szczercząc zęby, wali mnie w plecy, bardzo z siebie zadowolony. Ma w sobie ten blask, który promieniuje z człowieka, gdy się ciężko zabuja.

Czuję zapach pieczonej ryby z cytryną. Woń jedzenia jest tu jedyną oznaką ludzkiego życia. Z kuchni wylania się bosonoga blondynka, wycierając ręce i zmierzając w moją stronę.

— Coś miło pachnie — stwierdzam. — I to nie jestem ja.

— Alfie — mówi Tamsin, całując mnie w oba policzki — wiem, że to banał, ale naprawdę mnóstwo o tobie słyszałam.

Rozumiem teraz, dlaczego mój przyjaciel szaleje na jej punkcie. Tamsin ma w sobie luz, który mi się naprawdę podoba, i podczas gdy Josh krząta się przy deserze, który ma zamiar własnoręcznie przyrządzić, udając oświeconego mężczyznę, co jest dowcipem stulecia, ona i ja siadamy na sofie i opowiadam jej o tym, jak jechałem tu metrem i jak dziwnie się poczułem, widząc kogoś, kto czytał książkę mojego ojca.

— Och, uwielbiam tę książkę! — woła Tamsin. — Jest taka ciepła, wesoła i prawdziwa!

— Najciekawsze — mówię — że mój ojciec wcale taki nie jest. Ciepły. Wesoły. Prawdziwy. Wprost przeciwnie. Jest raczej zimny, mało zabawny i fałszywy. W gruncie rzeczy to kompletny...

Josh podsuwa mi pod nos miskę z chrupkami.

— Z serem i cebulą, czy o smaku barbecue? — pyta.

Po jakimś czasie otwiera szampana, a Tamsin opowiada mi o swojej pracy. Z tego, co rozumiem, zajmuje jakąś ważną funkcję w banku handlowym i przysłała do Josha, żeby zasięgnąć jego rady na temat wchodzącego na rynek przedsiębiorstwa.

— Nasza kancelaria należy do najbardziej doświadczonych w Europie, jeśli idzie o finansowanie korporacji — chwali się Josh.

Tamsin patrzy na niego z podziwem. Rozumiem, dlaczego są szczęśliwi, i dobrze się bawimy aż do pojawienia się innych gości.

Od tej chwili wszystko zaczyna iść w bardzo złym kierunku.

Najpierw przybywa para. To jeden z kolegów Josha, grający z nim w rugby i pracujący w tej samej kancelarii, wraz ze swoją zarozumiałą, chudą jak patyk żoną. Dan i India. Wparowują do środka i podczas gdy Josh nalewa szampana, oni zachowują się tak, jakby to było ich mieszkanie.

— A ty co porabiasz? — pyta mnie India.

— Uczę w szkole — oświadczam i oboje spoglądają na mnie, jakbym przyznał się, że czyszcę miejskie ścieki kupioną z drugiej ręki szczoteczką do zębów. A może tylko ponosi mnie wyobraźnia. Albo wypilem za dużo szampana. Jednak dowiedziawszy się, co robię, już się do mnie nie odzywają i podczas gdy Tamsin i India rozmawiają o słynnym kucharzu, który wymyślił przepis na dzisiejszą rybę, a Josh i Dan wrzeszczą na siebie, dyskutując o różnych dziedzinach prawa handlowego, ja siedzę cicho na sofie, powoli i dokumentnie zalewając pałę. Dokładnie wtedy, gdy dochodzę do wniosku, że jestem tak pijany, iż mogę się zwinąć w kłębek i zasnąć, Josh spogląda na mnie z konspiracyjnym uśmiechem.

— Zgadnij, co dla ciebie mam — mówi, po czym udaje się do kuchni, wyjmując coś z lodówki i wraca, nalewając do wysokiej

szklanki pieniące się, żółte piwo. Natychmiast rozpoznają zielono-srebrną puszkę, którą trzyma w ręku.

— Tsingtao — mówię.

— Twoje ulubione — stwierdza Josh.

Jestem wzruszony. Zdaję sobie sprawę, że przyjaciel zadał sobie mnóstwo trudu, żebym dobrze się u niego poczuł. Jednak piwo po szampanie nie okazuje się najlepszym pomysłem pod słońcem. W gruncie rzeczy to fatalny pomysł. Wkrótce dostaję widlastego zęza i tylko z największym wysiłkiem udaje mi się zachować ostrość widzenia.

— Ojciec Alfiego napisał tę cudowną książkę — informuje Indię Tamsin, starając się włączyć mnie jakoś do rozmowy. — „Pomarańcze na Boże Narodzenie”.

— Naprawdę? — dziwi się India, po raz pierwszy zwracając na mnie uwagę. — „Pomarańcze na Boże Narodzenie”? Boże, jaka to klasyka. Kupiłam tę książkę wieki temu. Nadal mam zamiar ją przeczytać.

— Staje się coraz sławniejszy — mówię. — Mam na myśli mojego ojca. Kilka dni temu w „Standard” zamieścili fotografię, na której bawi się z dziewczyną na jakimś przyjęciu. Uśmiechali się, udając, że nie mają pojęcia, iż ktoś robi im zdjęcie. — Wypijam łyk tsingtao. — Staje się coraz sławniejszy, ale co zabawne, wcale na to nie zasługuje. Bo już nic nie pisze. I pytam was: jak mam się czuć w takiej sytuacji?

Wszyscy patrzą na mnie osłupiali.

— Chciałem być pisarzem — wyjaśniam. — Naprawdę chciałem. Na początek chciałem napisać o Hongkongu. O tym, dlaczego jest taki ważny. Dlaczego ma w sobie coś z magii.

A teraz... no cóż, nie wiem, o czym miałbym pisać. Straciłem wenę.

W tym momencie odzywa się dzwonek i przybywa ostatni gość. Ładna, trochę zbyt tęga młoda kobieta o imieniu Jane, również z firmy Josha. Trzydzieści parę lat. Bardzo przyjaźnie nastawiona. Lekko podenerwowana. Przy kolacji siadamy

naprzeciwko siebie. Nie będę chyba musiał odprowadzać jej do domu? Na talerzykach, które stawia przed nami Tamsin, jest jakieś wyrafinowane danie.

— Salátka na ciepło z *radicchio* i *pancetty* — mówi.

— Tamsin jest naprawdę genialna — stwierdza Josh i dają sobie buzi.

Na mojej zaczerwienionej gębie pojawia się mimowolny drwiący uśmiech. Gdzieś w głębi duszy zaczynam sobie uświadamiać, że nie jestem idealnym gościem.

— Wyśmienite — deklaruje India.

— *Radicchio* i *pancetta!* — powtarza Dan. — Brzmi to jak firma włoskich prawników.

Wszyscy oprócz mnie wybuchają śmiechem. Jane wpatruje się we mnie i czuję, że zastanawia się, jak zagać rozmowę.

— Josh mówił mi, że byłeś w Hongkongu — oznajmia w końcu miłym tonem.

— Zgadza się.

— Ja byłam przez dwa lata w Singapurze. Naprawdę zakochałam się w Azji. W jedzeniu, w ludziach, w kulturze.

— To nie to samo — mówię.

— Słucham?

— To nie to samo. Hongkong i Singapur. Różnica jest mniej więcej taka jak między lasem tropikalnym a polem golfowym. Singapur jest polem golfowym.

— Nie lubisz Singapuru? — pyta i przez jej twarz przesuwa się cień.

— Jest zbyt sterylny — stwierdzam kategorycznie. — Singapur w niczym nie przypomina Hongkongu. Ktoś powiedział chyba, że Singapur to Disneyland, w którym wprowadzono karę śmierci.

Jane ze smutkiem wlepia wzrok w swoją wyrafinowaną sałatkę.

— Kiedy byłeś w Singapurze, Alfie? — pyta mnie nagle Josh.

- Co? — odpowiadam, grając na zwłokę.
- Pytałem, kiedy dokładnie byłeś w Singapurze? — Już się do mnie nie uśmiecha. — Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek tam był. A teraz stałeś się nagle wielkim ekspertem.
- Nigdy nie byłem w Singapurze — odpowiadam z irytującą pewnością siebie.
- W takim razie nie masz pojęcia, o czym mówisz, prawda? — stwierdza Josh.
- Wiem, że by mi się tam nie spodobało.
- Skąd to wiesz?
- Nie spodobałoby mi się żadne miejsce, o którym mówią, że to Disneyland z karą śmierci.
- Singapore Sling — mówi India. Wszyscy spoglądamy na nią, jakby była nienormalna. — Superkoktajl — wyjaśnia, nabijając na widelec listek sałaty. I natychmiast wszyscy zaczynają ćwierkać o swoich ulubionych koktajlach, nawet biedna Jane rozjaśnia się trochę na myśl o skromnej Pina Colada.
- Ja lubię Długi Powolny Screwdriver o Ścianę — oznajmia Dan i co było do przewidzenia, wszyscy zanoszą się głupawym chichotem.
- Założę się, że to lubisz, chłopie, założę się — gdacze Josh.
- A ty, Alfie? — zwraca się do mnie z uśmiechem Tamsin, wciąż starając się zintegrować mnie z resztą grupy; zachowuje się tak, jakby wiedziała, że to banalne pytanie, ale co komu szkodzi się pośmiać. Jakim cudem Josh zdołał poderwać taką kobietę? Czy nie jest dla niego zdecydowanie zbyt dobra? — Jaki jest twój ulubiony koktajl? — pyta.
- Właściwie nie jestem fanem koktajli — rzucam lekko, sącząc piwo, jakby ta rozmowa była poniżej mnie. — Tak naprawdę niedużo piję.
- No jasne — mruczy Josh.
- Przyglądam się trzymanej w ręku pustej szklance, jakbym był jakimś tajnym ekspertem.

- Lubię tsingtao. Przypomina mi dom.
- Dom? — dziwi się Jane. — Masz na myśli Hongkong?
India ma swoje własne pytanie.
- Dlaczego nosisz ślubną obrączkę? — pyta, wpatrując się w dłoń, w której trzymam szklanę, i wszyscy przy stole nagle milkną.
- Co?
- Dlaczego nosisz ślubną obrączkę? — pyta ponownie. — Nie jesteś przecież żonaty?
- Odstawiam szklanę i patrzę na obrączkę na serdecznym palcu lewej ręki, jakbym widział ją po raz pierwszy w życiu.
- Kiedyś byłem — odpowiadam.
- I wciąż nosisz obrączkę? Ach. To słodkie.
- W dzisiejszych czasach dużo ludzi się rozwodzi — zauważa filozoficznie Dan. — Najbardziej cierpią na tym dzieci. Ale to chyba lepsze, niż gdyby rodzice mieli pozostać ze sobą i, no wiecie, skakać sobie do oczu.
- Ja się nie rozwiodłem — mówię.
- Nie — wtrąca Josh. — On się nie rozwiódł. Jego żona zginęła, prawda, Alfie? Była piękną dziewczyną i zginęła. Dostało do wypadku podczas nurkowania. To oznacza, że wszyscy musimy ci współczuć, prawda? Biedny mały Alfie stracił żonę. Dlatego my wszyscy musimy teraz przeproszać za to, że żyjemy.
- Josh — upomina go Tamsin.
- Mam tego powyżej dziurek w nosie.
- Josh i ja nagle wstajemy. Gdyby nie szklany stół oraz pół tuzina dzielących nas wyrafinowanych sałatek, przysięgam, że doszłoby do rękoczynów.
- Nie chcę, żebyś mi współczuł — mówię. — To nie jest konieczne. Ale byłbym wdzięczny, gdybyś dał mi święty spokój.
- Może zrobię to w przyszłości.
- Może powinieneś.
- Kłaniam się sztywno Tamsin i odchodzę od stołu.

Josh rusza za mną, z minuty na minutę coraz bardziej wściekły. Nie ma zamiaru tak łatwo mi odpuścić.

— Twoja żona nie żyje i dlatego przychodzisz tutaj i zachowujesz się jak kompletny dupek, tak? Czy to jest twoja wymówka, Alfie? — pyta.

Idąc do drzwi, nie odpowiadam na jego pytanie. Nie, to nie jest moja wymówka, myślę sobie.

To moja racja bytu.

15.

W Jackie nie ma odrobiny luzu.

Codziennie rano przychodzi do pracy ubrana, jakby wybierała się na randkę z Rodem Stewartem. Nosi buty na wysokich obcasach i krótkie spódniczki, ale sprawia w nich dziwnie oficjalne wrażenie. Wygląda, jakby bardzo długo decydowała się, co włożyć; jakby makijaż zajmował jej tyle czasu co operacja na otwartym sercu. Prowokacyjny strój jest niczym uniform, tarcza albo lśniąca skorupa. Jakby kontrolowała własną seksualność. Jakby ubierała się nie po to, żeby się z czymś obnosić, ale żeby to chronić.

Nawet po przebraniu się w roboczy kombinezon Jackie jest oficjalna niczym stewardesa albo policjantka. To ma coś wspólnego z pasemkami w jej włosach i mascara, której nałożyła trochę za dużo. Spędza za dużo czasu, starając się poprawić swój wygląd. Przecież i tak świetnie wygląda.

Czasami widzę, jak krząta się ze swoim wiadrem i szoruje coś w żółtych rękawicach — w pokoju nauczycielskim, na korytarzu albo w pustej klasie. Z jakiegoś powodu, który nie jest dla mnie jasny, nigdy nie pytam Jackie, co u niej słychać. Zawsze pytam ją o młodą dziewczynę z książki Carson McCullers.

Lubię rozmawiać z Jackie o tej książce. Mam wtedy wrażenie, że dzielimy jakiś wspólny sekret.

- Jak się miewa Mick? — pytam.
- Nie przestaje marzyć — odpowiada z uśmiechem Jackie.

Moi uczniowie są inni. Ubierają się byle jak. W zależności od osobistej sytuacji i kraju pochodzenia, albo za duże pieniądze, albo za grosze. Vanessa na przykład wkłada codziennie białe albo czarne dżinsy Versace, podczas gdy Witold ma na sobie zawsze tę samą parę podrabianych polskich dżinsów z niepoprawnym napisem „Levy's” na tylnej kieszeni. Jeśli po zajęciach nie czeka ich randka, chodzą w podkoszulkach, tenisówkach, bojówkach albo dżinsach. Wszyscy z wyjątkiem Hiroko.

Hiroko pracowała kiedyś w biurze w Tokio i nadal nosi klasyczny uniform sekretarki — składające się z żakietu i spódniczki eleganckie jasne kostiumy, do tego czarne buty na wysokich obcasach oraz te cieliste rajstopy, które sekretarki lubią chyba najbardziej. Widywałem takie cieliste rajstopy u młodych japońskich turystek kupujących markową herbatę w Fortnum & Mason — nie mogłem ich nie zauważyć — ale nie widziałem ich u żadnej z moich uczennic.

Z wyjątkiem Hiroko.

Hiroko nie jest podobna do Yumi. Hiroko ma dwadzieścia trzy lata, ale równie dobrze może mieć pięćdziesiąt. Yumi, ze swoimi farbowanymi blond włosami i ekstrawaganckim stylem ubierania się wygląda jak autsajderka, lecz w gruncie rzeczy w szkole Churchilla jest o wiele bardziej typową Japonką niż Hiroko.

Nie chodzi tylko o stroje. Hiroko jest pilną uczennicą, odnosi się z szacunkiem do nauczycieli, nigdy nie odzywa się niepytana, a kiedy się odezwie, to wyłącznie krótkimi monosylabicznymi zdaniami. Właściwie się nie kłania, ale kiedy się z nią rozmawia, bez przerwy kiwa pokornie i zachęcająco głową, co uderza mnie jako czysto japoński gest, o wiele bardziej niż legendarne ukłony. Czasami mam wrażenie, że Hiroko nigdy nie przestała pracować w tym biurze w Tokio.

Hiroko ma problemy z nauką. Jest jedną z moich najlepszych uczennic na kursie dla zaawansowanych i jej pisemne prace są bez zarzutu. Ma jednak problemy z mówionym angielskim. Hiroko nie lubi mówić. Hiroko nienawidzi mówić. Z początku myślałem, że powodem jest jej paraliżująca nieśmiałość. Ale to coś więcej niż nieśmiałość. Hiroko dręczy ten typowo japoński lęk, że zrobi coś niedoskonale. W związku z czym woli nie robić nic.

Siedzi jak niemowa na moim kursie dla zaawansowanych, chowając słodką okrągłą buzię okularnicy za zasłoną długich czarnych włosów. Sytuacja pogarsza się do tego stopnia, że muszę poprosić ją, żeby została po zajęciach. Hiroko kiwa grzecznie głową, oczy mrugają jej nerwowo za szklami okularów.

Zaczynam od dobrych wiadomości — jest jedną z moich najlepszych uczennic, widzę, jak ciężko pracuje — a potem mówię, że jeśli nie będzie się częściej odzywała na zajęciach, obleje ustny egzamin. Załamującym się, drżącym głosem — krzywiąc się wyraźnie przy każdym drobnym błędzie, który popełnia — Hiroko pyta, czy nie mogłaby przenieść się na niższy poziom. Odpowiadam, że problem będzie dokładnie ten sam, nawet jeśli znajdzie się na kursie dla początkujących.

— Słuchaj, musisz przezwyciężyć ten lęk przed odezwaniem się po angielsku — mówię. — Nie powinnaś przywiązywać do tego takiej wagi. Nawet ci, dla których angielski jest językiem ojczystym, robią błędy. Nie ma znaczenia, jeśli powiesz coś inaczej, niż jest w podręczniku. Otwórz po prostu usta i mów.

Hiroko wpatruje się we mnie szeroko otwartymi, wystraszonymi oczyma, potakując wściekle głową. Skąd wziął się ten mit, że wszyscy Azjaci mają podłe, wąskie jak szparki oczy?

Wpatruje się we mnie ze wzruszającym zaufaniem, jakby czekała, że coś się wydarzy, i wkrótce siedzimy u Eamona de Valery, ona popijając wodę z winem, ja ciemne piwo. Tam właśnie opowiada mi o swoim złamanym sercu.

— Niedobrze jest, jeśli przywiązujesz do czegoś zbyt wielką wagę — powiedziałem jej w drodze do pubu. — Tego właśnie się nauczyłem. Jeśli coś staje się dla ciebie zbyt ważne, wtedy nic z tego nie wyjdzie.

Hiroko ze złamanym sercem.

W Tokio był pewien mężczyzna. Pracował w jej biurze. Starszy mężczyzna. Hiroko mieszkała u swoich rodziców, on razem z żoną. W pracy zbliżyli się do siebie. Był czarujący i serdeczny. Ona była młoda i samotna. Bardzo go polubiła. Zaczęli ze sobą chodzić.

Hiroko i ten mężczyzna musieli odwiedzać hotele miłości, te wynajmowane na krótko pokoiki w budynkach przypominających kształtem transatlantyki, zamki albo rakiety kosmiczne. Wiedziała, że nie jest wolny, ale zdawała sobie również sprawę, że bardzo im na sobie zależy. Był zabawny, miły i mówił jej, że jest piękna. Dzięki niemu poczuła się pewniej, tak jakby naprawdę mogła zostać osobą, jaką zawsze chciała zostać. Powiedział również, że ją kocha. Podczas jednej z tych dwugodzinnych wizyt w hotelu miłości powiedział, że jest w niej do szaleństwa zakochany. A potem wrócił do domu, do swojej żony.

Coś się wydarzyło. Coś strasznego, na myśl o czym w jej oczach stają łzy, coś, o czym nie chce mówić.

— Zaszłaś w ciążę, prawda?

Szybkie kiwnięcie głową. Żalodne przyznanie się do winy.

— Ale nie urodziłaś dziecka?

Hiroko potrząsa głową i włosy opadają jej na twarz.

— I mały kutas został ze swoją żoną.

— Oczywiście.

Mówi to prawie szeptem, ale uderza mnie, jaki ma dobry akcent. Kiedy o tym nie myśli, jej mówiony angielski jest właściwie całkiem dobry.

— Nie przejmuj się nim — mówię, biorąc ją za rękę. — Czeka go niezbyt szczęśliwe życie.

Hiroko spogląda na mnie z wdzięcznością i po raz pierwszy się uśmiecha.

— Obiecuj, że w przyszłości nie będziesz się zadawała z małymi kutasami — proszę.

— Okej — odpowiada, jednocześnie śmiejąc się i płacząc. — Obiecuję.

— Nigdy więcej małych kutasów?

— Nigdy więcej. Nigdy więcej małych kutasów.

Po kolejnych dwóch drinkach i jeździe taksówką za dziesięć funtów, Hiroko i ja lądujemy w Hampstead, przed domem rodziny, u której mieszka. Dom jest imponujący — duży, wolno stojący dworek przy jednej z tych wysadzanych drzewami szerokich alei — ale rodzina raczej skromna: po prostu bogata starsza pani, która wynajmuje pokój studentkom, ponieważ czuje się samotna. Hiroko upewnia się, czy starsza pani leży już w łóżku ze swoim kotem Tiddlesem i słucha Radia 4, po czym przemycą mnie na zaadaptowany strych, gdzie na jej pojedyncze łóżko pada przez świetlik promień księżyca.

I podczas gdy bierze prysznic — te japońskie dziewczyny są takie czyste, bez przerwy wskazują pod prysznic i śpią w majtkach — myślę sobie, że Hiroko różni się od moich innych uczennic jeszcze pod jednym względem.

Większość z nich przyjechała do Londynu, żeby się dobrze zabawić. Hiroko przyjechała w poszukiwaniu miłości. A może przed nią uciekając.

Wiem, że nigdy nie zapala do mnie desperacką namiętnością, jaką obdarzyła tego drugorzędnego gryzpiórka w Tokio. Wiem, że nigdy nie zawładnie moim sercem tak, jak zawładnęła nim moja żona. Ale nie przeszkadza mi to. Ten wieczór nie jest smutny. W gruncie rzeczy, pod pewnym, nie całkiem jasnym dla mnie względem wydaje się idealny.

— Jestem bardzo podniecająca — szepcze.

Ma na myśli „jestem bardzo podniecona”.

To, jak się zdaje, bardzo częsty błąd. Wielu moich uczniów mówi „jestem bardzo nudny”, podczas gdy naprawdę chodzi

im o to, że się nudzą. W przekładach z japońskiego na angielski jest jakiś haczyk, który powoduje ten błąd. Ale podoba mi się to. Lubię ten błąd. Ja też jestem bardzo podniecający.

Atak paniki w metrze.

Z początku, czując ból w klatce piersiowej i zimne ciarki chodzące po grzbiecie, myślę, że to po prostu kolejny z moich urojonych ataków serca.

Ale to coś o wiele gorszego.

Tłukę się na południe Northern Line, uciekając z Hampstead, nim zbudzi się kot starszej miłej pani, nim Tiddles zwróci jej uwagę na moją obecność. Stoję, trzymając się uchwyty w zatłoczonym wagonie, gdyż w dzisiejszych czasach godzina szczytu zaczyna się zaraz po świcie, i nagle bez ostrzeżenia zaczynam łykać powietrze krótkimi płytkimi haustami niczym nurek, który znajdując się na dużej głębokości, wysysa ostatnie krople tlenu z rozbitej butli.

Panika.

Najprawdziwsza, przerażająca panika. Nie mogę oddychać. Nie ponosi mnie wcale wyobraźnia. Dosłownie nie mogę oddychać. Jestem desperacko świadom otaczającego mnie tłumy, niezdrowego żółtego światła, stęchłego powietrza w tunelu, przygważdżającego nas ciężaru całego miasta.

Jestem w pułapce. Chcę płakać, krzyżeć, uciekać, ale nie mogę zrobić żadnej z tych rzeczy. Muszę się natychmiast wyrwać z tego miejsca, jednak nie mam dokąd, nigdzie nie widać wyjścia.

Czyste, porażające przerażenie. Oczy pieką mnie od potu i łez. Mam wrażenie, że się duszę, że zaraz padnę, że jestem obserwowany. Inni pasażerowie — spokojni, obojętni pasażerowie — patrzą na mnie i zaglądają do środka mojej popękanej duszy. Zamykam oczy, uginają się pode mną kolana i ogłuszone hukami pociągu, ściskam sfatygowany skórzany uchwyt, aż bieleją mi kłykcie.

Jakimś cudem udaje mi się dojechać do najbliższej stacji. Wypelzam z wagonu, jadę ruchomymi schodami na górę, wydostaję się na powietrze, na światło. Drżąc całym ciałem, napełniam płuca. Gdy ustępują dreszcze, ruszam na piechotę do domu. Trwa to bardzo długo. Mam do pokonania wiele kilometrów. Ulice wypełniają tłumy ludzi spieszących się do pracy i do szkoły. Mam wrażenie, że podążam w przeciwnym kierunku niż cała reszta.

W drodze do domu mijam Highbury Fields, gdzie stoi na swoim skrawku trawy George Chang.

Jego twarz wydaje się jednocześnie młoda i stara. Głowę trzyma prosto, plecy są wyprostowane. Nie widzi mnie. Nie daje po sobie poznać, że cokolwiek widzi. Stoję zupełnie nieruchomo, obserwując jego powolny taniec. Ręce zdają się wyprowadzać ciosy, lecz nie ma w nich przemocy. Nogi i stopy poruszają się, jakby kopały, lecz nie ma w nich siły. Każdy wykonywany ruch wydaje się szczytem delikatności.

I zdaję sobie sprawę, że jeszcze nigdy w życiu nie widziałem kogoś, kto tak dobrze czułby się we własnej skórze.

— Chcę, żebyś mnie uczył — mówię George'owi. — Chcę się uczyć *tai chi*.

Siedzimy w nowo otwartym lokalu General Lee's Tasty Tennessee Kitchen przy Holloway Road. George je śniadanie. Skrzydełka kurczaka i frytki. Jeśli myślicie, że ktoś taki jak George Chang będzie unikał barów szybkiej obsługi, że będzie kuczał gdzieś w kącie z miską gotowanego ryżu, jesteście w błędzie. George uważa, że posiłki w General Lee's są „bardzo proste”. Jest ich wielkim fanem.

— Uczyć cię *tai chi* — mruczy. Po sposobie, w jaki to mówi, nie sposób orzec, czy to pytanie, czy stwierdzenie.

— Muszę coś zrobić, George. Nie żartuję. Czuję, że wszystko się rozpada. — Nie zdradzam, o co mi naprawdę chodzi. Że chcę się dobrze czuć we własnej skórze. Że chcę być taki jak on.

Że mam po dziurki w nosie i mierzi mnie bycie kimś takim jak ja. Tak bardzo mam po dziurki w nosie i tak bardzo mnie mierzi, iż trudno w to uwierzyć. — Muszę być spokojniejszy — mówię. — O wiele spokojniejszy. Ostatnio nie mogę się zrelaksować. Nie mogę spać. Czasami nie mogę nawet oddychać.

George wzrusza ramionami.

— *Tai chi* dobre na relaksację. Na stres. Na wszystkie problemy współczesnego świata. Życie bardzo męczące.

— Zgadza się — potakuję. — Życie jest bardzo męczące, to prawda. I czasami czuję się taki stary. Wszystko mnie boli, George. Nie mam w sobie energii. Boję się... naprawdę się boję, ale nie potrafię nawet powiedzieć czego. Wszystko wydaje się mnie przerastać.

— Wciąż brakuje żony.

— Owszem, George. Każdy drobiazg, który idzie nie po mojej myśli, wydaje mi się katastrofą. Wiesz, o co mi chodzi? Tracę nad sobą panowanie. Chce mi się płakać. — Parskam wymuszonym śmiechem. — Ja tu wariuję, George. Pomóż mi. Proszę.

— *Tai chi* dobre na to wszystko. Na napięcie. Na zmęczenie.

— Tego dokładnie potrzebuję.

— Ale ja nie mogę cię uczyć.

Opadają mi ręce. Niełatwo było mi zwrócić się do niego z tą prośbą, ale nie przyszło mi na myśl, że odmówi. Patrę przez chwilę, jak żuje skrzydełka, czekam, że jakoś to szerzej wyjaśni. Milczenie się przedłuża. Najwyraźniej powiedział już wszystko.

— Dlaczego nie?

— Zabiera za dużo czasu.

— Przecież stale uczysz jakichś ludzi. Często ktoś ci towarzyszy.

George uśmiecha się do swoich skrzydełek.

— Zawsze ktoś inny. Inni mężczyźni, inne kobiety. Przycho-
dzą kilka razy. Może trochę dłużej. Potem przestają

przychodzić. Ludzie na Zachodzie nie mają cierpliwości do *tai chi*. — Spogląda na mnie nad skrzydełkiem. — To nie pastylka. Nie lekarstwo. Nie żadne czary. Żeby ci pomogło, żeby pomogło komukolwiek, zabiera dużo czasu. Dużo. Ludzie na Zachodzie nie mają czasu.

O mało nie mówię mu, że mam cały czas na tej ziemi, ale nagle przechodzi mi ochota.

Ponieważ widzę nagle przed oczyma siebie i George'a, obu w czarnych piżamach, w powolnych, pełnej gracji tanecznych układach, podczas gdy pod naszymi obutymi w pantofle stopami przetacza się z hukiem metro, i ta wizja wydaje się po prostu śmieszna.

George ma rację. Są pewne tańce, których człowiek nie zdoła się nauczyć. Nie zdoła się nauczyć tego bezruchu, tego spokoju, tej gracji. Kogo ja oszukuję?

Po prostu się do tego nie nadaję.

16.

Hiroko wraca na Boże Narodzenie do Japonii. Spotykam się z nią na Paddington pod wielką choinką udekorowaną kolorowymi pudełkami, które mają symbolizować prezenty, i jedziemy razem Heathrow Express na lotnisko.

Podczas pożegnania dziwnie się czuję. To, że wyjeżdża, nappełnia mnie smutkiem. Z drugiej strony cieszę się, że coś czuję. Cokolwiek. Choć w gruncie rzeczy — i to jest najciekawsze — czuję niewiele.

Obejmujemy się w hali wylotów i Hiroko przestaje do mnie machać, dopiero gdy znika za parawanem kontroli paszportowej. Potem włóczę się po Terminalu 3, nie mając ochoty wracać do domu. Lotnisko obfituje dzisiaj w emocje. Kochankowie żegnają się ze sobą i spotykają po dłuższej rozłące. Rodziny rozdzielają się i łączą. Wiele uścisków, śmiechu i łez. Hala odlotów jest całkiem interesująca, ale przyloty są jeszcze ciekawsze, bo tam nie wybiera się samemu chwili czułości. W odróżnieniu od pożegnań, człowiek nie może sam zdecydować, w którym momencie ma się przywitać. Powitanie po prostu się wydarza. Niemogący się kogoś doczekać ludzie nie wiedzą, kiedy dokładnie pojawi się przed nimi ich bliski — popychając przed sobą powoli wózek, uśmiechając się mimo zmęczenia

spowodowanego przekroczeniem stref czasowych, gotów na całusy i uściski, gotów zacząć od nowa.

Jest coś jeszcze, co zauważam w hali przylotów. Pełno tutaj młodych kobiet przybywających do Zjednoczonego Królestwa, żeby uczyć się angielskiego. Gdziekolwiek się spojrzy, widać lśniące czarne włosy, brązowe oczy i walizki Louisa Vuittona. Przybywają bez przerwy.

To jakiś cud.

Za barierką stoją znudzeni kierowcy i ożywieni przedstawiciele dwudziestu kilku szkół językowych, trzymający w ręku kartki, afisze i tabliczki, czekający na kolejnego jumbo jeta z Osaki, Pekinu, Seulu lub jakiegoś innego miejsca, gdzie święta Bożego Narodzenia nie mają większego znaczenia.

I stojąc wśród tych mężczyzn i kobiet z ich tabliczkami — PANNA SUZUKI, KIM LEE, SZKOŁA JĘZYKOWA GREEN GABLES, TAE-SOON LEE, MIWAKO HONDA i HIROMI TAKESHI, OXFORD SCHOOL OF ENGLISH, PANNA WANG — zdaję sobie nagle sprawę, że to miasto pełne jest młodych dziewczyn uczących się angielskiego.

Brygada z Terminalu 3 to Azjatki. W innych terminalach znajdziecie pewnie pułki skandynawskie i śródziemnomorskie bataliony. Są ich tysiące, cała armia, codziennie przybywają świeże posiłki.

Po raz pierwszy dociera do mnie, że wcale nie muszę być dalej samotny.

Część tych młodych kobiet — roześmianych, pewnych siebie, patrzących ufnie w przyszłość — natychmiast odnajduje kierowców albo reprezentantów szkół. Inne z trudem nawiązują kontakty. Defilują przed barierką, szukając swojego nazwiska na trzymany w rękach tabliczkach. Pełne nadziei, ale trochę zaniepokojone. Wirywa mi się do nich serce.

Przypatruję im się bardzo długo, tym pięknym maruderkom wspaniałej brązowookiej armii, które dopiero co wysiadły z samolotu i czekają na znak.

I gdzieś nade mną, w sączącej się przez lotniskowe głośniki muzycze „Silent Night” przechodzi w „O Come All Ye Faithful”.

Otwieram frontowe drzwi mieszkania mojej babci i natychmiast czuję gaz. Mijam ją i wpadam do kuchni, gdzie zapach jest jeszcze silniejszy.

— Alfie?

Jeden z palników na kuchence jest odkręcony na pełny regulator i niezapalony. Opary gazu wydają się tak gęste, że można wyciągnąć rękę i ich dotknąć. Kaszląc jak szalenciec, zakręcam palnik i otwieram wszystkie okna.

— Musisz być bardziej ostrożna, babciu — mówię, czując mdłości.

— Nie wiem, jak to się stało — odpowiada zmieszana. — Gotowałam... nie pamiętam. — Mruga do mnie wodnistymi niebieskimi oczyma. — Nie mów nic mamie, Alfie. Ani tacie.

Patrzę na nią. Umalowała się. Jej brwi to dwie rozchybotane czarne kreski, szminka schodzi z warg niczym na naświetlonej dwa razy fotografii. Widząc jej zatroskaną twarz i niewprawnie nałożony makijaż, obejmuję ją ramieniem. Pod swetrem wydaje się mała i krucha jak dziecko.

— Obiecuję, że nikomu nie powiem — mówię, wiedząc, czego się boi. Moi rodzice już teraz uważają, że nie jest w stanie mieszkać sama, i największe przerażenie budzi w niej myśl, że któregoś dnia będzie musiała opuścić to miejsce i przenieść się do domu opieki. — Ale proszę, nie rób tego więcej, dobrze, babciu?

Oddycha z ulgą i patrzę, jak robi nam obojgu herbatę, mrużąc pod nosem, demonstracyjnie zakręcając gaz po zagotowaniu się wody. Współczuję biedaczce, stale wypatrując oznak, że jej inteligentny, ciekawy świata umysł zmienia się w gąbczastą masę. Niezakręcony gaz napędził mi stracha. Boję się, że pewnego dnia poczuję ulatniające się spod drzwi opary i nikt nie otworzy mi drzwi. Nagle przypominam sobie, po co do niej przyszedłem. Jezu. Ja też zaczynam mieć sklerozę.

— Gdzie jest twoja choinka, babciu?

— W małym pokoju, kochanie. W pudełku z napisem Boże Narodzenie.

Moja babcia uwielbia Boże Narodzenie. Gdybyśmy jej nie powstrzymali, ubrałaby choinkę już w połowie sierpnia. Choć zawsze spędza święta z rodziną — a w tym roku ze mną i z mamą, czyli tym, co zostało z mojej rodziny — nadal lubi mieć własne drzewko, dlatego iż, jak utrzymuje, „Alfitemu będzie miło, kiedy wpadnie” — tak jakby zbliżały się właśnie moje czwarte urodziny.

Pamiętam święta Bożego Narodzenia, które spędzaliśmy u babci, kiedy byłam małą. Mieszkała jeszcze wtedy w swoim starym domu na East Endzie, w którym dorastał mój ojciec, domu z „Pomarańczy na Boże Narodzenie”, z kojcem dla kurczaków na podwórku i pianinem w salonie. Zawsze pełno tam było stryjów i ciotek, dzieci, które bawiły się nowymi zabawkami, podczas gdy dorośli pokrzepiali się czymś mocniejszym — mężczyźni ciemnym piwem w wielkich szklanicach, kobiety zaś czymś czerwonym i słodkim w małych kieliszkach — i grali w pokera albo obstawiali konie w pokazywanych w telewizji wyścigach. Stary dom stale wypełniali ludzie, muzyka, dym z papierosów i śmiech. W salonie stała wielka choinka, która wyglądała, jakby przywieziono ją prosto z norweskich lasów.

Teraz naszego starego domu już nie ma, podobnie jak mojego dziadka i ojca, a babcia żyje samotnie w tym białym mieszkaniu. Dobytek całego jej życia musiał się zmieścić w kilku niewielkich klitkach. Stryjowie i ciotki rozproszyli się i teraz każdy spędza Boże Narodzenie ze swoimi własnymi dziećmi i wnukami, a prawdziwe drzewko zostało zastąpione przez sztuczne, które składa się z trzech części — górnej połówki, dolnej połówki oraz podstawy, niczym pohukujący bez przekonania fałszywy święty Mikołaj.

Odnajduję choinkę, lampki i różne świecidełka w sfatygowanym pudle z napisem „B. Narodzenie”. Babcia obserwuje z podnieceniem, jak składam drzewko.

— Urocze — stwierdza. — Ten srebrny łańcuch wygląda wspaniale, prawda, Alfie?

— Rzeczywiście wspaniale, babciu.

Staję na palcach, żeby zawiesić na czubku anioła, i czuję, że coś złego dzieje się z moimi plecami. Najwyraźniej nadrywam sobie jakieś mięśnie u podstawy kręgosłupa i nagle zwijam się z bólu, nadal zaciskając w pięści anioła.

Siedząc na sofie i czekając, aż ustąpi ból — babcia poszła do kuchni zrobić kolejną herbatę — uświadamiam sobie, że chyba rozumiem jej słabość do sztucznych drzewek.

Bożonarodzeniowe choinki przypominają trochę stosunki między ludźmi. Prawdziwe są z pewnością piękniejsze, ale za wiele z nimi zachodu, za wiele wysiłku.

Można mówić, co się chce, o sztucznych.

Nie sposób jednak zaprzeczyć, że o wiele mniej z nimi kłopotu.

Z Vanessą idę do łóżka, ponieważ spotykam ją przed szkołą, kiedy rozdaje razem z Witoldem nowe ulotki.

Zwarte szeregi spóźnionych bożonarodzeniowych kupujących nie zwracają na nich żadnej uwagi, w związku z czym Vanessa robi z ulotek małe papierowe samolociki i rzuca w tłum. Witold obserwuje to z zakłopotanym uśmiechem.

— Uczcie się z najlepszymi! — woła Vanessa, celując ulotką w biznesmena w średnim wieku. — *Estudia en Churchill's! Studia alia Churchill's! Studieren in Churchill's!*

— Co ty robisz, Vanessa? — pytam, masując plecy.

— Zdobywam nowych uczniów! — śmieje się. — Nauka w Churchill's! *Etudiez a Churchill's!*

— Przestań — mówię z uśmiechem.

— Nikogo to nie obchodzi — zauważa, wysuwając do przodu stopę i robiąc obrażoną minę. — Jest Boże Narodzenie — dodaje i bierze się pod boki.

— Po prostu dawaj im normalnie ulotki. Proszę.

— I co z tego będą miała? Zdradzi mi pan tematy egzaminacyjne?

— Zafunduję ci drinka. — Z taką kobietą jak Vanessa człowiek uważa przekomarżanie się za swój obowiązek. — Ponieważ jest Boże Narodzenie. Kieliszek niemieckiego wina albo coś w tym rodzaju.

— Wszystko tylko nie niemieckie wino.

— Lubię niemieckie wino — mówi Witold.

Kilka chwil później siedzę u Eamona de Valery, popijając drinka z Vanessą. Jest wyraźnie nie w sosie. Nie tańczy, nie flirtuje, nie woła przez cały pub do kogoś innego. Informuje mnie, że nie wraca do Francji na święta — teraz, kiedy jej rodzice wzięli rozwód, trudno zdecydować, kogo odwiedzić — ale Boże Narodzenie w Londynie jest jeszcze gorsze.

— A to dlaczego?

Patrzy na mnie przez sekundę.

— Nie będę się spotykać z moim przyjacielem — mówi. — Będzie ze swoją rodziną.

Później oglądam zdjęcia przyjaciela Vanessy w jej mieszkaniu.

To dobre mieszkanie, w zamożnej części miasta, w niczym nieprzypominające taniej klitki, w której koczuje Yumi, ani pokoiku w dużym domu, który zajmuje Hiroko. Vanessa ma swoje małe, lecz piękne mieszkanko z jedną sypialnią w najbardziej ekskluzywnej dzielnicy na północy Londynu. Musi ją kosztować ponad tysiąc funtów miesięcznie i sądząc po ilości fotografii Vanessy i jej przyjaciela — tego ćwiczącego na siłowni czterdziestolatka, z ręką oplatającą niedbale kibić Vanessy, platynową obrączką lśniąca na serdecznym palcu lewej ręki i szerokim białym uśmiechem na twarzy — to on s płaca jej debet.

— To dla niego trudna pora roku — wyjaśnia Vanessa, biorąc do ręki zdjęcie, na którym siedzą oboje przed jakimś wiejskim pubem. — Musi być ze swoją rodziną. — Odkłada zdjęcie. — Z dziećmi. I z nią. Ale już z nią nie sypia. Naprawdę nie sypia.

Idę do łóżka z Vanessą i to poprawia jej humor. Nie dlatego, że olśniewa ją moja technika seksualna, lecz dlatego że seks ze mną wydaje jej się lekko zabawny. Fizycznie bardzo różni się od Yumi i Hiroko. Właściwie we wszystkim. Ma inne włosy, piersi, biodra, skórę. Ta nowość wprawia mnie w podniecenie — jestem bardzo podniecający — i o mało nie mówię jej kilku niepotrzebnych słów, na szczęście jednak igrający na jej ustach uśmiezek powstrzymuje mnie przed wygadywaniem głupot. Wiem, że traktuje tę noc bardzo lekko, ponieważ jej serce należy do kogoś innego.

I całkowicie ją rozumiem. Nie czuję się urażony.

Później Vanessa płacze cicho w poduszkę, a ja mogę ją przytulić, nie pytając: „Co się stało, kochanie, co się stało?”, ponieważ wiem na pewno, że nie ma to absolutnie nic wspólnego ze mną.

Leżę po ciemku w cudzym łóżku i rozmyślam o Yumi. O Hiroko. O Vanessie. O hali przylotów na Heathrow. O tym, jak zdałem sobie sprawę, że nigdy więcej nie muszę być samotny.

I uświadamiam sobie nagle, dlaczego pociągam dziewczęta z hali przylotów. Wcale nie dlatego, że jak mógłby sugerować doktor od czubków, stały związek jest mało prawdopodobny.

To dlatego, że wszystkie są daleko od domu.

Nawet jeśli mają tutaj wielu przyjaciół, nawet jeśli są szczęśliwe w tym mieście, zawsze zdarzają się godziny, kiedy są samotne. Nie mają nikogo, kto byłby przy nich zawsze. Nie muszą spieszyć się do kogoś do domu.

Wszystkie są w gruncie rzeczy samotne.

To zabawne. W pewnym sensie są takie jak ja.

17.

Jestem wierny swojej żonie. Nawet w cudzych łóżkach, z kobietami mówiącymi czasami przez sen w językach, których nie rozumiem, jestem zawsze wierny swojej żonie.

Nikt poza nią mnie nie wzrusza. Nikt nawet nie jest tego bliski.

I dochodzę do tego, że widzę w tym rodzaj błogosławieństwa. Kochać kogoś, nie kochając — kiedy się człowiek przyzwyczai, to nie jest wcale takie złe. Znaleźć się tam, gdzie nic nie może cię zranić i niczego nie można ci odebrać — czy to naprawdę takie złe miejsce? Wiele można powiedzieć o błahych związkach. Błahie związki są w olbrzymim stopniu niedoceniane.

W tych układach, w tych transakcjach nie ma miejsca na kłamstwa. W wynajętych pokojach, gdzie się spotykamy, nie jest wcale zimno. Wprost przeciwnie. Nie ma tu pogardy, nudy, stałego szukania tabliczki z napisem „Wyjście”. Jesteśmy tutaj, bo tego chcemy. Nie ma tu tego powolnego umierania, które ma miejsce w większości małżeństw.

I kto może powiedzieć, że te związki są pozbawione znaczenia?

Lubię cię — jesteś miły.

Czy to naprawdę jest takie błahе?

Może to jedyna ważna rzecz, która jest nam potrzebna?

Sytuacja komplikuje się, kiedy Vanessa daje mi jabłko.

Ktoś puka do pokoju nauczycielskiego i Hamisz otwiera drzwi. Odwraca się ku mnie, unosząc swoje imponująco wy-skubane brwi, i widzę za jego ramieniem uśmiechniętą twarz Vanessy. W ręku trzyma lśniące czerwone jabłko. Podarowanie mi jabłka to gest bardzo w stylu Vanessy.

Jednocześnie pełen uczucia i lekko kpiący.

— Jabłko dla mojego nauczyciela.

— Jesteś słodka.

Następnie składa na moich ustach pocałunek, nadal zachowując się, jakby to był żart — dla niej z pewnością to tylko żart — i w tym samym momencie widzi nas wchodząca po schodach Lisa Smith.

Kiedy wracam do pokoju nauczycielskiego, Hamisz i Lenny wlepiają we mnie gały. Hamisz mruczy coś pod nosem, ale nie jestem pewien, czy mówi: „Powinieneś jej zmyć głowę”, mając na myśli Vanesę, czy: „Powinieneś je umyć, chłopie”, mając na myśli jabłko.

Lenny, kiedy tylko przezwycięży początkowy szok, jest bardziej bezpośredni.

— Vanessa? Nie powiesz chyba, że masz u niej wielokrotną wizę? Że popędzisz z maksymalną szybkością nowo otwartym Eurotunelem?

Zanim zdążę wymyślić jakieś kłamstwo, dzwoni telefon i Lisa Smith oznajmia Hamiszowi, że chce mnie widzieć w swoim gabinecie. Natychmiast.

— Jezu — wzdycha Lenny — przerobi twoje jaja na etniczne kolczyki.

Lenny podnosi brwi i kpiąco się uśmiecha. W jego oczach widzę obleśny podziw.

Przecież nie jestem podobny do Lubieżnego Lenny'ego, mówię sobie. Nie jestem.

— Jednego nie rozumiem, Lenny. Tobie uszło na sucho morderstwo pierwszego stopnia. A ja od razu dostaję po łapach. Dlaczego nigdy cię nie przyskrzyniono?

— Dlaczego? Bo nigdy nie posuwałem żadnej uczennicy, chłopie.

— Co takiego?

— U mnie to tylko gadanie. Sprośne gadanie, zgoda. Nawet świńskie. Ale nigdy w życiu nie zbliżyłbym swojego zaskorupiałego starego kapucyna do tej trzódki. Żartujesz sobie chyba? W obecnym klimacie kosztowałyby mnie to więcej, niż jest warte.

— Nigdy?

— Ani razu. To znaczy, była raz słodka mała Chorwatka, która pozwoliła mi wsunąć łapsko za stanik na zeszlórocznym przyjęciu na Boże Narodzenie. Ale to skromne obłapianie to jedyna penetracja, do której doszło.

— Nie mogę w to uwierzyć.

— To prawda, chłopie. Poza tym, co takiego wszystkie te gorące młode laski miałyby zobaczyć w takim jak ja grubym pierdole? No już, idź do niej.

A więc to prawda. Nie jestem wcale podobny do Lubieżnego Lenny'ego. Jestem o wiele gorszy.

Wychodząc z pokoju nauczycielskiego, słyszę brzęk wiadra w drugim końcu korytarza. Zabiera się właśnie do pracy — drobna blondynka w niebieskim nylonowym fartuchu, z egzemplarzem książki McCullers w podartej kieszeni. Szoruje podłogę w pantoflach, które zaprojektowano do tańca. Dziś rano Jackie Day nie uznaje butów na płaskim obcasie.

Nie potrafię powiedzieć, czy patrzy gdzieś w przestrzeń, czy przenika mnie wzrokiem na wskroś.

— To seksualny imperializm — oznajmia Lisa Smith. — Ni mniej, ni więcej. Nie ma w tym nic innego.

— Nie wiem, o czym mówisz — odpowiadam, czując, jak płoną mi policzki i bolą plecy.

— Och, założę się, że wiesz — mówi. — Yumi. Hiroko. A teraz Vanessa. Widziałam, jak dała ci jabłko Golden Delicious.

Jestem wstrząśnięty. Złapała mnie na gorącym uczynku z Vanessą. Ale skąd wie o Yumi? Skąd wie o Hiroko?

— Wydaje ci się, że nasi uczniowie nie potrafią mówić? — odpowiada na moje niezadane pytanie i przychodzi mi na myśl Vanessa z jej długim, szyderczym jęzorem. — Nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi — dodaje. — Obraziłeś dobre imię tej szkoły. Nie obrażaj mojej inteligencji.

— No dobrze — mówię. — Naprawdę nie sędzę, żebym zrobił coś złego.

Lisie przez chwilę odbiera mowę.

— Nie sądzisz, żebyś zrobił coś złego? — powtarza.

— Nie.

— Nie widzisz, że nadużywasz ich zaufania? — pyta, zakładając nogę za nogę i niecierpliwie stukając wojskowym butem w bok biurka. — Nie widzisz, że wykorzystujesz swoją pozycję?

Nigdy nie traktowałem tego w kategoriach wykorzystywania. Miałem wrażenie, że jesteśmy równi. Wiem, że jestem ich nauczycielem, a one moimi uczennicami, ale nie są przecież dziećmi. To dorosłe kobiety. Większość jest dojrzalsza ode mnie. Mimo że są młode. Olśniewająco młode — całe życie mają przed sobą. Zgoda, to ja jestem facetem, który trzyma w ręku krede, ale one mają po swojej stronie czas, mają po swojej stronie te wszystkie nieprzeżyte lata. Zawsze uważałem, że to nas zrównuje, że ich młodość niweluje różnice. Młodość ma swoją własną moc, swój własny specjalny status. Jednak żadnej z tych myśli nie mogę wyjawiać dyrektorce.

— Są wystarczająco dorosłe, żeby wiedzieć, co robią — bronię się. — Nie uganiam się za dzierlatkami.

— Jesteś ich nauczycielem. To stanowisko oznacza szczególną odpowiedzialność. A ty wykorzystałeś je w najgorszy możliwy sposób.

Z początku myślałem, że wyrzuci mnie na zbity pysk, ale po chwili trochę się rozchmurza.

— Wiem, że uważasz mnie za starą jędzę, która nie może znieść tego, że ktoś dobrze się bawi — mówi.

— Skądże znowu, wcale nie.

Dokładnie tak myślę.

— Rozumiem zmysłowe pokusy. Byłam na wyspie Wight, żeby posłuchać Dylana. Spędziłam weekend w Greenham Common. Wiem, co się dzieje, kiedy ludzie są w grupie. Nie zamierzam jednak tolerować związków erotycznych między moim personelem a uczniami. Czy to jasne?

— Absolutnie — odpowiadam.

Kiwając głową, myślę sobie: nie zdołasz mnie powstrzymać. To miasto jest pełne młodych kobiet szukających przyjaźni, romansu oraz pomocy w opanowaniu języka. Przyjmując do wiadomości to ostatnie ostrzeżenie, powtarzam sobie, że wszystko będzie dobrze, że nie muszę wcale być samotny, że nie robię nic złego.

Lubię cię, jesteś miły.

I komu to szkodzi?

Plecy rwą mnie tak mocno, że nie pomagają żadne leki przeciwbólowe, idę więc do mojego lekarza. Z początku patrzy na mnie, jakby to była kolejna psychosomatyczna historia, taka sama jak serce, które przypomina nieprzetrawiony kebab. Gdy jednak opowiadam, jak wieszałem anioła na choince mojej babci, każe mi zdjąć koszulę i dokładnie bada.

Następnie oznajmia, że nie może mi w żaden sposób pomóc.

— Zdradliwa rzecz, dolny odcinek kręgosłupa — mówi.

W drodze do domu wpadam na George'a Changa. Wychodzi z kupionym na wynos daniem z restauracji General Lee's, żeby pomóc obsłużyć klientów Shanghai Dragon w porze lunchu. Widzi moją skrzywioną minę i pyta, co mi dolega.

— Coś mi się stało w plecach — informuję go. — Ubierałem choinkę babci.

Mówi, żebym poszedł z nim do restauracji. Odpowiadam, że

muszę wracać do pracy, lecz on robi to samo, co zauważam stale u jego żony. Zachowuje się tak, jakbym się w ogóle nie odezwał. Po wejściu do Shanghai Dragon każe mi stanąć zupełnie nieruchomo. Umieszcza dłonie przy podstawie mojego kręgosłupa. Właściwie mnie nie dotyka, ale, co dziwne, bardzo wyraźnie odczuwam ciepło jego dłoni. Nie dotyka mnie, lecz czuję ciepło. Tak jakbym stał przy palącym się spokojnie ogniu. Jak to wyjaśnić?

Mówi, żebym pochylił się lekko do przodu i bardzo delikatnie poklepał się odwróconymi dłońmi po krzyżu. Wykonuję jego polecenia. A potem wbijam w niego wzrok. Ponieważ dzieje się coś niewytłumaczalnego.

Ból w plecach ustępuje.

— Na czym to polega? — pytam.

George tylko się uśmiecha.

— Jak to zrobiłeś?

— Powtarzaj to ćwiczenie. — Pochyla się do przodu i lekko klepie się po plecach. — Rób to codziennie przez kilka minut. Niezbyt mocno, dobrze?

— Co... co to było? George?

— Bardzo proste ćwiczenie *chi kung*.

— Co to jest *chi kung*? Masz na myśli *chi* jak w *tai chi*? Czy to jest to samo?

— Każde ćwiczenie z *chi* to *chi kung*. Okej? Żeby być zdrowym. Żeby wyleczyć chorobę. Dla sztuk walki. Dla oświecenia.

— Oświecenia?

— To całe *chi kung*. Pamiętasz *chi*? Powiedziałeś mi, że nie masz żadnego *chi*. Pamiętasz?

Czuję się głupio.

— Pamiętam.

— Czy jest trochę lepiej?

— Jest o wiele lepiej.

— Więc może masz w sobie jednak trochę *chi*?

George śmieje się ze mnie.

- Chyba mam.
 - Może powinienes przyjść do parku w niedzielę rano.
 - Będiesz mnie uczył?
- Wydaje z siebie coś w rodzaju chrząknięcia.
- Będę.
 - Dlaczego zmieniłeś zdanie?
 - W niedzielę rano. Nie spóźnij się.

W tym roku moja rodzina uczy mnie prawdziwego sensu Bożego Narodzenia. Ten sens polega na tym, żeby je przetrwać.

Wlokące się wolno godziny między świątecznym puddingiem, filmowymi przebojami wszech czasów i wizytą onieśmiałonego ojca z prezentami, które nabył w ostatniej chwili w sklepie z bielizną, dają mi sposobność przemyślenia pewnych spraw.

Dochodzę do wniosku, że teraz, gdy w Międzynarodowej Szkole Językowej Churchilla krążą patrole obyczajówki, niełatwo mi będzie poznać nowe panienki.

Decyduję się więc na prywatną praktykę. Zamieszczam anons na ostatniej stronie gazety ogłoszeniowej, w dziale Usługi Prywatne, która mieści się tuż za Agencjami Towarzyskimi i tuż przed Klubem Samotnych Serc.

Chcesz mówić dobrze po angielsku?
Wykwalifikowany nauczyciel angielskiego
szuka prywatnych uczniów.
Możemy sobie wzajemnie pomóc.

A potem puszczam „My Funny Valentine” Sinatry i czekam.

18.

W taki piękny dzień dobrze jest zacząć coś nowego.

Na przyciętej krótko parkowej murawie lśni szron, ale normalną płaską szarość nad głowami zastąpił niezmierny błękit i słońce świeci mocniej niż w sierpniowe południe. Chociaż nasz oddech zamienia się w małe obłoczki pary, George i ja mrużymy oczy przed światłem. Stajemy naprzeciwko siebie.

— *Tai chi chuan* — mówi. — To znaczy „Najwyższa ostateczna pięść”.

— Brzmi agresywnie — stwierdzam.

George ignoruje mnie.

— Wszystko rozluźnione. Wszystko porusza się miękko. Wszystkie rzeczy rozluźnione. Ale wszystkie ruchy mają wojenne zastosowanie. Rozumie?

— Niezupełnie.

— Ludzie na Zachodzie myślą: *tai chi* bardzo piękne. Bardzo łagodne. Tak?

— Owszem.

— A *tai chi* to system samoobrony. Każdy ruch ma swój powód. Nie tylko na pokaz. — Jego ręce przecinają powietrze.

— Blok. Cios. Uderzenie. Przytrzymanie. Kopnięcie. Ale płynnie. Zawsze płynnie. I zawsze bardzo miękko. Rozumie?

Kiwam głową.

— *Tai chi* dobre na zdrowie. Na stres. Na krążenie. Na dzisiejszy świat. Ale *tai chi chuan* wcale nie najslabsza sztuka walki na świecie. — W jego ciemnych oczach pojawia się błysk.
— *Tai chi* najsilniejsza.

— Okej.

— To styl Chen.

— Jaki styl?

— Styl Chen. Dużo stylów z różnych rodzin. Styl Yang. Styl Wu. Styl Chen.

Nie wszystko, co mówi, jest dla mnie zrozumiałe. Jak coś tak miękkiego może być jednocześnie takie twarde? Jak coś tak łagodnego może być rodzajem boksu?

George daje krok do tyłu. Ma na sobie czarny mandaryński mundurek i miękkie buty na płaskiej podeszwie. Ja jestem w dresie z nader przydatnym napisem *Just Do It* na jednej nogawce. George rozstawia stopy mniej więcej na szerokość ramion, równo je obciążając. Ręce zwisają mu po bokach. Oddycha głęboko i równo. Jego ciężar zdaje się zatopiony w ziemi. Robi wrażenie całkowicie rozluźnionego i jednocześnie nie do ruszenia.

— Stań niczym góra między niebem a ziemią — mówi.

Stanąc niczym góra między niebem a ziemią. Żaden problem, Yoda. Tego rodzaju gadka powinna mnie wprawić w zakłopotanie. Odkrywam jednak, że przy pewnym wysiłku wcale nie wprawia. Próbuję stanąć tak jak George. Zamykam oczy i po raz pierwszy w życiu poważnie myślę o swoim oddechu.

— Otwórz swoje stawy — poleca George. — Niech twoje ciało się rozluźni. Przenieś swój ciężar do środka ziemi. I oddychaj. Zawsze oddychaj.

Jak przy nurkowaniu, myślę. To pierwsza rzecz, której uczą cię na kursie nurkowania. Musisz zawsze oddychać. Nagle słyszę za plecami czyjs śmiech.

— Popatrz na tych dwóch koniochlastów. Ja pierdołę. Pe-dalski taniec.

Jest ich trzech. Sobotni maruderzy, o twarzach białych jak

zsiadłe mleko, z pieniącymi się u szyjki, brązowymi flaszkami w rękach. Choć nie mogą mieć więcej niż dwadzieścia lat, pod bluzami wyrastają im już brzuchy zdeklarowanych piwo-
szy. Mimo to ich ubiór — tenisówki, bluzy z kapturami, base-
ballowe czapki — ma w sobie coś sportowego. Zabawne, kiedy się o tym pomyśli.

Nagle coś we mnie wstępuje. Ci debile — ubrani jak na tre-
ning i zbudowani jak skauci piwni — przypominają mi wszyst-
kich podobnych do nich debili, których uczyłem w Męskim
Liceum imienia księżnej Diany. Może dlatego, kiedy się odzy-
wam, mój głos brzmi jak głos belfra na skraju załamania ner-
wowego.

— Nie macie dokąd iść? No już, zmywajcie się stąd. I nie
róbcie takich kretyńskich min.

Ich twarze tężeją, usta się zaciskają. Wymieniają między
sobą spojrzenia, a potem wszyscy ruszają w moją stronę, ści-
skając w dłoniach butelki i szczerząc pociemniałe od nikotyny
zęby.

George zastępuje im drogę.

— Proszę, żadnych kłopotów — mówi.

Największy z nich, z nalaną twarzą, którą zdobią ospowate
pamiętki po trądziku, uśmiecha się do swoich kumpli.

— Nie będzie żadnych kłopotów — mówi.

Wyciąga mięsiste łapska do George'a, lecz kiedy chce go
złapać, ten porusza się jakby razem z nim. Przenosi ciężar ciała
na cofniętą stopę, przejmując jego ręce, po prostu je podno-
sząc. Mięsiste łapska w ogóle nie dotykają George'a. Pryszczaty
daje nagle nura do przodu, niczego nie łapiąc i kompletnie
tracąc równowagę. Przytrzymując lekko ręce pryszczatego,
George przekręca go w pasie i od niechcienia rzuca młodzieńca
na ziemię. Choć właściwie to gest zbyt delikatny, by można
mówić o rzucie. Raczej ma się wrażenie, że pryszczaty to wielki
insekt o raczej paskudnej powierzchowności, a George pacnął
go lekko w odwłok.

— Jezu — mruczę.

George chce mu pomóc wstać. Pryszczaty odtrąca z gniewem jego rękę, choć wydaje się bardziej upokorzony niż poszkodowany. Widzę, że George użył w stosunku do niego raczej minimalnej siły, ale nie rozumiem, jak to możliwe. To znaczy nie rozumiem, dlaczego obu nam nie złożono dziś porządnie skóry.

Przez sekundę obawiam się, że to wszystko skończy się dla nas o wiele gorzej, ale wszyscy trzej młodzieńcy rejterują. Pod baseballowymi czapkami widać ich twarze wykrzywione strachem i nienawiścią. Pryszczaty nadal trzyma się za ramię, mamrocząc, żebyśmy, kurwa, uważali, jeśli, kurwa, nie chcemy oberwać, ale nie wydaje się zbyt groźny.

Wpatruję się w George'a, zdając sobie po raz pierwszy sprawę, że nie jestem na kursie tańca. Przyglądamy się sobie.

— Po jakim czasie będę potrafił coś takiego?

— Jeśli ostro ćwiczysz?

— Tak.

— Bardzo ostro?

— Bardzo ostro.

— Koło dziesięciu lat.

— Dziesięć lat? Chyba żartujesz.

— Okej. Może nie dziesięć. Może raczej dwadzieścia. Pamiętaj: w *tai chi chuan* nie chodzi o zewnętrzną siłę. Chodzi o wewnętrzną siłę. Nie siłę mięśni. — Łagodnie klepie się trzy razy w klatkę piersiową. — Siłę w środku.

A potem cierpliwie się do mnie uśmiecha.

— Dużo nauki — mówi. — Lepiej zaczynamy.

Spodziewałem się dziewczyny z Ipanemy. Doczekałem się dziewczyny z Ilford.

W progu moich drzwi stoi Jackie Day.

— Alfie? Cześć. Rozmawialiśmy przez telefon. W sprawie ogłoszenia. Nauka angielskiego.

Jestem skonsternowany. To prawda, że rozmawialiśmy

przez telefon. Niestety, zgłosiło się tylko kilkoro chętnych, może dlatego, że ogłoszenie ukazało się w martwym okresie pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, a może dlatego, że ludzie wyczuli, co takiego knuje mały Alfie. Ale Jackie zadzwoniła. Była zaskoczona i uszczęśliwiona faktem, że lekcje angielskiego oferuje jej stary kumpel z Oxford Street. A ja naturalnie uznałem, że sprzątaczką ze szkoły Churchilla zasięga informacji w imieniu kogoś innego.

Nie wiedziałem, kto to może być. Nawet o tym nie pomyślałem.

Jakaś niewyżyta Węgierka, która dopiero co wysiadła z samolotu i którą Jackie spotkała, sprzątając inną szkołę językową? Długonoga Brazylijka, na którą Jackie wpadła, tańcząc lambadę w podmiejskim nocnym klubie? Nie widzę jednak żadnej niewyżytej Węgierki ani brazylijskiej piękności.

Jackie wchodzi, mijając mnie, do przedpokoju i widzę, że odrosty jej blond włosów wymagają pielęgnacji.

Jak zwykle wystroiła się tak, jakby wybierała się do podmiejskiego klubu. Ale dlaczego ubzduriała sobie, że ten klub mieści się w moim domu?

Nasza rozmowa przez telefon była krótka i słodka. Czy to naprawdę ja? Tak, naprawdę. Jaki ten świat mały! Ile wynosi moje honorarium? Jak elastyczny jestem czasowo? Odparłem, że moje honorarium jest umiarkowane, a elastyczność nieograniczona. Podziękowała mi i powiedziała, że się zastanowi. Ale, jak Boga kocham, byłem przekonany, że myśli o jakiejś znajomej cudzoziemce.

A teraz patrzmy na siebie. Jackie uśmiecha się do mnie zachęcająco. Gdybym był postacią z komiksu, nad moją głową unosiłby się wielki znak zapytania.

— Tak się cieszę, że to ty — mówi. — Co za zbieg okoliczności. Nie wierzę we własne szczęście.

Prowadzę ją do salonu, myśląc, że to wszystko okaże się w końcu warte zachodu. Cierpliwości, Alfie. Gdzieś w mroku nocy słychać już bębny, które wybijają rytm lambady.

Tyle że jest dopiero wczesne popołudnie. Gram rolę gospodarza tylko dlatego, że mama zabrała babcię na wyprzedaż na West Endzie. Siadając na sofie razem z Jackie, spostrzegam jej obcisłą bluzeczkę, cienkie sandały i spódniczkę wielkości ręcznika do twarzy. Stroi się tak, jakby szła na bibkę w stylu lat siedemdziesiątych, nawet wtedy, gdy chce wyglądać porządnie. Krzyżuje skromnie nogi.

— Kto chce brać te lekcje? — pytam.

Robi lekko zdziwioną minę.

— Przepraszam. Myślałam, że to jasne. Ja.

— Dlaczego miałabyś uczyć się angielskiego?

— Powiedziałeś mi kiedyś, że uczyłeś literatury angielskiej. Zanim zacząłeś uczyć angielskiego jako języka obcego.

Kiwam ostrożnie głową. To prawda, że Jackie zna szczegóły mojej świetlanej kariery. Wydawało mi się, że rozumie, iż moje ogłoszenie nie ma nic wspólnego z przedmiotem, którego nauczalem w Męskim Liceum imienia księżnej Diany. Wydawało mi się, że chce się tylko dowiedzieć paru szczegółów, zanim przedstawi mnie swojej brazylijskiej przyjaciółce.

Żebym mógł uczyć angielskiego jako języka obcego.

— No więc tego właśnie chcę — mówi z werwą. — Lekcji literatury angielskiej. Rozumiesz? Muszę ją zaliczyć na poziomie A. Naprawdę muszę. Żeby móc wrócić na studia. I uzupełnić wykształcenie.

— Zaszło jakieś nieporozumienie — odpowiadam. — Moje ogłoszenie skierowane było do osób, które chcą się uczyć angielskiego jako języka obcego. Czy to nie było jasne? Nie szukam studentów, którzy chcą zaliczyć poziom A z literatury angielskiej. Przykro mi. Naprawdę myślałem, że dzwonisz w imieniu kogoś innego. Jakiejś... sam nie wiem... Brazylijki.

— Jakiejś... Brazylijki?

— Nie mam pojęcia, dlaczego to powiedziałem.

Uśmiech zastyga jej na wargach.

— Nie masz kwalifikacji, żeby uczyć angielskiego do egzaminu na poziom A?

— Nie... to znaczy mam. Ale nie o to...
— Mam trzydzieści jeden lat. Skończyłam pierwszego dnia świąt.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.
— Dziękuję. Dwanaście lat temu całkiem dobrze radziłam sobie w szkole. Byłam najlepsza w klasie. Same piątki. A potem musiałam rzucić szkołę.

To więcej, niż powinienem wiedzieć. Wstaję. Jackie nie rusza się z sofy.

— Mam już zaliczone dwa przedmioty. Francuski i środki masowego przekazu. — Spogląda na mnie z błyskiem w oku. — Nie jestem wcale głupia, jeśli tego się obawiasz. I mam pieniądze. Muszę zdać egzamin z angielskiego, żeby móc wrócić do szkoły.

— To świetnie, ale...

— Wiem, na jaki kurs chcę iść, wiem, na jakim uniwersytecie. Jeśli zaliczę angielski na poziomie A, mogę zacząć studia licencjackie na Uniwersytecie Greenwich.

Wbijam w nią wzrok.

— Idź do szkoły wieczorowej — mówię.

— Nie mogę.

— Czemu nie?

— Potrzebny mi jest prywatny nauczyciel. Jestem zbyt ograniczona czasowo, żeby chodzić do szkoły wieczorowej.

— A to dlaczego?

Jej blada ładna twarz ciemnieje, jakby padł na nią cień.

— Z powodów osobistych.

Nadaję głosowi poważne i stanowcze brzmienie. Gram rolę nauczyciela. Co, kiedy się o tym pomyśli, ma w sobie nieco ironii.

— Przykro mi, że cię rozczarowałem, Jackie. Naprawdę mi przykro. Nie uczę nikogo języka angielskiego do egzaminu na poziom A. Uczę angielskiego jako języka obcego. To nie jest ci potrzebne, prawda?

Jackie nie kwapi się wcale do wyjścia. Widzę, jak bardzo

jest zawiedziona, i czuję, że ogarnia mnie współczucie dla tej wystrojonej, niedouczzonej młodej kobiety.

Lubię ją. Zawsze ją lubiłem. Nie chcę tylko, żeby została moją uczennicą.

— Jeśli chcesz posłuchać rady kogoś starszego, Jackie, dyplom to tylko pozbawiony znaczenia świstek papieru. — Chcę, żeby moje słowa zabrzmiały przekonująco i przyjaźnie. — W ostatecznym rozrachunku nic ci nie da. Wierz mi, sam się o tym przekonałem.

— Łatwo ci mówić, bo go masz. Dla mnie nie jest pozbawionym znaczenia świstkiem. Dla mnie to sposób, żeby się wyrwać.

Z piętra dobiega mnie zaspany głos Vanessy.

— Alfie. Wracaj do łóżka. Będę musiała zaraz wyjść.

Zazwyczaj nie przyjmuję kobiet w domu. Mam szczęście, bo zaczęły się wyprzedaże.

Jackie Day wstaje z sofy. Robi taką minę, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu.

— Swoją drogą, co z ciebie za nauczyciel?

Zczasami sam się nad tym zastanawiam.

Pierwszego dnia nowego roku ojciec zjawia się, żeby zabrać resztę swoich rzeczy. Tak to wygląda. Zacierą ostatnie ślady swojej egzystencji w tym domu. Powinno to być bardziej bolesne, niż rzeczywiście jest.

Na ulicy stoi poobijana biała furgonetka, którą wynajął, ale cały ten epizod nie ma w sobie nic dramatycznego — tak jakby to wszystko ciągnęło się zbyt długo i wszyscy chcieli, żeby się wreszcie skończyło.

Matka nie stara się nawet zniknąć. Nie wchodzi do domu, kiedy jest tam mój stary, zostaje w ogrodzie razem z Joyce i jej wnukami. Ale nie ucieka. Zostaje w ogrodzie ze swoją przyjaciółką.

Kiedy ojciec taszczy paczki po schodach, stoję w salonie,

obserwując przez okno mamę, Joyce, Dianę i Williama. Boję się, że Joyce wpadnie do domu i podda ojca jednemu ze swoich przesłuchań.

Kim jest ta młoda kobieta, z którą żyjesz? Ile ma lat? Czy macie zamiar wziąć ślub? Czy chcecie mieć dzieci? Czy twoim zdaniem jesteś mądrym człowiekiem, czy też starym głupcem? Czy ta dziewczyna jest dobra w te klocki? A może chodziło ci tylko o to, żeby dać stąd nogę?

Jednak Joyce nie wchodzi do domu. Zostaje z matką, sadząc lilie w donicach na patiu, przenosząc krzewy, które zbyt-
nio się rozrosły, przygotowując ogród do nowego sezonu, podczas gdy dwoje dzieci delikatnie usuwa poranny śnieg z wiecz-
nie zielonych iglaków.

— Styczeń. Dużo pracy w ogrodzie — burknęła wcześniej. — Czas zakasać ręce. Kto rano wstaje, ten zawsze zdąży.

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje, Joyce.

— Wiesz świetnie, o co mi chodzi, mój panie.

Według Joyce w ogrodzie zawsze jest mnóstwo pracy. Słyszę teraz jej głos, zaskakująco łagodny, kiedy mruczy coś do mamy. Nie docierają do mnie jej słowa, ale wiem, że nie rozmawiają o moim ojcu. Już to samo jest rodzajem zwycięstwa.

Odwracam się, żeby spojrzeć na ojca, który znosi po schodach ostatnią paczkę. W środku są stare winylowe albumy. Widzę „I Was Made to Love Her” Steviego Wondera, „Feelin’ Bluesy” Gladys Knight i zespołu Pips oraz „Four Tops Live!”.

— Czy nie jesteś już trochę za stary na te wszystkie *och, baby, baby, baby?* — pytam, pragnąc mu dokuczyć.

— Nie sądzę, żeby ktokolwiek był za stary na odrobinę radości. Wierzysz chyba w odrobinę radości, co, Alfie? — odpowiada.

Nienawidzę go wcale nie dlatego, że go nie rozumiem, ale dlatego, że świetnie go rozumiem. Jest moim ojcem, zawsze będzie moim ojcem i obawiam się, że mam wiele jego cech.

Jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż jestem to skłonny przyznać. Wszystkie te noce w wynajętych pokojach, z kobietami

trzymającymi walizki przy łózkach, mówiącymi przez sen w językach, których nie rozumiem. Całe to zakradanie się, wszystkie te kłamstewka, zgoda na coś, o czym w głębi duszy wiem, że nigdy nie dorówna oryginałowi.

Owszem, wierzę w odrobinę radości. Ostatnio to chyba wszystko, w co wierzę. Dręczy mnie jednak lęk, że te wynajęte pokoje to dla mnie i mojego starego jedyny dom, jaki będziemy kiedykolwiek znali, jedyny dom, na jaki kiedykolwiek zasłużymy.

A potem ojciec wychodzi, przeciskając się niezgrabnie ze swoim pudłem przez frontowe drzwi. W ogrodzie słyszę śmiech kobiet.

Część druga

**FRYTKI TYLKO
DO POSIŁKU**

19.

Jackie przychodzi do nas, kiedy jestem w parku z George'em. Mama wpuszcza ją do środka, częstuje herbatą i ciasteczkami, prosi, żeby czuła się jak u siebie w domu. Mama wpuszcza do środka wszystkich. To dziwne, że jeszcze jej nie zamordowali.

— Jest w salonie — informuje mnie. — Miła młoda dziewczyna. Ubrana trochę... może trochę zbyt wyzywająco.

— Och, mamó — jęczę, jakbym właśnie zepsuł zabawkę.

— Powiedziała, że ma dla ciebie wypracowanie — odpowiada lekko tonem. — Myślałam, że to jedna z twoich uczennic.

— Wszyscy moi uczniowie to cudzoziemcy, mamó.

Zaglądam przez szparę do salonu. Jackie siedzi na sofie, znowu ubrana jak na tańce albo jakby chciała nabawić się obustronnego zapalenia płuc. Bluzeczka bez ramiączek, minimalna spódniczka, buty na obcasach, którymi można by wylupić komuś oczy. Sącząc herbatę, przygląda się obrazom na ścianach, wszystkim tym czarno-białym fotografiom ludzi pracy, które ojciec zaczął kolekcjonować, gdy wzrosły jego dochody.

Zastanawiam się, czy nie dać nogi. Wtedy będzie mnie nachodzić. Lepiej skończyć z tym raz na zawsze.

— Cześć — mówię, wchodząc do salonu.

— Och, dzień dobry. — Uśmiecha się, chce wstać, ale potem

decyduje, że z herbatą i ciasteczkami na kolanach lepiej tego nie robić. — Słuchaj, naprawdę przykro mi, że cię niepokoję, ale...

— Nie ma sprawy. Wydawało mi się jednak, że dałem jasno do zrozumienia, iż nie jestem nauczycielem angielskiego.

— Och, daleś jasno do zrozumienia, że jesteś nauczycielem angielskiego — śmieje się, pozwalając sobie na mały żart. — Po prostu nie chcesz mieć mnie za uczennicę.

Odstawia herbatę i ciasteczka na stolik, bierze do ręki leżącą przy niej brązową kopertę i wręcza ją mnie.

— Co to jest?

— Wypracowanie. Na temat „Otella”.

— „Otella”?

— To ta historia o zazdrości na tle seksualnym. O tym, „co nieroztropnie, ale bardzo kochał”*.

O Desdemonie, Jagonie i całej reszcie.

* William Szekspir, „Otello”, przeł. Józef Paszkowski.

— Znam tę sztukę.

— Oczywiście. Przepraszam.

Wypracowanie na temat „Otella”? Tego mi jeszcze potrzeba.

— Przeczytasz je?

— Posłuchaj...

— Proszę, strasznie mi zależy na tym, żeby wrócić do szkoły. Potraktowałam temat poważnie.

— Ale ja nie...

— I byłam w tym dobra! Świetnie mi szło! Bo bardzo mi się to podobało. Dzięki książkom czułam się... nie wiem... podłączona do świata. To prawdziwa magia. Po prostu daj mi szansę, dobrze? Zanim zdecydujesz, że nie chcesz mnie uczyć, przeczytaj tę pracę.

Patrząc na nią, zastanawiam się, co ta królowa balu z Essex może wiedzieć o zbyt wielkiej i nieroztropnej miłości.

— Naprawdę przepraszam, że cię nachodzę. Przykro mi, że tak tu się wprosiłam. Jeśli przeczytasz moją pracę i uznasz, że nadal nie chcesz mnie uczyć, przyrzekam, że dam ci spokój.

Obiecuję więc, że przeczytam wypracowanie, po prostu żeby się jej pozbyć. Kiedy odprowadzam ją do drzwi i żegna się z moją mamą, autentycznie jej współczuję. Jackie Day nie chce po prostu zrozumieć, że nauka nie ma z tym nic wspólnego.

— Jaka miła dziewczyna — stwierdza mama po jej wyjściu.
— Trochę chuda. Widziałam więcej mięsa na fartuchu rzeźnika. Ale ona przecież mówi po angielsku, prawda? Do czego jesteś jej potrzebny?

— Do niczego.

U Eamona de Valery jest nowa barmanka. Z Rosji. Ma krótko przycięte rude włosy. W poniedziałek zaczyna naukę w szkole Churchilla, informuje mnie Yumi. Zanim się przedstawię, obserwuję przez chwilę młodą Rosjankę, która zмага się z kuflami Paddy McGinty's Water i paczkami siekanej wieprzowiny. Będzie chodziła na mój kurs dla zaawansowanych początkujących.

Te rozmowy mają już swój wewnętrzny rytm. Skąd jesteś? Jak ci się podoba Londyn? Miałaś jakieś kłopoty z wizą? (Nie stosuje się do przybyszek z Unii Europejskiej i Japonii). Czy tęsknisz za domowym strudlem z jabłkami/krewetkami/tempurą/kurczakiem po kijowsku?

Olga mówi mi to samo co wszystkie. Londyn jest bardziej zatłoczony, niż to sobie wyobrażała, i droższy, niż obliczała. Nawet dzieci bogatych rodziców dostają tiku nerwowego, kiedy widzą, jaka jest cena pokoju w tym mieście. O ileż trudniejsze musi to być dla młodej kobiety z byłego komunistycznego piekła!

Nie mogę pomóc Oldze w kwestii zakwaterowania. Sam szukam teraz własnego mieszkania i mnie również niełatwo jest znaleźć coś na miarę mojej kieszeni, choć nie mówię jej o tym ani słowem. Ta typowa skarga na wysokie londyńskie ceny pozwala mi zastosować mój ulubiony gambit.

— To miasto nie jest tanie — mówię, opierając się o bar —

ale jest tu mnóstwo wspaniałych rzeczy, które można mieć za darmo.

— Naprawdę?

— Ależ oczywiście. Trzeba po prostu wiedzieć, gdzie szukać. Na początek parki. Widok Londynu ze szczytu Primrose Hill. Królewskie jelenie w Richmond Parku. Rzeźby, na które człowiek natyka się, spacerując po Holland Parku. Kiedy idzie się wzdłuż Serpentine...

— Serpentine?

— To staw. W Hyde Parku, tam gdzie są te szerokie piaszczyste alejki, po których ludzie jeżdżą konno. Obok Kensington Gardens.

— Tam, gdzie mieszkała Diana?

— O właśnie. Mieszkała w Kensington Palace. To fantastyczny gmach. Ludzie wciąż kładą kwiaty przy bramie. Jest również St James's Park przy Buckingham Palace... przepiękny. I Kenwood House przy Hampstead Heath. To ten cudowny gmach, gdzie mają pełno obrazów Rembrandta i Turnera, a w lecie urządzają koncerty muzyki klasycznej. Kiedy słońce zachodzi nad wrzosowiskiem, nad jeziorem płyną tony Mozarta.

— Dwa duże piwa, kochanie — słyszę z drugiego końca baru. — Kiedy nie będziesz zajęta Mozartem.

Gdy Olga wraca, zmieniam trochę tempo.

— Nie możesz nie zajrzeć na targ kwiatowy przy Columbia Road. I na piazzę przy British Library.

— Uwielbiam pizzę.

— Możesz obejrzeć proces w Old Bailey. Powinnaś również obejrzeć premiera odpowiadającego na interpelacje w parlamencie. Pchle targi przy Brick Lane i Portobello Road. Targ mięsny w Smithfield. Picassa i Van Gogha w National Gallery.

Staram się, żeby zabrzmiało to wspaniale. I to jest wspaniale. Na tym polega cały dowcip. Wcale jej nie okłamuję. To wszystko prawda. W tym mieście można mieć wszystko, czego dusza zapagnie. I można mieć to za darmo. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

Olga odchodzi, żeby napełnić kilka kufli wodą kąpielową O'Grady'ego, a kiedy wraca, opowiadam jej, że w dziale spożywczym Harrodsa można zawsze spotkać ludzi podających świetne żarcie. Olga bardzo się ożywia i z początku myślę, że w domu musiała naprawdę odżywiać się bardzo podle, ale potem okazuje się, że podnieca ją po prostu perspektywa natknięcia się na tatę Dodi Fayed. Opowiadam jej o karnawałowej muzyce w Notting Hill, o fontannach przy Somerset House, o tym, jak wygląda w nocy nabrzeże Tamizy.

Idzie mi świetnie. Dopiero kiedy dzwonią, żeby odebrać ostatnie zamówienia, zdaję sobie sprawę, że już od kilku godzin powinienem być na lotnisku, żeby powitać Hiroko wracającą z Japonii.

Hala przylotów jest już pusta, lecz Hiroko nadal czeka na mnie w punkcie spotkań.

Jest coś bardzo japońskiego w postawie, z jaką to przyjmuje, w tej kombinacji stoicyzmu i optymizmu. A ja biegnę z ulgą i wstydem przez pustą halę, żeby ją uściskać, żalując, że nie ma nikogo miłszego ode mnie, kto mógłby ją przywitać.

Jest wyczerpana po długim locie z Narity, ale postanawiamy jechać do miasta i coś zjeść. Wskakujemy do Heathrow Express i wkrótce siedzimy w niewielkiej knajpce przy Little Newport Street.

Hiroko ledwie trzyma się na nogach. Jej skryte za okularami oczy są spuchnięte z braku snu. Przywiozła kilka prezentów, które chce mi wręczyć. Dwie pary pałeczek, jedna duża dla mężczyzny, druga mniejsza dla kobiety — co świadczy jakby, że wieści o trwającym od trzydziestu lat feminizmie nie dotarły do japońskich producentów pałeczek. Następnie daje mi komplet sake — dwa małe kieliszki i flaszkę. Oraz butelkę Escape Calvina Kleina ze sklepu wolnocłowego.

— Dziękuję za te urocze prezenty — mówię. Oficjalne zachowanie Hiroko sprawia, że sam przybieram oficjalny ton. — Zachowam je na zawsze. Uśmiecha się zadowolona.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odpowiada i kiwa lekko głową. A ja wyrzucam sobie, że nawet za nią nie tęskniłem.

Taskamy jej walizkę do baru Italia przy Frith Street, żeby napić się czegoś przed snem. Tam właśnie spostrzegam ojca.

Z początku myślę, że mam halucynacje, ponieważ mój stary jest ubrany dokładnie tak jak John Travolta w „Gorączce sobotniej nocy”.

Trzyzęściowy biały kostium, mocno rozszerzane spodnie, ciemna koszula bez krawata oraz buty na spiczastym obcasie. W każdej innej części kraju zostałby natychmiast aresztowany w takim stroju. W środku Soho prawie nie zwraca na siebie uwagi.

Wchodzi do baru Italia, lustrując twarze ludzi popijających espresso i latte. Mimo późnej godziny i pory roku obficie się poci w swoim dyskotekowym kostiumie. Nagle spostrzega mnie.

— Alfie.

— To jest Hiroko — mówię.

Ściska jej rękę.

— Szukam Leny — oznajmia. — Byliśmy w klubie w Covent Garden.

— Noc w stylu lat siedemdziesiątych?

— Skąd wiesz? No tak. Strój.

Czuję, że w obecności Hiroko nie mogę się odnosić do ojca zbyt wrogo.

— Nie ma jej tutaj — mówię. — Rozeszliście się?

— Pokłóciliśmy się. — Ojciec przeczesuje dłonią włosy. Nadal jest przystojny, stary sukinsyn. — O nic ważnego. O głupstwo.

— Co się stało?

— Poszło o muzykę. Wszędzie ją grali. Didżej puszczał kawałki z lat sześćdziesiątych i kawałki z lat osiemdziesiątych.

Tak jakby to było to samo. A potem puścił „You Can't Hurry Love”. — Ojciec spogląda na Hiroko. — Zespołu Supremes. Hiroko uśmiecha się i kiwa głową.

— A Lena powiedziała: Ach, uwielbiam Phila Collinsa. — Ojciec potrząsa głową na wspomnienie tego świętokradztwa. — Phila Collinsa, odparłem, Phila świńskiego Collinsa? To nie jest Phil Collins, kochanie. To oryginał. Diana Rose i dziewczyny. To jedna z najlepszych płyt, jakie kiedykolwiek nagrano. A ona stwierdziła, że słyszała tylko wersję Phila świńskiego Collinsa i kogo to zresztą obchodzi? To tylko kawałek popowej muzyki. Coś, przy czym się można zabawić. Wtedy chciałem wracać do domu. Ale ona chciała zostać. — Ojciec patrzy na nas, jakby był w stanie szoku. — A potem wyszła. Tak po prostu. Tutaj jej nie ma. Nie ma jej w domu. — Stary jeszcze raz przygląda się gościom baru Italia. — I nie wiem, gdzie jest.

— Chcesz się napić kawy albo czegoś innego?

— Nie, nie. Dziękuję. Lepiej będę szukał dalej.

Ojciec żegna się z Hiroko i ze mną i wychodzi, żeby błąkać się dalej po Soho niczym duch dyskotekowej przeszłości.

Po tym pierwszym dniu już nikt nie zaczepia w parku mnie i George'a. Zaczynamy bardzo wcześnie w niedzielę rano, kiedy to miejsce nadal należy do synów nocy. Ale oni zostawiają nas w spokoju. Przypatrują się nam przez kilka minut, a potem odchodzą.

To z powodu George'a. *Tai chi* w jego wykonaniu nie ma w sobie nic ze słabości albo miękkości. Z jego ruchów emanuje wewnętrzna siła. Pijacy omijają nas z daleka.

— Dlaczego zmieniłeś zdanie i zgodziłeś się mnie uczyć?

— Zobaczyłem, jak bardzo tego chcesz.

Czytam wypracowanie Jackie. Treść jest przygnębiająco łatwa do przewidzenia: spisek Jagona, wściekłość Otella i niewinność

Desdemony opowiedziane w stylu „Zabójczej broni 4”. Opowieść o seksualnej zazdrości, zdradzie i zemście. W roli głównej Mel Gibson. Pod ścianę, Jago. Tym razem to sprawa osobista.

Dokładnie to, czego można się spodziewać po kimś, kto nie skończył szkoły średniej. Wyciągnęła nawet stary jak świat cytat Rymera, że morał, jaki wypływa z tej sztuki dla wszystkich dobrych żon, brzmi: Pilnujcie dobrze swojej bielizny. Cokolwiek to mogłoby znaczyć.

Żal mi Jackie, ale satysfakcją napelnia mnie myśl, że nie muszę już dłużej uczyć tych bzdur.

Do jej wypracowania nie jest dołączona żadna notatka, żaden adres zwrotny, na który mógłbym je odesłać. Tylko wizytówka: MACHINA MARZEŃ — SPRZĄTANIE W STARYM DOBRYM STYLU i numer komórki. Mógłbym poczekać, aż spotkamy się w szkole Churchilla, ale nie chcę tego odwlekać tak długo. Chcę ją mieć jak najszybciej z głowy.

Dzwonię na komórkę i słyszę nagraną wiadomość, że pracuje właśnie w Connell Gallery przy Cork Street. To niedaleko od szkoły. Decyduję, że oddam jej wypracowanie osobiście, żeby po powrocie do domu nie zobaczyła, że rozbiła namiot w naszym ogrodzie.

Chociaż to tylko dziesięć minut drogi, Cork Street wydaje się fragmentem zupełnie innego miasta w porównaniu z miejscem, gdzie pracuję. W powietrzu unosi się zapach pieniędzy. Odnajduję Connell Gallery i mam zamiar zostawić tam wypracowanie w recepcji, ale w tym samym momencie spostrzegam Jackie.

Nie jest ubrana do tańca. Włosy ściągnęła do tyłu i związała elastyczną opaską. Ma na sobie nylonowy niebieski fartuch. Myje szybę wystawową. Wpatruje się we mnie przez moment, a potem wychodzi na ulicę.

— Co tutaj robisz?
— Zwracam twoje wypracowanie. Nie miałem adresu.
— Odebrałabym sama. W szkole Churchilla. Albo u twojej mamy. Dlaczego tak na mnie patrzysz?

— Jak?

— Mam swoją własną firmę — mówi. — Nazywa się Machina Marzeń. Pracujemy na całym West Endzie.

— My to znaczy kto?

— Ja. Czasami biorę jeszcze jedną dziewczynę. Jeśli jest dużo zamówień. Co ci się stało? — pyta po chwili.

Co się ze mną stało? Nie wiem.. Mam wrażenie, jakbym nagle zrozumiał, dlaczego chce wrócić do szkoły. Dlaczego tyle to dla niej znaczy. Po raz pierwszy naprawdę pojmuję, że nie jest dorabiającą sobie na boku studentką. W ten właśnie sposób zarabia na życie. Tak właśnie będzie wyglądać jej następne trzydzieści lat. To jest jej przyszłość.

— W tym, że człowiek zarabia na życie sprzątniem, nie ma nic złego — mówię, tak jakbym na głos myślał. — Absolutnie.

— Nie. To nie jest zła praca, ale chcę mieć lepszą. Mogę ją dostać, jeśli wrócę do szkoły.

— Ktoś musi to robić. Mam na myśli sprzątnanie.

— Robiłbyś to?

Ludzie gapią się na nas. Wszyscy ci miłośnicy sztuki patrzą się na sprzątaczkę i niechlujnie ubranego faceta, stojących na chodniku Cork Street.

— Słuchaj, twoje wypracowanie było w porządku.

— Tylko w porządku?

— Owszem. Pełno w nim belferskich opinii. Albo opinii jakichś krytyków. Za mało ciebie.

Jackie uśmiecha się do mnie.

— Jesteś dobry.

— Co takiego?

— Jesteś dobrym nauczycielem.

— W ogóle mnie nie znasz.

— Czuję to. Jesteś wspaniałym nauczycielem. Masz

absolutną rację: powinno tam być więcej mnie. Więc zgodzisz się? Będziesz mnie uczył?

Chcę stamtąd uciec, chcę zwać z Cork Street, uciec przed Machiną Marzeń, Desdemoną i jej brudnym praniem.

Ale przychodzi mi na myśl George Chang. Przypominam sobie, jaki jest w stosunku do mnie cierpliwy, jak dodaje mi otuchy, jak mi pomaga, ponieważ uważa, że tak właśnie powinien postąpić.

Nie wiem, co się ze mną dzieje.

— Kiedy możemy zacząć? — pytam.

20.

Dzwonię do drzwi babci, lecz ona nie odpowiada. To dziwne. Wiem, że tam jest. Przynajmniej na to wygląda, ponieważ słyszę wystudiowane westchnienia telewizyjnej publiczności w trakcie środowego ciągnięcia loterii krajowej. Czy to perspektywa wygrania dziesięciu milionów funtów sprawiła, że nie otwiera drzwi? Czy może coś innego?

Czekam na zbliżające się powoli szuranie pantofli po dywanie, a potem szcęk łańcucha i jej zerkającą zza drzwi pogodną twarz, oczy, które śmieją się na myśl o tym, że będzie miała towarzystwo. Bez skutku. Drzwi do mieszkania babci pozostają zamknięte.

Nie czuć również odoru gazu, spod drzwi nie sączy się dym, nikt nie wzywa pomocy. Babcia ma osiemdziesiąt siedem, prawie osiemdziesiąt osiem lat i czuję, że ogarnia mnie panika. Stawiam na podłodze zakupy i gorączkowo szukam klucza, który na wszelki wypadek noszę przy sobie.

Tak to właśnie wygląda, myślę.

Wszyscy umierają. Wszyscy nas zostawiają. Człowiek odwraca się na chwilę i znikają na zawsze.

Wpadam do małego białego mieszkania. Telewizor nastawiony jest zdecydowanie za głośno. Nie widzę babci, ale natychmiast dostrzegam obcego mężczyznę, który stoi przy

kominku, trzymając w ręku oprawioną w srebrne ramki fotografię, obliczającego, ile może być warta.

Kiedy odwraca się w moją stronę, nadal trzymając ramkę w złodziejskim ręku, widzę, że to raczej przerośnięty chłopak anizeli mężczyzna. Wygląda na szesnaście, może siedemnaście lat, ale ma dobrze ponad metr osiemdziesiąt. Na dziecinnej buzi widać ślad zarostu.

Przebiegam szybko przez pokój i rzucam się na niego, klnąc i odpychając go od kominka. Drży mi głos i dygoczę z wściekłości i strachu. Chłopak upuszcza srebrną ramkę — swój złodziejski łup — ale nadal stoi, dochodzi do siebie po moim niespodziewanym ataku i kiedy się ze sobą zmagamy, czuję, że jest ode mnie silniejszy i że jego także ogarniają wściekłość i strach.

Odciąga mnie na bok i popycha na serwantkę wypełnioną pamiątkami z wakacji. Szczęrzące zęby skrzaty i uśmiechnięte hiszpańskie osiołki dzwonią i podskakują za zakurzoną szybą.

Nagle z małej kuchni wychodzi moja babcia z herbatą i ciasteczkami.

— Ach, więc już się poznaliście — mówi.

Młodzieniec i ja odskakujemy od siebie niczym rozdzieleni przez sędziego ringowego bokserzy i dyszymy po obu stronach stolika do kawy. Babcia delikatnie stawia między nami herbatę i ciasteczka.

— Zabrakło mi powietrza na przystanku autobusowym — wyjaśnia. — Poszłam rozejrzeć się trochę po sklepach i nagle mi go zabrakło. Miałaś kiedyś takie uczucie, Alfie? Taką zadyszkę? — Uśmiecha się czule do młodzieńca, którego zaatakowałam. — Ken pomógł mi wrócić do domu.

— Ben — poprawia ją młodzieniec.

— Len. Dziwnie się czułam. Len wziął ode mnie torbę. Pomógł mi wejść do środka. Czy to nie miło z jego strony, Alfie?

— Dziękuję — mówię.

We wzroku młodego człowieka maluje się totalna, bezbrzeżna nienawiść.

— Nie ma o czym mówić — odpowiada. Posyła babci szybki uśmiech. Cały drży. — Muszę już iść.

— Ken — mówię. — Ben. Proszę, zostań i napij się herbaty.

— Naprawdę muszę uciekać. — Już na mnie nie patrzy. — Mam nadzieję, że poczuje się pani lepiej — mówi do mojej babci.

Odprowadzam go do drzwi, ale on nadal nie patrzy mi w oczy.

— Nie zdawałem sobie sprawy — bąkam. — Myślałem...

— Łajza — mruczy.

To prawda. Jestem łajzą. Nie potrafię uwierzyć, że dobroć i życzliwość istnieją jeszcze na tym świecie. Wydaje mi się, że bezpowrotnie odeszły w przeszłość. Nie dostrzegam ich, nawet kiedy są na wyciągnięcie mojej łajzowatej ręki.

Wracam do salonu, gdzie babcia drzemie w fotelu, trzymając w jednym ręku los loterii, a w drugiej biszkopt. Ostatnio często zasypia bez ostrzeżenia. Czasami przechyla się do przodu i muszę ją złapać, żeby nie zrobiła sobie żadnej krzywdy.

— Stale zasypiam — powtarza mi. — Myślę, że po prostu jestem zmęczona, kochanie.

Zdaję sobie sprawę, że babcia wcale nie zasypia. Ona traci przytomność.

— *Soong yi-dien!* — powtarza ciągle George. — *Soong yi-dien!*

Soong yi-dien. To jedno z nielicznych znanych mi kantońskich wyrażeń. W Hongkongu słyszało się je stale w małych warsztatach krawieckich obok Szkoły Językowej Double Fortune, kiedy klienci skarżyli się, że przymierzany garnitur jest zbyt ciasny.

— *Soong yi-dien!* — krzyczeli w twarz krawcowi, panu Wu. — Poluzuj to.

George chce, żebym to poluzował. Uważa, że za bardzo się staram. Ma rację. Moje *tai chi* nastawione jest na efekt.

Wszystko robię z wysiłkiem. *Tai chi* wygląda w moim wykonaniu jak ciężka fizyczna praca. A George porusza się tak, jak śpiewa Sinatra, zupełnie bez wysiłku, tak jakby cały ten kunszt i sztuka były najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem.

— *Soong yi-dien* — mówi. — Bardzo ważne, kiedy bawimy się w *tai chi*.

Bawimy się w *tai chi*? Z pewnością ma na myśli „ćwiczymy”, „praktykujemy” albo „uczymy się” *tai chi*. Nie chodzi mu chyba o zabawę?

Mimo wyraźnego kantońskiego akcentu George mówi po angielsku bardzo dobrze. Nie popełnia językowych lapsusów, które bez przerwy zdarzają się jego żonie. Czasami myślę mu się trochę czasy i nie używa przedimka określonego. Nigdy jednak nie mam problemu ze zrozumieniem tego, co mówi. Zaskakuje mnie więc, że użył niewłaściwego czasownika.

— Nie masz chyba na myśli, że bawimy się w *tai chi*, prawda, George? — pytam. — Chodzi ci o studiowanie albo o coś w tym rodzaju? Nie o zabawę.

Spogląda na mnie.

— Nie — mówi. — W *tai chi* bawimy się. Zawsze się bawimy. *Tai chi* to nie siłownia. To nie pocenie się i kładzenie sześciopaka na brzuchu. To nie ćwiczenie. Kiedy to zrozumiesz, wtedy zaczniesz się uczyć. Wtedy poluzujesz. *Soong yi-dien*. Dlaczego ludzie na Zachodzie zawsze muszą się tak napinać? Dobrze, spróbuj znowu.

Próbuję.

Rozstawiam stopy na szerokość ramion, przyjmując pozycję konia, zginając kolana, ale tak, żeby nie wystawały dalej niż palce u nóg. Kark wyprostowany, ale rozluźniony. Podbródek lekko wysunięty do przodu. Plecy proste i wydłużone, ale nie tak jak w pozycji na baczność. Pośladki wciągnięte. Próbuję wolniej i bardziej miękko oddychać, głębiej, ale nie na siłę. Rozluźnić nadgarstki. Otworzyć wszystkie stawy. Próbuję poczuć *dan-tien*, moje centrum energii, które, jak się dowiedziałem, jest

zlokalizowane pięć centymetrów poniżej pępka i pięć centymetrów wewnątrz mego ciała. Nie wygląda mi to na zabawę.

— Znasz to powiedzenie: nie ma nagrody bez bólu?

— Jasne.

— To bzdura.

— Nie przyszedłam chyba za wcześnie? — pyta Jackie Day. — Jeśli jest za wcześnie, mogę...

— Nie, w porządku — odpowiadam. — Wejdz.

Wehodzi do mojego mieszkania, omiatając wzrokiem wszystkie nierozpakowane paczki.

Znalazłem w końcu własny kąpiel. Mieszkanie z jedną sypialnią w wiktoriańskim domu zamieszkanym głównie przez studentów muzyki. Słyszać, jak rzępolą na wiolonczelach i skrzypcach, ale ponieważ są w tym dobrzy, ich gra raczej koi, niż szarpie nerwy. To miłe miejsce. Ponieważ babcia idzie na badania do szpitala, a w szkole Churchilla zaczyna się nowy semestr, nie miałem jeszcze czasu się rozpakować. Z wyjątkiem paru podstawowych rzeczy.

Fotografii Rose.

Kilku klasycznych płyt Sinatry.

Elektrycznego czajnika.

Idę zrobić kawę do kuchni, która ma rozmiary automatu do robienia zdjęć, a Jackie szuka jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby usiąść.

— Lubię tę staroświecką muzykę — woła do mnie, kiedy Frank kończy „Wrap Your Troubles in Dreams” i zaczyna ponadczasową wersję „Taking a Chance on Love”. — Co to za kompakt?

— To „Swing Easy”. Zawiera właściwie nagrania dwóch płyt. Z winylowego albumu o tym samym tytule oraz płyty długogrającej, którą pierwotnie wydano jako „Songs for Young Lovers”. — Przez chwilę słucham muzyki. — Mnie też się podoba. To jedna z moich ulubionych.

— To Harry Connick Junior?

O mało nie wypuszczam z ręki czajnika.

— Harry Connick Junior? Czy to jest Harry Connick Junior? To Sinatra. Frank Sinatra.

— Aha. Brzmi trochę jak Harry Connick Junior, prawda?

Nie odpowiadam. Kiedy wychodzę z kuchni, Jackie przygląda się wszystkim fotografiom Rose.

Rose na dzonce swojej firmy w Hongkongu. W dniu naszego ślubu. Na balu sylwestrowym na Victoria Peak. W dniu przekazania Hongkongu Chinom.

Oraz — to mój ulubiony portret Rose — powiększenie jej fotografii paszportowej. Rose spogląda tu prosto w obiektyw, niesamowicie młoda, poważna i piękna z włosami dłuższymi, niż kiedykolwiek widziałem, chociaż zdjęcie zrobiono na krótko, zanim się poznaliśmy.

Zawsze uważałem, że Rose jest jedyną osobą na świecie, która wygląda dobrze na swojej fotografii paszportowej.

— Twoja przyjaciółka? — pyta Jackie Day, lekko się uśmiechając. — To nie jest dziewczyna, którą widziałam w domu twoich rodziców.

Dopiero po sekundzie uświadamiam sobie, że mówi o Vannessie.

— To była tylko znajoma. A to jest moja żona. Ma na imię Rose.

— Aha.

Słyszę niemal, jak analizuje tę informację. Zastanawiam się, dlaczego zawsze muszę rozmawiać na ten temat. Dlaczego nie mogą zostawić nas w spokoju?

— Jesteś rozwiedziony?

— Moja żona zginęła — odpowiadam, odbierając jej fotografię i dając w zamian filiżankę rozpuszczalnej kawy. Kładę ostrożnie zdjęcie na tekturowym pudle. — Zginęła w wypadku.

— Drogowym?

— Podczas nurkowania. Kiedy mieszkaliśmy w Hongkongu.

— Boże — mówi, wpatrując się w fotografię Rose. — Tak mi przykro.

— Dziękuję.

— To musiało być dla ciebie straszne. — Przygląda się wszystkim zdjęciom, które tworzą, jak sądzę, coś w rodzaju kapliczki, i na jej twarzy odbija się autentyczny ból. — I dla niej. Ile miała lat? Ile lat miała Rose?

— Miała dwadzieścia sześć lat. Prawie dwadzieścia siedem.

— Ty biedaku. Biedna kobieta. Biedna dziewczyna. Och, tak mi przykro.

W jej oczach lśnią łzy i naprawdę żałuję, że jej współczucie nie budzi we mnie wdzięczności.

Trudno jednak, bym traktował serio okazywane przez nią wzruszenie, widząc, że pod skórzaną kurtką ubrana jest tak, jakby wybierała się na kolejny podryw w podmiejskich slumsach. T-shirt w stylu „Francuskiego łącznika”, pastelowa minispódniczka, wysokie obcasy, które pozostawiają małe dziury w drewnianej podłodze mojego nowego mieszkania. Zastanawiam się, co my tutaj robimy. W końcu sobie przypominam.

— Chcesz się uczyć do egzaminu z literatury angielskiej.

Jej umalowana ładna twarz rozjaśnia się.

— Jeśli uda mi się zaliczyć ten jeden przedmiot, wrócę do szkoły. Mam już dwa inne. Francuski i środki masowego przekazu. Mówiłam ci. Pójdę na Uniwersytet Greenwich. Zrobię licencjat. Dostanę dobrą pracę. Przestaną szorować podłogi galerii sztuki przy Cork Street i szkół językowych przy Oxford Street.

— Dlaczego to musi być koniecznie Uniwersytet Greenwich? To raczej nie jest Oxford ani Cambridge, prawda?

— Bo taki mam plan — odpowiada. — Zawsze trzeba mieć jakiś plan. Mam już wstępną zgodę i wszystko. W szkole szło mi bardzo dobrze. Naprawdę. Ale potem musiałam wszystko rzucić.

— Z powodów osobistych. To też mi już mówiłaś.

— Teraz chcę ponownie spróbować.

— Dobrze. Może usiądziesz?

Jackie rozgląda się. Nie ma gdzie usiąść. Stawiam dwa krzesła po obu stronach kartonowego pudła.

— Kurs literatury angielskiej opiera się na bardzo solidnej podstawie. Przedmiot studiów jest tutaj bardzo wyraźnie określony.— wyjaśniam i zaczynam wyliczać na palcach. — Jeden utwór prozatorski. Jeden utwór poetycki. Jeden utwór dramatyczny. Oraz jedna sztuka Szekspira. Ostatecznie, żeby zdać, trzeba umieć dwie rzeczy: czytać i pisać.

— Czytać i pisać. Okej. Świetnie. Dobrze. Tak.

— To znaczy, musisz zrozumieć tekst, pokazać, że go rozumiałaś. To sedno tego przedmiotu.

Znam swoje kwestie.

To mowa, którą pamiętam z mrocznych dni Męskiego Liceum imienia księżnej Diany — choć na ogół, zanim dochodziłiśmy do poziomu A, większość moich uczniów kontynuowała już naukę w praktycznej szkole życia.

Ktoś dzwoni do moich drzwi.

— Przepraszam — mówię.

— O, to chyba do mnie — stwierdza Jackie Day.

— Co?

— To pewnie moja córka.

Córka? Jaka córka?

Jackie i ja wychodzimy razem z mieszkania i schodzimy na dół. Na dworze stoi niesamowicie wielka, klocowata dziewczyna. Trudno ocenić, w jakim jest wieku. Twarz ma schowaną za zasłoną tłustych brązowych włosów. Jej ubranie jest tak samo konsekwentnie ciemne i bezkształtne jak strój Jackie jasny i opięty.

— Przywitaj się z panem Buddem — mówi Jackie.

Kloc milczy. Przysłonięte niemytą grzywką jasnoniebieskie oczy zerkają ku mnie, a potem odwracają się ze wstydem, pogardą albo jakimś innym uczuciem.

W dłoni trzyma plik czasopism. Na okładkach widzę mężczyzn w maskach i elastycznych trykotach, wykrzywających

się, sapiących i obłapiających jeden drugiego. Z początku mam wrażenie, że to straszne dziecko interesuje się twardą pornografią. Po chwili uświadamiam sobie, że czasopisma poświęcone są nowemu, groteskowemu rodzajowi zapasów. Oszołomiony wracam do mieszkania. Jackie i kloc depczą mi po piętach, Jackie wesółła jak skowronek i zasypująca córkę pytaniami, kloc odpowiadający monosylabicznymi chrząknięciami. Choć zupełnie nie przypominają siebie fizycznie, nie ma cienia wątpliwości, że to matka i dorastające dziecko.

Kloc wchodzi do mojego nowego mieszkania i rozgląda się z dezaprobatą.

— To moja córka — mówi Jackie. — Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzać, jeśli siądzie sobie cicho w kąciku, kiedy będziemy pracować.

Gapię się na tę kobietę ubraną tak, jakby zamierzała stanąć w oświetlonym czerwona lampą oknie w Amsterdamie, i zastanawiam się, jak to się stało, że w ogóle pozwoliłem jej uczestniczyć w moim życiu.

— A myślałeś, że dlaczego musiałam zrezygnować z dalszej nauki? — pyta mnie, nagle zjeżona.

Patrzę na jej potężną, bezimienną klocowatą córkę, która kartkuje czasopismo zapaśnicze, i zadaję sobie pytanie: a myślałeś, że dlaczego przestałem uczyć w szkole?

21.

Widząc Hiroko, która czeka na mnie przed szkołą Churchilla, przypominam sobie zdanie, przeczytane kiedyś w kąciku porad sercowych, o tym, kto gra pierwsze skrzypce w związku uczuciowym.

Dyżurny psycholog napisał, że władzę ma ten, komu mniej zależy. Kiedy Hiroko zerka na mnie ze swoim otwartym, pełnym nadziei uśmiechem, widzę, że psycholog miał rację.

Nie ma powodu, dla którego miałbym górować nad Hiroko. Jest ode mnie młodsza, mądrzejsza i ładniejsza. Jest również o wiele miłsza. Jakby na to nie patrzeć, Hiroko jest o wiele lepszą partią ode mnie.

Ale Hiroko bardziej zależy. W związku z czym cała reszta — jej wygląd, jej młodość oraz fakt, że jest sympatyczna — nie ma większego znaczenia.

- Ostatnio prawie się nie widzimy, Alfie.
- Jestem bardzo zajęty.
- Jak się czuje twoja babcia?
- Nadal w szpitalu. Robią jej badania i odsysają płyn z płuc. Zaprzyjaźniła się ze wszystkimi starszymi paniami na oddziale.
- Zawsze była taka pogodna.
- Chyba nic jej nie będzie.

— To dobrze. Cieszę się. Może chcesz zjeść ze mną później lunch?

— Lunch? Na lunchu spotykam się z Hamiszem, żeby omówić z nim pewną sprawę.

— To może kolację?

Zaproszenie na lunch było jak najbardziej w porządku. Ale padająca natychmiast potem propozycja wspólnej kolacji świadczy o jej desperacji. Czuję się osaczony. Myśl o kolacji doprowadza mnie do punktu, z którego nie ma powrotu.

— Hiroko, naprawdę uważam, że powinniśmy sobie teraz trochę odpuścić.

— Odpuścić?

Zaczyna płakać. Ale to nie są łzy, które mają mnie szantażować. Nie takie, które mają mnie skłonić do zmiany decyzji albo do jakichś ustępstw. Nie takie, które mają sprawić, że zaproszę ją na kolację. To zwykłe łzy.

— Wspaniała z ciebie dziewczyna, Hiroko — mówię.

I to prawda. Wspaniała z niej dziewczyna. Zawsze miała dla mnie tyle serca. Co jest ze mną nie tak? Dlaczego nie potrafię być szczęśliwy z tą kobietą?

Kiedy człowiekowi potrzebny jest dyżurny psycholog, nigdy nie ma go pod ręką.

Zła wiadomość polega na tym, że w szkole Churchilla doszło do skandalu, w który zamieszany jest jeden z nauczycieli. Lisa Smith puszcza dym uszami, plotkują o tym wszystkie uczniowie i odwiedziło nas nawet kilku umundurowanych policjantów, którzy weszli i zadawali pytania, jakby cały incydent był tylko wierzchołkiem bardzo paskudnej góry lodowej.

Dobra wiadomość polega na tym, że nie ma to absolutnie nic wspólnego ze mną.

Hamisz został aresztowany za zakłócenie porządku w publicznej toalecie na Highbury Fields. To zabawne, ale znam to miejsce — to jedna z tych publicznych toalet, gdzie facet, który

chce się wysikać, uważany jest za wszystkich obecnych tam mężczyzn za chorego zbrodnicę.

Tak czy inaczej, Hamisz został aresztowany za lubieżne i nieprzyzwoite zachowanie, ponieważ któregoś dnia sięgnął tam po coś, co jego zdaniem należało do napalonego nieznanego, a co okazało się policyjną pałką. Teraz cały jego świat wali się w gruzy. Zabieram go na drinka do Eamona de Valery.

— Mam wrażenie, że za chwilę wszystko stracę — mówi. — Rodzinę, mieszkanie, zdrowie psychiczne. Za jeden szybki numer. To naprawdę nieuczciwe. To nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością.

— Jak przyjęła to stara Smith?

— Mówi, że musi zobaczyć, czy policja wysunie jakieś zarzuty. O nią się nie martwię. Zawsze uda mi się znaleźć drugą tak słabo płatną pracę. Bardziej martwię się o moich rodziców. I o mojego partnera. To u niego mieszkam. Jeśli ostro zareaguje... nie wiem, co będzie.

— Poczekaj chwilę. Twój partner chyba wie, że nie chodzisz o północy na Highbury Fields, żeby zagrać w tenisa. Tak czy nie?

— Powiedziałem mu, że dałem temu spokój. Przygodnym znajomościom. To go denerwuje.

— Aha.

— Z mamą i tatą będzie jeszcze gorzej. Wściekną się. Zwłaszcza ojciec. Chryste. Przez czterdzieści lat pracował w stoczni Govan. Kiedy dowie się, że jestem, jak to on nazywa „ciotą”, już nigdy się do mnie nie odezwie.

— Poczekaj. Twój rodzice nie wiedzą, że jesteś gejem? Twój rodzice nic nie wiedzą? Jezu, Hamisz.

— Pochodzę z East Endu w Glasgow. Nie bardzo nadążamy za Londynem. Choć w ostatecznym rozrachunku różnica między Londynem a Glasgow nie jest wcale taka duża. Człowiek przyjeżdża tutaj, myśląc, że będzie wolny i swobodny jak ptak. A potem okazuje się, że na swój własny słodki sposób to miasto jest tak samo represyjne jak każde inne.

Żal mi Hamisza i dlatego nie mówię mu, co myślę. A myślę

rzecz następującą: jak można mieć prywatne życie, skoro prowadzi się je w publicznej toalecie?

Nie ma racji co do Londynu. W moim mieście jest wiele złych rzeczy, lecz każdy może w nim żyć, jak mu się żywnie podoba. Oczywiście pod warunkiem, że nie zacznie macać policyjnej pałki.

Możemy jednak być kowalami własnego losu, myślę, obserwując Olgę, która mozoli się z aparaturą do nalewania piwa po drugiej stronie baru.

Trzeba tylko zachować trochę dyskrecji.

Czasami wydaje mi się, że miłość to przypadek pomyłonej tożsamości.

Coś takiego ma miejsce z Hiroko i ze mną. Kiedy na mnie patrzy, widzi kogoś zupełnie innego — kogoś przyzwoitego i dobrego, kogoś, kim chciałaby, żebym był. Angielskiego dżentelmena. Davida Nivena. Aleca Guinnessa. Hugh Granta. Kogoś, kim nie jestem i nigdy nie będę.

Albo weźmy Hamisza i jego partnera. Chłopak Hamisza chce prawdopodobnie wierzyć, że tym, czego pragnie jego ukochany, jest poważny monogamiczny związek. Że pragnie robić w sobotę zakupy w Habitat, wydawać małe stylowe przyjęcia, słuchać płyt z musicalami z Broadwayu i dochowywać wierności jednemu partnerowi. To kolejny przypadek pomyłonej tożsamości.

Ponieważ Hamisz chce chodzić w publiczne miejsca i uprawiać seks z ludźmi, których nazwisk nigdy nie pozna. To jest dla niego ważniejsze od całej reszty. Jego partner po prostu tego nie widzi. Jego partner nie chce tego widzieć.

Czy to się w ogóle liczy? Czy to jest prawdziwe? Kiedy nie zna się wcale drugiej osoby?

Odkąd sięgam pamięcią, moja babcia głęboko nienawidziła lekarzy. Zawsze zdawało jej się, że prowadzi z profesją medyczną

niekończącą się walkę o wolność. Babcia chciała zostać w domu. Lekarze — „konowały”, jak ich nazywała, nawet tych, których lubiła — chcieli ją porwać i zamknąć w szpitalu, gdzie powoli by dogorywała.

Teraz, gdy rzeczywiście leży w szpitalu, babcia najwyraźniej zmienia zapatrywania. Uważa, że lekarze zasługują na podwyżkę, a zajmujące się nią pielęgniarki powinny występować w telewizji.

— Są śliczne jak te panienki od prognozy pogody — mówi. To rzeczywiście wysoka pochwała.

Moja matka, Joyce Chang i ja siedzimy przy jej łóżku, a babcia raczy nas opowieściami o ludziach, których tutaj spotkała. O siostrze, która „powinna być modelką, taka jest śliczna”. O staruszce (młodszej od niej) z sąsiedniego łóżka, która (to powiedziane szeptem) „nie ma po kolei pod sufitem, biedaczka”. O hinduskim doktorze, który oznajmił jej, że wkrótce będzie „zdrowa jak ryba”. O salowej, która jest flirciarą, o pielęgniarce, która jest żalowaną krową, o wesołej starszej pacjentce w łóżku naprzeciwko, z którą się zaprzyjaźniła i którą zaprosi na herbatę, kiedy obie zostaną w końcu zwolnione do domu. Babci nie zamykają się usta. Czy nie wsypują im tutaj czegoś do zupy pomidorowej?

Wydaje się szczęśliwsza, niż była od dłuższego czasu, mimo stojącej na podłodze przy łóżku niskiej szpetnej maszyny i wystającej z niej długiej cienkiej rurki wsuniętej pod białą koszulę, w której wygląda jak anioł ze starych obrazków. Pod tą koszulą rurka wbija się jej w bok, wnika głęboko w ciało, wysysając powoli płyn, który zgromadził się w jej zatłoczonych, niedotlenionych płucach.

Na zdjęciu rentgenowskim jedno płuco wydaje się zupełnie białe — tak dużo w nim płynu, którego nie powinno tam wcale być. Lekarze wpatrywali się w nie z podziwem. Dziwiło ich, że mając w sobie tyle tego świństwa, nadal oddycha.

Babcia wydaje się szczęśliwa, mimo mruczącej maszyny na podłodze, mimo wysysanego z niej płynu, mimo bólu, który

musi odczuwać, mając w boku tę rurkę. Rurka tkwi w niej dzień i noc. Będzie tkwiła, aż wyssą z niej cały płyn. Może po-
byt w szpitalu nie jest taki zły, jak sobie wyobrażała. Ma świadomość, że w przeciwieństwie do jej męża, mojego dziadka, nie umrze tutaj. Nie tym razem. Jeszcze nie.

Nagle przestaje mówić i wszyscy spoglądamy na mojego ojca, który staje zakłopotany u stóp łóżka. W rękę trzyma kwiaty i pudełko czekoladek.

— Cześć, mamó — mówi, podchodząc bliżej, żeby pocałować ją w policzek.

— Mike — odpowiada babcia. — Mój Mike.

Boję się, że Joyce zacznie przypiekać ojca na temat jego życia seksualnego z Leną, lecz ona — prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu — zachowuje stereotypowo pokerowe oblicze. Bierze tylko babcie za rękę i mówi jej, że wkrótce będzie „zdrowa jak suseł”.

Matka i ojciec przypominają teraz bardziej brata i siostrę niż małżeństwo. Wyglądają jak dwoje ludzi, których łączy wspólna historia, ale nic ponadto. Nie ma między nimi nienawiści, ale i wielkiego uczucia. Są grzeczni, rzeczowi, dyskutują na temat diagnozy lekarzy i tego, czego potrzebuje babcia podczas pobytu w szpitalu. Tylko fakt, że nie patrzą sobie w oczy, może wskazywać, że oboje mają adwokatów, którzy prowadzą sprawę rozwodową.

Po raz pierwszy żal mi ojca. Nie ogolił się dzisiaj. Powinien się ostrzyć. Stracił trochę na wadze, ale bynajmniej nie w siłowni.

Ma wszystko, czego chciał, ale nie wydaje się szczęśliwy. Nagle widać, że się starzeje.

I wygląda... jak to powiedzieć?

Jak zwykły człowiek.

Pierwszą pracą domową, jaką zadałem Jackie, było krytyczne omówienie dwóch wierszy: „Kiedy już siwa twa głowa”

Williama Butlera Yeatsa oraz „Do Lucasty, jadąc na wojnę” pułkownika Lovelace'a.

Czytam jej pracę — napisaną schludnym drobnym charakterem pisma — podczas gdy Jackie siedzi po drugiej stronie stołu, obgryzając pomalowane paznokcie.

Kloc (Czy ma jakieś imię? Czy ktoś mi je zdradzi?) zajmuje większą część kanapy przy oknie i przegląda swoje obrzydliwe czasopisma. Na kolorowej okładce widać dwóch spoconych grubych facetów tarzających się w elastycznych majtkach. Zastanawiam się, dlaczego matka pozwala jej czytać te bzdury. Gdzieś w naszym domu wiolonczelistka ćwiczy gamy. Na dworze pada deszcz.

— Praca jest w porządku — mówię, kładąc ją na stole.

Jackie wydaje się rozczarowana.

— Tylko w porządku?

— No cóż, nie prosiłem, żebyś zrecenzowała te wiersze. Nie jesteś Barrym Normanem. Prosiłem, żebyś napisała krytyczne omówienie.

— To właśnie zrobiłam.

— Bynajmniej. Przedstawiłaś swoje preferencje. Wyraźnie podoba ci się wiersz Yeatsa. I nie podoba ten drugi. Lovelace'a.

— Myślałam, że mam wkładać siebie w to, co piszę. Tak mówiłeś. Umieść swoje opinie w tym, co piszesz.

— W tej pracy chodziło o własną opinię. Nie prosiłem jednak, żebyś przedstawiła swoje preferencje. Nikogo nie obchodzi, który wiersz wolisz. To nie konkurs piękności.

— Ale ten Yeats jest taki dobry. Opowiada o starzeniu się z kimś. O tym, że kocha się kogoś przez całe życie, nawet kiedy ten ktoś jest stary i sterany.

— Wiem, o czym jest ten wiersz.

Jackie zamyka oczy.

— „Wspomnij, jak wielu kochało uśmiech łagodny i jasny, Kochało — szczerze lub złudnie — czar, co radość twą zdobył.

Lecz jeden człowiek umiłował duszę wędrowną w tobie, I

wtedy miłował najbardziej, gdy w smutku twe oczy gasły”*. — Otwiera oczy, w których błyszczą podniecenie. — To takie piękne. „Lecz jeden człowiek umiłował duszę wędrowną w tobie”. Uwielbiam to.

* Przeł. Zygmunt Kubiak.

— Napisałaś o tym bardzo dobrze. Ale zbyt lekceważąco odnosisz się do Lovelace'a. Na egzaminie obniżono by ci za to ocenę.

— Ten pajac Lovelace... co on wie? W „Do Lucasty, jadąc na wojnę” mówi o tym, że są sprawy ważniejsze od miłości. Honor. Ojczyzna. Takie rzeczy. — Jackie parska pogardliwie i zaczyna recytować ze śmiesznym piskliwym akcentem klas wyższych. — „Nie mógłbym tak cię kochać, gdyby Honor mi droższy nie był”**. Co za kretynstwo. Co za stek bzdur.

** Przeł. Stanisław Barańczak.

— To jeden z najsłynniejszych wierszy miłosnych w języku angielskim. Obawiam się, że obniżono by ci ocenę za nazwanie utworu Lovelace'a stekiem bzdur.

— Mamo?

To kloc.

Kloc przemówił.

Kloc żyje.

— O co chodzi, kochanie?

— Na dworze jest jakaś pani. Stoi na deszczu. Stoi tam, od-
kąd tu przyszłyśmy.

Jackie i ja podchodzimy do okna.

Pod latarnią po drugiej stronie ulicy stoi młoda kobieta. Kaptur kurtki ma naciągnięty na głowę, a jej parasol wygląda, jakby miał się zaraz rozpaść. Nie widzę jej twarzy, ale rozpoznaję beżową kraciastą tkaninę parasola, kurtkę, rozpoznaję lśniące czarne włosy wystające spod kaptura.

Hiroko.

W rękę trzyma bukiet kwiatów. Może są dla mojej babci.

Tego właśnie można się po niej spodziewać. Takie małe sympatyczne gesty są w jej stylu. Ma dobre serce.

— Dlaczego tak postępujesz? — pyta mnie Jackie.

Przez moment zapominam języka w gębie.

— Jak postępuję? — mówię w końcu. — Jezu. Nie wierzę własnym uszom. Co powiedziałaś?

— Dlaczego krzywdzisz te dziewczyny?

Jackie Day i jej gruba córka wbijają we mnie wzrok. Płoną mi policzki.

— Nikogo nie krzywdzę.

— Owszem, krzywdzisz — odpowiada Jackie Day. — Żebyś wiedział, że krzywdzisz.

22.

W szkole Churchilla stale zmieniają się twarze.

Bez przerwy zaczynają tu naukę nowi uczniowie, gorliwi i zdeorientowani, bez względu na to, czy pochodzą z biednej i rozwijającej się, czy też zamożnej i nadmiernie rozwiniętej części świata, podczas gdy starzy uczniowie wracają w końcu do domu, przenoszą się do innych szkół, biorą ślub z trafionymi strzałą Amora miejscowymi, są deportowani za pracę bez pozwolenia albo znikają po prostu w zakamarkach wielkiego miasta.

Ale wiele twarzy pozostaje.

Na zajęciach są dzisiaj obecni wszyscy moi zaawansowani początkujący.

Jest tu Hiroko i Gen, oboje zerkający na mnie spod grzywy opalizujących czarnych włosów. Schludny i pilny Imran, a obok niego Yumi, subtelna japońska piękność z twarzą okoloną tanią blond aureolą: Kioto jedzie do Hollywood.

Jest Zeng i Witold, obaj nieludzko zmęczeni po długich godzinach niewolniczej pracy w General Lee's Tasty Tennessee Kitchen oraz Pampas Steak Bar. Astrud, która albo przybiera na wadze, albo jest we wczesnym stadium ciąży. Siedząca w pierwszej ławce Olga, która obgryza pióro i z trudem dotrzymuje kroku reszcie klasy. I na koniec Vanessa, przyglądająca

się swoim nieskazitelnym paznokciom, podczas gdy ja truję o formach czasu *past perfect*.

Vanessa odwrócona jest plecami do drzwi i dlatego nie widzi mężczyzny, którego twarz pojawia się nagle w małym okienku i który przygląda się obecnym na sali. Jest przystojnym czterdziestolatkiem, ale wydaje się lekko zmaltretowany, tak jakby niedawno przytrafiło mu się jakieś nieszczęście.

Ma czerwony ślad na policzku, przekrzywione okulary i nierówno zapiętą koszulę. Musiał chyba skądś szybko uchodzić.

Jego oczy za rozbitymi szklami zapalają się, kiedy widzi złote pukle Vanessy, i natychmiast — zanim jeszcze zaczyna pukać w małe okienko — domyślam się, kto to. Vanessa odwraca się, otwiera szeroko usta, po czym wstaje, mierząc zdumionym wzrokiem naszego gościa.

— Używamy często czasu *past perfect*, gdy mówimy o dwóch sytuacjach w przeszłości — wyjaśniam — i chcemy *zaznaczyć*, że jedna wyprzedzała drugą. Na przykład: widząc tę kobietę, uświadomił sobie, że czekał był na nią całe życie.

Rozumiecie? Cekał był.

Nikt nie słucha nauczyciela. Wszyscy obserwują twarz za szybą.

Kiedy mężczyzna otwiera drzwi, widzimy, że trzyma w ręku wypchaną torbę podróżną. Wchodzi powoli do klasy. Wszyscy wpatrujemy się w niego, czekając, co teraz nastąpi.

— Zrobiłem to — mówi Vanessie. — Zerwałem z nią.

Obejmują się. Ich usta zwierają się ze sobą, czoła zderzają, torba podróżna łąduje z cichym łupnięciem na podłodze, rozbite okulary przekrzywiają się na znak protestu.

Zdajemy sobie sprawę, że świat trzech osób — nie, nawet więcej, bo czyż ten mężczyzna nie porzucił właśnie swoich dzieci? — staje na naszych oczach na głowie. Po dzisiejszym dniu ich życie nigdy już nie będzie takie samo.

Uśmiechamy się więc nerwowo, trochę zakłopotani, pragnąc odwrócić wzrok, lecz nie możemy się na to zdobyć, nie

wiedząc, jak właściwie mamy zareagować. Nie mamy pojęcia, czy to, co oglądamy, jest romantyczne i podniosłe, czy żalodne i śmieszne.

Coś w widoku rozbitych okularów mężczyzny porusza moje serce — czekał był na tę kobietę przez całe życie — i każe rozstrzygać wszelkie wątpliwości na jego korzyść.

30 czerwca 1997. Pamiętna noc. Tej nocy z wybiciem godziny dwunastej Brytyjczycy oddali Hongkong Chińczykom. Noc, gdy nad Victoria Peak oberwała się chmura i lunęło tak, jak nie łało nigdy wcześniej — jakby samo niebo oplakiwało oddanie tego świetlistego miasta.

Oficjele byli na dole w porcie. Książę Karol i ostatni gubernator. Żołnierze i politycy. Oglądali, jak maszerują orkiestry i opuszczają flagę. My byliśmy na Lockhart Road w Wanchai razem z chyba całą resztą ekspatów.

Rose w maoistowskim mundurku, Josh w wieczorowym stroju, ja w kostiumie mandaryna, w którym wyglądałem jak wyjątkowo mizerny sędzia starego Cesarskiego Trybunału.

W chlupoczących butach biegaliśmy od baru do baru po zalanych wodą ulicach Wanchai, które dawno temu było dzielnicą czerwonych latarni, a teraz po prostu pijacką przystanią dla takich jak my wielkonosych białasów.

I zastanawialiśmy się, jak powinniśmy się czuć.

Czy powinniśmy świętować, czy posypywać głowy popiołem? Czy mamy być weseli, czy smutni? Czy to bal, czy stypa?

Atmosfera nie była zbyt radosna. Zaczęliśmy pić wcześniej i nie wiedzieliśmy, kiedy skończyć. Nie my jedni.

Wszędzie wybuchały bójki. Przed odwiedzanym przez ekspatów barem o nazwie Fruity Ferret widzieliśmy mężczyznę w zmoczonej deszczem fraku, którego walił bykiem młodzieniec w podartym podkoszulku West Ham. Obaj byli Brytyjczykami. Chińczycy nie walczyli na ulicach Wanchai. Chińczycy mieli lepsze rzeczy do roboty.

Weszliśmy do Fruity Ferret. Josh i ja przepchaliśmy się do baru. Przez cały wieczór był w podłym nastroju. Zaprawiając się regularnie winem i tsingtao, mamrotał coś o niewdzięczności Chińskiej Republiki Ludowej. Gdy czekaliśmy, aż zauważy nas australijski rugbista za barem, nagle wytrzeźwiał.

- Niedługo twoje wesele — stwierdził.
- W przyszłym miesiącu.
- Nie masz ochoty wziąć ślubu w domu?
- Hongkong jest naszym domem.
- Przylecą tu twoi starzy?
- Owszem.

Josh westchnął.

- Jest coś, co chcę ci powiedzieć, zanim ożenisz się z Rose.

Zerknąłem na niego, żeby przekonać się, czy nie żartuje. Ale on mówił serio. Odwróciłem się i wrzasnąłem na barmana, żeby nas obsłużył. Wielki Australijczyk był zajęty w drugim końcu baru.

- Naprawdę. Jest coś, co powinieneś wiedzieć, Alfie.
- Nie jestem zainteresowany.
- Co?
- Nie obchodzi mnie to. Cokolwiek masz zamiar powiedzieć, nie jestem tym zainteresowany. Daruj sobie.
- Chodzi o Rose.
- Odpierdol się, Josh.
- Musisz to usłyszeć.

Odepchnąłem go od siebie i chociaż Fruity Ferret pękał w szwach, przeleciał co najmniej przez pół baru. Posypało się szkło i ktoś zaklął z londyńskim akcentem, lecz mnie już tam nie było. Przepychałem się przez tłum, mijając zdezorientowaną Rose i jej kolegów w przemoczonych deszczem kostiumach.

- Alfie?

Byłem już na ulicy. Czerwono-biała taksówka skręciła ostro, żeby mnie nie potrącić, i kiedy wyszedłem na środek Lockhart Road, nad portem zaczęły wybuchać przepiękne fajerwerki.

Północ. Chwila, kiedy wszystko miało się zmienić raz na zawsze. Kiedy mieliśmy uwierzyć, że marzenie dobiegło końca. Tak jakby łatwo było przestać marzyć.

A potem nagle stanął przy mnie Josh. Jego bujne żółte włosy pociemniały i wymokły od deszczu, smoking ociekał wodą, muszka przekrzywiła się na bok.

— Ty głupi sukinsynu — powiedział, łapiąc mnie za ramię.
— To zwyczajna dziewczyna. Czy tak ci rozmiękł mózg, że tego nie widzisz? Rose to po prostu zwyczajna dziewczyna.

Odrąciłem go i wszedłem z powrotem do Fruity Ferret. Ktoś z firmy zamówił kolejkę. Rose podała mi tsingtao i pocałowałem ją w usta. Jak ja ją kochałem.

— O co wam poszło? — zapytała.

— O nic. Za dużo wypił. Chodź. Zatańcz ze mną.

— Ale nie ma tutaj parkietu. I muzyki — roześmiała się.

— Nieważne. Zatańcz ze mną.

I zrobiła to.

Kilka miesięcy później ojciec dał mi kasetę wideo z naszego ślubu. Jak często bywa podczas filmowania takich imprez, tato nie wiedział, kto jest ważny dla państwa młodych, a kto jest tylko przypadkowym znajomym. W związku z czym filmował wszystkich.

Najbardziej zapamiętałem z tej kasety powolny najazd na gości, którzy zgromadzili się przed kościołem w Happy Valley, kiedy Rose i ja pozowaliśmy do ślubnych fotografii.

Pośród wszystkich tych ciotek i stryjów, znajomych ze studentów i kolegów z pracy widać starego pocziwego Josha, wielkiego przystojnego faceta w jasnym smokingu, z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

Obserwuje państwa młodych.

I bardzo powoli potrząsa głową.

Kiedy Jackie Day wychodzi z Connell Gallery przy Cork Street, czekam na nią na chodniku.

Tego wieczoru odbywa się tam jakiś wernisaż. Ubrani z nie-dbałą elegancją ludzie mówią wszyscy naraz, trzymając w rękach kieliszki z winem i ignorując wiszące za ich plecami obrazy.

Wymawiam jej imię i spostrzega mnie. Nie jest wcale taka zaskoczona, jak myślałem. Wręczam jej kopertę.

— Co to jest? — pyta.

— Zwracam ci twoje pieniądze. Naprawdę bardzo mi przykro, Jackie, ale nie mogę cię dłużej uczyć.

Spogląda na kopertę. Potem na mnie.

— Dlaczego zmieniłeś zdanie?

— Po prostu nic z tego nie wyjdzie. Mam za dużo spraw na głowie. Powinnaś pójść do szkoły wieczorowej. Przykro mi.

— Już ci mówiłam. Jestem ograniczona czasowo. Z powodów osobistych.

— Rozumiem. Wiem, że to musi być trudne. Praca, samotne wychowywanie dziecka.

— Myślisz pewnie, że jestem głupia. Dziewczyna z Essex, która chce iść na studia. Brzmi to jak kiepski dowcip, nie? Naprawdę. To jeden z tych żartów. Słyszałam je wszystkie. Nie tylko od twojego przyjaciela Lubieżnego Lenny'ego.

— On nie jest moim...

— Są miliony podobnych do niego. A ty jesteś jednym z nich. W porządku. Nie szkodzi, jeśli uważasz to za żart. Nie szkodzi, jeśli uważasz mnie za idiotkę.

— Nie uważam cię za idiotkę, Jackie.

— Ludzie przez całe życie mówili mi, że jestem głupia.

— Ja nie...

— Moi rodzice. Moi nauczyciele. Mój były mąż. Ten sukiny-syn. Myślałam, że ty będziesz inny. — Uważnie mi się przygląda. — Nie wiem dlaczego. Wydawało mi się, że coś w tobie zobaczyłam. Jakiś cień przyzwoitości. Coś w tym rodzaju.

Uświadamiam sobie, że chcę, by miała rację.

— Jackie...

— Nie podoba ci się to, jak się ubieram.

- To, jak się ubierasz, nie powinno mnie interesować.
- Widzę, jak na mnie patrzysz. Jak kręcisz nosem. Dziewczyna z Essex. Wiem.
- W ogóle nie dbam o to, jak się ubierasz. Jeśli o mnie chodzi, mogłabyś malować się na niebiesko. Rozumiesz?
- Coś ci powiem, mój panie. — Jej głos zaczyna drżeć. — Uważam, że się ładnie ubieram. Uważam, że się fajnie ubieram. Znalazł się specjalista. Popatrz, jak sam wyglądasz. Jak stary kocmołuch.
- Nigdy nie był ze mnie wielki elegant.
- Co ty powiesz? Wyglądasz, jakbyś nocował w bramie. Wiesz, na czym polega twój problem, Alfie? Wydaje ci się, że jesteś jedyną osobą, w której życiu wydarzyło się coś złego.
- To nieprawda.
- Przykro mi, że twoja żona zginęła. Naprawdę mi przykro. Ale nie musisz mnie o to winić.
- Nie winię cię. Nikogo nie winię.
- Winisz świat. Wiem, jakie masz ciężkie życie. Chcesz może usłyszeć o moim? Chcesz dowiedzieć się o facecie, który zmagistrował mi dzieciaka, kiedy naprawdę dobrze szło mi w szkole? O tym samym facecie, który przez następne zaszrane dziesięć lat bił mnie za każdym razem, gdy się uchłął? Chcesz o tym usłyszeć?
- Nie mówię ani słowa. Nie bardzo wiem, co mógłbym powiedzieć. W jej oczach lśnią łzy.
- Zdam ten egzamin, chłopie. Z tobą albo bez ciebie. Dołączę ten przedmiot do dwóch, które już zaliczyłam, wstąpię na Uniwersytet Greenwich i zrobię dyplom. Masz rację, to nie jest Oxford ani Cambridge. Takie mam marzenie. Jeśli chcesz, możesz z niego kpić. A ja z niego nie zrezygnuję.
- Wcale nie kpię.
- Kiedy dostanę dyplom, moja córka i ja będziemy żyć lepiej niż teraz. Taki mam plan. Jeśli nie możesz mi pomóc, jeśli ważniejsze jest dla ciebie łamanie serca jakiejś biednej

cudzoziemskiej dziewczynie, to nie wiem, kim jesteś, ale z pewnością żaden z ciebie nauczyciel. I żaden mężczyzna.

Przez dłuższy czas wpatrujemy się w siebie. Za jej plecami trwa w najlepsze wernisaż. Patrzę na wszystkich zbyt wysoko opłacanych, zbyt wykształconych, nazbyt głośno mówiących ludzi. Nagle uświadamiam sobie, że obchodzi mnie to, co ona myśli.

— Żałuję, ale nie mogę ci pomóc, Jackie. Naprawdę.

— Owszem, możesz. Możesz coś zmienić. Nie wierzysz w to, prawda? Uważasz, że nie masz żadnego wpływu na to, co się dzieje. Nie wyobrażasz sobie, że mógłbyś zmienić coś w czyimś życiu. Nie jest jeszcze dla ciebie za późno, Alfie. Nadal możesz zrobić coś dobrego.

Nie wiem, co mnie nachodzi.

— Dobrze, czekam na ciebie we wtorek wieczorem — mówię.

No i jak to się stało?

23.

George uczy mnie *tai chi* w trzech etapach.

Najpierw opanowuję ruchy, starając się uważnie naśladować jego niespieszną grację, chociaż często wydaje mi się, że wyglądam jak pijak przedrzeźniający baletmistrza. Zaczynam jednak widzieć, że każdy pojedynczy ruch ma swój cel.

Następnie uczę się dostosowywać oddech do ruchów, robiąc zgodnie z instrukcjami wdechy i wydechy, powoli wypełniając płuca powietrzem i tak samo powoli je opróżniając. Tak jakbym uczył się na nowo oddychać.

I na koniec — i to jest najważniejsze — uczę się... no właśnie, czego? Rozluźnić się? Wykonywać coś bez nadmiernego wysiłku? Istnieć w danej chwili i tylko w tej chwili? Nie wiem.

Próbuję oczyścić umysł i uciszyć serce, zapomnieć o świecie, który czeka na mnie poza tym małym skrawkiem trawy. Nie wiem nawet dokładnie, czego George mnie uczy.

Ale mam wrażenie, że to ma coś wspólnego z odpuszczeniem.

Zbliża się północ i w szpitalu jest tak ciemno i cicho, jak to tylko możliwe. W tym miejscu nigdy nie jest zupełnie ciemno i nigdy nie panuje absolutna cisza. Mrok na korytarzu stale rozświetla lampka zapalona przy stanowisku pielęgniarek i zawsze

słysząc dobiegające z oddali głosy, skrzywienie wózka toczącego się po wypastowanej podłodze, ludzi mamroczących przez sen i ciche westchnienia bólu.

Kiedy babcia zasypia, obserwuję przez chwilę jej twarz, a potem wychodzę, żeby poszukać ojca. Siedzi w szpitalnej stolówce nad niedojedzoną kanapką i filiżanką zimnej kawy.

Mój stary codziennie przychodzi do szpitala, ale nie bardzo może usiedzieć przy łóżku swojej matki. Lubi mieć przekonanie, że robi coś użytecznego, w związku z czym chodzi do lekarzy i dyskutuje z nimi o postęпах, jakie czyni babcia, pyta ich, jak się czuje, oblicza, kiedy będzie mogła wrócić do domu, albo biega bez końca do szpitalnego sklepiku, żeby kupić jej drobiazgi, które nagle uznała za niezbędne.

Zamiast siedzieć przy jej łóżku, woli kupić jej kolejną butelkę nektaru pomarańczowego — babcia nie chce pić zwykłej wody, nawet kiedy mówię jej, że została przefiltrowana przez lodowcowe piaski francuskich Alp. Samo przebywanie z nią mu nie wystarcza.

— Czy babcia zasnęła? — pyta.

Kiwam głową.

— Wydaje mi się, że nadal bardzo ją boli ta rurka w boku — mówię — ale się nie skarży.

— To pokolenie nigdy się nie skarży. Nie wiedzą, jak to się robi. Nauczyli się tego dopiero moi rówieśnicy.

— Nieważne. Wyssali prawie cały płyn z jej płuc. Niedługo wróci do domu.

— Tak.

— A ty jak się czujesz?

Wydaje się zdziwiony, moim pytaniem.

— W porządku. Trochę zmęczony. Wiesz.

— Nie musisz tu codziennie przychodzić. Mama i ja możemy się nią zająć. Jeśli jesteś zajęty. Jeśli masz dużo roboty.

Ojciec parska śmiechem i domyślam się, że nadal nie pisze.

— Praca nie jest już takim problemem jak niegdyś. Ale dziękuję za dobre serce.

Przypominam sobie tę noc, kiedy spotkałem go w barze Italia, przebranego za Johna Travoltę.

— Co u Leny?

— Ostatnio się nie widzimy.

— Nie widzicie się?

— Odeszła.

— Myślałem, że zostanie twoją osobistą asystentką. Myślałem, że się z nią ożenisz.

— Nie wyszło tak, jak planowałem.

— Co się stało?

— To nie było już to samo. Nie mogło być, prawda? Nie tak jak wtedy, gdy urywaliśmy się na godzinę tu i tam. — Ojciec podnosi wzrok. — Kiedy spędzaliśmy nocę w hotelu. Albo wyjeżdżaliśmy na weekend.

Podróże służbowe, myślę. Wszystkie te podróże służbowe.

— To było podniecające — mówi. — Romantyczne. Wszystko jednak wygląda inaczej, kiedy mieszka się pod jednym dachem i nawala bojler. Gdy jedno z nas musi wyrzucić śmieci. Nie potrafiłem przywyknąć do myśli, że dziewczyna, która oznajmiła mi, że musimy wezwać hydraulika, jest tą samą dziewczyną, z którą kochałem się w hotelu.

— Wcześniej czy później wszyscy mamy problemy z hydrauliką. Wiedziałeś, że to nie będzie to samo. Daj spokój. Musiałeś to wiedzieć.

— Chyba tak. W moim wieku powinienem to wiedzieć, prawda?

— No więc co się stało?

— Myślę, że dla niej to było większe rozczarowanie. Wyobrażała sobie pewnie, że trafił jej się... sam nie wiem... starszy pan. Dojrzały. Inteligentny. Z pokaznym kontem.

— Autor „Pomarańczy na Boże Narodzenie”. Pan Wrażliwy.

— Tymczasem on siedzi przez cały dzień w domu, wpatrując się w monitor komputera. Nie lubi tej samej muzyki co ona... prawdę mówiąc, uważa, że jej muzyka brzmi jak alarm przeciwwłamaniowy. Nie chce iść potańczyć do klubów, w których ludzie noszą kolczyki w pępkach. W końcu przestaje wyglądać jak starszy pan. Wygląda jak stary zgred.

— Lena nadal tam mieszka?

Ojciec potrząsa głową.

— Wyprowadziła się do faceta z Wimbledonu, którego poznała na Towering Inferno. Tej nocy, kiedy się widzieliśmy. Chryste, cała się do niego przykleiła.

— Co to jest Towering Inferno?

— To noc w stylu lat siedemdziesiątych, którą urządzają w klubie Bongo Bongo. Widzę, że nie jesteś na bieżąco.

— Staram się.

— Nie przejmuj się. To wyczerpujące. Lena twierdzi, że nie uprawia seksu z tym facetem. Mówi, że on tylko pozwala jej spać na materacu w swoim salonie do czasu, kiedy się jakoś urządzi. Do czasu, kiedy znajdzie własny kąpiel.

— Nie wierzysz jej.

— Nie ma takiej rzeczy jak darmowy materac.

Przez moment wydaje mi się, że nasz świat wróci do normy. Lena odnajdzie miłość swego życia na materacu w Wimbledonie. Ojciec będzie błagał matkę, żeby pozwoliła mu wrócić, a ona w końcu ustąpi. Widzę przyszłość, w której zadowolona matka uprawia ogródek, ojciec pisze w gabinecie znakomitą kontynuację „Pomarańczy na Boże Narodzenie”, a babcia nie musi już nigdy wracać do szpitala.

A potem mój stary wszystko psuje.

— Odzyskam ją — mówi i dopiero po kilku sekundach zdaję sobie sprawę, że chory sukinsyn nie mówi o swojej żonie ani matce. — Wyobrażasz to sobie? Materac w Wimbledonie. Lena w końcu zmądrzeje. Wiem, że zmądrzeje. Po prostu nie mogę bez niej żyć. Czy to brzmi głupio, Alfie?

Nie, myślę.

To brzmi jak zapowiedź poważnych kłopotów.

W te dni, kiedy uczę się *tai chi* po pracy, zjadam z Changami wczesny obiad w Shanghai Dragon.

Changowie jedzą koło szóstej, gdy Diana i William skończą lekcje, zanim restauracja otworzy podwoje. Te dzieci prawie codziennie czegoś się uczą. Diana gry na skrzypcach, William gry na fortepianie, oboje *wing chun kung fu* i dialektu kantońskiego. Ma się wrażenie, że stale albo coś jedzą, albo czegoś się uczą.

Posiłki, którymi raczy się rodzina, w małym stopniu przypominają menu Shanghai Dragon. Są prostsze, świeższe, pikantniejsze. Niczego nie polewa się tutaj słodko-kwaśnym sosem, nic się nie marnuje. Dziś wieczorem jemy gotowaną na parze rybę, podaną w całości, z głową i wnętrznościami, zwykły gotowany ryż i dużo warzyw: młodą kukurydzę, kiełki fasoli, chińską kapustę i grzyby.

Plastikowe pałeczki stukają i klekocą, gdy dziesiątkujemy rybę, głowy pochylają się ku miskom ryżu, który pochłaniamy, głośno mlaszcząc. Changowie popijają posiłek herbatą i wodą z kranu, ale nalegają, żebym ja pił wodę mineralną, którą przynoszą z małego restauracyjnego barku.

— Wkrótce Nowy Rok — mówi Joyce.

— Nowy Rok? — Dobiega końca styczeń.

— Chiński Nowy Rok. Bardzo ważny dla Chińczyków. Tak jak Boże Narodzenie i Wielkanoc dla ludzi z Zachodu. Kiedy byłam małym dzieckiem, nawet nie myślimy o Bożym Narodzeniu. Nie dbamy o zabawki. Nie dbamy o Kena i Barbie idących na dyskotekę. Tylko o chiński Nowy Rok.

— Jest oparty na kalendarzu księżycowym, prawda? Kiedy przypada w tym roku?

Joyce konferuje przez chwilę po kantońsku ze swoją rodziną.

— Wigilia Nowego Roku piętnastego lutego — mówi.

— To będzie Rok Królika — informuje mnie William. Ma usta pełne klusek i najczystszy londyński akcent.

— Robimy przyjęcie — dodaje Joyce. — Tutaj. W Shanghai Dragon. Przyjdź.

— Czy mogę kogoś przyprowadzić?

— Przyprowadzić? Oczywiście. Przyprowadź wszystkich. Przyprowadź swoją rodzinę.

Moją rodzinę? Łatwo jej mówić.

Najbardziej zazdrozczę Changom właśnie tej pewności, z jaką traktują swą rodzinę. Joyce, George, Harold, Doris, Diana i William wiedzą doskonale, jak ona wygląda.

Coraz trudniej przychodzi mi określić, gdzie zaczyna się, a gdzie kończy moja mała rozbita rodzina.

24.

W dniu powrotu mojej babci ze szpitala jestem umówiony na lekcję angielskiego z Jackie Day.

Kiedy przychodzę do domu, trzymając w ręku zakupy, które zrobiłem dla babci, Jackie czeka już na mnie wraz ze swoją córką pod drzwiami. Kloc w milczeniu przygląda mi się spod przetłuszczonej brązowej grzywki.

— Przepraszam, że się spóźniłem, Jackie. Próbowałem się do ciebie dodzwonić.

— Wyczerpały mi się baterie.

— Musiałem zrobić zakupy dla babci. Nie ma w domu nic do jedzenia. Kilka godzin temu wyszła ze szpitala.

— To wspaniale.

— Teraz muszę jej to wszystko odwieźć — dodaję, unosząc z przeproszącą miną ciężkie torby. Z jednej z nich wypada opakowanie ciasteczek z dżemem i Jackie podnosi je z podłogi.

— Mama pożyczyła mi samochód. Dlatego nie mogę mieć z tobą dzisiaj lekcji.

— Mogę zawieźć jej te zakupy.

Kloc przemówił. Ma zaskakująco piskliwy dziewczęcy głos.

— Co?

— Odwiozę jej. Jeśli powie mi pan, gdzie mieszka. Pojadę autobusem.

Przez chwilę się nad tym zastanawiam. Dlaczego nie? Nie wykończy chyba mojej babci, żeby ukraść jej ciasteczka z dżemem. Chyba nie?

— Zrobiłabyś to? — pytam.

— Jasne. I tak nie mam nic lepszego do roboty, prawda? Nie jestem chyba panu tutaj potrzebna?

— To naprawdę miło z twojej strony, kochanie — mówi Jackie.

— To niedaleko — stwierdzam. — Dam ci adres i wezwę taksówkę.

— Mogę pojechać autobusem.

— Wezwę taksówkę.

Uświadamiam sobie ze wstydem, że nie znam nawet imienia tego dziecka. Jackie przychodzi mi z pomocą.

— Dziękuję, Plum — mówi.

Plum?

— Tak — dodaję. — Dziękuję, Plum.

Dziewczynka przestępuje z nogi na nogę, wpatruje się w podłogę zza obronnej tarczy swoich włosów, nie wie, co zrobić z rękoma.

— *No problemo* — mruczy w końcu.

Po przyjeździe taksówki i zapakowaniu do niej Plum wraz z prowiantami oraz adresem babci, robię nam herbatę.

— Więc dałaś swojej córce imię, które jest nazwą owocu? * — pytam.

* Ang. *plum* — śliwka.

— Nie kpij z niej — odpowiada. Nie mówi tego ze złością. Mówi prawie łagodnie, jakbym był zbyt głupi, żeby to zrozumieć. — Ma tego dosyć w szkole. Ludzie stale się z niej nabijają.

— Szykanują ją?

— A jak myślisz?

— Nie wiem. — Chcę powiedzieć, że to duża dziewczyna i wolałbym się z nią nie spotkać w ciemnej uliczce, ale po chwili zastanowienia modyfikuję to stwierdzenie. — Nie wygląda na kogoś, kto dałby sobie w kaszę dmuchać.

— To jagnię — mówi Jackie i wzrusza mnie to niezawołowane, nieskrępowane uczucie, które słyszę w jej słowach. — Wiem, że ma lekką nadwagę, ale jest słodka jak miód. A dzieciaki potrafią być okrutne.

— Z całą pewnością.

— Dręczą każdego, kto jest trochę inny.

— Bez wątpienia.

— A dla twojej wiadomości, nie dałam mojej córce imienia, które jest nazwą owocu.

— Nie?

— Nie. Kiedy byłam w ciąży, siedziałam w poczekalni u lekarza i zaczęłam przeglądać jakieś kolorowe czasopismo. Wiesz, o czym mówię. Takie, gdzie pełno jest wspaniałych bałów i sławnych ludzi, którzy zapraszają cię do swojego domu.

Wiem, o czym mówi.

— I była tam kronika towarzyska. O pięknych ludziach, którzy bawią się w najlepsze. Ale nie wszyscy byli tacy piękni. Czulo się, że pod słoneczną opalenizną niektórzy są... jak to się mówi?

— Szpetni?

— Tak, szpetni. Zwłaszcza mężczyźni, którzy byli na ogół o wiele starsi od kobiet. Lecz mimo że nie byli tacy piękni, wszyscy wydawali się szczęśliwi. Wiesz, o co mi chodzi?

— Chyba tak.

— I były tam te dwie dziewczyny. Naprawdę śliczne. Musiały być modelkami. A może aktorkami czy kimś podobnym. Albo córkami bogatych rodziców. Wyglądały jak siostry, ale wcale nimi nie były. Jasnowłose, wysokie, opalone. W sukienkach podobnych do małych haleczek. Miało się wrażenie, że mogą w nich spać. Uśmiechały się. Białe zęby. Długie nogi.

Wiesz, jak wyglądają te specjalne kieliszki do szampana. Długie, wysmukłe?

— Wiem.

— No więc obie trzymały w dłoniach takie kieliszki. I domyślałam się, że to nie było Asti Spumante ani Spanish Cava. Obejmowały się ramionami. Długimi, wąskimi, brązowymi ramionami. I pomyślałam sobie wtedy, że wyglądają, jakby nigdy w życiu nie zdarzyło im się nic złego. Nic złego. Nigdy. I to zabawne, ale obie miały na imię Plum.

Jackie popija herbatę.

— To ładne imię dla dziewczyny — mówię.

— Tak sądzisz?

— Tak.

— Mój mąż... chociaż wtedy nie był jeszcze moim mężem... zawsze uważał, że jest takie... głupie. Nie, nie głupie. Pretensjonalne. Tam skąd pochodzę, nie lubią takich imion. Nie lubią, kiedy człowiek pnie się do góry. Mój mąż był typowy. „Jesteś o wiele za bystra, Jack. O wiele za sprytna, żeby ci to wyszło na dobre”. Tak jakby głupota była czymś, czym należało się szczyścić. I tak nazwałam ją Plum, poszłam sama do urzędu stanu cywilnego i kazałam wpisać Plum w akcie urodzenia. Niech Jamie się wypcha, pomyślałam. Gdyby nie on, w ogóle nie znalazłabym się w tej poczekalni. I nigdy nie wpadłoby mi w ręce to czasopismo.

— Chcesz powiedzieć, że poszłaś do doktora, bo zaszłaś w ciążę?

— Nie — odpowiada Jackie. — Poszłam do doktora, bo Jamie złamał mi dwa żebra.

Po skończonej lekcji jedziemy do mojej babci. Otwiera nam Plum. Uśmiecha się.

— Oglądamy zapasy — mówi.

Babcia siedzi w swoim białym mieszkaniu na sofie. Pod plecami ma poduszki, na nogach koldrę. Wpatruje się zachwycona

w ekran telewizora, na którym wrzeszczą na siebie dwaj grubi mężczyźni w trupiego koloru lateksowych kostiumach. Jeden z nich ma ogoloną głowę, drugi prerafaelickie loki, które opadają na mięsiste ramiona.

— Ach, to Drągał — mówi Jackie, kiedy ekran wypełnia postać łysego szaleńca. — Twój ulubieniec, kochanie. — Obraca się do mnie. — Drągał jest ulubieńcem Plum.

— Drągał zwała z nóg — oznajmia Plum, warcząc na mnie zza swojej grzywki. — Drągał skopie ci zad. Twoja dupa należy do Drągała. Połóż cię na łopatki i przybiję twoją skórę do Drzewa Boleści, jebany.

— Nie wyrażaj się, kochanie — mówi Jackie.

— Czyż ona nie ma ślicznych oczu? — stwierdza babcia.

Wszyscy wlepiamy w nią wzrok. Mówi o Plum.

— Ja? — bąka z niedowierzaniem Plum, czerwieniąc się. — Śliczne oczy?

— Widziałeś kiedyś ten program, Alfie? — pyta mnie babcia tak, jakbym celowo ukrywał przed nią jego istnienie. — Naparzą się, ile wlezie.

— Ale to przecież wszystko na niby — pryham.

— Wcale nie — obrusza się babcia. — No dalej, kochaniutki, strzel go w kaczy kuper!

— Piękny kontratak w stylu klasycznym — cieszy się Plum, potrząsając pięścią. — Uderzenie łokciem w twarz. Kolanem w jaja. Chwyć za głowę i do parteru.

— Ale to chyba nie jest sport? — pytam. — Prawdziwy sport.

— To sport z elementami rozrywki — odpowiada Plum, nie odrywając oczu od ekranu. — Tak to nazywają.

— Z kim walczy Drągał, kochanie? — pyta Jackie. Pół godziny temu pytała mnie takim samym spokojnym rzeczowym tonem o rolę dialogu w książce Carson McCullers.

— Z Billym Kowbojem. To łajza. Jego dupa należy do Drągała.

Przez kilka minut oglądamy żalną szarpaninę nadawaną,

jak sędzę, przez jakąś trzeciorzędą stację satelitarną. W normalnych okolicznościach mógłbym zapanować nad sytuacją i zmienić kanał na wiadomości. Jestem jednak wdzięczny Plum, że przywiozła babci zakupy, i cieszę się, widząc ją w takim dobrym humorze po ciężkich chwilach w szpitalu. Oglądamy więc napakowanych, nagich brutalni, którzy okładają się, żeby nas rozerwać... albo udają, że się okładają.

Łysy zapaśnik — bohater Plum, Drągal — wydaje się mieć przewagę. Naciera do przodu, bijąc długowłosego — który nosi przydomek Billy'ego Kowboja — seriami ciosów przedramieniem, które mogą, ale nie muszą dosięgać celu. Billy Kowboj wali się wkrótce na ring, jego nadmiernie umięśnione ciało lśni od potu i dziecinnej oliwki.

— Twoja zimna, landrynkowa dupa należy do mnie, męska dziwko — ryczy Drągal na leżącego Billy'ego Kowboja, wbijając z wściekłością palec w bezwładne ciało rywala. — Sępy rozszarpiają twoją wątrobę! Na przyszłość znaj swoje miejsce i zamknij gębę na kłódkę! Męska dziwko!

Drągal odwraca się plecami do Billy'ego Kowboja, żeby wdrapać się na liny i pouczyć widownię, która składa się wyłącznie z groteskowo tęgich dzieci ubranych na coroczną wybieżkę do siłowni.

Sędzia ringowy odwraca się, żeby pokonferować ze swoim kolegą, i wtedy właśnie Billy Kowboj zrywa się na nogi. Frędzle na jego butach tańczą jak szalone, kiedy jeden z pomagierów przeciska między linami wielki metalowy pojemnik na śmieci.

— No tak — zrzęde. — Ten kosz oczywiście zupełnie przypadkiem znalazł się w ich narożniku. Akurat w chwili, kiedy jest potrzebny.

— Cśśś — syczy babcia.

— Pochyl głowę przed swoim panem, męska dziwko! — ryczy Drągal. — Zesraj się ze strachu i wy szczaj piwsko! Bo Drągal jest znowu w mieście! Chodź ze mną do Drzewa Boleści!

Mimo dziesięciu tysięcy głosów wrzeszczących, żeby Drągal się obejrzał, Billy'emu Kowbojowi udaje się zakraść od tyłu

i walnąć go wielkim metalowym pojemnikiem w kark. Drągał spada z lin niczym martwy ptak i po raz pierwszy zaczynam wierzyć, że ktoś może tu doznać lekkiej kontuzji.

— Co robił sędzia? — pytam. — Jak mógł tego nie zauważyć?

— Daj spokój — odpowiada Plum. — Gdyby sędzia wszystko widział, to nie byłaby prawdziwa walka.

Plum i moja babcia spoglądają na mnie, zdumione, że nadal tego nie pojmuję.

A potem obie ponownie wpatrują się w telewizor, jakby to, na co patrzą, nie było sportem ani rozrywką, lecz wołającą o pomstę do nieba niesprawiedliwością.

25.

— Czy sypiasz z Olgą? — pyta mnie Lisa Smith.

— Z Olgą?

— Z Olgą Simonow. Jedną z twoich zaawansowanych początkujących.

Lisa Smith zezuje na mnie znad okularów do czytania. Po drugiej stronie jej cienkich jak wafel drzwi słyszymy śmiech studentów, stukot ich wojskowych buciorów i rytmiczny japoński świergot.

— Znam ją.

— Wiem, że ją znasz. Jak dobrze?

W naszej szkole znowu robi się gorąco. Lisa Smith przygląda mi się niczym cierpiąca na krótkowzroczność, stetryczała jastrzębica. Zainteresowała się mną ponownie, ponieważ policja nie zamierza wnieść oskarżenia przeciwko Hamiszowi za to, co zrobił w publicznej toalecie na Highbury Fields. Mojego kolegę tak ucieszyło darowanie kary, że natychmiast udał się na Leicester Square i zaproponował oralny seks policjantowi w cywilu.

Naprawdę podziwiam Hamisza. W szkole Churchilla jest wielu miłych chłopców, których mógłby poderwać — gładko-skórych Azjatów, zadumanych Hindusów, niestroniących od kontaktu fizycznego Włochów — ale on nawet się do nich nie

zbliża. Hamisz posiada tę godną pozazdrosczenia umiejętność oddzielania pracy od przyjemności, której mnie tak dotkliwie brakuje.

— Nie spałem z Olgą. W życiu.

— Czy to prawda?

Prawda. Któregoś niedzielnego poranka wszedłem z nią na szczyt Primrose Hill — to jedyna pora w tygodniu, gdy nie wzywają jej obowiązki w szkole Churchilla lub u Eamona de Valery. Patrząc na miasto, trzymaliśmy się za ręce, a potem zesliśmy do Camden Town, gdzie pozwoliła mi się pocałować skromnie w usta przy pożywnym angielskim śniadaniu.

Potem spacerowaliśmy wzdłuż kanałów północnego Londynu, oglądając domy na łodziach, a ja objąłem ją i podziwiałem, jakie ma sprężyste ciało. To właśnie człowiek traci, kiedy się starzeje — tę sprężystość. W niedzielne popołudnie włączyliśmy się po dzikich ostępach Hampstead Heath i zjedliśmy lody przy Kenwood House. Lena opowiedziała mi o swoim domu, swoich marzeniach i chłopcu, którego zostawiła w kraju. Ale nie spałem z nią. Jeszcze nie. Nadal czekam na zielone światło.

Dlaczego nie? Co to komu szkodzi?

Wychodząc z gabinetu Lisy Smith, widzę czekającą na mnie na korytarzu Hiroko. Udaje, że czyta coś na tablicy ogłoszeń — pokoje do wynajęcia, garnki i rowery do kupienia — ale kiedy do niej się zbliżam, powoli się odwraca. Czarne włosy opadają jej na okulary i boję się, że ona także spyta mnie, czy nie sympiam z zaawansowaną początkującą, niejaką Olgą Simonów, ale nie czyni tego.

— Chcę cię przeprosić — mówi.

— Nie zrobiłaś nic złego.

— Za to, że stałam wtedy wieczorem przed twoim domem. Myślałam po prostu... nie wiem. Myślałam, że było nam ze sobą dobrze.

- Było nam dobrze.
- Nie wiem, co się stało.

Nie wiem, jak jej to wytłumaczyć. Za bardzo ci na mnie zależało, myślę. Gdybyś mnie знаła — naprawdę dobrze mnie znała — wiedziałabyś, że nie jestem tego wart. Jesteś miła, słodka, wielkoduszna, szczerza i przyzwoita, a ja taki nie jestem, nigdy taki nie byłem. Źle mnie zrozumiałaś. Tak źle, że się wystraszyłem. Nigdy nie dawaj nikomu nad sobą takiej władzy, chcę jej powiedzieć. Nigdy tego nie rób, Hiroko.

— Spotkasz kogoś innego — mówię. — Na świecie jest mnóstwo miłych ludzi. Może poczujesz coś do któregoś z nich.

— Ale ja spotkałam ciebie — odpowiada.

A potem się uśmiecha i coś w jej uśmiechu sprawia, że zaczynam mieć wątpliwości. Coś w tym uśmiechu każe mi sądzić, że Hiroko wie o całej tej sprawie więcej, niż ja kiedykolwiek będę wiedział.

W oknie Shanghai Dragon jest pełno kwiatów i świateł. Brzoskwinie, pomarańcze i narcyzy skąpane są w ciepłym blasku kilkudziesięciu oświetlonych świecami czerwonych lampionów. Restauracja jest wyspą światła i kolorów pośród burych murów i spalin Holloway Road. Na drzwiach wisi napis ZAMKNIĘTE, ale stara knajpa nigdy jeszcze nie wydawała się tak żywa.

Stoimy na chodniku, przyglądając się temu małemu cudowi przy zatłoczonej londyńskiej ulicy. Moja mama, babcia, Olga i ja grzejemy się w ciepłym świetle czerwonych lampionów.

— Jakie to piękne — mówi matka.

Do drzwi Shanghai Dragon przyklepione są dwa czerwone plakaty ze złotymi chińskimi hieroglifami oznaczającymi szczęście, długie życie i pomyślność. Są tam również dwie uśmiechnięte, pochylone w ukłonie postaci, dziewczynka i chłopiec w tradycyjnych chińskich strojach, podobni do siebie jak dwie

krople wody, z dłońmi złączonymi tak, że otwarta dłoń obejmuje pięść — geście witającym Nowy Rok. Oboje wydają się absurdalnie słodcy, szczęśliwi i grubi. A przede wszystkim kwitnący. Naciskamy dzwonek.

Za oszklonymi drzwiami pojawia się uśmiechnięta okrągła twarz Williama, który mocuje się z zasuwką. Zaraz potem widzimy jego siostrę Dianę, jego rodziców, pulchnego Harolda i nieśmiałą Doris, i w końcu Joyce i George'a. Wszyscy radośnie się uśmiechają. Nigdy nie widziałem ich tak szczęśliwych.

— *Kung hay fat choi* — mówią Changowie, kiedy wchodzimy do środka.

— Wam też życzymy szczęśliwego Nowego Roku — odpowiada mama, chociaż *kung hay fat choi* oznacza właściwie „Życzymy wam pomyślności” i nie ma nic wspólnego z inauguracją roku. A może Chińczycy uważają, że pomyślność jest bezwzględnie konieczna do szczęścia. Uświadamiam sobie, że ta rodzina wydaje mi się czasami całkowicie brytyjska — kiedy George wcina pieczone skrzydełka w General Lee's Tasty Tennessee Kitchen, gdy widzę Joyce popijającą „angielską herbatę” z moją mamą, kiedy Doris ogląda „Coronation Street”, kiedy słyszę czysty londyński akcent Williama i Diany albo gdy Harold wybiera się na golfa w niedzielny ranek. Ale dziś wieczór Changowie są Chińczykami.

Wewnątrz restauracji słyszymy odgłos fajerwerków.

— To tylko taśma — mówi mi William, przewracając oczyma ze znużeniem, na jakie stać tylko sześciolatka. — To nie są prawdziwe fajerwerki.

— Chińczycy wynaleźli fajerwerki! — informuje go Joyce.

— Wiem, babciu, wiem — odpowiada, starając się ją udobruchać.

— Ale władze nie lubią, kiedy ludzie mają prawdziwe fajerwerki — dodaje trochę łagodniej Joyce. — Kręci im się od nich w głowie. Więc teraz wszyscy używają taśmy, żeby odpędzić złe duchy. Skutek jest taki sam.

Przedstawiam Changom Olę, którą Joyce od razu ocenia wzrokiem eksperta.

— Alfie nie robi się już coraz młodszy — mówi jej. — Nie może stale żyć jak playboy. Musi sobie szybko znaleźć żonę.

Wszyscy śmieją się z wyjątkiem Joyce, która, jak podejrzewam, powiedziała to absolutnie serio.

W każdym innym miejscu Olga, jako najmłodsza i najbardziej ponętna kobieta spośród obecnych, zostałaby królową balu i jej pierwszej podano by drinki. W Shanghai Dragon oraz we wszystkich innych chińskich domach na całym świecie dzisiaj pierwszeństwo przyznaje się wiekowi. Najważniejszym gościem jest moja babcia.

Sadzają ją u szczytu stołu uginającego się pod talerzami z czymś, co przypomina nieugotowane pierożki albo trójkątne ravioli. Babcia mierzy je podejrzliwym spojrzeniem, jakby miała nadzieję ujrzeć coś, co dobrze zna, na przykład paluszki rybne albo krem Custard. William i Diana przynoszą jej oboje zieloną herbatę, której ostrożnie próbuje, po czym unosi wesoło w górę kciuki.

— Smakuje trochę jak lemsip — mówi.

Na obiad mamy kurczaki. Kurczaki, gotowany ryż, do tego potrawę, na którą w ogóle nie patrzę — podsmażone na patelni jedwabniki o białym gąbczastym mięsie — oraz jedzenie, które uwielbiam: na przykład małe kielbaski, które wyglądają, jakby powinno się je nadziać na koktajlowy szpikulec.

Siadam obok Joyce, która bez przerwy dokłada mi kawałki kurczaka do miski z ryżem. Czuję się jak pisklą, któremu rodzice wtykają do dzioba robaki. Olga oznajmia, że nie jest głodna, bo zjadła coś u Eamona de Valery, ale wydaje mi się, że nie bardzo radzi sobie z pałeczkami. Nie powinna się tym przejmować, ponieważ Changowie zakładają, że każdy *gweilo* potrzebuje zachodnich sztucców. Babcia również nie potrafi się nimi posługiwać i je swoje małe kawałeczki kurczaka nożem i widelcem.

— Mój mąż uwielbiał czerwone mięso — mówi do Joyce. — Krwiste. Oderżnijcie po prostu krowie zad i dajcie go na stół, mawiał. Był z niego wielki kawalarz.

Po obiedzie robimy kolejne pierożki, które mamy zjeść o północy. Wyglądają jak potrawa, którą Yumi i Hiroko nazywają *gyoza*, ale Joyce mówi mi, że nazywają się *jiaozi*. Sprzątamy ze stołu i robimy kolejne półmiski *jiaozi*, rolując ciasto, wypełniając je małymi kuleczkami wieprzowego farszu, a potem zalepiając i oddając Joyce i Haroldowi do pieczenia.

Oldze nie idzie zbyt dobrze lepienie *jiaozi*, w związku z czym pali w kącie papierosa i obserwuje z uśmiechem naszą krzątalinę. George oznajmia nam, że trzy pierożki są wyjątkowe. W jednym jest cukier, w drugim moneta, w trzecim warzywo.

— Symbolizują miłość, fortunę i mądrość.

Kiedy zegar wybija północ, jemy *jiaozi*. Kończy się Rok Tygrysa i zaczyna Rok Królika.

Diana dostaje *jiaozi*, który przyniesie jej miłość. Jej ojciec Harold dostaje *jiaozi*, który przyniesie mu fortunę. A ja dostaję *jiaozi*, który ma mi dać mądrość. Wszyscy zatem trafili w dziesiątkę.

— Przypomina mi to sześciopensówkę w bożonarodzeniowym puddingu — mówi babcia. — Teraz już tego nie robią, prawda?

W końcu trzeba się zacząć żegnać.

— *Kung hay fat choi* — mówię, podając rękę George'owi. Ścisną ją, chociaż niezbyt często to czyni, i jak zawsze zadziwia mnie, jaką ma miękką dłoń. Z tyłu słyszę, jak moja mama, babcia i Olga żegnają się z Changami. Jest dobrze po północy, na dworze ścisną lutowy mróz. Czerwone lampiony w Shanghai Dragon płoną niczym ogień.

— *Kung hay fat choi* — mówi George. — Jak twoje plecy?

— Plecy? W porządku.

— Nie musisz brać środków przeciwbólowych?

— Nie, George.

— Środki przeciwbólowe nie takie dobre. Czasami lepiej czuć ból. Czasami bardziej zdrowo. Żeby poczuć się lepiej.

Nie wiem dlaczego, ale uświadamiam sobie, że tak naprawdę George nie mówi wcale o moim grzbiecie.

Mówi o Oldze.

I nagle widzę, że zaproszenie jej tutaj nie było chyba najlepszym pomysłem. Olga została mile przyjęta przez Changów i starała się, jak mogła, pokazać, że smakują jej potrawy i podobają się rytuały Święta Wiosny, ale wszystko to było trochę wymuszone, trochę nienaturalne.

Wiem, że tak naprawdę o wiele lepiej bawiłaby się u Eamona de Valery z jakimś dyskotekowym osiłkiem z kolczykiem na fiucie i kompletem płyt Robbiego Williamsa.

Nie bawiła się tak dobrze podczas święta Nowego Roku w Shanghai Dragon, jak mogłaby się tu bawić, powiedzmy Hiroko.

Po raz pierwszy widzę, że mimo jej długich nóg, ślicznej buzi i godnej pozazdroszczenia młodości Olga nie jest dla mnie odpowiednią dziewczyną, a ja nie jestem dla niej odpowiednim facetem.

Uzbrojeni w tę wiedzę ruszamy prosto do mojego mieszkania i robimy sobie dzidziusia.

26.

Najwyraźniej o coś się pokłóciły.

Jackie i Plum wchodzi do mojego mieszkania i panujące między nimi milczenie aż skwierczy od emocji. Jackie podchodzi prosto do stołu, przy którym pracujemy, stąpając zaskakująco szybko w swoich botkach w leopardzie cętki i rozpinając z niemal nieskrywaną furią prochowiec. Plum staje pośrodku pokoju, wpatrując się markotnie w swoje sfatygowane adidas, chowając twarz za grzywką, która chroni ją przed podłym światem.

A ja zadaję głupie pytanie.

— Co się stało?

Jackie obraca się do mnie.

— Co się stało? Co się stało? Wielmożna pani oddała pieniądze, które miała na obiad. I pieniądze na autobus. I pieniądze na autobus, czemu nie.

Plum zezuje zza swoich przetłuszczonych brązowych włosów, jej twarz krzywi się z bólu.

— Nie oddałam.

— Nie okłamuj mnie. — Jackie robi krok w stronę córki i przez sekundę boję się, że ją uderzy. Przestraszona dziewczynka cofa się kilka kroków. — Pozwala, żeby włożyły jej na głowę. Te cholerne gnojki w szkole.

— Nie oddałam. Zgubiłam. Mówiłam ci.

— Wiesz, jak długo musiałam pracować, żeby zarobić te pieniądze? Masz pojęcie, ile podłóg musiałam wyszorować, żeby dostać te pieniądze? Pieniądze, które oddałaś? Masz pojęcie?

Plum zaczyna płakać. Po jej pulchnej młodej twarzy płyną okropne gorzkie łzy.

— Zgubiłam je. Zgubiłam. Naprawdę zgubiłam.

— Pozwala, żeby chodzili jej po głowie. Gdyby spróbowali czegoś takiego ze mną, zabiłabym ich.

— Ale ja nie jestem tobą — mówi Plum i brzmi to dokładnie jak coś, co mógłbym powiedzieć własnemu ojcu. Uświadamiam sobie, że współczuję temu nieporadnemu dziecku. — I zgubiłam je.

Widzę, że to może trwać całą wieczność. Staję między nimi niczym przedstawiciel ONZ prowadzący negocjacje pomiędzy Izraelczykami a Palestyńczykami.

— Co robiliśmy w zeszłym tygodniu, Jackie?

— Studiowaliśmy emocje w dramatycznym ekstrakcie — syczy, wciąż mierząc wściekłym wzrokiem córkę. — Na podstawie książki „Serce to samotny myśliwy”. Pieprzony myśliwy.

— Zgadza się. Czy możesz się tym przez chwilę zająć, podczas gdy ja odwiozę Plum do mojej babci?

Obie patrzą na mnie zdumione.

— Do twojej babci?

— Babci będzie przyjemnie w jej towarzystwie. W przyszłym tygodniu wraca do szpitala.

— Co jej jest? — pyta Plum.

— Mają być gotowe wyniki biopsji, którą wykonali, żeby zobaczyć, co spowodowało obecność płynu w płucach. Jest trochę podenerwowana.

— Dobrze — godzi się Plum.

— Świetnie — mówi Jackie.

Wyjmuje swój egzemplarz „Serca”, żeby studiować emocje w ich dramatycznym ekstrakcie, a ja zabieram Plum do babci.

Przez jakiś czas jedziemy w milczeniu. Plum zmienia stacje radiowe, szukając czegoś, co może ją zainteresować. W końcu wyłącza z westchnieniem radio.

— Kto cię prześladowuje w szkole? — pytam.

Posyła mi szybkie spojrzenie.

— Nikt.

— Nikt?

Wygląda przez okno, za którym przesuwa się ponury krajobraz północnego Londynu. Agencje nieruchomości, stare brązowe puby, bary z kebabami, sklepy ze starzyzną.

— Nie zna pan ich.

— Chyba znam ten typ ludzi. Chcesz o tym pogadać?

— Co to da?

— Czy to chłopcy, czy dziewczynki? Chwila ciszy.

— Chłopcy i dziewczynki.

— Jak się nazywają?

Uśmiecha się do mnie. To nie jest przyjazny uśmiech.

— Chce pan przyjść do mojej szkoły i spowodować, że ich zawieszą?

— Czasami lepiej jest pogadać o takich sprawach. To wszystko.

Plum bierze głęboki oddech.

— Dziewczyna ma na imię Sadie. Chłopak Mick. Są z tych popularnych. Wie pan, o kim mówię?

— Wiem.

— On się goli. Ona ma cycki. Nie są wcale starsi ode mnie. Mają taki mały gang. Sami twardziele. Tacy, którzy uprawiają seks od pierwszej klasy. I nienawidzą mnie. Nienawidzą mnie jak jasna cholera, rozumie pan? Nie mogę przejść korytarzem, żeby czegoś nie powiedzieli. Tłusta beka. Tłusta szafa. Kto zżarł wszystkie pierożki? Codziennie przez dwa lata. Od pierwszego dnia w pierwszej klasie. Myśla, że to zabawne.

Zatrzymujemy się pod blokiem mojej babci. Małym białym blokiem, w którym żyją samodzielnie wszystkie te drobne

starsze panie. Nie potrafię sobie wyobrazić Plum w tym wieku. Można odnieść wrażenie, że zawsze będzie nastolatką.

— Ile ci zabrali?

— Mówiłam panu: zgubiłam te pieniądze.

— Ile?

— Sześćdziesiąt funtów.

— Jezu. Musisz dużo jeść tych szkolnych obiadów. — Natychmiast żałuję tego, co powiedziałem.

— No jasne. Dlatego jestem taka gruba. Nie wiedział pan?

— Daj spokój. Nie o to mi chodziło.

— Mam problem z hormonami, rozumie pan?

— Rozumiem. Dlaczego miałaś przy sobie tyle pieniędzy?

— To były pieniądze na obiady na cały tydzień. Pieniądze na autobus na cały miesiąc. I całe moje oszczędności.

— Oszczędności?

— Chciałam sobie kupić książkę.

— Książkę?

— Książkę pod tytułem „Poczuj woń strachu, męska dziwko”. W twardych okładkach. Takie książki nie są tanie, czło-wieku.

— „Poczuj woń strachu, męska dziwko”? Czy to nowa po-wieść Salmana Rushdiego?

— Kto to jest Salman Rushdie?

— Nieważne.

— „Poczuj woń strachu, męska dziwko” to nowa książka Drągala. Tego zapaśnika.

— Pamiętam. Sport z elementami rozrywki. Więc straciłaś wszystkie pieniądze. Jak ci się to udało?

— Myślałam, że może mnie dzięki temu polubią, ale... — Plum urywa i potrząsa ze śmiechem głową. — Podszedł mnie pan. Typowy nauczyciel.

— Twoja mama musi długo pracować, żeby zarobić sześć-dziesiąt funtów.

— Niech pan nie zaczyna. — Plum gapi się na swoje dłonie. Paznokcie ma poobgryzane do żywego mięsa i ponownie żal

mi tego smutnego samotnego dziecka. — Wiem, że musi długo pracować, żeby zarobić tyle kasy. Zdaję sobie z tego sprawę. Nie jestem kompletną idiotką.

Wyciągam portfel i wyjmuję trzy dwudziestofuntowe banknoty.

— W gruncie rzeczy, każdy musi długo pracować, żeby zarobić tyle pieniędzy. Następnym razem bardziej uważaj, dobrze? — mówię, dając jej banknoty.

Plum patrzy na pieniądze, ale ich nie bierze.

— Po co to?

— Byłaś miła dla mojej babci. Doceniam to. Więc... po prostu weź je, okej?

— Nie musi mi pan płacić. Lubię ją.

— Wiem, że ją lubisz. Nie chcę po prostu, żebyś kłóciła się z mamą z powodu takich gnojków jak Mick i Sadie.

— Skąd pan wie, że to gnojki?

— Spotkałem ich.

— Nieprawda. Nigdy ich pan spotkał.

— Spotkałem ludzi ich pokroju. Wiele razy. Kiedy byłem nauczycielem. I kiedy byłem dzieckiem.

Plum patrzy na pieniądze. W końcu je bierze.

— Dziękuję, Alfie.

— Nie ma o czym mówić. I nie mów nic mamie. Idziemy na górę odwiedzić starszą panią?

— Dobrze.

Dzwonimy do drzwi i czekamy cierpliwie, słuchając powolnego szurania kapci po podłodze. Odwracam się do Plum. Nadal chowa się za swoją grzywką, ale nie wydaje się już taka nieszczęśliwa.

— Swoją drogą, skąd ta fascynacja Drągalem?

— Drągalem?

— Tak. Nie pojmuję tego.

— A twoim zdaniem, czyją miałabym być fanką? Jakiejś durnej piosenkarki z długimi włosami i akustyczną gitarą, zawodzącej „buu-hoo-hoo, nikt mnie nie rozumie”?

— Coś w tym rodzaju. Dlaczego Drağal tyle dla ciebie zna-
czy?

— Czy to nie jest oczywiste? Drağalowi nikt nie może pod-
skoczyć.

Olga dzwoni do mnie przed północą i mówi, że musi się ze
mną zobaczyć.

Mam właśnie zamiar umyć zęby i iść do łóżka, w związku z
czym proponuję spotkanie jutro na przerwie śniadaniowej, w
kawiarni naprzeciwko szkoły. Odpowiada, że musimy się spo-
tkać teraz i coś w jej głosie — to, jaki jest cichy i ile w nim emo-
cji, których nie potrafię rozszyfrować — sprawia, że się z nią
nie spieram. Ubieram się i jadę taksówką do Eamona de
Valery.

Siadamy przy stoliku w rogu pośród dziesiątków kufli z nie-
dopitym piwem. Oczekuję, iż oznajmi mi, że rozmawiała na
mój temat z Lisa Smith albo że ma jakieś problemy z wizą, albo
że jej chłopak przyjeżdża do Londynu. Ale to jest coś o wiele
gorszego.

— Spóźnia mi się — mówi.

— Spóźnia się?

— Spóźnia się mój okres.

— Może to... nie wiem... czy okres nie może być czasami
krótszy albo dłuższy?

— Zrobiłam sobie test — oznajmia i uderza mnie, jak bar-
dzo język prokreacji przypomina leksykon studenckiego życia.
Ale kiedy się zdaje, a kiedy oblewa? Oto jest pytanie. — Jeden z
tych testów, które można kupić w aptece.

Nie mówię ani słowa. Czekam, nie potrafiąc uwierzyć, że
coś takiego dzieje się w tym momencie, z tą dziewczyną. Z tą
kobietą. A nie z moją żoną.

Rose i ja staraliśmy się o to, ale bez skutku. Naprawdę się
staraliśmy. To nie miało końca. Pamiętam stały cykl rozczaro-
wań i jej rozzierające bóle menstruacyjne, pamiętam, jak

prosiła mnie o erekcję za każdym razem, kiedy zbliżało się jajeczkowanie. Śmieliśmy się z tego — „Masz dzisiaj występ, Alfie, więc nie trzep konia pod prysznicem” — ale łamało nam to serce, to wieczne oczekiwanie na dziecko, które miało dopełnić nasz świat.

Czy jest tak, że ludzie, którzy chcą dziecka, nie mogą go mieć, a ci, którzy go nie chcą, mają? Czy tak to jest urządzone? Rose i ja staraliśmy się prawie przez rok. Nie udało nam się. Teraz już nigdy nam się nie uda.

— Jestem w ciąży — mówi Olga, kobieta, która nie jest Rose, z cichym chichotem, który ma sygnalizować, że, podobnie jak mnie, nie bardzo chce jej się w to wierzyć. — Będę miała dziecko.

Czujemy, jak powoli to w nas zapada. Wszędzie dookoła sprzątają kufle. Ktoś woła, że czas składać ostateczne zamówienia.

— Dziecko. Boże, Olgo.

— Wiem, wiem.

W noc chińskiego Nowego Roku Olga i ja wróciliśmy do mojego mieszkania i odkryliśmy, że pamiątkowa cukiernica z Hongkongu, w której trzymałem mój zapas wyrobów firmy Gossamer Wings, jest pusta. Postanowiliśmy zaryzykować. Nie, to nieprawda. To nie odbyło się tak racjonalnie. Po prostu o tym nie pomyśleliśmy. Nie myśleliśmy w ogóle o niczym.

Olga zaczyna cicho płakać, a ja biorę ją za rękę. Są śliskie od piwa, bo pracowała dziś w nocy. Pracuje w każdą noc.

— Będę przy tobie — mówię, nie potrafiąc wymyślić nic lepszego od tej banalnej kliszy. — Wdepnęliśmy w to razem, prawda? To nasze dziecko.

Olga cofa rękę.

— Zwariowałaś? Nie będę miała z tobą dziecka. Mam dwadzieścia lat. Ty prawie czterdzieści. Jesteś skromnym nauczycielem w jakiejś małej szkole językowej. Ja mam całe życie przed sobą. Mój chłopak by mnie zabił.

Więc potem nie rozmawiamy już o dziecku. Rozmawiamy o aborcji.

Później odwożę ją do mieszkania, które dzieli z trzema innymi Rosjankami w tej dzielnicy południowego Londynu, którą ominęła rewitalizacja, dzielnicy wypalonych samochodów, dobiegających z oddali krzyków i wielkich osiedli.

Kiedy chcę pocałować ją w policzek, odwraca się. Po podjęciu decyzji, co zrobimy, albo raczej czego nie zrobimy — nie będziemy mieli tego dziecka — każdy przejaw uczucia albo wsparcia wydaje się nie na miejscu, jest żaloszny i śmieszny.

Olga znika w swoim bloku. Nie powiedzieliśmy sobie nawet dobranoc.

Nigdy nie wydawaliśmy się sobie bardziej obcy niż w tym momencie, gdy zachodzi ten mały cud, kiedy w jej łonie dojrzewa dziecko.

Najpierw Rose, teraz to dziecko. Nie mam siły o tym myśleć, jestem zbyt zawstydzony, by znaleźć odpowiednie słowa, za trzewia szarpie mnie poczucie winy.

Czuję się tak, jakby uchodziło mi na sucho morderstwo.

27.

Rozumiem, dlaczego nie chce mieć ze mną dziecka. Nie jestem taki głupi, żeby tego nie rozumieć. Kiedy czynimy przygotowania do aborcji, która wydaje się tak samo zimna i kliniczna jak oddanie samochodu do corocznego przeglądu, nie potrafię pozbyć się uczucia, że zdołaliśmy w jakiś sposób zmienić błogosławieństwo w klątwę.

To nie jest dziecko, powtarzam sobie. Nie prawdziwe dziecko. Jeszcze nie. I nigdy nim nie będzie. Problem polega jednak na tym, że wcale w to nie wierzę. Nie wierzę w to nawet przez sekundę.

To dziecko istniałoby, gdyby znalazło się dla niego miejsce w naszym samolubnym, głupim, spierdolonym życiu. To dziecko istniałoby, gdybyśmy po prostu zostawili je w spokoju. To nie jest chyba wielka łaska. Kiedy człowieka zostawiają w spokoju. Wtedy to byłby mały chłopiec albo mała dziewczynka. Gdybyśmy nie czynili przygotowań, żeby go się pozbyć.

Jednak to właśnie robimy. Pozbywamy się go. Nie potrafię uwierzyć — po prostu nie potrafię, chociaż bardzo chciałbym uwierzyć — że to, co mamy zamiar zrobić, to po prostu inny rodzaj antykoncepcji. Że to, co robimy, nie różni się od kupna kondomów marki Gossamer Wings. Ale to nie jest antykoncepcja. Na antykoncepcję jest już za późno.

Powołaliśmy do życia dziecko, którego nikt nie chce. Olga go nie chce. Ja staram się uwierzyć, że chcę. Naprawdę się staram. Staram się uwierzyć, że chcę naszego dziecka, ale kiedy wyobrażam sobie, że będę je sam wychowywał, to mnie po prostu przerasta.

Wyobrażam sobie, jak będę karmił dziecko z butelki, wyprowadzał na spacer do parku, bujał na huśtawce. Czy to właśnie robi się z małymi dziećmi? Czy też pora na to przychodzi trochę później? Szczerze mówiąc, nie wiedziałbym, od czego zacząć. Dbać o dziecko? Nie bardzo potrafię zadbać o samego siebie.

Mamy spotkanie w klinice. Olga musi wytłumaczyć lekarzowi, dlaczego istnienie tego dziecka jest wykluczone. Nie trwa to długo. Czego się spodziewałem? Łez, gniewu, pełnego pasji wystąpienia w obronie nienarodzonego? To by mi się spodobało. Byłbym wdzięczny, gdyby ktoś powiedział: nie róbcie tego, nie pozbywajcie się tego dziecka.

Ale formularze zostają podpisane, rachunek przedstawiony i płacę za zabieg moją kartą kredytową. To takie banalne, okrutne i proste.

Zabić wasze nienarodzone dziecko?

Załatwimy to w rękawiczkach, proszę pana.

Wiem, że to jedyny sposób. Prawda, że jedyny? Prawda, że wiem? Wciąż jednak mam wrażenie, jakbyśmy coś komuś ukradli. Ukradli czyjeś życie. Staram się wspierać Olę w tej trudnej i bolesnej chwili. Naprawdę. Zapewniam ją, że wszystko będzie w porządku, lecz nagle mam wrażenie, jakbyśmy się w ogóle nie spotkali.

Może ona czuje to samo. Może także uważa, że kradniemy coś świętego. A może — to też całkiem prawdopodobne — robi się jej po prostu niedobrze, kiedy na mnie patrzy. Wiem, że musimy zrobić tę rzecz, ponieważ nasz kruchy związek był na skraju rozpadu już w momencie, kiedy robiliśmy to dziecko. Widzę to. Nawet przez chwilę nie łudziłem się, że Olga chce spędzić ze mną życie. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby

chciała ze mną spędzić wieczór. Moim zdaniem marzy o tym, żeby nigdy już nie zobaczyć mojej twarzy.

Nasz związek na pewno by nie przetrwał.

Dziecko powinno nam podziękować.

No jasne.

„Żaden związek nie przetrwa aborcji” — powiedział mi kiedyś Josh. Oznajmił to z taką stuprocentową pewnością, z takim męskim przekonaniem, że nie miałem podstaw mu nie wierzyć. Wpędził dziewczynę w kłopoty — odkrywam, iż w takich przypadkach zawsze odwołuję się do słownika mojej matki — którejś zakrapianej nocy w Singapurze podczas tournée swojej drużyny rugby.

Była prawniczką, urodzoną w Brytanii Chinką, wyedukowaną w prywatnych szkołach i pięknie się wysławiającą, co zawsze robiło na nim wrażenie, i Josh bardzo się zaangażował. Opowiadając mi o tym nad szklanką tsingtao na szczycie hotelu Mandarin, stwierdził, że po przerwaniu ciąży ich związek nie miał już przyszłości.

— W aborcji jest coś, co zakłóca naturalny porządek rzeczy.

Zakłóca raz na zawsze — powiedział i pomyślałem wówczas, jak bardzo wydaje się starszy i mądrzejszy ode mnie.

Mimo to, odbierając Olę z kliniki, odkrywam, że lubię ją bardziej niż kiedykolwiek.

Jest taka młoda, blada i wyczerpana, jakby przeszła coś, co pozostanie w niej do końca życia, coś, co zmieni sposób, w jaki patrzy na świat. Nie chcę z nią zrywać. Naprawdę chcę z nią zostać. Chcę jeszcze raz spróbować. To uczucie trwa do chwili, gdy obejmuję ją ramieniem i Olga mierzy mnie pustym martwym wzrokiem.

— Nic mi nie jest — mówi.

— Pojedźmy do mnie.

— Co?

— Nie wracaj do swojego mieszkania. Pojedź do mnie.

Możesz mieć swój własny pokój. Będę spał na sofie. Tak długo, aż... no wiesz... — jak brzmią te słowa? — poczujesz się lepiej.

Widzę, że nie bardzo podoba jej się ten pomysł. Ale pomysł powrotu do wilgotnej nory w południowym Londynie, którą dzieli z trzema innymi Rosjankami, pociąga ją jeszcze mniej. Bierzemy więc taksówkę i — w milczeniu, nie dotykając mnie, skulona w swoim tanim czarnym palcie — jedzie do mojego mieszkania, gdzie porusza się bardzo powoli, jakby coś bardzo ją bolało albo bała się coś stłuc, i przed pójściem spać spędza długi czas w łazience.

Zaglądam do niej po kilku chwilach i widzę, że śpi. Jej twarz jest prawie tak samo biała jak poduszka, na której leży. Potem wstaje i pyta, czy może zatelefonować, a ja mówię, że oczywiście może, nie musi mnie nawet pytać, w związku z czym dzwoni i bardzo długo rozmawia po rosyjsku z kimś, kto jak zgaduję, jest jej chłopakiem. Gardłowe głoski jej języka wydają się jeszcze bardziej szorstkie, gdy płacze.

Nie mam pojęcia, jak wiele mu mówi. Potem uprzejmie dziękuje za to, że pozwoliłem jej skorzystać z telefonu, tak jakbyśmy właśnie zostali sobie przedstawieni i jakbym podał jej sól. Drepcze z powrotem do łóżka i wkrótce zasypia. Za oknem kończy się krótki zimowy dzień i w mieszkaniu robi się ciemno. Nie zapalam światła.

To co budzi we mnie pusty śmiech — nie, to co sprawia, że siedzę z twarzą w dłoniach w salonie, siedzę sam w zapadającym zmroku, podczas gdy Olga śpi w moim łóżku, czasami mrużąc przez sen, a czasami wołając kogoś po imieniu — to fakt, że Rose i ja tak bardzo chcieliśmy mieć dziecko.

To byłaby najwspanialsza rzecz pod słońcem. Dla nas.

Dla mojej żony i dla mnie. Próbowaliśmy. Próbowaliśmy od dnia naszego ślubu. Miała nawet cały sprzęt. Przy jej łóżku leżało to małe biało-różowe pudełko wielkości futerału na okulary, z termometrem, którym mierzyła temperaturę po obudzeniu. Miała również coś w rodzaju pałeczki, którą zabierała

codziennie rano do łazienki, żeby sprawdzić, czy nie zbliża się owulacja i czy nie powinniśmy zacząć się przygotowywać. Wpisać datę do naszego dzienniczka.

Spróbować tej nocy.

Tak, miała cały sprzęt.

Po prawie roku rozczarowań mieliśmy zamiar zrobić badania. Ja miałem spuścić się do małego plastikowego słoika, Rose sprawdzić swoją kanalizację — wszystko, co trzeba zrobić. Próbowaliśmy z tego żartować, tak jak próbowaliśmy żartować ze wszystkiego.

— Jakie pani sobie życzy jajka, madame?

— Zapłodnione.

Zabrakło nam czasu. Nigdy do tego nie doszło. Nasze dziecko nigdy nie powstało. A potem Rose odeszła.

Naprawdę chciała mieć ze mną dziecko. Może trudno wam w to uwierzyć, ale to prawda. Uważała, że byłbym dobrym ojcem. To nie są kpiny.

— Będiesz takim wspaniałym tatą, Alfie — mówiła mi.

Rose naprawdę chciała mieć ze mną dziecko, choć oczywiście działo się to w okresie, gdy żyłem pełnią życia i, zdaję sobie z tego sprawę, byłem o wiele lepszym człowiekiem, niż jestem dzisiaj.

Nazajutrz rano zostawiam Olgę śpiącą w łóżku i idę do lokalnej księgarni kupić prezent Plum.

— Szukam pewnej książki... — mówię młodemu mężczyźnie za ladą. — Nazywa się...

— Tytuł? Autor?

— Ee... „Poczuj woń strachu...” coś tam.

— „Poczuj woń strachu, męska dziwko”. Tak, to nowa książka Drągala. Tego zapaśnika. Znajdzie ją pan przy drzwiach.

Przy samym wejściu do księgarni znajduję dużą piramidę „Poczuj woń strachu, męska dziwko”. Biorę jeden egzemplarz

i patrzę na masywnego półnagiego łysola szczerzącego zęby na okładce. Wygląda jak reklamujący slipy kulturysta.

Przerzucam kartki pełne ilustracji. Większość fotografii przedstawia Drągała bijącego innych mężczyzn w obcislej bieleźnie — albo przynajmniej udającego, że ich bije. Ale pod koniec jest również część, gdzie Drągał pozuje do zdjęć z małymi dziećmi wszystkich ras i kolorów. W towarzyszącym fotografiom, wydrukowanym dużą czcionką tekście Drągał prezentuje swoją filozofię. Mówi o znaczeniu działalności charytatywnej, potrzebie walki z rasizmem, moralnym imperatywie bycia serdecznym, kiedy skończy się krwawa mordęga dnia powszedniego.

Nazywa to robieniem czegoś ludzkiego.

I uświadamiam sobie, że choć bardzo się staram, nie jestem w stanie dzisiaj z tego kpić.

Drągał powiada: zrób coś ludzkiego albo zawłokę twoją landrynkową dupę do Drzewa Boleści.

Zrobić coś ludzkiego?

Wygląda to na najlepszą radę, jaką słyszałem od lat.

Po powrocie do domu odkrywam, że Olga znikła. Żadnego listu, żadnego pożegnania, tylko kilka rudych włosów w umywalce. Uznaję, że nie możemy skończyć ze sobą w ten sposób, i dzwonię do jej mieszkania. Tak bardzo chcę zrobić coś ludzkiego. Telefon odbiera jedna z jej koleżanek i idzie po nią. A potem wraca i mówi, że Olga nie chce ze mną rozmawiać.

Czasami okazuje się, że człowiek za długo zwlekał, żeby zrobić coś ludzkiego.

Myślę o chińskim Nowym Roku i Świącie Wiosny. Myślę, jak bardzo podoba mi się to, co uważam za symetrię w rodzinie Changów.

George i Joyce, Harold i Doris, mała Diana i William — ich rodzina odznacza się równowagą i harmonią, na myśl o której aż mnie skręca z zazdrości.

W porównaniu z Changami moja własna wydaje się złożona z samych potłuczonych skorup, ostrych krawędzi oraz zapomnianych resztek.

Moja babcia i jej mąż, który zmarł dawno temu, moja mama i jej małżonek, który odszedł w siną dal, ja i Olga, którzy w chiński Nowy Rok wyglądaliśmy pewnie jak w miarę normalna para, ale którzy okazaliśmy się najśłabszą gałęzią z całego naszego potrzaskanego rodzinnego drzewa.

Ale przecież kiedyś miałem rodzinę i mieliśmy plan. Chcieliśmy mieć dzieci i całą resztę.

Na tym właśnie tak bardzo nam zależało, Rose i mnie, taki był nasz plan. Chcieliśmy mieć dzieci i całą resztę.

28.

Wiem, że Hiroko ze mną porozmawia. Nadal robi się jej miękko na sercu, gdy na mnie patrzy. Hiroko zrobi coś ludzkiego. Zwłaszcza jeśli przemkniemy się niepostrzeżenie do jej pokoju. Wtedy będziemy robić coś ludzkiego od północy aż do świtu. A w każdym razie co najmniej do pięć po dwunastej.

Spotykam się z nią w małej, niby-francuskiej kafejce, gdzie krzepiliśmy się naszymi pożywnymi angielskimi śniadaniem i wymienialiśmy pachnące kawą pocałunki. Dziwię się, dlaczego pozwoliłem, żeby to się skończyło, i czuję olbrzymią ulgę, gdy Hiroko wchodzi do środka. Lśniące włosy jak zwykle wirują wokół twarzy, oczy spoglądające nieśmiało połyskują za czarnymi oprawkami okularów. Jest wspaniałą młodą kobietą. Dlaczego w ogóle pozwoliłem jej odejść? Czy to wiązało się z tym, że lubiła mnie bardziej niż ja sam?

Jest wczesny wieczór i w kafejce są same pary. Przyszliśmy w odpowiednie miejsce. Obejmuję ją i próbuję przywrzeć ustami do jej warg.

— Nie — mówi, śmiejąc się i odwracając twarz.

CMokam ją w bok twarzy, czując na wargach smak włosów, ucha i okularów.

— Nie?

Hiroko bierze mnie za rękę. Wydaje się to częściowo czułym gestem, a częściowo techniką samoobrony.

— Wciąż mi na tobie zależy — szepcze.
— To wspaniale. Bo mnie też na tobie zależy.
— Ale inaczej.
— To nie brzmi zbyt dobrze.
— Powiedziałeś, że powinnam poznać kogoś innego.
— Owszem, ale nie ma powodu się z tym spieszyć.
— Spędzam dużo czasu z Genem.
— Z Genem? — Przed oczyma staje mi cichy młody Japończyk z pierwszej ławki kursu dla zaawansowanych początkujących, zezujący na mnie spod strzechy farbowanych brązowych włosów. — Gen to jeszcze dzieciak.
— Jest w tym samym wieku co ja.
— Naprawdę? Kurczę, myślałem, że jest młodszy.
— Wyjdziemy gdzieś. Po egzaminach. Może do Hiszpanii. Może do Tajlandii. Na północ. Do Chiang Mai. Żadne z nas tak naprawdę nie widziało jeszcze Azji. — Hiroko śmieje się i ścisną swoją dłoń. — To prawda, co powiedziałeś. Na świecie jest dużo miłych ludzi. Jak brzmi ten idiom? W morzu jest wiele ryb.

I wszystkie są takie śliskie.

Z Vanessą to było zawsze proste.

Zabawne i na luzie. Takie, jak powinno. Nigdy nie zadaliśmy sobie bólu, nigdy nie byliśmy spięci. Nie było między nami „o czym myślisz?” ani „dlaczego płaczesz?”. Z tego, co pamiętam, nie było kłótni ani wzajemnych zarzutów. To jest Francuzka dla ciebie, Alfie. Wystarczająco wyrafinowana, żeby niczego nie komplikować. Nagle zaczynam wściekle tęsknić za Vanessą.

Kiedy dzwonię do jej mieszkania, odbiera mężczyzna. Wyobrażałem sobie chyba, że ten facet zniknął już ze sceny podobnie szybko i przypadkowo, jak znikają ludzie z mojego własnego życia. Czego się spodziewałem? Spodziewałem się, że wróci do żony. Do swojego świata.

- Halo?
- Czy jest Vanessa?

Chwila ciszy po tamtej stronie.

- Kto dzwoni?
- Jej nauczyciel.
- Chwileczkę.

Facet odkłada z trzaskiem słuchawkę. Słyszę głosy w tle. Podejrzliwy baryton mężczyzny, melodyjna, lekko defensywna odpowiedź Vanessy.

- Allo?

Uśmiecham się do siebie. Ta dziewczyna ma najwspanialszy akcent pod słońcem.

- Vanessa? Tu Alfie.

— Alfie? — Na chwilę zasłania dłonią słuchawkę, tłumaczy coś swojemu żonatemu mężczyźnie. Tak jakby była mu winna jakieś wyjaśnienie. — Czego chcesz?

— Zastanawiałem się, czy nie masz ochoty wyskoczyć ze mną na drinka czy coś w tym rodzaju.

- Z tobą?

- Oczywiście, że ze mną.

— To niemożliwe. Nie mieszkam już sama. Myślałam, że o tym wiesz.

— Chodzi tylko o drinka, Vanesso — mówię, starając się, żeby nie usłyszała paniki w moim głosie. — Nie proszę cię, żebyś wybierała kolor zasłon.

- Ale po co?

— Po co? Dlaczego zawsze musi być jakieś „po co”? To mi się właśnie zawsze w nas podobało. Nigdy nie pytaliśmy się po co. Dlaczego każdy musi mieć jakiś powód?

- Przepraszam, nie mogę.

— To nie musi być koniecznie w tej chwili. Nie mówię o teraz. Co powiesz na piątek? Co robisz w weekend? Wybierz jakiś wieczór. No dalej. Jakikolwiek wieczór. Jestem wolny przez cały weekend.

- Muszę już kończyć, Alfie.

— Zaczekaj. Myślałem, że było nam ze sobą dobrze.
— Mieliśmy... jak wy to mówicie... fajny ubaw. Rozumiesz? Mieliśmy ubaw. To wszystko, co kiedykolwiek nas łączyło, Alfie. Po prostu ubaw. Teraz chcę czegoś więcej.

Wypijam parę tsingtao w pubie w Chinatown i docieram do Eamona de Valery tuż przed zamknięciem. W środku jest pełno cudzoziemskich studentów ze szkoły Churchilla. Przy drzwiach siedzą Yumi i Imran.

— Pozwólcie, że postawię wam drinka — mówię.
— Nie, dzięki — odpowiada Imran.
— Może byś wrócił do domu, Alfie — proponuje Yumi. — Wyglądasz na zmęczonego.
— Co pijesz, Imran? Przynieść ci kufel ciemnego Paddy McGinty?

— Nie piję alkoholu.
— Nie pijesz alkoholu? Naprawdę? Nie wiedziałem. — Spoglądam na Yumi. Na tę przepiękną twarz otoczoną strzechą farbowanych żółtych włosów. — Nie miałem pojęcia, że Imran nie pije alkoholu. Czy to ma jakiś związek z religią?

— Tak. To ma związek z religią — odpowiada, nie patrząc na mnie. Przystojny z niego sukinsyn.

Obejmuję go ramieniem, przysuwam blisko twarz i patrzę, jak cofa się przed przykrym odorem kilku tsingtao.

— Twoja religia nie zabrania ci ukraść czyjejs dziewczyny, ty hipokryto? — pytam.

Yumi i Imran wstają, żeby wyjść.

— Nikt mnie nie ukradł. Nie można ukraść kobiety. Można ją co najwyżej odwieźć do domu — stwierdza Yumi, po czym oboje wychodzą.

Widzę stojącą za barem Olę i przepycham się w jej stronę. Śmiech, dym, brzęk tłuczonego szkła. Przy barze siedzą Zeng i Witold.

— Dobrze się pan czuje? — pyta Zeng.

— Dziwnie pan wygląda — mówi Witold.

Nie zwracam na nich uwagi.

— Olga! — krzyczę. — Olga! Chcę z tobą porozmawiać. To ważne.

Olga ucieka w drugi koniec baru. Próbuje mnie obsłużyć facet z australijskim akcentem. Mówię mu, że chcę być obsłużony przez Olgę. Facet wzrusza ramionami i odchodzi. Zeng pociąga mnie za rękaw. Odtrącam go.

— Niedobrze — mówi Witold.

Olga jest nadal w drugim końcu baru. Śmieje się do kogoś.

— Olga!

Ktoś klepie mnie po ramieniu.

Odwracam się i mam dość czasu, by zobaczyć zbliżającą się do mnie pięść, ale za mało, żeby zejść jej z drogi.

Pięść — same kościste kłykcie plus ostry zadziór sygnetu — trafia mnie w twarz i czuję na czubku języka ciepło rozbitej wargi. Uginają się pode mną nogi i nie wywracam się tylko dlatego, że opieram się łokciem o bar. Błady chudy chłopak w tandetnym ubraniu zaciska zakrwawioną pięść, wpatrując się we mnie z czymś, co przypomina nienawiść.

Zeng i Witold przytrzymują go, ale on najwyraźniej ma ochotę przyłożyć mi po raz drugi. Wszędzie wokół nas ustały rozmowy; klienci Eamona de Valery czekają na widowisko. Dlaczego ludzie są tacy podli? Dlaczego nie mogą zrobić czegoś ludzkiego? Dlaczego nie słuchają Drągala, kiedy do nich mówi?

— Kim jesteś? — pytam.

— Chłopakiem Olgi.

— Naprawdę? Niemożliwe? Ja też nim jestem.

— Nie — odpowiada. — Ty jesteś nikim.

A potem wyrzucają mnie z lokalu. Dwóch wykidajłów. Wielki czarny facet, który jest zbudowany jak lodówka, i wielki biały facet, który jest zbudowany jak zmywarka do naczyń. Przyciskają mi ręce do boków, idą ze mną do drzwi, po czym wyrzucają na ulicę, używając więcej siły niż to bezwzględnie konieczne.

Na chodniku przed pubem siedzą żebrak i pies. Potykam się o nich i łąduję głową w rynsztoku.

Leżę tam przez chwilę, wpatrując się w gwiazdy, które migoczą słabo w żółtym blasku ulicznych latarni. Boli mnie czaszka. Boli mnie usta. Mam poplamioną krwią koszulę. Pies podchodzi bliżej i zaczyna lizać mnie po twarzy, ale żebrak woła go — ma na imię Mister, co muszę przyznać, jest całkiem dobrym imieniem dla kundla — i w końcu nawet pies żebraka uznaje, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

I nagle wiem, co muszę teraz zrobić.

Muszę się przespać z Jackie Day.

29.

Łapię ostatni pociąg do Essex.

W wagonie jest pełno młodych mężczyzn w garniturach i młodych kobiet ubranych tak jak Jackie Day. Wszyscy głośnie rozmawiają i są zadowoleni z siebie. Nie ma żadnych awantur. W powietrzu unosi się zapach kebabów, jasnego piwa i Calvina Kleina.

Koło północy pociąg wytacza się powoli z wielkiej metalowej stodoły dworca Liverpool Street. Trudno jest określić, gdzie kończy się miasto, a gdzie zaczynają przedmieścia, gdzie stacje metra ustępują miejsca małym miasteczkom, co jest Londynem, a co Essex.

Widzę przesuwające się w ciemności obskurne bryły mieszkaniówki z lat sześćdziesiątych, niekończące się stacje przetokowe, parkingi zastawione używanymi samochodami, a potem tor wyścigowy dla psów, puby, bary dla zmotoryzowanych, chińskie i hinduskie restauracje, kolejne puby, rzędy nędznych sklepików, osiedla, które ciągną się kilometrami. Świat samochodów, kwaterunkowych domów i drobnych przyjemności. Essex wygląda jak Londyn, w którym zabrakło dużych pieniędzy.

Mijamy z hurgotem kolejne stacje — Stratford, Ilford, Seven Kings, Chadwell Heath, Romford, Harold Wood, Billericay.

Tereny zurbanizowane sięgają daleko w mrok, miasto wydaje się nie mieć końca. I w końcu, prawie po godzinie, kiedy większość podpitych pasażerów zdążyła zasnąć albo wysiąść, nagle się kończy.

Miejską egzemę zastępują płaskie zielone pola, mroczne i ciche tam, gdzie nie sięgają światła torów i drogi. Następna stacja to Bansted. Tam gdzie metropolia próbuje wreszcie udawać wieś.

Bansted. Ich rodzinne miasto.

Taksówka jedzie powoli wąską uliczką, wzdłuż której stoją szeregowe domy z elewacją z drobnych kamyków. Niektóre mają z przodu małe ładne ogródki, pełne doniczek z kwiatami i kolorowych kwietnych rabatek. Przed innymi ogródki zostały brutalnie wyłożone kostką i w miejscu, gdzie powinna być trawa, parkuje samochód osobowy albo furgonetka. Prawie tak, jakby trzeba było wybierać między autem a kwiatami. A może i trzeba.

Przed domem Jackie rośnie trawa, ale to wszystko. Nie ma rabatek z kwiatami, nie ma miejsca na inne rośliny. Sama trawa. Płacę taksówkarzowi i idę przez podjazd, który Jackie dzieli ze swoim sąsiadem. W domu jest ciemno. Wciskam dzwonek.

Otwiera drzwi ubrana... jak to się nazywa? Ta jedwabna japońska szata... kimono. Uśmiecham się do siebie, bo to dokładnie w stylu Jackie. Nie do pomyslenia jest, żeby miała zwykły szlafrok. To musiało być kimono.

— Co ci się stało? — pyta.

— Ty chyba nigdy nie jesteś niedbale ubrana.

— Ktoś cię pobił?

Moja twarz. Wpatruje się w moją twarz. Dotykam jej i czuję zaschnięte łuski krwi w kąciku spuchniętych ust. Wzruszam dzielnie ramionami, a Jackie wpuszcza mnie do środka, zapala światło i proponuje kawę albo herbatę. Dom jest nieduży

i schludny, nic nadzwyczajnego, tapetę zdobią małe czerwone kwiatki.

Przy drzwiach wisi fotografia Plum jako małej dziewczynki, uśmiechającej się w promieniach słońca chyba gdzieś na angielskim wybrzeżu. Uroczy mały dzieciak. Nie cierpiący na nadwagę, nie chowający się za swoją grzywką, w ogóle nie smutny. Co się z nią stało?

Patrzę na Jackie. Po raz pierwszy widzę ją bez makijażu. Uwolniona od wszystkich tych wojennych barw, jej twarz jest zaskakująco ładna. Wchodzimy do saloniku. Jest tu wielki telewizor, okropny pomarańczowy dywan, kolejne fotografie Plum, niektóre razem z Jackie, młodą i roześmianą, oraz mnóstwo upominków, które uwielbia moja babcia — celtyckie krzyże, hiszpańskie byki, Myszka Mickey z podniesioną łapą w białej rękawiczce, pamiątka z Disneyworldu.

— Co tutaj robisz?

— Chciałem ci po prostu powiedzieć, że to wspaniale.

— Upiłeś się? Jesteś pijany, prawda? Czuję to.

— Kto to jest, mamgo? — słyszę głos Plum ze szczytu schodów.

— Wracaj do łóżka — woła Jackie.

— Moim zdaniem to wspaniale, że chcesz wrócić na studia — oznajmiam. — Mówię serio. Zdobyć wyższe wykształcenie. Zmienić świat. Podziwiam twoją determinację. Naprawdę. Żałuję, że ja nie potrafię zmieniać świata. Mój świat dojrzał do zmian.

— To wszystko?

— Co?

— To wszystko, co chciałeś mi powiedzieć?

— Tak. I że mi się podobasz.

Jackie śmieje się, potrząsa głową i otula szczelniej kimonem.

— Twierdzisz, że ci się podobam?

Padam na skórzaną sofę, która wydaje z siebie jęk protestu. Czuję się nagle bardzo zmęczony.

— Tak.

Uświadamiam sobie, że to prawda. Bardzo mi się podoba. Podoba mi się, że wychowuje samodzielnie dziecko, podoba mi się, że haruje, robiąc rzeczy, których nie potrafią sami zrobić wszyscy ci pozerzy z Cork Street i szkoły Churchilla, podoba mi się, że marzy o pójściu na studia. Nie, ona nie marzy. Ona to realizuje. Szorując podłogi i toalety przy Cork Street, a potem pisząc prace na temat powieści „Serce to samotny myśliwy”. To imponujące. Ma w sobie więcej hartu ducha niż ktokolwiek, kogo znam. Podziwiam ją. Tak jak nie podziwiałem nikogo od czasu Rose.

Wstaję więc, żeby wziąć ją w ramiona, czując, jak razem z całym tsingtao wzbiera we mnie ta wielka nieprzetrawiona gruda uczucia. Ale Jackie odpycha mnie.

— Och, nie wydaje mi się — mówi, dając krok do tyłu i jeszcze szczelniej otulając się kimonem. — Nie wydaje mi się, żeby to był najlepszy pomysł pod słońcem. Jezu Chryste. Musisz spać ze wszystkimi swoimi uczennicami? Nie możesz po prostu... no nie wiem... nauczyć ich czegoś?

— Jackie, ja nie chciałem...

— Masz sporo tupetu. Słowo daję. To wcale nie jest zabawne. Co kazało ci sądzić, że możesz tu przyjść i uprawiać ze mną seks?

— Nie wiem — odpowiadam. — Może to, jak się ubierasz?

— Powinnam dać ci po buzi. Ty cholerny sukinsynu. Tak mnie zdenerwowałeś.

— Nie chciałem cię wcale denerwować. Chciałem się tylko z tobą zobaczyć. Przepraszam. Naprawdę mi przykro. Pójdę już.

— Dokąd? To nie jest Islington. Myślisz, że wyjdiesz na ulicę i zatrzymasz przejeżdżającą taksówkę? Tu nie ma taksówek ani pociągów. Nie o tej porze. Wpadłeś jak śliwka w kompot, człowieku. — Potrząsa głową i jej gniew słabnie w obliczu mojej totalnej ignorancji. — Czy ty w ogóle masz o czymkolwiek pojęcie?

Pozwala mi przespać się na sofie. Mówi, że pierwszy pociąg do Londynu odchodzi dopiero rano, i chociaż uważa, że zasługuję

na to, żeby spędzić noc w automacie fotograficznym na stacji w Bansted, lituje się nade mną.

Idzie na górę i słyszę głosy dwóch kobiet. Nie... głosy kobiety i dziewczynki. A potem Jackie wraca z poduszką i pojedynczą kołdrą. Rzuca mi je, w dalszym ciągu potrząsając głową, ale jednocześnie się uśmiechając, tak jakby po krótkim zastanowieniu doszła do wniosku, że jestem żaloszny raczej śmiesznie niż obraźliwie. Wychodząc, wciąż poprawia kimono.

Robię sobie legowisko na skórzanej sofie, zdejmuję spodnie i wążę pod kołdrę. Słyszę myjącą zęby w łazience Jackie. Jest tutaj bardzo cicho, nie słychać stałego szumu miasta, wyjących syren, głosów, warkotu samochodów.

Powoli zapadam w sen, z którego budzę się, czując, że ktoś mi się przygląda.

To Plum w pasiastej piżamie.

— Proszę, nie skrzywdź jej — mówi.

A potem znika.

Rano budzi mnie trzaśnięcie frontowych drzwi. Jest nadal ciemno, ale słyszę, że ktoś toczy rower wąską alejką. Zrzucam z siebie kołdrę, podchodzę do okna i widzę pchającą rower Plum, opatuloną w jedną z tych wielkich puchowych kurtek. Na głowie ma wełnianą czapkę, pomarańczową torbę na ramieniu. Na mój widok uśmiecha się i macha ręką. Patrzę, jak odjeżdża pogrążoną w ciszy ulicą.

— Musi rozwieźć gazety. — Jackie stoi kompletnie ubrana w progu. — Mam nadzieję, że cię nie obudziła.

— Rozwieźć gazety? Naprawdę ciężko obie pracujecie, prawda?

— Musimy — odpowiada, ale uśmiech na jej ustach sprawia, że te słowa nie brzmią tak surowo, jak mogłyby brzmieć.

— Nikt inny tego za nas nie zrobi. Chcesz filiżankę kawy?

Wkładam spodnie i idę za nią do kuchni. Mam spierzchnięte

wargi i kwaśny smak w ustach. Teraz, gdy minęła noc i wywietrzało mi z głowy tsingtao, wstyd mi, że tutaj jestem.

— Jak się czujesz? — pyta. — Tak źle, jak wyglądasz? Chyba nie aż tak źle?

— Przepraszam. Przyjazd tu to był zły pomysł. Musisz wiedzieć, że nie wybrałem się w tak daleką podróż tylko po to, żeby się z tobą przespać. Nie zrobiłbym tego.

— Masz gładką gadkę, prawda?

— Po prostu chciałem z kimś porozmawiać. Coś się stało. Coś złego.

Jackie wręcza mi filiżankę kawy.

— Chcesz o tym porozmawiać?

— Nie wiem, od czego zacząć.

— Może dasz mi jakąś wskazówkę?

— To była dziewczyna. Z mojej szkoły.

— Ach, jedna z twoich uczennic. Oczywiście.

— Miała aborcję.

Jackie przestaje się śmiać.

— To musiała być straszna rzecz.

— Najgorsza. Najgorsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić.

— Ile ma lat?

— Jest młoda. Dwadzieścia kilka lat.

— Ja miałam siedemnaście. Kiedy wpadłam z Plum. — Wpaść. Czasami używa tych samych wyrażeń co moja matka i babcia. — U mnie aborcja w ogóle nie wchodziła w grę.

— Nawet o niej nie pomyślałaś?

— Jestem katoliczką. Wierzę, że każde życie jest święte.

— Dobrze jest w coś takiego wierzyć. Jeśli w ogóle w coś się wierzy.

— Urodzenie dziecka zmieniło moje życie. Rzuciłam szkołę. Nie poszłam na studia. Nie zrobiłam dyplomu. Nie mogłam dostać dobrej pracy. Zostałam w Bansted. Chociaż to wcale nie jest takie złe miejsce.

— Zachowałam dziecko. I przez nie... przez nią... wszystko zawaliłaś.

Jackie potrząsa głową.

— Nieprawda. Po prostu pewne sprawy musiały poczekać. Idę przecież na studia, nie? Dzięki tobie.

— Nigdy tego nie żałowałaś? Że urodziłaś dziecko?

— Nie wyobrażam sobie bez niej życia.

— To szczęście mieć taką mamę jak ty.

— I nieszczęście mieć takiego ojca. Więc w końcu wszystko i tak się wyrównuje.

— Co jest nie w porządku z jej ojcem?

— Z Jamiem? Kiedy jest trzeźwy, wszystko jest na ogół w porządku. Po paru głębszych przytrafiają się złe rzeczy. Na ogół mnie. W którymś momencie zaczął się czepiać Plum, więc odeszliśmy. Dwa lata temu. Wprowadziłyśmy się tutaj. Wtedy był już zupełnie inny.

— Musiałaś go kiedyś lubić?

— Chyba żartujesz? Szalałam za nim. Mój Jamie. Wysoki, ciemny, zbudowany jak stodoła. Był dobrym futbolistą. Grał jako pomocnik. Maszynka do gry, mówili. Bardzo wysportowany. Miał szansę przejść na zawodowstwo. Chcieli go wziąć do West Ham. A potem doznał kontuzji kolana. Lewego. Teraz pracuje jako ochroniarz i jest wściekły. Bije swoją nową kobietę. Ale już nie mnie. Już nie. I nie moją córkę.

— Dlaczego to trwało tak długo? Nie mam na myśli związku z mężem, z Jamiem, ale tę sprawę z nauką. Dlaczego czekałaś? Skoro to dla ciebie takie ważne, dlaczego nie zrobiłaś tego przed wielu laty?

— Jamie nie chciał, żebym się uczyła. Myślę, że był trochę zazdrosny. Nie chciał, żeby udało mi się zrealizować moje marzenie, skoro jego się nie spełniło. Mężczyźni nie lubią być gorsi, nieprawdaż? Mój eksmałżonek chciałby, żeby cały świat miał kontuzjowane kolano.

— Postaramy się, żebyś zdała te egzaminy — mówię, unosząc w geście salutu filizankę. — Mam nadzieję, że będziesz z tego powodu szczęśliwa.

Jackie też podnosi filizankę.

— Myślisz, że nie będę. Myślisz, że wyobrażam sobie jakiś idealny studencki raj, który nie istnieje w rzeczywistości. Pięknych młodych ludzi, którzy siedzą i dyskutują o książce „Serce to samotny myśliwy”. Uważasz, że to mit. Że to wszystko strata czasu. Wykształcenie. Dyplom. Zakuwanie do egzaminów, jak powiedziałaaby moja stara mama. Dla Rose to nie była strata czasu.

— Dla Rose?

— Pochodziła gdzieś stąd, prawda?

— Niedaleko.

— Gdyby nie zdobyła wykształcenia, nigdy byś jej nie spotkał. Gdyby nie poszła na uniwersytet i nie wyjechała do Hongkongu, nigdy byś jej nie poznał. Gdyby w wieku osiemnastu lat miała dziecko z kimś innym... nie patrz na mnie w ten sposób... jak wtedy wyglądałoby twoje życie?

— Nie wiem. Nie potrafię sobie wyobrazić. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak wyglądałoby moje życie, gdybym jej nie poznał.

— Szalałeś na jej punkcie, prawda?

— Nadal szaleję. Ale cóż można na to poradzić? Kochałem i przegrałem. Miałem swoją szansę.

— Swoją szansę?

— Szansę, żeby... daj spokój, przecież wiesz. Szansę na miłość. Szansę na wielkie uczucie. Szansę na związek. Na te wszystkie rzeczy.

Jackie potrząsa głową.

— Ja nie sądzę, żebyś wykorzystała swoją szansę. Z Jamie. Chyba żartujesz? Uważam, że po tej historii zasługuję na drugą szansę. Uważam, że każdy zasługuje na drugą szansę, żeby być szczęśliwy. Nawet ty, Alfie. Powinieneś mieć trochę więcej wiary.

— Trochę więcej wiary?

— Owszem. Trochę więcej wiary. Nie bądź taki jak mój były mąż. Nie życz wszystkim kontuzji kolana.

— Wydaje mi się po prostu, że człowiek ma tylko jedną

szansę... jedną prawdziwą szansę... a potem ta szansa przepada raz na zawsze. Nie sądzę, żeby można było bez przerwy próbować. Wtedy to nie jest prawdziwe. Jak może być prawdziwe, jeśli co kilka lat zaczyna się od nowa? Robi się z tego kpina.

— Może i kpina. Ale pomyśl tylko. Co innego chcesz zrobić z resztą swojego życia? Nie musisz chodzić ze swoimi uczennicami tylko dlatego, że wiesz, iż któregoś dnia wrócą do domu. Nie musisz wiązać się z młodymi kobietami, które nie potrafią cię naprawdę zranić.

— To właśnie twoim zdaniem robię?

— A nie?

— Nie wiem.

— Nie wiesz? Jak na nauczyciela nie jesteś zbyt mądry.

— Jestem z tych głupich.

— Tak, to widać.

Patrzę, jak Jackie myje filiżanki w zlewie, i myślę, że chyba ma rację. Nie chcę być podobny do czyjegoś zgorzkniałego eksmęża.

Powinienem mieć trochę więcej wiary.

30.

Patrzy na mnie dziecko.

Jest łyse i okrągłe niczym miniaturowy Winston Churchill w różowych śpioszkach. Z kącika odętych małych ust płynie wąska strużka śliny. Dziecko wydaje się fabrycznie nowe. Wszystko w nim... w niej? Jak to poznać? Po kolorze śpioszków? Wszystko sprawia wrażenie dopiero co stworzonego.

To dziecko jest najpiękniejszą istotą, jaką widziałem w życiu. Obserwuje mnie. Ponieważ wie. Dziecko się domyśla.

Wielkie niebieskie oczy śledzą mnie, kiedy idę powoli przez szpitalną poczekalnię. Staję i przyglądam się pięknemu dziecku, zachwycony jego przenikliwością.

To dziecko potrafi zajrzeć w głąb mojego serca. Potrafi czytać w moich myślach. Wie o tej strasznej rzeczy, którą popełniłem, o tym niewyobrażalnym akcie, który opłaciłem swoją kartą kredytową.

Dziecko nie może w to uwierzyć.

Ja też nie mogę w to uwierzyć.

Dziecko otaczają szczęśliwi, uśmiechnięci dorośli — sądząc po ich wyglądzie, rodzice, rodzeństwo i dziadkowie — którzy cieszą się, widząc je, być może nawet po raz pierwszy, lecz ono ignoruje ich, kopiąc nogami, jakby sprawdzało zasięg ich ruchów; dziecko po prostu leży, porusza nowymi małymi rączkami i nóżkami i wbija we mnie oskarżycielski wzrok.

— Dobrze się czujesz, kochanie?

Kiwam niepewnie głową, odrywając oczy od dziecka i biorąc babcię pod ramię.

— Mam dzisiaj złe przeczucia — mówi.

Zapewniam ją, że to tylko kontrolna wizyta, że najgorsze jest za nią, że odessali już płyn z jej płuc, że ta wizyta wkrótce dobiegnie końca i będzie wolna. Szczerze w to wierzę. Jednak rzeczywistość okazuje się inna.

Najpierw kierują nas do małej poczekalni, w której panuje taki tłok, że musimy stać. Ludzie są tutaj w większości starzy i krusi, ale nie wszyscy; są również młode osoby, które nie miały szczęścia i wylądowały w tym miejscu pięćdziesiąt lat przed swoim czasem. Jedna z tych nieszczęśliwych osób, kobieta z niebezpieczną nadwagą, ustępuje babci miejsca.

Rzeczą wspólną dla nich wszystkich jest rodzaj łagodnego cynizmu. Oswajają grozę i hańbę tego miejsca drobnymi żartami, porozumiewawczymi uśmiechami oraz bezbrzeżną cierpliwością. Tkwimy w tym razem po uszy, zdają się mówić, i czuję, jak wzbiera we mnie miłość do tych ludzi. Nie dziwnego, że babcia zachowuje się tak, jakby ich wszystkich знаła. Przypominają mi ludzi, w otoczeniu których dojrzywałem.

W końcu dostajemy się do specjalisty, doktora, którego nazwiska babcia nie może zapamiętać, w związku z czym zawsze mówi o nim „Ten miły hinduski dżentelmen”, choć nie mam pojęcia, czy naprawdę jest Hindusem — jego nazwisko może pochodzić równie dobrze z innej części świata. To dobry człowiek, ja też bardzo go lubię, nie skarżymy się więc, kiedy natychmiast oznajmia babci, że chce, żeby zrobiła sobie rentgen i badanie krwi, a potem przyszła do niego z powrotem.

Kolejne czekanie. Znowu na stojąco. Kolejny mały bilecik, który trzeba trzymać w ręku, aż po niekończącym się oczekiwaniu ukaże się twój numer.

Pobranie krwi jest dosyć łatwe. Wchodzę razem z babcią do

małego pokoju, patrzę, jak zawija rękaw niebieskiego swetra, który kupiła u Marksa & Spencera, po czym z dziecinną ciekawością obserwuję, jak pielęgniarka wbija igłę w jej bladą pergaminiową skórę. Pielęgniarka zalepia plastrem kropelkę krwi i wychodzimy.

Nie mogę towarzyszyć babci na oddziale rentgenowskim. Ludzie muszą się tam rozebrać, babcia musi się rozebrać, więc pozostają oczywiście w poczekalni, kiedy ona wchodzi do środka, żeby to zrobić. Fatalne jest jednak to, że po rozebraniu się do zdjęcia babcia trochę się gubi i widzę, że stoi pośrodku korytarza w szpitalnej koszuli. Najbardziej uderza mnie to, że nie zapięła koszuli z tyłu, zostawiła ją otwartą, tak że cały świat może oglądać jej biedne stare plecy i nogi, te kości tak delikatne, że przypominały mi zawsze pisklę. Chcę ją zasłonić, zapiąć tę koszulę i powiedzieć jej, gdzie powinna się udać, ale nie wolno mi tam wejść i ona też nie chciałaby mnie tam widzieć, nie chciałaby, żebym zobaczył, jak sobie nie radzi, stoi więc tam półnaga na korytarzu, rozglądając się z roztargnioną miną dookoła, tak naprawdę pragnąc znaleźć się z powrotem w domu z Frankiem Sinatra, loterią krajową i filiżanką herbaty w ręku, w końcu to tak niewiele, stoi tak, aż jakaś sympatyczna pielęgniarka o donośnym, wesołym głosie spostrzega ją i mówi, dokąd ma iść.

A potem idziemy z powrotem do miłego hinduskiego doktora, którego babcia tak bardzo lubi, i on informuje ją — tak rzeczowym tonem, że zapamiętam go na zawsze — że jest śmiertelnie chora.

— Przyjrzeliliśmy się rezultatom pani biopsji, pani Budd, i muszę pani powiedzieć, że znaleźliśmy guz w pani płucu. Tak jak można się spodziewać u kogoś w pani wieku, ten guz jest złośliwy.

Od jak dawna o tym wiedzieli? Od kilku godzin? Dni? Tygodni? Na pewno, zanim tu dzisiaj przyszliśmy, zanim powitali nas serdecznym „dzień dobry”, a babcia zagubiła się w niezapiętej szpitalnej koszuli na oddziale rentgenowskim.

Ale dla nas to nowość.

Rak. Nikt nie wymawia tego słowa. Wstydzę się, że nikt w mojej rodzinie — ani ja, ani matka lub ojciec — nie miał odwagi wymówić go, kiedy to się wszystko zaczęło. Zakładaliśmy — byliśmy tego tacy pewni — że to słowo się nie zmaterializuje, jeśli go nie wypowiemy. Lecz ono przetrwało, nadal głośno niewypowiedziane, zagnieżdżone w płucu mojej babci.

Lekarze twierdzą, że nie wiedzieli, odpuszczając w ten sposób mojej rodzinie grzech tchórzostwa. Nie mogli tego wiedzieć, dopóki nie odessali płynu z jej płuc i nie przeprowadzili biopsji. Nasz doktor jest naprawdę dobrym człowiekiem, ale nie zalewa się łzami, jego głos nie drży z emocji, kiedy mówi mojej babci, że nic nie da się zrobić, że w grę nie wchodzi żadna chemioterapia, operacja, żaden cudowny lek, i że guz w jej płucach jest przerzutem, co oznacza, że źródło tej rzeczy, tej strasznej rzeczy, znajduje się gdzie indziej, może znajdować się wszędzie w jej biednym starym ciele, a oni po prostu tego nie wiedzą.

Nasz doktor nie pierwszy raz wygłasza to przemówienie. Być może nawet nie pierwszy raz tego dnia.

Trzeba się znowu rozebrać, poddać kolejnemu badaniu. Kiedy doktor i ja zostajemy sami, a babcia gawędzi wesoło z młodą pielęgniarką po drugiej stronie parawanu, zadaję mu oczywiste pytanie.

— Ile czasu jej zostało?

— W przypadku pacjenta w wieku pańskiej babci, prawdopodobnie kilka miesięcy. Niewykluczone, że nawet do lata.

Mówi, jak fachowo nazywa się to, na co choruje babcia, jest to mianowicie guz opłucnej, *mesothelioma* — a ja proszę go, żeby to zapisał, *mesothelioma*. Człowiek powinien wiedzieć, myślę, jak zapisać to, co go zabija.

Kiedy badanie dobiega końca i można się ubrać, babcia dziękuje lekarzowi. Naprawdę go lubi. Jest dzielną, kulturalną

kobietą i ponownie ogarnia mnie zażenowanie, gdy zastanawiam się, jak ja się zachowam, kiedy przyjdzie moja pora.

Po wyjściu ze szpitala zaciska mocno usta. Dostrzegam, że pomalowała sobie dzisiaj krzywo brwi. Rozziew między jej pragnieniem, by wyglądać elegancko, a faktem, że nie może o to zadbać tak jak niegdyś, rozdziera mi serce.

Masuje bok, ten sam, przez który odsysali płyn z jej płuca. Przypominam sobie, że myśleliśmy, iż boli ją miejsce, gdzie tkwiła rurka, rana, która nie chciała się zagoić. Ale teraz wiemy, że to coś więcej, ten ból, który przychodzi potężnymi falami, nie pozwala jej zasnąć i wyrывa z łóżka w środku nocy.

— Zamierzam pokonać to świństwo — oznajmia i nie mam pojęcia, jak zareagować, ponieważ wiem, że tej choroby nie można pokonać (czy aby na pewno?), w związku z czym wszystko, co powiem, będzie brzmiało jak kapitulacja albo kłamstwo.

Wchodzimy do jej małego białego mieszkania, gdzie powraca do codziennej rutyny. Nastawia czajnik i muzykę. Sinatra śpiewa „I've Got the World on a String”, na stoliku od kawy leży „Mirror” otwarty na programie telewizyjnym z zakreślonymi niebieskim długopisem pozycjami, które chce obejrzeć, gdy nas nie ma, kiedy zamiast być razem z nią, robimy coś innego. Widok tych zakreślonych drżącą ręką kółek wokół jej ulubionych programów telewizyjnych sprawia, że zbiera mi się na płacz.

Babcia nuci pod nosem, a ja trzęsę się, bojąc się tego, co muszę zrobić. Muszę zadzwonić do ojca, muszę zadzwonić do matki. Ale to może poczekać. Teraz siedzimy na sofie, popijając gorącą słodką herbatę, słuchając Sinatry śpiewającego „Someone to Watch Over Me”, a babcia trzyma mnie za rękę, jakby miała mnie nigdy nie puścić.

Kiedy po raz pierwszy od wieków przychodzę do parku, ranek jest mroźny i wietrzny. Gęsta trawa pokryta jest mgiełką, której nie zdołało rozprosyć słabe zimowe słońce. On tam

oczywiście jest, tak jak się spodziewałem, i przez chwilę patrzę, jak porusza się pod bezlistnymi drzewami z tą niespieszną siłą, robiąc to, co w jego wykonaniu wygląda jak wszystko jednocześnie: jak medytacja, sztuka walki, ćwiczenie fizyczne, lekcja oddychania oraz powolny samotny taniec. Coś, co czyni wyjątkowym każdy moment, uświęca każdą sekundę.

Dzisiaj George Chang nie jest sam.

Obserwuje go grzecznie grupka młodych biznesmenów w świeżo odebranych z pralni dresach. Jest ich około dziesięciu, w większości młodych mężczyzn, z miękkimi ciałami napakowanymi od rwania sztangi i sportów kontaktowych, ale jest również parę chudych kobiet z tlenionymi blond włosami, przystojnych, lecz ostrych jak paznokcie. Współcześni chłopcy i dziewczęta. Wyglądają, jakby powinni czym prędzej pobiec na siłownię, żeby spalić trochę tłuszczu, albo zrobić to, co tam zwykle robią.

— Alfie?

To Josh. Wydaje się trochę cięższy, niż zapamiętałem. Poza tym przyzwyczałem się oglądać go w garniturach od Hugo Bossa, Giorgia Armaniego i Paula Smitha, a nie w dresie Nike. Ale to z pewnością stary Josh, nikt inny.

— Co tutaj robicie? — pytam.

Josh wskazuje George'a.

— Przysłała nas do niego nasza firma.

— Po co?

— *Tai chi* jest częścią naszej nowej korporacyjnej strategii w walce ze stresem. Nasza firma traci zbyt wiele roboczogodzin w wyniku stresu.

— Roboczogodzin?

— Tak, zbyt wiele roboczogodzin. *Tai chi* likwiduje podobno poziom stresu. Pomaga wyrwać myśli z pudełka.

— Wyrwać myśli z pudełka? Co to ma znaczyć?

— Zmienić sposób, w jaki posługujemy się wyobraźnią. Pomóc nam myśleć kreatywnie. Skłonić do porzucenia starych zużytych technik prowadzenia biznesu. Myśleć niekonwencjonalnie, Alfie. Z początku sądziłem, że to kolejne brednie spod

znaku New Age, kolejna niedopieczona filozofia korporacyjna. Zmieniłem jednak zdanie, obserwując Mistrza Changa.

Mistrza Changa? George nigdy nie każe się nazywać Mistrzem Changiem. Kim są ci pozerzy i co robią w naszym parku?

George pokazuje otwierające pozycję ruchy, a potem oni je powtarzają. W każdym razie próbują. To bardzo elementarne rzeczy. Nie każe im nawet dostosowywać oddechu. Kiedy Josh i jego znajomi wymachują ramionami, biorę George'a na bok.

— Chyba nie będziesz serio uczył tych idiotów? — pytam.

— Nowi uczniowie — odpowiada, wzruszając ramionami.

— Nie rozumiem, jak tu trafili. Nie rozumiem, dlaczego w naszym parku zaroilo się nagle od urzędasów gładzących o roboczogodzinach i myślach wyrywających się z pudełka. Urzędasów, którzy dzięki *tai chi* chcą zarobić więcej szmalu dla jakiejś bogatej firmy, która prawdopodobnie i tak ma go za dużo. To nasz park.

— Ich szef przychodzi do Shanghai Dragon. To dobry klient. Niedaleko mieszka. Wzięty adwokat. Chcę, żebyś nauczył *tai chi* kilku moich ludzi, mówi. Podobno to dobre na stres. Zrobisz to, George? Jasne, dlaczego nie, mówię.

— Dlaczego nie? Bo długo tu nie wytrwają, dlatego nie. Myślisz, że będą regularnie ćwiczyć? To potrwa pięć minut. W przyszłym tygodniu będzie coś innego. Joga. *Muay thai*. Morris Dancing. Cokolwiek.

— Jak długo ty wytrwałeś?

— To nie fair. Ostatnio miałem mnóstwo spraw na głowie.

George odwraca się i mierzy mnie wzrokiem.

— Każdy ma dużo spraw na głowie. Każdy. Zawsze. Dużo na głowie. Ty gadasz, gadasz, gadasz. Gadasz, jakby to był dalej wyścig szczurów. Kolejna rzecz, którą musisz zrobić w swoim pracowitym życiu. Ale to nie tak. *Tai chi* jest o tym, żeby nie brać udziału w wyścigu szczurów.

— Ale mnie podobało się, kiedy byliśmy tylko ty i ja, George.

— Wszystko się zmienia.
— Nie lubię zmian.
— Zmiany to część życia.
— Nie mogę tego znieść. Lubię, kiedy wszystko pozostaje po staremu.

George potrząsa niecierpliwie głową.

— Całe *tai chi* o zmianie. O radzeniu sobie ze zmianą. Jeszcze tego nie wiesz?

Kiedy Josh i jego znajomi kończą wymachiwać ramionami, George oznajmia, że pokaże nam wypychanie rąk. Nigdy przedtem nie ćwiczyłem wypychania rąk, nigdy nawet o nim nie słyszałem, ale staram się udawać, że wiem, co robię, kiedy prosi, żebym pomógł mu je zademonstrować.

— Wypychanie rąk — mówi. — W Chinach nazywa się *toi sau*. Nie chodzi o siłę. Chodzi o czucie. Dla dwóch osób.

Można improwizować. Może być z góry ustalone. Chodzi o antycypację.

To cały wstęp. George nie lubi dużo mówić. Woli pokazywać, niż opowiadać.

Naśladuję go. Stajemy naprzeciwko siebie w pozycji lewego łuku i strzały — lewa noga, symbolizująca łuk, zgięta i wysunięta do przodu, prawa noga, symbolizująca strzałę, prosta i cofnięta — i idąc za jego przykładem, opieram lekko wierzch mojego lewego nadgarstka o wierzch jego lewego nadgarstka. Prawie się nie dotykamy.

George zamyka oczy i zaczyna powoli pchać rękę w moją stronę. Jakimś cudem wiem, co mam robić. Ani na chwilę nie tracąc kontaktu z jego dłonią, obracam nadgarstek, toczę wierzchem ręki po jego ręce, pozwalam mu ją całkowicie wyprostować, a potem powoli odpycham z powrotem. Przyjmuje moją siłę, wchłania ją, a potem łagodnie kieruje w bok. Nasze ręce pozostają w stałym kontakcie.

Ćwiczenie trwa dalej. Pchamy, ustępujemy i neutralizujemy, pchamy, ustępujemy i neutralizujemy, i wkrótce nabieram dość pewności siebie, żeby też zamknąć oczy, oddalić się od

tego, co mnie otacza, zapomnieć o gryzipiórkach, Joshu, roboczogodzinach i myślach wyrywających się z pudełka; zapomnieć, że nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa od czasu, gdy skompromitowałem się na jego przyjęciu; zapomnieć o szpitalnych poczekalniach, gdzie mówią ci, że nic nie da się zrobić; zapomnieć o mgle na bezlistnych drzewach, o spuchniętych wargach i ułamanym zębie; czuć tylko lekki dotyk skóry na skórze, doznawać dawania i brania, poddać się przyplýwom i odpływowom, czuć tylko to, co powinienem robić, i stawać się tym, czym powinienem się stać.

Część trzecia

POMARAŃCZE
NA BOŻE
NARODZENIE

31.

Małe białe mieszkanie zaczyna przerastać moją babcie. Nagle okazuje się, że pełno w nim pułapek, które przypominają, że to nie starość jest tym, co cię zabija. Zabija cię choroba.

Schody do jej mieszkania na pierwszym piętrze okazują się zbyt strome. Musi zatrzymywać się, żeby złapać oddech, na małym podeście między piętrami; łyka kurczowo powietrze, jakby tonęła, z twarzą zwróconą ku sufitowi. Wanna okazuje się nagle za wysoka, żeby wejść do niej bez niczyjej pomocy, w związku z czym moja mama, Plum albo jedna z sąsiadek — babcia ma tylko sąsiadki, żadnych sąsiadów — musi pomagać jej wejść i wyjść z wody. I nagle do jej drzwi zaczynają pukać wszyscy życzliwi biurokraci śmiertelnej choroby.

Rejonowa pielęgniarka załatwia jej pracownicę społeczną, dostarczane raz dziennie posiłki na wózku oraz poobijaną butlę tlenową, która pełni straż przy ulubionym fotelu babci.

Moja babcia chce zadowolić rejonową pielęgniarkę, tak jak zawsze chciała zadowolić wszystkich, lecz małe białe mieszkanie jest jej domem i chociaż wie, że wszyscy ci ludzie chcą jej pomóc, nie odpowiada jej specjalny sedes dostarczony przez pielęgniarkę („Nie będę się do tego załatwiała, moja droga, ale i tak jestem ci bardzo wdzięczna”), nie tyka cuchnących posiłków na wózku („Zjem tylko kawałek grzanki, skarbie”), a butla

tlenowa i tak nie jest w stanie zapobiec jej straszliwym atakom duszności („Wydaje mi się, że jest pusta, kochanie”).

Ale jakoś się trzyma. Umawia się ze starymi przyjaciółkami na kawę, ciastka i pogaduszki, i głównym celem tych spotkań są właśnie pogaduszki, utrzymywanie kontaktu z innymi ludźmi. W niedzielę przychodzi do mojej mamy na lunch, poza tym codziennie wypuszcza się do miejscowych sklepów, żeby uzupełnić zapasy białego chleba i „chudej szynki”, które stanowią dla niej jedyne źródło protein, jeśli nie liczyć morza herbaty i góry biskwitów.

Kiedy zaczyna się czuć niepewnie na nogach, pielęgniarka społeczna załatwia jej laskę. Babcia przewraca oczyma, że do tego doszło, i wymachując laską, udaje zgrzybiałą emerytkę, co w jej wykonaniu i w tym momencie jest nawet dość zabawne.

— Ooch, pamiętam dobre stare czasy — sepleni, potrząsając laską, i wszyscy się śmiejemy, nawet pielęgniarka.

Babcia stawia czoło rakowi dokładnie w ten sam sposób, w jaki stawia czoło życiu — z gracją, bezbrzeżnym stoicyzmem i dyskretnym humorem.

Jak sama by powiedziała, nie lubi marudzić.

Mimo przeszywającego bólu w boku i mimo desperackich bojów o oddech, przez jakiś czas życie wydaje się toczyć utartym torem. Są w nim poranne wyjścia na zakupy, popołudniowe porządki i wieczory spędzane na oglądaniu telewizji. Zakreślone drżącą ręką programy w gazecie, które już zawsze będą przeszywać moje serce.

W trakcie całego tego zwyczajnego życia zdaję sobie sprawę, że dzieje się coś nadzwyczajnego. Ludzie, którzy kochają moją babcinę, okazują, że gotowi są dla niej wskoczyć w ogień.

Są u niej oczywiście moja matka i ojciec, codziennie, chociaż rzadko jednocześnie, są niezliczone wizyty starszych pań,

które mieszkają w sąsiedztwie, oraz tych, które znają ją z poprzedniego miejsca, starego domu, gdzie wychowywał się mój ojciec, domu z „Pomarańczy na Boże Narodzenie”, przyjaciółki z dawnych czasów, zanim dorosły jej dzieci, zmarł mąż, a załatani specjaliści orzekli, że nie da się nic zrobić.

Jest także Plum. Oprócz moich rodziców i starych przyjaciółek pojawia się ta niezgrabna dziewczyna, której udało się naprawdę zaprzyjaźnić z moją babcią. Spędzając długie godziny w pociągach kursujących między Londynem a Bansted, Plum przesiaduje noc w noc z moją babcią, oglądając zakreślone kółkiem programy oraz wybrane kasety ze swojej kolekcji walk zapaśniczych, w których występuje Drągal w całej swojej umięśnionej chwale.

Plum trzyma babcię za rękę, gładzi ją po czole i czesze jej rzadkie srebrzyste włosy, jakby ta stara kobieta była najcenniejszą rzeczą na świecie.

Rejonowa pielęgniarka i pracownica społeczna zaglądają raz w tygodniu, ale nie wiem, jak byśmy sobie poradzili, gdyby babcia nie budziła takiej sympatii w ludziach, z którymi się kiedyś zetknęła. Gdybyśmy mieli polegać na uprzejmości lokalnych władz, wszystko byłoby stracone.

Ponieważ teraz ktoś musi być z babcią przez cały czas. Po zostanie samej jest dla niej po prostu zbyt niebezpieczne. Uprzytomniamy sobie, że może w każdej chwili stracić świadomość. Babcia nadal nazywa to „drzemką”, ale odwiedzający ją doktor twierdzi, że omdlenia są spowodowane brakiem dopływu tlenu do mózgu.

Któregoś wieczoru ogląda wiadomości bez swoich normalnych, wygłaszanych co chwila uwag „to śmieszne” i „to żenujące”, i widzę, jak zamykają jej się oczy.

Nagle opada jej głowa, otwierają się usta i pochyla się cała w stronę małego kominka. Zanim jestem w stanie się poruszyć, Plum łapie babcię, tak jak łapała ją wiele razy poprzednio, i łagodnie sadowi z powrotem w fotelu.

Po jakimś czasie te omdlenia, które babcia zbywa machnięciem ręki jako coś, czego można uniknąć, jeśli tylko człowiek się dobrze wyśpi, stają się czymś normalnym.

Pokój nauczycielski w Międzynarodowej Szkole Churchilla jest pusty. Jest jeszcze wczesnie. Na Oxford Street kilkoro uczniów zaciąga się skrzętem, ale na górze nie ma nikogo. Rzucam torbę na stolik do kawy i podmuch powietrza unosi z blatu żółtą ulotkę. Nie jest nasza. Biorę ją do ręki i czytam.

Machina Marzeń
Sprzątamy twoje miejsce pracy w tradycyjny sposób
Na czworakach

Ulotka ozdobiona jest rysunkiem przedstawiającym kobietę, która wygląda jak gospodyni domowa z lat pięćdziesiątych, z miotłką do odkurzania w ręku, jednocześnie seksowna i familijna, niczym Samantha w serialu „Bewitched”. Pod spodem są dwa numery telefonów: jeden spoza Londynu, drugi komórkowy.

Słyszę pomruk odkurzacza, który dobiega z drugiej strony korytarza, z gabinetu Lisy Smith. Jackie jest w środku, dając, jak sama by to określiła, niezłego łupnia sfatygowanemu zielonemu dywanowi.

— Co to ma znaczyć? — pytam, wymachując ulotką.

Jackie szeroko się uśmiecha.

— Nie mówiłam ci? Interes kwitnie. Rozdaję ulotki w całej okolicy. Pomyślałam, że tu też kilka zostawię. Chociaż i tak nie narzekam na brak roboty.

Wydaje się bardzo zadowolona. Bóg jeden wie dlaczego.

— Machina marzeń — parskam. — To masz być ty. Machina marzeń... to ty.

Uśmiech spelza jej z twarzy.

— O co ci chodzi? Nawet jeśli dostanę dodatkową robotę,

to nie odbije się na naszych zajęciach. Chyba ci to nie przeszkadza?

— Dlaczego miałyby mi przeszkadzać?

— Nie wiem. Coś jest nie tak, widzę to. Co takiego?

Co jest nie tak? Nie potrafię powiedzieć, co jest nie tak. Wiem, że nie podoba mi się, iż pracuje w szkole Churchilla, sprząając nasze sale w tradycyjny sposób, na czworakach. Nie chcę, żeby nauczyciele i uczniowie patrzyli na nią, tak jakby w ogóle nie istniała. Nie chcę również, żeby pracowała dla nadeptych snobów przy Cork Street i — kiedy o tym pomyślę — gdziekolwiek indziej. Nie wiem, czego chcę. Chyba czegoś, co byłoby jej warte. Wiem, że nie chcę jej tutaj widzieć. Już nie.

— Całe to sprzątanie — mówię. — Nie wiem. To mnie dołu-
je.

Jackie wybucha śmiechem.

— Ciebie dołuje? A co to ma wspólnego z tobą? Skoro mnie nie dołuje, to dlaczego miałbyś się tym przejmować? Myślałam, że w sprzątanu nie ma nic złego.

— Bo nie ma.

— Myślałam, że praca ma w sobie godność.

— Nie powiedziałem tego. Daj spokój. Nie mówiłem nic o godności pracy.

— Powiedziałeś, że nie powinnam się wstydzić, robiąc to, co robię.

— To prawda.

— A jednak to cię zawstydza.

— Wcale nie. Chcę tylko dla ciebie czegoś lepszego. Lepszego niż czyszczenie sedesu, do którego odlał się właśnie Lubieźny Lenny. Dlaczego miałyby mnie to zawstydzać?

— Nie wiem. Ale zawstydza cię.

— To śmieszne. Nie rozumiem po prostu, dlaczego musisz to robić tutaj. W miejscu, gdzie pracuję.

— Muszę to robić wszędzie, gdzie mogę. Muszę zarabiać na życie. Płacić rachunki. To proste jak drut. Nie mogę liczyć na żadnego mężczyznę, który by mnie utrzymał, czyż nie?

— To ty, Alfie?

W progu stoi Vanessa. Gapi się na Jackie. Jackie gapi się na Vanesę. Nie wiem, czy pamiętają, że spotkały się wtedy w domu mojej matki. Trudno powiedzieć.

— *Pardon* — mówi Vanessa.

— Wejdz. Nie przeszkadzasz nam — odpowiada Jackie.

Dzieli je tylko kilka lat, ale wyglądają, jakby należały do innych pokoleń, Jackie w nylonowym fartuchu, Vanessa w jakimś czerwono-czarnym ciuszką z Agnes B. Wyglądają, jakby pochodziły z innych światów. I chyba pochodzą.

— Szukam Hamisza — mówi Vanessa. — Ma dla mnie jakieś notatki.

— Hamisza jeszcze nie ma.

— Okej — odpowiada i patrzy na Jackie, jakby próbowała ją zlokalizować w pamięci.

— *Je crois qu'on se connaît?** — pyta Jackie i na chwilę odbiera mi mowę. Po sekundzie przypominam sobie, że zdała egzaminy z mediów i francuskiego.

* *Je crois qu'on se connaît?* — franc. Chyba już się spotkałyśmy?

— *Non* — odpowiada Vanessa. — Nie sądzę, żebyśmy się spotkały.

Jackie uśmiecha się, ale wygląda, jakby miała ochotę na kłótnię.

— *Pourquoi pas?*** — pyta.

** *Pourquoi pas?* — franc. Dlaczego nie?

Vanessa przestępuje niepewnie z nogi na nogę.

— Pójdę już, Alfie.

— Do zobaczenia później, Vanesę

— *C'était sympa de faire ta connaissance* — śmieje się Jackie. — *Ne m'oublie pas!****.

*** *C'était sympa de faire ta connaissance. Ne m'oublie pas!* — franc. Miło było cię poznać. Nie zapomnij mnie!

— Daj jej spokój — mówię po wyjściu Vanessy. — Nie zrobiła ci nic złego.

- No nie wiem. Patrzyła na mnie z góry.
- Dlaczego miałyby to robić?
- Bo sprzątam po niej i po wszystkich podobnych do niej, zarozumiałych dziwkach.
- Tak się cieszę, że nie jesteś zgorzkniała.
- Mam prawo być trochę zgorzkniała. Ty też byś był, gdybyś oglądał świat, pełzając na czworakach.
- Myślałem, że to tylko chwyt reklamowy. Tej twojej głupiej ulotki.
- Jackie potrząsa głową.
- To zabawne, że brudy przyczepiają się bardziej do ludzi, którzy je usuwają. A nie do tych, którzy je po sobie zostawiają.
- Bierze nowoczesny mały lekki odkurzaczy i rusza do drzwi.
- Ale coś ci powiem. Za darmo. Nie wstydzę się tego, co robię. Nie uważam, żebym musiała przeproszać za to, że zarabiam na życie tak, jak potrafię. Myślałam, że będziesz zadowolony z tych ulotek. Myślałam, że ucieszysz się, widząc, że próbuję załatwić sobie dodatkową robotę, żeby opłacić studia. Byłam naiwna.
- Przepraszam.
- Nieważne.
- Ta ulotka mnie zaskoczyła. Nie wiem. Wkrótce będziesz studentką. Tak sobie ciebie wyobrażam.
- To ma ją udobruchać, ale mój zamiar chyba celu.
- Nie ma sprawy. W przyszłości postaram się skończyć, zanim się tu rano pojawiysz. Ty i twoje małe nagrzane studentki. Wtedy będziesz mógł sobie powiedzieć, że szkołę wysprzątały krasnoludki.
- Nie bądź taka zła.
- Odwraca się w moją stronę, o mało nie trafiając mnie w twarz jedną z tych małych końcówek odkurzacza.
- A to dlaczego? Jesteś najgorszym rodzajem snoba. Nie potrafisz sam po sobie posprzątać, ale gardzisz ludźmi, którzy to za ciebie robią.

- Wcale tobą nie gardzę.
- Wprawiam cię w zakłopotanie. Sprzątaczką Jackie. Która chce zostać studentką, tak jakby to była najwspanialsza rzecz na świecie. Kiedy tak naprawdę to nic nie znaczy.
- Nie wprawiasz mnie w zakłopotanie, Jackie.
- Nie chcesz być blisko mnie. Nie podoba ci się to, jak mówię i jak się ubieram. Nie podoba ci się praca, którą wykonuję.
- To nieprawda.
- Niedawno miałeś ochotę się ze mną przespać tylko dlatego, że byłeś pijany.
- Lubię cię. Szanuję cię. Podziwiam.
- Zdaję sobie sprawę, że to wszystko prawda. Jednak ona mi nie wierzy.
- Co ty powiesz.
- Wybierz się ze mną gdzieś w sobotę.
- Co? Gdzie mam się wybrać?
- Mój znajomy Josh zaręcza się. Stary znajomy. Na jakiś czas straciliśmy ze sobą kontakt, ale teraz zaprosił mnie na przyjęcie. A ja zapraszam ciebie.
- Nie wiem. Plum... nie wiem.
- Musisz się zdecydować, Jackie. Nie możesz nienawidzić świata za to, że się przed tobą zamknął, i nienawidzić go, kiedy się przed tobą otwiera. Przestań zachowywać się jak męczennica. Chcesz ze mną iść czy nie?
- Przez chwilę się nad tym zastanawia.
- Ale w co mam się ubrać? — pyta.
- Ubierz się w to co zwykle. Włóż coś ładnego.

Nadchodzi dzień, kiedy moja babcia nie może normalnie funkcjonować. Ból jest zbyt dotkliwy, ataki duszności nazbyt gwałtowne. Boi się, że straci przytomność na ulicy, że wywróci się na ziemię i Plum nie złapie jej i nie usadowi z powrotem w ulubionym fotelu.

Zostaje więc w domu. A potem coraz więcej czasu spędza w łóżku. Nie będzie już spacerów do sklepów, kawy, ciasteczek i pogaduszek z przyjaciółkami. Nie teraz. Być może już nigdy.

Siedzę z nią i uświadamiam sobie, że jest jedyną osobą na świecie, która darzyła mnie nieskomplikowaną i bezwarunkową miłością. Miłość całej reszty była połączona z innymi rzeczami — z tym, czym chcieli, abym został, marzeniami o tym, kim mógłbym być, nadziejami, które we mnie pokładali.

Tylko babcia po prostu mnie kochała.

Wiedząc, że ją tracę, biorę babcię za dłoń, której kości i żyły widoczne są bardziej, niż powinny, i wpatruję się z niepokojem w jej twarz; twarz, którą kochałem przez całe życie. Ma krzywo umalowane brwi i te nakreślone niepewną ręką ślady kredki zżerają mnie od środka.

— Dobrze się czujesz? — zadaję jej najgłupsze pod słońcem pytanie, rozpaczliwie pragnąc potwierdzenia.

— Czuję się wspaniale — odpowiada. — Ty też jesteś wspaniała.

Babcia nadal uważa, że jestem wspaniała. Zastanawiam się, czy w ogóle mnie nie zna, czy może zna lepiej niż ktokolwiek inny.

32.

Wygląda jak ogrodnik, który powinien prowadzić własny program telewizyjny.

Jest opalony i wysportowany. Spłowiałe na słońcu włosy ściągnął w kucyk i związał żółtą elastyczną opaską. Ciało skryte pod koszulką nowozelandzkiej drużyny rugby jest gibkie i zahartowane przez całe to machanie sekatorem względnie inne czynności, które wykonuje, uprawiając swój zawód.

Ogrodnik w stylu *funky* dobrze się trzyma. Ile ma lat? Pięćdziesiąt? Co najmniej, mimo swoich kosmicznych adidasów i wojskowych szortów z imponującą liczbą kieszeni. Ale jest dobrze zakonserwowany i ma w sobie tę pogodną otwartość, charakterystyczną dla Australijczyków i Nowozelandczyków, w każdym razie dla tych, którzy tu przyjeżdżają i lubią pokazywać, jacy to są wyluzowani w porównaniu ze słynnymi z ponuractwa Brytyjczykami.

Matka i Joyce patrzą, jak szybko i fachowo przycina krzaki róż.

— Zbliża się wiosna — mówi. — Czas pozbyć się tych wszystkich nieproduktywnych łodyg i dać szansę rozwinąć się uroczym nowym pędom. — Odwraca się i ani na chwilę nie przestając ciąć, posyła im szeroki biały uśmiech. — Ciach-ciach.

Spodziewam się, że zaraz rzucą się na niego z motykami za to, że ośmielił się tknąć bez pozwolenia róże mamy. One jednak

wydają się oczarowane przystojnym ogrodnikiem.

— Jaki twój wiek? — pyta Joyce.

— Ha, ha! — śmieje się w odpowiedzi. — Ha, ha!

— Dobrze zarabia jako ogrodnik? — indaguje go dalej Joyce. — Żonaty?

Ogrodnik czerwieni się pod opalenizną, co każe mi podejrzewać, że pod maską szarmanckiego hucpiarza kryje się całkiem przyzwoity facet. Sukinsyny przecież się nie czerwienią, prawda? Mój stary raczej nie zwykł tego robić.

— Zauważyłam, że przycina pan tuż nad pączkiem — mówi mama, przywracając w pewnym stopniu porządek.

— Nic się nie skryje przed uważnym wzrokiem tej młodej damy — odpowiada ogrodnik i teraz to moja mama czerwieni się i śmieje. — Zawsze przycina się tuż nad pączkiem, żeby kontrolować kształt krzaka, pani Budd — dodaje poważnym tonem.

— Już nie pani Budd — informuje go Joyce. — Już nie ma męża. Rozwód w toku. Wyrok pewny. Wszystko skończone.

— Joyce!

— Jest wolna.

— No cóż, jest zbyt przystojna, żeby długo pozostać w tym stanie — stwierdza ogrodnik.

Matka odrzuca do tyłu głowę i wybucha śmiechem, bawiąc się jak jeszcze nigdy w życiu.

— I za sprytna, żeby kiedykolwiek jeszcze wychodzić za mąż — dodaje.

— Niech pani nigdy nie mówi nigdy, pani Budd.

— Sandy — mówi matka.

— Sandy — powtarza ogrodnik, delektując się jej imieniem. — Sandy.

Sytuacja powinna się rozwinąć zupełnie inaczej, lecz to moja matka wygląda, jakby zwolniono ją za dobre zachowanie z

jakiegoś aresztu domowego. A ojciec, ten, który wyrwał się na wolność, wydaje się porzucony, odtracony, stłamszony.

Jak to się mogło stać?

Podczas gdy mama zrzuciła trochę kilogramów, zrobiła coś z włosami, powoli pozbierała do kupy swoje życie, odnajdując się w ogrodzie i w przyjaźni z Joyce Chang, ojciec zdaje się marnieć w oczach.

Matka pomaga Joyce, dba o to, co je, uprawia grządki. Ojciec za dużo pije, źle się odżywia, mało pracuje. Ma nabrzmiałą smutną twarz. Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, wygląda na starszego, niż jest w rzeczywistości.

Mieszkając sam w małym wynajętym mieszkaniu, wydaje się rozdarty między swymi dwiema egzystencjami: starą, z moją matką, w roli ojca rodziny, a nową, z Leną, w roli nowo narodzonego kochanka wszech czasów. Kiedy zarówno matka, jak i Lena odeszły z jego życia, nie jest ani ojcem rodziny, ani kochankiem wszech czasów. Przebywa w mrocznej strefie kupowanej na wynos pizzy i wynajętych pokoiów, wiodąc życie studenta, chociaż dobiega sześćdziesiątki.

Widuję go codziennie u babci. Patrzę, jak rozmawia z moją mamą o tym, co powinni zrobić. Sytuacja zdaje się zmieniać z dnia na dzień. Zwroty, które jeszcze niedawno nic dla nas nie znaczyły — takie jak na przykład „przykuta do łóżka” i „obłożnie chora” — nabierają nagle nowego sensu, unaoczniają nam się w całej swojej straszliwej rzeczywistości.

Czy może tu mieszkać? Czy nie powinno się jej gdzieś przemieścić? Co sądzą lekarze? Kiedy znów odwiedzi ją doktor?

Moi rodzice są wobec siebie grzeczni. Ojciec odnosi się do matki z prawie bolesną oficjalnością, jakby zdawał sobie świetnie sprawę, że odchodząc tak, jak odszedł, zadał jej straszliwą ranę, która będzie się goić latami. Ona jest o wiele bardziej naturalna: nie kryje frustracji i rozdrażnienia, kiedy zastanawiają się, czy nie czas już zacząć dzwonić do domów opieki i hospicjów, a potem nawet — na swój własny, umiarkowany

sposób — daje się ponieść nerwom, gdyż sama myśl o umieszczeniu tam babci napęłnia ją poczuciem winy.

Mój stary nigdy się do tego stopnia nie zapomina. Na irytację pozwala sobie tylko w mojej obecności.

Po wyjściu matki puszcza „The Point of No Return”, wiedząc, że babcia lubi zasypiać przy dźwiękach muzyki. To jeden z wielkich niedocenianych albumów Sinatry, ostatni, który nagrał dla wytwórni Capitol we wrześniu 1961 roku. Wielu fanów Sinatry uważa że „Point of No Return” był czymś w rodzaju serwitutu, realizacją warunków umowy, ale jest tam kilka ponadczasowych kawałków. „I’ll Be Seeing You”, „As Time Goes By”, „There Will Never Be Another You”.

Wszystkie te piosenki, które, kiedy śpiewa je Frank, sprawiają, że człowiek czuje się trochę mniej samotny.

— Czy to zawsze musi być ten cholerny Sinatra? — mruczy ojciec. — Chryste... Dorastając, słuchałem go przez osiemnaście lat bez przerwy.

— Ona go lubi — mówię.

— Wiem, że lubi. Chodzi mi tylko o to, że czasami moglibyśmy puścić coś innego. Jakąś muzykę soulową czy coś podobnego.

— Ona ma osiemdziesiąt siedem lat — tłumaczę mu, wstydzając się, że klócimy się o muzykę, podczas gdy kobieta, która jest moją babcią, a jego matką, leży w sąsiednim pokoju, zżerana przez raka. — Przykro mi, ale nie ma żadnych płyt Bee Gees.

— Bee Gees to nie jest zespół soulowy — stwierdza mój stary.

— Więc kim są?

— Bandą szczerbatych koniochlastów.

— Można poznać, że jesteś pisarzem. Naprawdę umiesz dobrać słowa.

— Nie jestem na służbie.

— Ty nigdy nie jesteś na służbie.

Po przyjeździe Plum ojciec odwozi mnie swoim SLK do domu i nagle żałuję, że nie potrafię nienawidzić go bardziej, niż

nienawidzę. Jest nieszczęśliwy i chociaż wierzę, że zasłużył sobie na to, odchodząc od matki, zastanawiam się, czy to smutne studenckie życie nie jest dla niego zbyt wielką karą.

Czy naprawdę na to wszystko zasłużył? Na samotne noce w wynajętych pokojach, na pizzę na wynos, na starzejące się ciało i na pogardę, jaką do niego żywię?

Tylko dlatego, że zapragnął jeszcze raz zrobić coś ze swoim życiem?

— Czy oni znali Rose? — pyta Jackie, kiedy wychodzimy ode mnie.

Odwracam się, żeby na nią spojrzeć. Ma na sobie suknię, która stanowi wariację zachodnich projektantów mody na temat chińskiej *cheongsam*. Granatowa, z czerwoną lamówką, jest bardzo obcisła i krótka, z rozcięciem z boku, ale Jackie nie wygląda w niej nawet w przybliżeniu tak wulgarnie jak zwykle. W gruncie rzeczy wygląda wspaniale.

— Czy kto znał Rose?

— Ci ludzie, do których dzisiaj idziemy. Ludzie na przyjęciu. Czy znali twoją żonę?

— Znał ją Josh. Pracował z nią w Hongkongu. Też jest prawnikiem. Poza tym nikt. Dlaczego pytasz?

— Chcę po prostu wiedzieć, czy będą mnie z nią porównywać. Z Rose. Chcę wiedzieć, czy będą mi się wszyscy przyglądać i mówić: „Och, to nie jest Rose, prawda? Ona nie jest podobna do naszej Rose”.

— Nikt nie będzie cię porównywać z Rose, jasne?

— Słowo?

— Słowo. Ona nigdy nie była ich Rose. Nigdy jej nie znali. Z wyjątkiem Josha. A on nie jest... nie znał jej... o Boże, Jackie, czy nie możemy już iść?

— Jak wyglądam?

Wyglądza boki sukni rękoma i coś w tym niepewnym geście łapie mnie za serce.

— Wyglądasz... niewiarygodnie.
— Naprawdę?
— Naprawdę. Niewiarygodnie jest właściwym słowem. Wierz mi. Znam się na słowach. Jestem w końcu nauczycielem angielskiego. Niewiarygodny — przymiotnik. Trudny do uwierzenia, zdumiewający. Naprawdę taka jesteś.

Jej twarz rozjaśnia uśmiech.

— Dziękuję.

— Drobiazg.

— Czuję po prostu, że Rose jest ideałem kobiety. Nikt nie może z nią nigdy konkurować. Nikt nie może jej dorównać.

— Jackie...

— Ta idealna kobieta nigdy nie powiedziała nic złego, zawsze wiedziała dokładnie, co włożyć, i zawsze wyglądała przepięknie.

— Skąd wiesz, jak wyglądała? Skąd wiesz, jak się ubierała?

— Widziałam jej fotografie. W twojej kapliczce. Przepraszam, miałam na myśli twoje mieszkanie.

— Słuchaj, nie musisz się porównywać z Rose. Nikt nie będzie cię z nią porównywał.

— Na pewno?

— Na pewno.

Z wyjątkiem mnie, myślę.

Ale to nic osobistego.

Robię to w stosunku do każdej kobiety, którą spotkałem po śmierci Rose.

Nie mogę się po prostu powstrzymać.

Spoglądam na nie wszystkie — na Yumi, Hiroko, Vanesę, Olgę, Jackie, nawet na te mądre, nawet na te piękne, nawet na te niewiarygodne — i zawsze myślę to samo.

To nie ona.

33.

Ktoś wpuszcza nas na trzecie piętro domu w Notting Hill. Za zamkniętymi drzwiami słyszymy zgiełk przyjęcia. Śmiech, brzęk szkła, głosy ludzi, którzy mówią naraz. Podnoszę rękę, żeby zapukać. Jackie powstrzymuje mnie.

— Zaczekaj, zaczekaj.

— O co ci chodzi?

— Nie wiem, Alfie. To znaczy, naprawdę nie wiem. Co ja tutaj robię? Dlaczego tu jestem? Po co? Naprawdę?

— Żeby poznać moich przyjaciół. Spędzić miło czas. Okej?

Potrząsa niepewnie głową, ale ja podchodzę do drzwi i pukam. Nikt nie otwiera, więc pukam głośniej i dłużej i w końcu w progu staje Tamsin, ładna i sympatyczna, jasnowłosa i bosa, uśmiechając się do mnie, jakbym wcale nie skompromitował się w tym mieszkaniu, jakbym nie zachował się jak świński ryj po wypiciu jednego tsingtao za dużo, jakbym nadal był jej „najlepszym przyjacielem pod słońcem. Lubię ją. Wyczuwam w niej wielkoduszność, która mnie rozbraja. Całujemy się w policzki, ściskamy się, po czym Tamsin odwraca się do Jackie z zachwyconą miną.

— Fantastyczna sukienka — mówi. — Gdzie ją kupiłaś? W Tian Art? W Shanghai Tang?

— Nie — odpowiada Jackie. — W Basildonie.

Na sekundę zapada cisza. A potem Tamsin odchyła do tyłu głowę i wybucha śmiechem. Myśli, że Jackie żartuje.

— Jeśli chcesz, dam ci adres — mówi Jackie, niepewnie się uśmiechając. — To niedaleko rynku. Sklep nazywa się Suzie Wong. Mówią, że wstąpiła tam raz Victoria ze Spice Girls, ale ja im nie wierzę.

— Wejdz i poznaj wszystkich — mówi Tamsin, wprowadzając nas do środka.

Jest pełno ludzi. Wygląda na to, że wszyscy się znają. Dostajemy do rąk kieliszki z szampanem, a potem ktoś — kobieta — o mało nie mdleje na widok pierścionka zaręczynowego Tamsin i ta odchodzi, żeby go pokazać. Ci ludzie mają w sobie coś przesadnego. Każdy zwrot w rozmowie — na temat cen nieruchomości, prywatnych szkół, a przede wszystkim pracy — witany jest z czymś w rodzaju zachwyty.

Josh stoi pośrodku pokoju, hałaśliwie zachwalając *tai chi*.

— Uczy ten cudowny mały Chińczyk. Naprawdę zna się na rzeczy. Piekielnie dobre na stres. Pomaga wyrwać myśli z pudełka, to *tai chi*.

Josh zaczyna wymachiwać rękoma i szampan wylewa mu się z kieliszka.

— Och, wiem, co to jest *tai chi* — oznajmia kobieta, którą chyba poznaję. To India. Znajoma z przyjęcia. — To te ćwiczenia, które prowadzi taki wielki Murzyn.

— To *tae bo*, kochanie — poprawiają ktoś i wszyscy śmieją się z jej uroczego błędu.

— *Tai chi, tae bo, taekwon-do*, dla mnie to wszystko jedno — chichocze India. Jej szczupła mała twarz marszczy się w uśmiechu.

— Są tacy pewni siebie — szepcze Jackie. — Nawet jak powiedzą coś naprawdę głupiego.

Rozpoznaję Dana, męża Indii, i Jane, grubą ładną dziewczynę z poprzedniego przyjęcia, która najwyraźniej straciła parę funtów i znalazła faceta. Kiwa mi głową z pewnym chłodem. Nie mogę jej winić. Dan patrzy na mnie jak na powietrze. To nie wrogość. Odnoszę wrażenie, że ma pamięć tropikalnej ryby.

— Stary Josh się żeni — mówi. — Skąd kobieta wie, że jej mąż nie żyje?

— Seks jest taki sam, ale może używać pilota — odpowiada Jackie.

— Jaka jest różnica między dziewczyną a żoną? — pyta Josh.

— Czterdzieści pięć funtów — odpowiada Jackie.

— A jaka różnica między chłopakiem a mężem?

— Czterdzieści pięć minut.

— Cholernie śmieszne — stwierdza Dan.

Jackie i ja dobrze się bawimy, wychylając szampana i trzymając się razem. Przyjęcie toczy się wokół nas. Angielska klasa średnia ma w sobie coś, co przypomina mi kantończyków. Ten sam rodzaj chwalebnej obojętności. Autentycznie się tobą nie przejmują. Nie wynika to z wrogości. Oni po prostu mają cię w nosie. Jeśli cię to nie obchodzi, przebywanie w takim towarzystwie może być całkiem relaksujące.

W pewnym momencie ktoś zadaje Jackie standardowe, wielkomięskie pytanie i sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli.

— Czym się zajmujesz?

To Jane. Ta gruba dziewczyna, która zaczęła ćwiczyć i wygląda teraz całkiem dobrze i która musi się również dobrze czuć ze swoim nowym cichym chłopakiem w okularach, obejmującym ją od tyłu w od niedawna szczupłej talii, tak jakby się bał, że mu ucieknie. Chociaż wiem, że to zwyczajne standardowe pytanie, zadawane w Londynie w takie wieczory jak ten, mam wrażenie, że zadane zostało Jackie ze specyficznym podtekstem, tak jakby Jane odgrywała się na mnie za to, że nie zakochałem się w niej nad ciepłą wyrefinowaną sałatką.

— Czym ja się zajmuję? — powtarza Jackie i upadam na duchu, ponieważ tak dobrze się dzisiaj bawiliśmy, z taką rozkoszą słuchałem, jak opowiadają sobie głupie dowcipy z Joshem i Danem i jak szepcze mi do ucha uwagi na temat gości i ich zachowania, spędzając po prostu przyjemnie czas. A teraz

wtrynęła się Jane i wszystko popsuła. I pomyśleć, że kiedyś wydawała mi się miła.

— Tak. Czym się zajmujesz... przepraszam, zapomniałam, jak masz na imię.

— Jackie.

— Jackie — powtarza Jane, jakby Jackie było niesamowicie egzotycznym imieniem, którego nigdy przedtem nie słyszała. Co, jak sądzę, nie jest zupełnie wykluczone.

— Mam własną firmę — odpowiada Jackie.

Są pod wrażeniem. Wszyscy chcą tutaj budować kapitalizm. Spoglądają na Jackie w nowy sposób. Na pewno jakiś internetowy portal, myślą. Albo dobrze prosperująca agencja *public relations* prowadzona w małym pokoiku w Soho. A może coś związanego z modą? Jej sukienka przyciąga uwagę.

— Machina Marzeń — mówi Jackie. — To nazwa mojej firmy.

— Machina Marzeń — powtarza Jane z niechętnym szacunkiem. — Co to za branża?

— Sprzątanie obiektów biurowych — odpowiada Jackie.

Chcę ją powstrzymać, kiedy jeszcze dobrze jej idzie; chce, żeby odeszła od stolika i wymieniła żetony na forszę, ale szampan oraz grzeczne zainteresowanie na wszystkich tych zaczerwienionych, dobrze odżywionych twarzach skłaniają ją do kontynuowania wątku.

— Machina Marzeń sprząta powierzchnie biurowe na całym West Endzie. Mamy taki slogan: „Sprzątamy w tradycyjny sposób — na czworakach”.

— W tym są pieniądze — stwierdza Josh. — Duże pieniądze, gwarantuję. W pucowaniu tych wszystkich sedesów. Potraficie wymyślić coś lepszego? Klucze do łazienki dla kierownictwa i tak dalej.

— Super! — oświadcza India, jakby nikt dotąd nie pomyślał o sprzątaniu powierzchni biurowych.

Jackie uśmiecha się z radością i przez chwilę mam nadzieję, że jakoś się jej upieczce.

Przedwcześnie. Jane nadal nie daje za wygraną.

— Więc masz pewnie całą armię Pań Miotelek, które biegają z mopami po Londynie? — pyta.

A ja myślę sobie: cieszę się, że cię olałem, ty okrutna dziwko. Nigdy nie byłaś miła. Byłaś po prostu gruba i samotna, a to jeszcze nie to samo co miła.

— Nie — odpowiada Jackie. — Jestem tylko ja. Czasami biorę znajomą. Kiedy jest więcej pracy. Na ogół jestem sama.

— Aha — mówi Jane — więc to ty jesteś Panią Miotelką.

W tym momencie wszyscy śmieją się z Jackie, a ona nie może się do nich przyłączyć, nie może śmiać się sama z siebie i udać, że to drobiazg, nie potrafi wyrwać żądła słowom przy pomocy magicznej sztuczki, która polega na tym, żeby się nie przejmować. Jej życie jest zbyt twarde, żeby nie brała go serio, żeby nie brała serio wszystkiego, więc stoi tam czerwona jak burak, podczas gdy Jane, India, Josh, Dan i czterooki przyjaciel Jane rechoczą z radości.

Potem najgorsze mija, ponieważ wiem, że ci ludzie tak naprawdę są nieszkodliwi, no, może z wyjątkiem Jane, i wkrótce rozprawiają o polityce w kuchni, o wojnach płci na tle podziału zajęć domowych oraz o reakcji feminizmu na to, że ktoś musi czyścić toalety, wałkując wszystkie te nieprzetrawione do końca strzępy publicznej debaty, na którą trafili w jakimś niedzielnym dodatku kartkowanym na kacu po czerwonym winie. Potem rozmowa schodzi na to, jak trudno jest znaleźć kogoś, komu można zawierzyć, że dobrze posprząta mieszkanie, lecz w tym momencie Jackie, której nadal płoną policzki, pociąga mnie za rękaw.

— Chcę wyjść.

— Nie możesz teraz wyjść.

— Dlaczego nie?

— Bo wtedy wygrają.

— Oni i tak wygrają. Oni zawsze wygrywają.

Zostajemy, ale ten wieczór mamy oboje popsuty. Jackie rozmawia tylko z ludźmi, którzy pierwsi się do niej zwrócą.

Wycofuję się z nią w kąt pokoju i gładzę o odbitkach na ścianie, o pierścionku Tamsin, o wszystkim, co przyjdzie mi do głowy. Tuż przed wyjściem, kiedy Jackie idzie do toalety, Josh bierze mnie na bok.

— Podoba mi się — mówi. — Jest miła.

— Mnie też się podoba.

— Kiedy, mój drogi Alfie, zamierzasz się związać z właściwą kobietą?

— Co to ma znaczyć? Z właściwą kobietą?

— To jest zawsze ktoś... no nie wiem... niestosowny. Twój mały harem cudzoziemek. Są bardzo miłe i tak dalej. Inny smak na każdy dzień tygodnia. Wcale tego nie potępiam, chłopie. Dobrze wiesz, że ja też próbowałem cudzoziemskich przysmaków. Ale nie traktujesz chyba tego serio? Nie zamierzasz przez całe życie odżywiać się pikantnymi potrawami? To niestosowne. A teraz znowu Pani Miotelka ze swoimi laskoczącymi piórkami.

— Nie nazywaj jej tak.

— Przepraszam. Ale daj spokój, Alfie. Kiedy ty przejrzysz na oczy? To przecież nie Rose.

— Wydaje mi się, że Rose by ją polubiła. Wydaje mi się, że Rose uznałaby, że jest zabawna i inteligentna.

— Och, jest dosyć gorąca, w oczywisty sposób. Wygląda na ostrą sztukę.

— Nic o tym nie wiem.

— Co jest takiego godnego podziwu w zarabianiu na życie szorowaniem podłóg? Fakt, że jesteś biedny, nie czyni cię chyba jeszcze dobrym człowiekiem.

— Wychowuje sama dziecko. Dwunastoletnią dziewczynkę. Myślę, że każdy, kto się na to decyduje, ma charakter.

— Ma dziecko? Więc myślę, że to ty masz charakter, Alfie. Ja w życiu nie związałbym się z kimś, kto ciągnie za sobą pamiątkę po mężczyźnie, który bywał tam wcześniej. Jeśli wybaczysz mi to określenie. — Josh podnosi w kpiącym salucie kieliszek szampana. — Jesteś lepszym człowiekiem ode mnie.

— Nigdy w to nie wątpiłem, Josh.

Śmiejemy się, ale w naszym śmiechu nie słyhać ciepła ani radości i zastanawiam się, co ja w ogóle robię w tym miejscu, z tymi ludźmi. Czy dlatego, że nie mam gdzie pójść? A może w głębi duszy chcę do nich dołączyć, chcę potrafić śmiać się z taką łatwością, rozmawiać tak bezmyślnie i tak mało się o wszystko troszczyć? Może nie powinienem tak się bać troski. Może na tym polega mój problem.

— Jak nazywa się stan, kiedy kobieta jest sparaliżowana od pasa w dół? — pyta Dan.

— Małżeństwo — odpowiada Josh.

Wszyscy obecni ryczą ze śmiechu i w tym momencie ja i Jackie opuszczamy mieszkanie.

Kiedy jedziemy taksówką na dworzec Liverpool Street, nie odzywa się ani słowem.

— Moim zdaniem byłaś tam najprzystojniejszą kobietą — mówię. — I najmądrzejszą.

— Moim też. Dlaczego więc czuję się tak podle?

Nie potrafię na to odpowiedzieć.

Patrzę, jak oddala się peronem i wsiada do pociągu, żeby udać się w długą drogę do Essex. Nie odwraca się. Kiedy mam zamiar odejść, wychyla nagle głowę przez okno i macha do mnie z uśmiechem, jakby chciała powiedzieć: nie przejmuj się, nie są w stanie na długo mnie zranić, wszystko dobrze się skończy.

Jest dzielna. To jest odpowiednie słowo. Jackie jest dzielną kobietą.

No tak, myślę sobie.

To mogłaby być ona.

34.

Czasami myślę, że zmarli żyją w snach. Niebo, zaświaty, tamten świat czy jakkolwiek to nazwiecie — wszystko to istnieje w naszych snach.

Po śmierci Rose widziałem ją w moich snach. Niezbyt często. Tylko kilka razy. Ale te sny były tak prawdziwe, że nigdy ich nie zapomnę. Wydawały się tak prawdziwe jak dzień naszego ślubu, dzień, w którym się spotkaliśmy, dzień, w którym umarła.

Nadal nie wiem, co myśleć o tych snach — czy były po prostu produktem wyobraźni, poczucia straty i żalu? Czy to była naprawdę ona? Nie sprawiały wrażenia czegoś, co sobie wymyśliłem. Robiły o wiele bardziej realne wrażenie niż większość dni, które spędzam na jawie.

We śnie, który prześladowuje mnie najbardziej, szła przez błonia, które nazywają się South Green, niedaleko uliczek, gdzie dorastała. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak zapamiętałem — Rose, South Green, ciche sklepy na łagodnie opadającym zboczu. Jedyna różnica polegała na tym, że stała między nami szklana ściana. Sięgała nieba. Ta ściana nie przeszkadzała Rose — mnie zresztą też — nie zgasiła tego samego co zwykle ciepłego, gapiowatego uśmiechu na jej ustach. Ale rozdzielała nas i kiedy zapytałem Rose, czy może zostać, zaczęła płakać i potrząsnęła głową.

Była dość szczęśliwa. Ale nie mogła zostać. I to ją smuciło.

A ja uwierzyłem, że zmarli żyją w naszych snach.

Weźmy Franka Sinatrę. Jeśli chcecie odwiedzić grób Sinatry, musicie pojechać do Palm Springs w Kalifornii i odwiedzić cmentarz Desert Memorial Park. Przekonacie się tam, że Frank jest pochowany w kwartale B-8, na działce numer 151.

Nigdy tam nie byłem. Nie jestem entuzjastą cmentarzy. Od pogrzebu nie byłem nawet na grobie Rose. Nie sądzę, żeby rozstroiło mnie odwiedzenie jej grobu; w gruncie rzeczy wydaje mi się, że byłoby to całkiem kojące, taka wycieczka do małego kościółka na wzgórzu górującym nad podmiejską okolicą, gdzie dorastała. Nie jadę tam nie dlatego, że by mnie to zasmuciło albo wytrąciło z równowagi. Nie jadę tam, ponieważ nie wierzę, że ona tam naprawdę jest, tak jak nie wierzę, że Sinatra — jego kwintesencja, jego iskra, ta rzecz, która uczyniła go tym, kim był — jest na cmentarzu Desert Memorial Park w Palm Springs. Sinatra jest gdzie indziej. Podobnie jak Rose.

Jeśli chcecie pamiętać zmarłych — albo raczej jeśli chcecie oglądać zmarłych, jeśli chcecie się z nimi spotykać, widzieć, jak się uśmiechają, upewnić się, że odpoczywają w spokoju — wtedy musicie spojrzeć w głąb siebie. Tam właśnie ich znajdziecie. Tam żyją umarli.

Moja babcia zaczyna widzieć w snach umarłych. Trochę niesamowite jest to, że czasami ma te sny na jawie. Nie potrzebuje zasypiać, żeby spotykać się ze zmarłymi, których pamięta. I tak do niej przychodzą.

Żeby ułatwić jej korzystanie z telefonu, kupuję bezprzewodowy aparat i wpisuję do pamięci wszystkie najczęściej używane numery. Mojej mamy. Taty. Plum. Mój. Kilku jej starszych przyjaciółek. Gabinetu lekarskiego. Nazajutrz babcia mówi mi, że jej mążnek zaprogramował nowy telefon, czy to nie miło z jego strony? Mój dziadek, który nie żyje od dwunastu lat.

Nie wiem, co robić. Czy mam przytaknąć? Czy też łagodnie przypomnieć, że jej mąż od dawna nie żyje? Nie mogę tego tak zostawić. Boję się, że jeśli nie będzie potrafiła odróżnić mnie od mojego dziadka, popadnie powoli w obłęd.

— Nie pamiętasz, babciu? — mówię. — To ja wpisałem numery do twojego nowego telefonu. To przecież nie był dziadek.

Wpatruje się we mnie przez dłuższy czas. A potem gdzieś w jej umyśle błyska słabe światełko i potrząsa gniewnie głową. Nadal jednak nie wiem, czy, jej zdaniem, to ona się pomyliła, czy ja.

Plum coraz trudniej jest przy niej dyżurować. Babcia opowiada o swoich braciach, którzy zmarli dawno temu, opowiada, że odwiedza ją mąż, cofa się w czasie nawet dalej, do swoich rodziców, do córki, siostry mojego ojca, która zmarła jako małe dziecko na zapalenie płuc (coś takiego zdarzało się wówczas dość często; ta śmierć wpłynęła w dużym stopniu na emocjonalny ton pierwszego rozdziału „Pomarańczy na Boże Narodzenie”).

Babcia opowiada o zmarłych, jakby wcale nie umarli, jakby wciąż przy niej byli. Plum nie skończyła jeszcze trzynastu lat, jej życie dopiero się zaczęło, nie ma obycia ze śmiercią i nie wie, co o tym myśleć, co robić. Moja reakcja zresztą wcale nie jest taka odmienna.

— Ciarki mi chodzą po karku, Alfie. Ona mówi o nich tak, jakby byli realni.

— Może i są, Plum. Dla niej. Nie wiem.

Plum wychodzi więc, żeby złapać ostatni podmiejski pociąg do Bansted, a ja siadam z babcią i trzymam ją za rękę, aż zaśnie, chociaż teraz sen może nadejść w środku dnia albo nie nadejść w ogóle, coraz mniej liczy się podział między nocą a dniem.

Puszczamy stare piosenki Sinatry, Dino i małego Sammy'ego w całej ich glorii i chwale, tak pełne życia i miłości, te hymny z lat pięćdziesiątych, tak pełne nadziei i radości, a przy

łóżku babci gromadzą się powoli duchy, utraceni bracia, zmarły mąż i dziecko, przyjaciele z dawnych czasów, matka i ojciec, i wszyscy stają się powoli bardziej realni od żywych.

Ku mojemu zaskoczeniu uświadamiam sobie, że obawiam się dnia, w którym Jackie przystąpi do egzaminu. Z początku myślę, że to dlatego, iż obudziła we mnie jakąś od dawna uszpiętą pasję nauczania, Ale to coś więcej. Jackie obudziła we mnie tę cichą satysfakcję, jaką odczuwa się w obecności kogoś, kogo się zna, lubi i z kim przyjemnie spędza się czas.

Siedzimy nad książkami, czasami rozmawiając, czasami nie mówiąc i czasami się kłócąc, tak jakby pisarstwo i pisarze byli najważniejszą rzeczą pod słońcem, i zdając sobie sprawę, że zaczynam cenić sobie każdą sekundę spędzoną w jej towarzystwie. Przypominam sobie, jak bardzo to uwielbiałem. Bycie razem.

Jackie jest moją najlepszą uczennicą. Ma przenikliwy, ciekawy świata, śmiały umysł. Uczy się pilnie, na zajęciach i sama, i chociaż charakter jej pracy wymaga, żeby często wstawiała o świcie i kładła się późno spać, zawsze odrabia na czas pracę domową.

Ale jest pierwszą uczennicą od czasu, gdy opuściłem Męskie Liceum imienia księżnej Diany, która przychodzi na moje zajęcia z podbitym okiem.

- Co ci się stało?
- Zderzyłam się z czymś twardym i grubym.
- Z drzwiami?
- Z moim mężem.
- Jezu Chryste, Jackie. Powinnaś iść na policję.
- Ze skargą na przemoc w rodzinie? Żartujesz? Policji nie interesują spory domowe.
- To nie jest spór domowy. Jak może być domowy? Nie jesteś już jego żoną.
- Do Jamiego to jeszcze nie dotarło. Wciąż kręci się w pobliżu. Czatuje przy domu. Śledzi mnie.

- Widuje się z Plum?
- Rzadko. Interesuje się bardziej tym, z kim sypiam, niż moją córką. Naszą córką. Powiedziała mi, że z nikim nie sypiam. Nie uwierzył mi.
- Podbił ci oko, bo myśli, że z kimś sypiasz?
- Jackie wybucha gorzkim śmiechem.
- Mój eks należy do tych zazdrosnych. Potem zawsze żałuje. Mówi, że zrobił to tylko dlatego, że mnie kocha, że szaleje z zazdrości. Uważa, że to powinno mi pochwlebiać. Powinno mi pochwlebiać, że mnie tłucze.
- Z kim, jego zdaniem, sypiasz?
- No cóż...
- Ktoś dzwoni do frontowych drzwi.
- Nie otwieraj — radzi mi Jackie.
- To chyba nie on? Nie śledził cię tutaj? On nie jest zazdrosny. Jest obłąkany.
- Naprawdę, Alfie. — Jackie wydaje się przerażona. Nigdy przedtem takiej jej nie widziałem. To doprowadza mnie do furii. Jestem wściekły na tego faceta. — Nie wpuszczaj go na górę.
- Wcale nie zamierzam.
- Dzięki Bogu. Po prostu nie zwracaj na niego uwagi.
- Schodzę do niego na dół.
- Alfie!

Wyskakuję już z mieszkania i zbiegam po schodach. Po drugiej stronie matowej szyby majaczy zwałista ciemna postać. Otwieram na oścież frontowe drzwi i widzę go — sportowca, który spał się jak świnia, nadal z dużą ilością tkanki mięśniowej, choć teraz widać po niej efekty nadmiernej ilości parszywego żarcia i markowego piwa. Musiał być kiedyś przystojny — wysoki, ciemny, trochę niebezpieczny. Przystojny, jeśli nie po prostu ładny w czasach, gdy był jeszcze cudownym chłopcem z piłką. Jednak życie dało mu w kość i stał się gorzki i podły. Wygląda na najgorszy rodzaj wykidajły, taki, który autentycznie marzy o tym, żeby ktoś mu podpadł.

Jamie, eksmąż Jackie.

Zanim jestem w stanie otworzyć usta, łapie mnie owłosionymi paluchami za grdykę, wyciąga na ulicę i popycha na rząd pojemników na śmieci, gdzie ląduję twardo na tyłku i pozostaję zaklinowany w tej śmiesznej siedzącej pozycji, podczas gdy Jamie zaczyna okładać mnie po głowie blaszaną pokrywą.

Drągał, myślę sobie. Czy nie widziałem przypadkiem, jak ktoś atakuje Drągała pokrywą kosza na śmieci? Czy to nie był Toledo Bez Karku na turnieju SuperSlam w 1998? Co zrobiłby Drągał w takiej sytuacji? Za nic w świecie nie mogę sobie przypomnieć. Siedzę tam więc z obolałym tyłkiem, osłaniając głowę rękoma.

— Trzymaj się z daleka od mojej żony, ty pierdolony sukiny-synu! — wrzeszczy na mnie Jamie z tym szczególnym londyńskim akcentem, który ostatnio rzadko się słyszy na ulicach Londynu. — Przestań nabijać jej głowę tymi pomysłami o pierdolonym uniwersytecie! Ty z twoimi książkami i innymi głupotami! To ty wbijasz jej do głowy te pomysły, ty zboku! I trzymaj od niej z daleka pierdolone ręce!

Pokrywa kosza uderza mnie po rękach i ramionach z głuchym metalicznym odgłosem, który przywabia moich sąsiadów do okien, lecz nie skłania ich bynajmniej do porzucenia pozycji wygodnych obserwatorów. Jackie wisi na plecach Jamiego, wałąc go w głowę pięściami i uświadamiam sobie, że zadaje mu prawdopodobnie więcej bólu niż ja. Ale to ja jestem tym, który został publicznie upokorzony.

— Jaki ty jesteś głupi! — krzyczy na niego Jackie. — Nauczyciele nie sypiają ze swoimi uczennicami!

To oczywiście nie do końca prawda, ale ujmują mnie jej wysiłki. Nie wiem, kiedy skończyłby mnie okładać, gdyby nie Jackie.

— Trzymaj się od niej z daleka — oznajmia, ciężko dysząc. — Przestań kłaść jej do głowy, że jest kimś innym, niż jest.

A potem odchodzi. Jackie pomaga mi wstać i strzepuje

kawałki pizzy, smażonego ryżu i curry, które przykleiły się do mojego ubrania.

— Pytałeś, jak wyglądało moje małżeństwo — mówi, pokazując Jamiego, który oddala się ulicą zamaszystym krokiem. — Tak właśnie wyglądało.

Mówi się czasem o ludziach walczących dzielnie z rakiem, ale ta choroba jest bardziej okrutna od innych. To, jaki jesteś dzielny, nie ma w zasadzie znaczenia. Rak odziera cię z własnego ja.

— To nie ja — powtarza moja babcia, kiedy pomagam jej dowlec się do łazienki. — To nie jestem ja.

Czuje ból, straszliwy ból i chociaż tak długo z odwagą i humorem opierała się chorobie, jej życie zostało teraz zredukowane do ostrej krawędzi nieznośnego cierpienia.

Nigdy nie użalała się nad sobą, nie była skłonna do desperacji, trwogi i mrocznych lękliwych myśli, które każą bać się własnego cienia. Ale teraz wyraźnie widzi, że to przekracza jej siły, że toczy walkę, którą może tylko przegrać, że jej humor, odwaga i stoicyzm są bez znaczenia, ponieważ ta rzecz może się skończyć tylko w jeden sposób.

Rak rozłożył ją na łopatki. Rak ukradł jej tożsamość.

Stoję za drzwiami łazienki, czekając, aż się w nich pojawi. Jest tyle spraw, w których ja i ojciec musimy polegać na kobietach — na mojej mamie, Plum i starych przyjaciółkach babci. Nawet o tak późnej porze tato i ja nigdy nie wchodzimy z nią do łazienki, nigdy jej nie myjemy. Nawet w obliczu spustoszenia spowodowanego śmiertelną chorobą, nawet gdy stajemy twarzą w twarz z nowotworem, przeważa poczucie skrzepowania. Ze względu na nią, ale i na nas.

Ale dziś w nocy jest inaczej. Chociaż od wielu dni prawie nic nie jadła i wypija nie więcej niż parę kropel rozcieńczonego nektaru pomarańczowego, który stoi na stoliku przy łóżku, tej nocy słyszę jej jęki zaraz po tym, jak pomogłem jej ułożyć się

w łóżku, zgasilem światło i wyszedłem z sypialni. Jęczy tak, jakby zdarzyło się coś niewyobrażalnego.

Kiedy wchodzę do niej, babcia kwili, naprawdę kwili, jakby nie zdawała sobie sprawy, że to może okazać się takie straszne. Unoszący się w małej sypialni zapach wskazuje, że to nie chroniczny ból w boku jest przyczyną jej rozpacz. Zapach dochodzi z jej łóżka. Coś takiego nie zdarzyło się nigdy przedtem. Jak mogłem nie dostrzec, że się na to zanosi? I jak mam sobie z tym poradzić?

Mogę zrobić tylko jedno. Zapewniam babcię, że nic się nie stało, że to nic, chociaż, kiedy ściągam kołdrę i widzę, iż zanieczyszczenia są wszędzie — na nocnej koszuli, na prześcieradle, na rękach — doznaję głębokiego szoku i nie wiem, czy stanę na wysokości zadania, czy zdołam zrobić to, co muszę, ponieważ w pobliżu nie ma nikogo innego, kto mógłby się tym zająć.

W końcu to jej rozpacz pomaga mi zrobić to, co muszę, jej upokorzenie, które w jakiś sposób jednocześnie mnie uodparnia i czyni łagodnym („Och, Alfie, sama nie wiem, jak to się stało, och, jakie to krępujące, och, spójrz na mnie, Alfie!”). Czuję do niej tak wszechobjmującą miłość, że poradzenie sobie z tą rzeczą staje się naturalne.

Niełatwe. Nigdy łatwe. Ale naturalne.

Pomagam jej delikatnie wstać z łóżka, mówiąc, że to dla nas nic trudnego, dla mnie i dla niej, że możemy dać sobie razem radę, że damy sobie razem radę, i zabieram ją do łazienki, gdzie pomagam jej zdjąć zanieczyszczoną koszulę i wejść do wanny, i gdzie po raz pierwszy widzę moją babcię nagą, a potem puszczam ciepłą wodę i podczas gdy ona przez cały czas płacze ze wstydu i skrępowania, mydlę kawałek flaneli i powtarzając wszelkie znane mi słowa otuchy, myję ją tak łagodnie, jak matka myje swoje dziecko, tak jak ona myślałaby mnie.

35.

Zeng i Yumi stoją przed wejściem do szkoły i rozdają ulotki.

Zeng jest w garniturze; swoją zazwyczaj zmierzwioną czuprynę — „pogryzioną przez psa”, jak mówią inni chińscy uczniowie — przycesał schludnie przed poranną rozmową w pobliskim college'u. Yumi przestała farbować włosy i przed wyjazdem do Japonii stopniowo wraca do swego normalnego koloru; pięknie lśniąca czerń zaczyna przebijać się przez słomianą strzechę.

— Jak poszła rozmowa, Zeng?

— Od października chcę studiować administrację biznesu. Bardzo się przyda przy robieniu interesów w Chinach. Przyjęcie zależy od wyników egzaminu. Muszę mieć dobry angielski, żeby się dostać.

— Dostaniesz wystarczająco dobrą ocenę, żeby studiować — mówię i odwracam się do Yumi. — A ty zmieniłaś wygląd.

— Będę pracować w biurze — odpowiada. — W dużej firmie w Tokio. Nie mogę mieć żółtych włosów. Nie w tokijskim biurze. Już nigdy więcej nie będę blondynką.

Podaje mi ulotkę. Na pierwszy rzut oka wygląda dokładnie tak samo jak reklamy naszej szkoły. Ramkę tworzą flagi z całego świata, pośrodku widnieje ta sama koślawa sylwetka

Winstona Churchilla. Tym razem Winnie nie trzyma jednak w rękę swojego normalnego cygara, lecz skręta wielkości kornetu.

Przyjdź na koncert *karaoke* studentów szkoły Churchilla
Rozśpiewany koniec semestru
Pożegnaj się ze swoimi przyjaciółmi

Na górze, w pokoju nauczycielskim, Hamisz i Lenny oglądają tę samą ulotkę.

— Cholerne *karaoke* — narzeka Lenny. — To koniec sztuki tańca. Pamiętam czasy, kiedy spotkanie na koniec semestru odbywało się w dyskotecce.

— Nikt poniżej pięćdziesiątki nie używa już słowa „dyskoteka”, Lenny — mówię.

— Wyuzdany taniec pod stroboskopowymi światłami — wspomina, ignorując mnie. — Powolne pościelowy. Czy masz w kieszeni butelkę Eviana, czy też po prostu taką przyjemność sprawia ci mój widok? To było urocze, chłopie. A teraz to *karaoke*. Człowiek stoi tam jak debil, chrypiąc do przebojów Abby. I czytając słowa ze ściągi. A na ekranie zawsze kusytka plażą jakaś zwariowana para. Co w tym jest zabawnego, chłopie?

— Ciekawe jest to, że *karaoke* największą popularnością cieszy się w krajach, gdzie tłum się ucucia — stwierdza Hamisz. — W Chinach i w Azji. Właściwie na całym Dalekim Wschodzie. Społeczny konwenans nie pozwala im na swobodną ekspresję w codziennym życiu. Ale mogą to zrobić, śpiewając *karaoke*.

— Podczas gdy w tym kraju, jeśli mamy ochotę na swobodną ekspresję, idziemy do publicznej toalety i ścigamy gatki — mówi Lenny.

— Idziesz tam, Alfie? — pyta Hamisz.

— Nie wiem.

— Chyba żartujesz? — dziwi się Lenny. — Ten facet jest żywą legendą wśród studentów. Wszyscy podziwiają jego technikę.

Wydaje mi się, że mogę odnieść sukces na koncercie, choć nie z powodów, dla których Lubieżny Lenny pragnie go uniknąć. Spędziłem dość czasu w Hongkongu, żeby pozbyć się uczucia zakłopotania, które sprawia, że większość moich rodaków krzywi się w barze *karaoke*.

Przyпускаjąc jednak, że ten wieczór okaże się jednym długim pożegnaniem, stypą na cześć naszej młodości i wolności, i że wkrótce wszyscy przestaniemy tlenić włosy.

Patrzę, jak moja klasa przerabia wszystkie czasy, których można użyć w odniesieniu do przyszłości. *Present simple, future perfect, present continuous, future perfect continuous*. Teraźniejszy prosty, przyszły dokonany, teraźniejszy ciągły, przyszły ciągły dokonany. Yumi i Zeng. *You go, you meet*. Hiroko i Gen. *You will have travelled, you will have met*. Vanessa i Witold. *I am starting. She is going*. Ale nie Olga, *Olga has gone*, Olga odeszła, znikła gdzieś w mieście ze swoim chłopakiem. Dokąd się wybieracie? Co zamierzacie robić?

Uświadamiam sobie, jak bardzo będzie mi brakowało moich uczniów. Jak bardzo będzie mi ich wszystkich brakowało.

Nadal przychodzą na lekcje, widuję ich codziennie; w gruncie rzeczy teraz, kiedy zbliża się egzamin, uczęszczają na zajęcia bardziej regularnie niż wcześniej i jeśli gdzieś się opieprzają, to bardziej w General Lee's Tasty Tennessee Kitchen, Pampas Steak Bar albo u Eamona de Valery. Ich rozmowy coraz częściej dotyczą nowego życia. Czas, który spędzili w szkole Churchilla, dobiega końca. Wkrótce odejdą, a ja zostanę. Już teraz mi ich brakuje.

Zastanawiam się, czy to zawsze będzie wyglądało w ten sposób; kolejny rok, kolejne nowe twarze, i tak już zawsze, niekończące się powitania i pożegnania.

You will go, you will meet.

Moi uczniowie są szczęśliwi. Mówią o powrocie do domu, o zrobieniu dyplomu w Londynie, o podróży do dalekich krajów.

Są młodzi i wszystko jeszcze przed nimi, wszystko jest ekscytujące — studia, podróże, praca, wszystko oznacza wielką przygodę. A mnie przygniata do ziemi jakiś ciężar, kiedy słyszę, jak rozmawiają o nowym życiu.

Człowiek do kogoś się przyzwyczaja, a potem ten ktoś go opuszcza.

— Jak to będzie wyglądać? — pytam Jackie. — Mam na myśli twoje życie. Kiedy już zaczniesz studia na Uniwersytecie Greenwich. Jak to sobie wyobrażasz?

Jackie siedzi przy oknie w moim mieszkaniu i pakuje książki przed wyjściem. Lekcja jest skończona. Egzamin niedaleko. Jej książki nie są już nowe. Dni stają się coraz dłuższe.

— Przecież nie wiem jeszcze, czy zostanę studentką, nie? To, czy dostanę się do Greenwich, zależy od oceny z angielskiego.

— Chyba żartujesz? Nigdy nie widziałem, żeby ktoś pracował tak solidnie jak ty. Dostaniesz wysoką ocenę. Daj spokój... opowiedz mi o swoim studenckim życiu. Musiałś o tym rozmyślać.

Jackie śmieje się.

— Tylko przez jakieś ostatnie dwanaście lat. Nie wiem, jak będzie wyglądać. Będę o wiele starsza od innych studentów. Byłam mężatką, mam dziecko. Większości pewnie nadal robi pranie mama. Kiedy oni będą się wybierać na dzikie hulanki, ja będę pracować. Nadal muszę pracować, wiesz o tym.

— Wydaje ci się, że będziesz szczęśliwsza?

— Wiem, że będę szczęśliwsza. Będę robiła to, co chcę robić. Uczynię coś ze swoim życiem. Dla siebie i dla mojej córki. I to będzie interesujące. Wielcy pisarze, wielka literatura, rozmowy o ideach, przebywanie z ludźmi, których obchodzą książki, którym nie przeszkadza to, że przekraczają bariery. Nie mogę się doczekać.

Widzę ją tam. Widzę, jak staje się osobą, którą zawsze

chciała zostać. Widzę, jak uświadamia sobie, że nie jest za późno, że jest wystarczająco młoda i inteligentna, by spróbować jeszcze raz, spróbować jeszcze raz zrobić coś pozytywnego ze swoim życiem. I będzie dobra. To prawda, że ma dziesięć lat więcej od innych studentów, ale jest dość bystra, żeby umieć się znaleźć w każdym towarzystwie; nikt nie będzie już kpił z Pani Miotelki i szorowania podłóg, ponieważ wszyscy wiedzą, co to jest nisko płatna, dorywcza praca. Wyobrażam sobie, jak błyszczy, naprawdę błyszczy, jak budzi z letargu zmęczonych nauczycieli i inspiruje tych dobrych, czytając na głos pracę na temat Carson McCullers, podczas gdy wszyscy ci młodzi chłopcy topnieją jak wosk, nie odrywając oczu od jej ubranego w opięte ciuchy, gibkiego ciała. A może zmienią się również jej stroje.

— Nie chcę tracić kontaktu — mówię z płonącymi policzkami.

— Co?

— Nie chcę, żebyś znikła z mojego życia.

— Znikła z twojego życia?

— Chcę być w kontakcie. To wszystko. To tylko chciałem powiedzieć. Nie widzę powodu, żebyśmy mieli nie być w kontakcie.

Jackie kładzie mi rękę na ramieniu i wygląda to prawie na gest litości.

— Zawsze będziemy przyjaciółmi — mówi i wiem, że straciłem ją, zanim jeszcze cokolwiek się między nami zaczęło.

Moja babcia jest zbyt chora, żeby pozostawać dłużej w swoim małym białym mieszkaniu. Po prostu się do tego nie nadaje. Schody, wanna, oddalenie od nas — to miejsce dla kogoś, kto jest stary, ale nie dla kogoś, kto jest umierający.

Gdybyśmy byli Changami, sprawa byłaby łatwiejsza. W ogóle o tym nie mówiąc, przenieśliśmy ją do sypialni nad Shan-ghai Dragon i opiekowalibyśmy się nią. Ale moja mała

rodzina jest rozproszona po całym mieście, właściwie nie jest prawdziwą rodziną; ojciec, matka i ja mieszkamy wszyscy samotnie i nie ma miejsca, dokąd można by w oczywisty sposób przenieść babcię. W domu mamy jest za dużo schodów, w wynajmowanych przez ojca i przeze mnie mieszkaniach za mało przestrzeni.

Chcemy być rodziną. Naprawdę. Jednak zbyt długo z tym zwlekaliśmy, zbyt długo zajmowaliśmy się innymi sprawami. Teraz nigdy już nie będziemy Changami.

— W Chinach duże dzieci opiekują się starymi rodzicami — mówi Joyce mojej matce. — Tutaj odwrotnie. Starzy rodzice nadal martwią się o swoje duże dzieci. Wszystko jest tyłem do przodu w tym kraju.

Rozpatrujemy inne opcje. Dom opieki — babcia jest już zbyt chora na dom opieki. Hospicjum — nie możemy się zdobyć, żeby oddać ją w jakieś obce miejsce, gdzie umrze. Jeszcze nie. Dopóki istnieje jakieś inne wyjście.

Jest jeszcze oczywiście szpital, ale babcia boi się tego miejsca bardziej niż śmierci, szpital i śmierć to dla niej właściwie to samo, więc dopóki istnieje inne rozwiązanie, nie wyląduje w szpitalnym łóżku. Chociaż prawie nic nie je i nie pije i chociaż wymaga teraz dwudziestoczwierogodzinnej opieki, jej doktor uważa, że nie ma potrzeby trzymać jej w szpitalu, nawet teraz, nawet tak późno. Nie wiem jednak, czy powodem jest szacunek, z jakim traktuje życzenia umierającej kobiety, czy po prostu brak szpitalnych łóżek. Prawdopodobnie jedno i drugie.

W końcu inicjatywę przejmuje matka, dzwoniąc do firmy zajmującej się montażem dźwigów na klatkach schodowych i mówiąc im, że będą mieli robotę, jeśli są w stanie wykonać ją natychmiast.

W firmie dźwigowej muszą być przyzwyczajeni do tego rodzaju desperackich telefonów — bo czy ktoś każe sobie zamontować dźwig na schodach, jeśli nie jest zdesperowany? — i wkrótce młody pracownik układa na schodach domu mojej

babci coś, co przypomina szyny kolejowe. Na szczycie tych szyn ustawia urządzenie, które wygląda jak katapulta i przywołuje dziecięce wspomnienia Jamesa Bonda i pilotów zestrzeliwanych nad nieprzyjacielskim terytorium. Ta platforma dźwigowa sprawia wrażenie niezwykle złowrogiego urządzenia, ale kiedy młody pracownik siada w fotelu i uruchamia go, ten rusza statecznie z miejsca niczym najłagodniejsza maszyna na świecie.

A potem pojawia się babcia, ubrana w swoją ulubioną białą nocną koszulę od Marksa & Spencera, tę w małe czerwone różyczki, z twarzą pobladłą od choroby i wszystkich tygodni spędzonych w mieszkaniu i ciałem tak kruchym, że autentycznie boję się jej dotknąć, żeby czegoś nie połamać, a my pokazujemy jej podnieceni dźwig, wyjaśniając, jak bardzo ułatwi on jej życie, tak jakby była dzieckiem, które dostało prezent na Gwiazdkę, lecz jest zbyt małe, żeby go w pełni docenić.

Ojciec i ja łagodnie sadzamy ją na fotelu, a ona nagle przechyla się do przodu, osłabiona przez nowotwór, brak jedzenia i spędzone bez ruchu tygodnie. Obaj skaczemy, żeby ją podtrzymać. Nigdy nie przyszło nam na myśl, że może być zbyt chora, żeby korzystać z tego urządzenia.

Następnie mama wyjaśnia zasady działania dźwigu, mówi, że trzeba przesunąć małą dźwignię, żeby wprawić go w ruch, że dźwig staje, kiedy zdejmie się dłoń z tej dźwigni, dzięki czemu nie sposób zrobić sobie krzywdy, przynajmniej w teorii, i że na szczycie schodów jest nowo zbudowany mały drewniany podest, żeby nie trzeba było pokonywać nawet jednego schodka. Nie wiem, ile babcia z tego rozumie. Nie przypomina tych szczęśliwych starych kobiet, które widuje się w reklamach platform dźwigowych, ubranych w gustowne swetry, z błyszczącymi oczyma i lśniącymi sztucznymi szczękami. Babcia wygląda, jakby nigdy nie zdawała sobie sprawy, że w życiu spotka ją tyle bólu, tyle dyskomfortu, tyle tego, co nazywa zgrzyzotą.

Uśmiecha się ze względu na nas, nawet teraz stara się nas zadowolić, stara się nie sprawić kłopotu.

— Urocze — mówi. W jej ustach to najwyższy komplement.

Urocze.

A potem niepewnie przesuwa dźwignię i wszyscy wybuchamy śmiechem, ona też, śmiejemy się głośno, zszokowani i uradowani, kiedy łagodna maszyna budzi się do życia i powoli wiezie babcię schodami.

Jedzie w górę, niczym mały stary anioł wstępujący do nieba w białej koszuli od Marksa & Spencera, uśmiechając się do nas, ponieważ to zabawne, naprawdę zabawne, a przede wszystkim ponieważ nie chce, żebyśmy się o nią martwili, nie chce sprawić kłopotu.

36.

To nie jestem ja, powtarza mi stale babcia. I chociaż wiem dokładnie, co ma na myśli, uważam, że w tych ostatnich godzinach jest naprawdę sobą.

Kimś dzielnym. Wielkodusznym. Wesołym. Troszczącym się o wszystkich prócz siebie. Starszą panią, którą kocham z całego serca.

— Co się stało z tą dziewczyną?

— Jaką dziewczyną, babciu?

— Z tą miłą dziewczyną.

Uśmiecham się.

— Ach, z tą miłą dziewczyną. — Sądzę, że mówi o Rose. — Rose umarła, pamiętasz?

Babcia potrząsa niecierpliwie głową. . — Nie z Rose. Wiem, co się stało z Rose. I nie chodzi mi o tę Japonkę. Wiem, że puściła cię kantem. Mówię o tej z dzieckiem. Z dzieckiem o uroczych oczach.

— Jackie.

— Jackie. Powinieneś się jej trzymać. To dobra dziewczyna.

— Masz rację, babciu. To dobra dziewczyna.

— Chcę, żebyś się ustatkował, Alfie. Chcę, żebyś się ustatkował.

Człowiek spodziewa się, że ktoś będzie umierał z trwogą, a potem widzi, że ten ktoś umiera z miłością. Ponieważ trwoga

mija, mijają wszystkie mroczne uczucia wywołane tysiącem nieopisanych udręek raka, a w każdym razie można nauczyć się z nimi żyć. Miłość pozostaje i przezwycięża lęk, żal i poczucie straty, to straszliwe poczucie straty, które jest najgorsze ze wszystkiego.

Różnica między dniem a nocą zaciera się i dyżurujemy na zmianę. Zastępuję ojca koło drugiej w nocy. Podobnie musi to wyglądać, kiedy ma się małe dziecko — oczy klejące się ze snu w środku nocy, walka, żeby nie zasnąć przy wypełnianiu różnych obowiązków. Tak by to wyglądało w przypadku Rose i mnie, gdybyśmy mieli szczęście i doczekali się małego synka albo córki. Ale ta historia kończy się inaczej.

Nie wierzę, że babcia umrze dzisiaj w nocy. Jeszcze na to za wcześnie. Na pewno trochę to jeszcze potrwa. Ból w boku, ten niewyobrażalny ból powodowany przez guz, chyba zelżał. Babcia nie bierze leków. Ma jasny umysł. Wydaje się spokojna.

Srebrne nitki jej leżących na poduszce włosów przetykane są złotem — matka ufarbowała je, żeby poprawić jej nastrój. Brwi nie są krzywo umalowane; nimi też zajęła się matka. Babcia wypuszcza z płuc powietrze i zamyka oczy.

Siedzę w fotelu przy jej łóżku, trochę przysypiając, chociaż staram się czuwać, zapadając i budząc się z niespokojnego snu.

Jej głos ściąga mnie z powrotem na ziemię.

— Mama i tato — mówi.

— Chcesz... mam ich sprowadzić?

— Moja mama i tato.

— Babciu?

— Są tutaj.

— Dobrze się czujesz? Chcesz...

— Alfie?

— Jestem, babciu.

— Weź mnie za rękę, Alfie.

— Trzymam cię.

— Dobry z ciebie chłopiec. — Jej pierś unosi się i powoli wydycha powietrze, a wraz z nim lęk, ból, pragnienie, by tu pozostać. — Starasz się, jak możesz, prawda? Widzę to.

— Może ci coś przynieść, babciu?

— Niczego nie potrzebuję. Ale dziękuję, kochanie.

Nie potrafię powiedzieć, czy śpi, czy czuwa. Do pokoju sący się światło. Noc dobiega końca. Nieprzenikniona czerń blaknie. Jak to możliwe, żeby tak wcześnie robiło się jasno?

— Kocham cię, babciu — mówię załamującym się głosem, czując, jak w oczach stają mi łzy. — Tak bardzo cię kocham.

Dlaczego nie powiedziałem jej tego wcześniej? Dlaczego tak długo z tym zwlekałem? Dlaczego nie mówiłem jej tego przez całe życie?

We wszystkie te dni, kiedy miałem co innego do roboty. We wszystkie te dni, kiedy wybierałem się gdzie indziej. Podczas gdy powinienem być razem z nią.

Dziękując za to, że mnie kocha.

— Teraz już nie boli — mówi.

Ma cichy spokojny głos.

— To dobrze.

— Po prostu ze mną zostań.

— Jestem z tobą, babciu.

— Zostań ze mną, kochanie.

Ta szkoła nie różni się wiele od tej, w której uczyłem. Przez bramę wybiegają grupki chłopców, których można natychmiast zidentyfikować jako napastników lub ich naturalne ofiary. Szara masa pośrodku udaje większych junaków, niż są w rzeczywistości, śmiejąc się i okładając wzajemnie poobijanymi torbami, popisując zadziornością, która ma zostać odebrana jako pewność siebie.

Tym, co różni tę szkołę od Męskiego Liceum imienia księżnej Diany, jest obecność dziewcząt. Ich obecność zmienia atmosferę, elektryzuje powietrze. Niektóre z nich wyglądają jeszcze jak dzieci, ale inne przypominają kobiety, kobiety, które są

dość młode, żeby paradować z długimi włosami i w minispódniczkach, kobiety świadome władzy, jaką mają nad rojącymi się dookoła, rozwrzeszczanymi, nieufmowanymi chłopcami. Mijając mnie przy bramie, te dziewczęta unoszą brwi, wydymają usta, oceniają mnie i natychmiast skreślają. W końcu widzę ją. Nie wchodzi w skład żadnej grupy.

— Plum?

Czerwieni się.

— Co tutaj robisz? — pyta.

— Mam samochód. Odwiozę cię do domu.

Idzie ze mną do samochodu, ignorując drwiące docinki: „To twój nowy chłopak, Plumpster?”, „Wcale mi się nie podoba, Plumpster”. Wsiadamy do środka, ale nie przekręcam kluczyka w stacyjce.

— Po co przyjechałeś?

— Chciałem ci powiedzieć osobiście.

— Powiedzieć co?

— Moja babcia umarła.

— Umarła?

— Dziś nad ranem. Nie chciałem ci tego mówić przez telefon. Wiem, że dużo dla ciebie znaczyła. I ty dużo dla niej znaczyłaś.

Plum wpatruje się prosto przed siebie, nic nie mówiąc. Staram się znaleźć typowe w tej sytuacji słowa pociechy.

— Pod koniec bardzo ją bolało. Powinniśmy się cieszyć, że już nie cierpi. Teraz ma już spokój.

Plum nic nie mówi.

— Żyła bardzo długo, Plum. Kiedyś będziemy zdolni cieszyć się tym, że z nami była. A nie martwić się tym, że umarła.

— Była jedyną osobą...

— Plum? Może...

— Jedyną osobą, z którą mogłam być sobą. Wiem, że mama chce, żebym była ładniejsza. Żebym schudła. Zrobiła coś z włosami. I tak dalej. A tata chce, żebym była silniejsza. Twardsza.

Nie dawała sobą pomiatać. Potrafiła się obronić. I tak dalej. — Plum potrząsa głową. — A dzieciaki w szkole chcą po prostu, żebym zaszła się gdzieś i zdechła. Po prostu zdychaj, Plumpster. Ona była jedyną osobą, która mnie akceptowała. Której nie we mnie nie przeszkadzało. Która właściwie chyba mnie lubiła — dodaje ze śmiechem.

— Twoja mama cię kocha. Naprawdę, Plum. Wiesz, że cię kocha.

— Kochać kogoś to nie to samo, co go lubić, prawda? To nie to samo co akceptować tego kogoś takim, jaki jest. Miłość jest chyba w porządku. Nie wiem o niej zbyt dużo. Wystarczy mi, że ktoś mnie lubi.

Jest dużo do zrobienia.

To dobrze, że jest dużo do zrobienia.

Ponieważ babcia zmarła w domu, musi tu przyjechać policja. Zjawiają się po sanitariuszach, którzy nie byli potrzebni, ponieważ się spóźnili, i po lekarzu, który oficjalnie potwierdził zgon, ale przed przedsiębiorcą pogrzebowym i jego asystentem, którzy grzecznie poprosili, żebyśmy zostali w salonie, podczas gdy oni zawiną ciało babci i wyniosą je z domu. To dziwne, że babcia po tylu samotnych latach sprawiła nagle, że jej małe białe mieszkanie wypełniło się ludźmi.

Ojciec i ja od wielu lat nie spędzaliśmy razem tyle czasu. Idziemy zgłosić zgon i siedzimy w milczeniu w poczekalni wypełnionej szczęśliwymi parami, które pragną zarejestrować narodziny dziecka. Potem udajemy się do przedsiębiorcy pogrzebowego i wybieramy trumnę, ustalamy, ile będzie samochodów, i załatwiamy inne detale dotyczące pogrzebu.

To jeszcze nie wszystko. Trzeba pójść do kwaciarni i zamówić wieniec, jeden wspólny duży wieniec ode mnie i moich rodziców zamiast trzech małych — z czerwonych róż, jej ulubionych kwiatów. Potem musimy odbyć rozmowę z pastorem, który odprawi nabożeństwo żałobne i który traktuje nas

chłodno i wyniosłe, gdyż babcia chodziła do kościoła tylko na śluby, kościół oznaczał bowiem dla niej co najwyżej celebrę i okazję, żeby obejrzeć pannę młodą w białej sukni.

W końcu wracamy do jej małego białego mieszkania. I chociaż uporaliśmy się gładko z biurokracją śmierci — wszyscy z wyjątkiem pastora byli mili i pełni zrozumienia, brali nasze karty kredytowe z wyrazem autentycznego współczucia na twarzy, mówiąc, co powinniśmy zrobić dalej, wskazując, jaki powinien być następny przystanek naszej wędrówki — nie wiemy, jak się zachować w jej domu.

Te białe ściany zawierają świadectwo całego życia. Ubrania, fotografie, płyty, pamiątki przywiezione przez nią z Hiszpanii, Grecji, Irlandii i Hongkongu. Ojciec i ja stoimy bezradnie, nie wiedząc, czy te rzeczy są skarbem, którego nie należy się wyzybywać, czy też rupieciami, których miejsce jest na wysypisku śmieci.

Jej rzeczy.

Chcę zachować je wszystkie, ale wiem, że to absurd. Ubrania możemy oddać do Oxfam. Być może również część mebli. Decydujemy, że ja zatrzymam płyty, a ojciec może zabrać fotografie, ale nawet to nie jest takie proste.

Tato otwiera album starych czarno-białych zdjęć z czasów jeszcze przed jego urodzeniem i chociaż poznaje swoją matkę, ojca, wujów i ciotki — ich dorosłe fizjonomie nakładają się na uśmiechnięte dziecinne twarze — wiele osób z albumu to dla niego ludzie zupełnie obcy. Nigdy ich nie spotkał, nigdy nie pozna ich nazwisk. Nie teraz.

To wspomnienia mojej babci. Niczyje inne.

Za wcześnie myśleć o Oxfam, za wcześnie myśleć o wywiezieniu wszystkiego na śmietnik. Może za parę dni.

Na razie wybieram jedną rzecz, żeby przypominała mi o mojej babci. Dla mnie to jej kwintesencja.

Biorę buteleczkę jaskrawoczerwonego lakieru do paznokci o nazwie Temptation. Nalepiona jest na niej zachęta, dobra rada, filozofia. „Przyszpil go”. Wyobrażam sobie babcię malującą

paznokcie gdzieś w latach siedemdziesiątych i po raz pierwszy tego dnia uśmiecham się.

Uroczą. Była uroczą.

Chociaż widnieją na nich nieznane twarze, ojcu najwyraźniej nie dają spokoju fotografie. A jest ich mnóstwo. Albumy z narysowanymi na okładce szalowymi babkami z lat siedemdziesiątych. Pudła do butów z wyblakłymi kolorowymi zdjęciami. Kolejne albumy z sennymi rybackimi wioskami na okładce i czarno-białymi fotografiami z lat czterdziestych i pięćdziesiątych w środku. Dawne czarno-białe zdjęcia, pozółkłe ze starości i oprawione w szkło, z czymś, co przypomina kolczugę, do zawieszenia na ścianie. Niezliczone fotografie wciąż tkwiące w kopertach, w których przysłano je z laboratorium.

Wszystkie te wesela. Święta, urodziny, niedzielne popołudnia. Wszystkie te cudze istnienia.

Ojciec znajduje album z wycinkami. Dotyczą jego, jego kariery i sukcesu. Zaczyna się od jego dawnych artykułów zamieszczanych w prasie sportowej i dochodzi do „Pomarańczy na Boże Narodzenie”, kiedy to on stał się bohaterem artykułów.

Ojciec robi wrażenie wzruszonego, zażenowanego. Nie, robi wrażenie zagubionego. To oczywiste, że nie miał pojęcia o istnieniu tego albumu, nie miał pojęcia, że matka była z niego taka dumna. Wydaje się... nie wiem, co to jest. Może zawstydzony. Albo samotny. Tak, to jest to. Ojciec wydaje się samotny.

I widzę, że nikt na tym świecie nie jest tak naprawdę samotny, dopóki nie umrą mu rodzice.

37.

Kiedy wracam z kremacji mojej babci, widzę na komórcie wiadomość od Jackie. Prosi, żebym do niej pilnie zadzwonił. To dzień egzaminu. Dla moich uczniów ze szkoły Churchilla oraz dla Jackie. Słyszę w jej głosie podniecenie i wydaje mi się, że to dlatego, iż jest o krok od spełnienia wszystkich marzeń.

Ale nie mam racji.

— Alfie?

— Wszystko w porządku. Gotowa do egzaminu?

— Nie przystąpię do tego egzaminu.

— Co? Dlaczego nie?

— Chodzi o Plum.

— Co się z nią stało?

— Uciekła z domu.

Egzamin z angielskiego odbywa się w college'u niedaleko King's Cross.

Na korytarzu jest pełno studentów — nerwowych, pewnych siebie i tych, którzy porzucili już wszelką nadzieję. Wśród nich jest Jackie, starsza od pozostałych, przestraszona z innych powodów, które nie mają nic wspólnego z egzaminem i zdobyciem zaliczenia, ubrana zbyt oficjalnie jak na kogoś, kto ma

dzisiaj zdawać. Czeka na mnie tuż przy drzwiach sali egzaminacyjnej.

Jej egzamin zaczyna się o trzeciej. Zostało mniej niż pięć minut, ale ona nawet o tym nie myśli.

— Zadzwonili do mnie ze szkoły. Chcieli wiedzieć, gdzie ona jest. Potem dostałam od niej wiadomość, na komórkę. Poinformowała, że musiała uciec. Nie ma jej, Alfie.

— Może jest u swojego taty? U jakiejś przyjaciółki?

— Nie ma jej u taty. Teraz, kiedy zmarła twoja babcia, nie ma żadnych przyjaciółek.

— Znajdę ją, dobrze? — Patrzę na zegarek. Dochodzi trzecia. — Teraz musisz tam wejść. Naprawdę musisz. Jeśli tego nie zrobisz, stracisz swoją szansę.

— Jak mogę to zrobić? Jak mogę myśleć o tych głupotach, kiedy zginęła moja córka?

— Ona wróci. Nie możesz machnąć na to ręką.

— Nic mnie to teraz nie obchodzi. Dyplom, Carson McCullers, wiersze pisane przez starych smutasów, którzy nie poznali miłości, nawet gdyby im odpadło suspensorium. To wszystko moja wina. Nie wiem, co sobie myślałam. Nie wiem, co ja z tobą robiłam. Studiowanie emocji w dramatycznym ekstrakcie i cała reszta tych starych... to była żalosna strata czasu. Powinnam była myśleć o córce.

— Myślisz o swojej córce. Myślisz o niej przez cały czas.

— Co jest złego w życiu, które prowadzę? Co jest w nim złego? Chciałabym to wiedzieć.

— Przestań, dobrze? Takie gadanie nie pomoże jej i nie pomoże tobie. Wejź tam i postaraj się, jak możesz najlepiej. Ja ją znajdę. Nic jej się nie stanie. Obiecuję.

— Chcę tylko odzyskać moją córkę.

— Odzyskasz ją. Po prostu tam włącz.

Jackie opiera ręce o boki.

— Czy mówisz do psa? Za kogo ty się uważasz? Zdaje ci się, że z kim rozmawiasz? Nie jesteś moim mężem.

— Wejdź tam, Jackie.

Patrzy na mnie krzywo, jakby to była, moja wina. Moja, moich książek i cynicznych przyjaciół. Płoną jej oczy i zaciska wargi, żeby nie drżały. Jednak rusza powoli wraz z innymi studentami w stronę sali egzaminacyjnej, wpatrując się we mnie z płacziwą wrogością aż do chwili, kiedy zamykają się za nią drzwi.

A ja ruszam w miasto, na poszukiwanie Plum, nadal ubrany jak na pogrzeb.

Idę na Leicester Square, krzykliwe, cuchnące serce West Endu, i zaglądam w twarze dzieciom kryjącym się w bramach, włóczącym się po parku, koczującym na ulicy. Plum tam nie ma.

Ruszam więc Charing Cross Road w stronę Strandu, z jakiegoś powodu ulubioną ulicą bezdomnych dzieci, i pokonuję cały odcinek od dworca kolejowego aż do Savoyu. W bramach jest wielu nastolatków ze śpiworami. Nie ma Plum.

Kieruję się na północ, do Covent Garden. Na ulicy mnóstwo dzieciaków, tylko nieliczne wyglądają na bezdomne. Wloką swoje śpiwory po *piazzzy*, ignorując zonglerów, grajków, a także mimów, którzy cieszą się największym powodzeniem u turystów i przez których cała reszta ma ochotę podciąć sobie żyły. Gapię się na jakiegoś głupka, którego pomysłem na zarobienie szmału jest to, że się nie porusza, nie porusza się nawet na centymetr, i zdają sobie sprawę, że Plum może być wszędzie. Nie musi nawet być w Londynie.

Dzwoni moja komórka. To Jackie. Mówię, że nie mam nowych wiadomości, niech się nie martwi, wraca do Bansted i czeka na mój telefon.

Chce pomóc mi w poszukiwaniach, ale przekonuję ją, że jedno z nas powinno być w domu i czekać przy telefonie na wypadek, gdyby Plum zadzwoniła. Niechętnie przyznaje mi rację.

Naturalnie — mnie w każdym razie wydaje się to naturalne' — chcę dowiedzieć się, jak poszedł egzamin. Jackie nie chce o tym w ogóle mówić. Wścieka się, kiedy nalegam, zachowując się tak, jakby cała ta strona jej życia — chęć pójścia na studia, miłość do książek, marzenie o dyplomie, traktowanie wierszy, sztuk i powieści, jakby były najważniejszymi rzeczami na świecie — stanowiła przyczynę jej obecnych kłopotów.

Tak jakby człowieka można było ukarać za marzenia.

Z zapadnięciem zmroku miasto się zmienia.

Pracownicy biur idą do domu i w Soho, Covent Garden i na Oxford Street pojawiają się imprezowicze. Nie bardzo ją tutaj sobie wyobrażam — w tym miejscu, gdzie ludzie piją markową kawę, głośno się śmieją i prowadzą puste rozmowy. To nie w stylu Plum.

Zaczynam więc penetrować dworce, zaczynając od wschodu, od Liverpool Street, gdzie przychodzą pociągi z Bansted, i stopniowo przemierzając całe miasto. London Bridge, King's Cross, Euston. Wszystkie wielkie stacje obsługujące główne kierunki. Potem na zachód. Paddington, Victoria. W każdym zakamarku tych wielkich hangarów widzę żalosne grupki dzieci z plecakami i śpiworami, ale trudno mi powiedzieć, które są bezdomne, a które czekają po prostu na pociąg do domu. Później, koło północy, to staje się bardziej oczywiste. Te, które wracają do domu, oglądają tablice odjazdów, te, które nie wracają, nie patrzą na nic albo ostrożnie obserwują mężczyzn, którzy kryją się w cieniu i zerkają na nie, czekając na zachętę. Na żadnym dworcu nie ma śladu Plum.

Chcę zadzwonić do Jackie, kiedy nagle uświadamiam sobie, że zapomniałem o St Paneras, wiktoriańskim weselnym torcie niedaleko Euston.

Nie ma szczególnego powodu, dla którego miałyby schronić się akurat na St Paneras, z wyjątkiem faktu, że jego wieżyczki,

iglice i zwieńczone ostrymi łukami okna przypominają zamek z bajki, miejsce, gdzie wszystko w końcu dobrze się kończy. Nie ma szczególnego powodu, dla którego miałyby schronić się akurat na St Paneras z wyjątkiem faktu, że ten dworzec tak bardzo różni się od innych. Zupełnie jak Plum.

St Paneras jest mniejszy od innych dworców, mniej nowoczesny i odhumanizowany, bardziej zbliżony rozmiarami do stacji na dalekich przedmieściach, takich jak Bansted, aniżeli do tych bezdusznych świeckich katedr, które stoją w centrum. Ale oczywiście jej tam nie ma. Robi się bardzo późno i ludzie spieszą do ostatnich pociągów. Mam już zamiar skończyć i zadzwonić do Jackie, powiedzieć, żeby zawiadomiła policję, kiedy mój wzrok pada na kabinę do robienia zdjęć.

Obok brudnej pary butów leży książka. Książka, którą podarowałem Plum. „Poczuj woń strachu, męska dziwko” Drągala. Pukam w ścianę kabiny i odsuwam zasłonkę. Leży tam, pogrążona w głębokim śnie, ze spadającymi na twarz włosami. Mówię do niej po imieniu i budzi się.

— Dlaczego jesteś tak ubrany? — pyta.

— Z powodu babci.

— Aha.

— Twoja mama bardzo się o ciebie martwi.

— Nie mogłam tego dłużej wytrzymać. Tego już było za wiele. Nikt by tego nie zniósł.

— Sadie i Mick. I ich mały gang.

— Zrobiło się jeszcze gorzej po tym, jak przyszedłeś do szkoły.

— Przykro mi, Plum.

— Bez przerwy mi dogryzali. Na temat mojego starego chłopaka. Bardzo starego chłopaka. Gdzie go poznałaś, Plumpster? — pytali. Czy on przywozi posiłki obłożnie chorym? Powiedziałam im, że jesteś nauczycielem, a oni pękali ze śmiechu.

Mick powiedział, że wyglądasz jak nauczyciel, który nie uczy już żadnego przedmiotu.

– Sukinsyn. Nie jestem wcale taki stary.

– Wiem. Jesteś dopiero w średnim wieku.

– Dzięki, Plum. Tysięczne dzięki.

– Nie ma za co.

– Przykro mi, jeśli przeze mnie zaczęli ci jeszcze bardziej dokuczać. Nie chciałem tego.

– Wiem. Chciałeś mi tylko powiedzieć o swojej babci. Cieszę się, że to zrobiłeś. To nie twoja wina. Gdybyś nie przyszedł, czepialiby się o coś innego. Każdy pretekst jest dobry. Dla takich jak oni każdy pretekst jest dobry.

– Więc dokąd się wybierasz?

Plum wzrusza ramionami, odgarnia włosy z twarzy i zerka na tablicę odjazdów, jakby miała bilet w kieszeni.

– Nie wiem. Wszędzie jest lepiej niż w Bansted.

– Nie jestem tego taki pewien. Jesteś tam kochana. To twój dom. Niełatwo jest znaleźć sobie inny. Uwierz mi. Możemy wrócić do domu? Do twojej mamy?

Znowu wzrusza ramionami, wydyma wargi, potrząsa grzywką.

– Mnie się tu podoba.

– Podoba ci się ta kabina?

– Tak.

– To wygodna kabina fotograficzna, prawda?

– Jest w porządku.

– Naprawdę?

– Jak na kabinę. Nic specjalnego. Przestań się mnie czepiać.

Podnoszę jej książkę.

– Nadal jesteś fanką Drągala?

– Jasne.

– Zaczynam się do niego przekonywać. Nie jest takim złym wzorem do naśladowania dla dorastającej dziewczyny. – Kartkuję z mądrą miną „Poczuj woń strachu, męska dziwko”. – Podoba ci się to, co Drągal ma do powiedzenia na temat ludzkiego postępowania?

— Chyba tak. Jeszcze bardziej podoba mi się to, że kopie drani w kaczy kuper.

— Racja, racja. No więc, co zrobiłby Drągal w takim momencie?

— O co ci chodzi?

— Gdyby go zaczepiali. Co zrobiłby stary poczciwy Drągal? Czy uciekłby i spał w kabinie fotograficznej? Czy stanąłby twarzą w twarz z mendami, którzy go prześladują?

— Daj spokój. Nie jestem chyba Drągalem? Jestem tylko tłustą oferumą. On jest więcej niż Supermanem. Dlatego jest taki wyjątkowy.

— Osobiście uważam, że jesteś twardsza od niego. Uważam, że jesteś silniejsza, lepsza, dzielniejsza.

— Oszalałeś.

— Zniosłaś w życiu dużo draństwa. Rozwód rodziców. Problemy między nimi po tym, jak się rozeszli. To, że twoja mama wypruwa z siebie żyły, żeby was utrzymać. Napaści ze strony Micka, Sadie i wszystkich tych gnojzków, którzy z nimi trzymają. Nie zniosłabyś tego, gdybyś była tchórzem. Myślę, że masz w sobie więcej odwagi niż Mick i Sadie razem wzięci. Wszyscy ci, którzy znęcają się nad innymi, to tchórze. Uważam też, że jesteś o wiele miłsza.

— Bycie miłym niewiele ci da. Miłemu włożą na głowę. Miły obrywa najwięcej.

— Nie wiem. Spójrz na moją babcię. Chyba nie kochaliśmy jej dlatego, że mogła spuścić łomot wszystkim innym emerytom. Że potrafiła wcisnąć się bez kolejki do autobusu. Nie dlatego chyba ją kochaliśmy?

— Chyba nie. Więc jak się udało... jak to się nazywa... spalanie zwłok?

— Kremacja. W porządku. Lepiej być nie mogło. Mnóstwo ludzi. Twarze, których nie widziałem od lat. Jak we śnie, naprawdę, wszystkie te twarze, które pamiętam, zgromadzone w jednym miejscu. A także ludzie, których nie znam. Sąsiedzi, przyjaciele. Ilu ona miała przyjaciół, Plum. Jaką cieszyła się

sympatią. Nawet miłością. Budziła wiele miłości. I wszędzie były kwiaty. Zagrali „Abide With Me”. Jej ulubiony hymn. I „One For My Baby” Sinatry.

— To takie przygnębiające, ta cała stara muzyka.

— A czego się spodziewałaś na pogrzebie? *I'm horny, horny, horny tonight?* Było jak trzeba. Powinnaś przyjść. Sama byś zobaczyła.

— Nie lubię pogrzebów.

— To sposób, żeby kogoś pożegnać.

— Nie lubię pożegnań.

— Nikt nie lubi. Ale takie jest życie. To ciąg powitań i pożegnań. — Myślę o wypychaniu rąk z George'em w parku, o nauce poruszania się w zgodzie ze zmianami, które napotykamy, czy tego chcemy, czy nie, o odnajdywaniu odwagi, by stać się tym, kim musimy się stać. — Myślisz, Plum, że jesteś jedyną osobą, która kiedykolwiek czuła się tak, jak czujesz się w tej chwili. Tak czuje się wiele osób. O wiele normalniejsze jest bycie wystraszonym, samotnym i smutnym niż kimś w rodzaju Micka czy Sadie. Albo Dągala. To nie ty jesteś odmieńcem, lecz oni. Wiem, że może ci się wydawać, że ta udręka nigdy się nie skończy. Ale ona się skończy. — Odgarniam jej włosy z twarzy i widzę łzy. — Co się stało, Plum? O co chodzi?

— Brakuje mi jej. Brakuje mi twojej babci.

— Mnie też jej brakuje. Byłaś dla niej wspianała. Dzięki tobie naprawdę żyło jej się lepiej. To, jak się nią opiekowałaś... niewiele osób w twoim wieku potrafi coś takiego. Niewiele osób w moim wieku. Możesz być z tego dumna.

— Robiłam to tylko dlatego, że ją lubiłam. Była zabawna. — Plum po raz pierwszy się uśmiecha. — Mała starsza pani, która lubiła sport z elementami rozrywki. Była w porządku.

— Ona też cię lubiła. Patrzyła na ciebie w sposób, w jaki nigdy nie będą patrzeć Mick i Sadie i reszta tych gnojzków. Widziała w tobie kogoś, kim rzeczywiście jesteś.

— Naprawdę tak myślisz? Czy po prostu chcesz mnie wywabić z tej kabiny fotograficznej?

— Naprawdę tak myślę. Słuchaj, może już pojedziemy do domu, do twojej mamy?

— Możemy posiedzieć tutaj jeszcze przez chwilę? Po prostu posiedzieć w milczeniu?

— Tak długo, jak sobie życzysz, Plum.

38.

Ten nowozelandzki ogrodnik najwyraźniej czuje miętę do mojej matki. Tak między nami, zastanawiam się, co Julian — cóż to za imię dla Nowozelandczyka — ma naprawdę na myśli, kiedy opowiada jej o kontroli ptasiej populacji i o granicach rozgałęzień.

Kontrola ptasiej populacji i granice rozgałęzień, myślę, obserwując ich oboje w ogrodzie. Znamy się na takich numerach, Julian.

Późna wiosna przechodzi w lato, a on stale chwali mamę za to, jak dobrze zna się na ogrodzie, z jakim znanstwem kompostuje ziemię, jak świetnie wie, kiedy co ma zrobić.

To prawda, że matka wie dużo na temat roślin, kwiatów i całej reszty. A on traktuje ją z szacunkiem. To muszę mu przyznać. Jeśli mama siedzi w kuchni, popijając herbatę z Joyce albo ze mną, nie wejdzie do środka bez pukania. Siedząc przy kuchennym stole, słyszymy ciche pukanie, nawet jeśli drzwi są już otwarte. A potem Julian staje w progu z opaloną piersią, która wystaje spod czarnej koszulki rugby, i gapi się z głupawą miną na mamę.

— Czy ten facet do ciebie startuje? — pytam któregoś dnia, kiedy matka i ja jesteśmy sami. — Ten cały Julian?

Matka śmieje się niczym nastolatka.

— Julian? Startuje do mnie? A cóż to ma znaczyć? To samo co robić słodkie oczy?

— Wiesz dokładnie, co to znaczy. Znasz młodzieżowy slang lepiej, niż ja kiedykolwiek go poznam. Dzięki szkole Nelsona Mandeli. I twoim dzieciakom.

— Oczywiście, że do mnie nie startuje. Rozmawiam z nim godzinami. O ogrodzie.

— Gapi się na ciebie.

— Co takiego? — Mama świetnie się bawi.

— Jakby się w tobie zabujał.

A ja jestem jednocześnie szczęśliwy i skonsternowany. Podobają mi się to, że matka nie odgradziła się od świata. Nie mogę jednak udawać, iż cieszę się na myśl, że będzie chodziła na randki i że jakiś stary pomarszczony ogrodnik wbije paluchy w jej czarnoziem.

— Zaprosił cię już gdzieś?

— Zaprosił? Masz na myśli obiad, kino albo coś w tym rodzaju?

— Tak.

— Jeszcze nie.

— Jeszcze nie? Ale myślisz, że to może zrobić? Myślisz, że może do tego dojrzeć?

— Nie wiem.

— Skoro mówisz „jeszcze nie”, zakładasz, że to może się zdarzyć.

— Chyba tak, kochanie.

— Widziałem, jak na ciebie patrzy. Jezu Chryste, mamo. — Czy w kieszeni swoich bojówek ma motyczkę, czy po prostu cieszy się na jej widok? — Myślę, że definitywnie do tego dojrzeje.

Matka wyciąga rękę przez stół i dotyka mojej dłoni. Już się ze mnie nie śmieje. Na jej ustach pojawia się bardzo łagodny uśmiech.

— Nie martw się, kochanie. Skończyłam z tym wszystkim.

Nie chce przez to powiedzieć, że skończyła z chodzeniem na

kolację albo do kina. Chce powiedzieć, że skończyła z seksem, amatorami, bliskimi związkami i całą resztą. Nie jestem tego taki pewien.

Im jestem starszy i im więcej o tym myślę, tym mocniej zdaję sobie sprawę, że nigdy z czymś takim nie kończymy.

W małym wynajętym mieszkaniu ojca czuje się, że mieszka tu samotny mężczyzna. Nie ma w nim oznak wspólnego, dzielonego z kimś życia. Lena nie pozostawiła żadnych śladów.

Ostatnio zachodzę do niego mniej więcej raz w tygodniu. Mieszkanie jest trochę za małe, żeby w nim siedzieć, więc idziemy do małej chińskiej restauracji za rogiem, gdzie naprawdę wiedzą, jak przyrządzić kaczkę po pekińsku, i gdzie wszyscy kelnerzy mówią z mocnym londyńskim akcentem.

Patrzę na tych chłopaków z twarzami z Chin i głosami z Finchley i mam wrażenie, że w dzisiejszych czasach świat jest po prostu jednym miejscem.

Mieszkanie ojca nie jest już takie smutne. Zapytałem go kiedyś, co ostatecznie poszło nie tak między nim a Leną. Odparł, że ona chciała iść potańczyć, podczas gdy on chciał oglądać golf na kanale Sky. Teraz nikt nie może mu zabronić oglądać golfu. To niewiele, móc oglądać golf na Sky, być może nie to, o czym marzył, ale lepsze niż nic.

Może puszczać muzykę tak głośno, jak chce. Marvinę Gaye'a i Tammi Terrell. Smokeya Robinsona i Miracles. Dianę Rose i Supremes. Nie ma już nikogo, kto mówiłby mu, że nie nadąża za współczesnością. Nadal lubi te wszystkie *baby, baby, baby, where did our love go?*

Spędza długie godziny, sortując pudełka z fotografiami, które znaleźliśmy w mieszkaniu babci.

Wszystkie te pudełka po butach, popękane i podarte albumy z lat czterdziestych i pięćdziesiątych z angielskimi wioskami rybackimi na okładce i te z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych z obrazkami sarniookich kociaków.

Niektóre twarze na fotografiach nadal stanowią zagadkę. Inne zna tak samo dobrze jak własną. Ale te znajome też kryją w sobie zagadkę. Wpatruje się w nie bardzo długo, rozmyślając o nich, rozmyślając, jak trafił z zatłoczonych uliczek East Endu w to ciche miejsce wśród zielonych wzgórz północnego Londynu. Ciche, jeśli nie gra akurat Smokey Robinson i Supremes.

Nie pisze. Nadal jeszcze do tego nie dojrzał. Widząc, jak otaczają go te wszystkie wspomnienia rodziców, wspomnienia domu, gdzie dorastał, wszystkie te okruciny i skrawki życia, które dawno temu odeszło w przeszłość, ale jakoś się do niego przykleiło, życia, z którym nigdy tak naprawdę nie zerwał, myślę, że chyba znowu zacznie pisać i że stanie się to bardzo nie-długo.

Ponieważ ojciec uświadomił sobie, że jeśli ma zamiar kontynuować, to musi wrócić do samego początku.

Na skraju parku widzę George'a.

Jest zupełnie sam. Nie ma przy nim pozerów z wielkich finansowych korporacji, którzy gędzą o redukowaniu stresu i myślach wyrrywających się z pudełka. Nie ma hippisów z *tofu* w miejscu mózgu, rowerowymi klamerkami i sandałami na nogach, którzy myślą, że można się nauczyć *tao* w ciągu dwóch łatwych lekcji. I nie ma mnie. Wszyscy go opuściliśmy. Wszyscy ci pełni dobrych chęci wielkonosi białasi. Jest sam — zupełnie jak pierwszego dnia, kiedy go zobaczyłem.

W ręku trzyma obosieczny miecz; z jego rękojeści zwisają czerwone i białe wstążki. Zatrzymuję się i patrzę, jak George Chang ćwiczy pozycję z bronią.

Nagle staje na jednej nodze, przekłada za plecami miecz z jednej ręki do drugiej, obraca się z niewiarygodną szybkością i gracją, zatacza ostrzem krąg nad głową — czerwone i białe wstążki oplatają na sekundę jego szyję — osuwa się na kolana,

po czym wstaje z mieczem wycelowanym w szyję wyimaginowanego przeciwnika i ma się wrażenie, jakby jego ruchy zlewały się w jeden płynny gest, jakby klinga tknęła srebrną nitkę w jego rękach.

Żałuję, że Plum nie może tego widzieć. Czuję, że pod pewnym względem, którego nie do końca rozumiem, George Chang jest tym, czego szuka przez całe życie.

Spełnionym marzeniem o Dągałku.

Kiedy kończy, podchodzi do niego. Dręczy mnie poczucie winy. Może inni mogą opuszczać z czystym sumieniem jego lekcje, ale mnie nie jest z tym łatwo.

— Przepraszam, że nie spotykałem się z tobą przez jakiś czas, George. Byłem taki zajęty. Egzaminami i innymi rzeczami.

George kiwa głową, ale w tym geście nie ma oskarżenia ani niechęci. Tak jakby moje zniknięcie z parku było normalną rzeczą, jakiej można się spodziewać po wielkonosym białasie.

Patrząc, jak wkłada miecz do długiego skórzanego futerału, ponieważ nie można chodzić ulicami północnego Londynu z obosiecznym mieczem w dłoni, uprzytamniam sobie nagle, dlaczego chciałem nauczyć się *tai chi* Od tego mężczyzny. Nie ma to dużo wspólnego z rozładowaniem stresu, odchudzaniem się i nauką prawidłowego oddechu. Mimo przekonania, że akt wypychania rąk odmienił mój świat, moje życie, moją przyszłość, nie ma to również dużo wspólnego z uczeniem się, jak akceptować zmianę.

Chciałem być taki jak on.

To takie proste.

Spokojny, ale nie pasywny. Silny, ale nie agresywny. Człowiek rodzinny, ale nie kanapowe warzywo. Z dobrym sercem w zdrowym ciele. To są rzeczy, których miał mnie nauczyć George Chang, ponieważ wiedziałem, że nigdy nie nauczy mnie ich rodzony ojciec.

— Ja też byłem zajęty — mówi, jakby czytał w moich

myślach. — Mój syn z żoną wyprowadzają się. Dużo spraw do załatwienia.

Nie wierzę własnym uszom. Jeśli jest coś, w co nigdy nie wątpiłem, to że ich mała rodzina jest opoką. Bardziej niż cze-
gokolwiek chciałem właśnie tego. Rodziny, która jest opoką.

— Harold i Doris opuszczają Shanghai Dragon?

George kiwa głową.

— Żona mojego syna uważa, że to złe miejsce. Dużo pijaków. Robią siusiu w bramach i biją się. Dużo miłych domów i dużych pieniędzy, ale także dużo ludzi śmieci.

Niedobre miejsce, żeby wychowywać dzieci, myśli żona mo-
jego syna. — Wskazuje głową przedmieścia. — Chce się prze-
nieść do Muswell Hill albo Cricklewood. Otworzyć własną re-
staurację. Porządne nowe szkoły dla Diany i Williama. Nikt nie
robi siusiu w bramie i nie grozi, że przestawi ci kaczy kuper.

Jestem oszołomiony.

— I Harold nie ma tu nic do powiedzenia? W sprawie Mu-
swell Hill i nowych szkół dla dzieci? W kwestii odejścia z Shan-
ghai Dragon? Po prostu się na wszystko godzi?

— A co może zrobić? Ona jest jego żoną. Musi jej słuchać.
Nie jesteśmy już w Chinach.

— Ale to dla ciebie takie trudne, George. Dla ciebie i dla
Joyce. Nie tylko z powodu dodatkowej pracy. Nie tylko dlatego,
że będziecie tęsknić za dziećmi. Twoja rodzina zostanie rozbita.

— Rodziny się zmieniają. Moja żona i ja musimy zrozumieć.
Mój syn, jego żona, ich dzieci, to nowa rodzina. Rodzina roz-
pada się, a potem powstaje jako coś nowego. Muswell Hill...
nie wiem. Nigdy nie byłem. Słyszałem, że to miłe miejsce. Mnie
podoba się tutaj. Może dla nich to dobry pomysł. I ich rodziny.

George Chang patrzy ponad drzewami, jakby myślał o czys-
tych ulicach Muswell Hill i chińskich restauracjach, gdzie ża-
den pijak nie grozi, że przestawi ci kaczy kuper. O przyszłości,

której nie może sobie do końca wyobrazić. A potem obraca się do mnie z uśmiechem.

— Rodzina to zabawna rzecz — mówi. — Nawet najlepsza nie jest wykuta z kamienia.

Koncert *karaoke* szkoły Churchilla odbywa się w małym wynajętym pokoju na tyłach japońskiej restauracji w Soho.

Wszyscy moi uczniowie gromadzą się w tej małej pozabawionej okien klitce, a facet, który prowadzi restaurację i który nie jest Japończykiem, lecz kantończykiem, podłącza maszynę do *karaoke*. Chińczycy i Japończycy, Yumi i Hiroko, Gen i Zeng, rzucają się na menu z piosenkami, szukając tych, które pragną zaśpiewać, podczas gdy reszta, Witold i Vanessa, Astrud i Imran, Hamisz, Lenny i ja, zamawiamy drinki i zastanawiamy się, jak uda nam się przebrnąć przez to w miarę bezboleśnie. Zerkamy na spis piosenek. Jesteśmy w świetle, gdzie utwory „Take That” uważane są za złote szlagiery.

Yumi, Hiroko i Gen są zachwyceni menu, ponieważ pełno tam japońskich przebojów, ale Zeng jest gorzko rozczarowany faktem, że chociaż właściciel jest kantończykiem, brakuje w nim chińskich standardów. Traktuje to jako narodowe upokorzenie na miarę co najmniej wojny opiumowej, ale po chwili rozchmurza się i śpiewa uduchowioną wersję „Do It To Me One More Time”, która według naszej zgodnej opinii jest lepsza od oryginalnej Britney.

Japończycy, to rozkosznie powściągliwe plemię, śpiewają w ogóle bez żadnych zahamowań i widzę, że Hamisz ma rację: *karaoke* jest ujściem dla emocji w społeczeństwie, gdzie emocje nie mają prawa dominować, w społeczeństwie po drugiej stronie planety, gdzie nadal szanuje się ludzi za to, że trzymają fason.

Yumi ma słodki silny głos, a Hiroko, chociaż nie śpiewa tak dobrze, wkłada w to mnóstwo uczucia i nie bardzo chce oddać

mikrofon. W końcu trzeba go jej wrywać. Obie wykonują tę samą słodką piosenkę, „Can You Celebrate?” Namie Amuro.

– Japońska Madonna – wyjaśnia mi Yumi.

– Bardzo popularna na weselach – dodaje Hiroko.

Ci z nas, którzy nie są Japończykami ani Chińczykami, nie mogą konkurować z azjatyckim kompletnym brakiem zahamowań wobec mikrofonu, ale po zespołowej wersji „Knowing Me, Knowing You” Abby trochę się rozluźniamy. Lenny prezentuje uduchowioną, jeśli nie groteskową wersję „Do Ya Think I’m Sexy” Roda Stewarta, a Hamisz wykonuje w tak wzruszający sposób „Smalltown Boy” zespołu Broński Beat, że nawet Lubieżny Lenny słucha go w pełnym szacunku milczeniu. Potem przychodzi kolej na mnie.

Na koncertach *karaoke* trzymam się na ogół Elvisa. Udając Presleya, można zawsze uciec się do drżącego kpiąco barytonu i jodłować „Can’t Help Falling in Love With You”, „Always On My Mind” lub „Love Me Tender”, nie wychodząc przy tym na kompletnego idiotę.

Dzisiaj decyduję się na piosenkę Sinatry, tę, w której facet siedzi w barze tuż przed jego zamknięciem i chce się desperacko podzielić z kimś swoją opowieścią. „One For My Baby”.

*Nigdy byś się nie domyślił,
Ale, chłopie, jestem jakby poetą.*

Ta linijka zawsze przypomina mi o marzeniu, które hołubiłem chyba w swoim poprzednim życiu, marzeniu, żeby zostawić po sobie jakiś ślad na tej ziemi. Żeby robić to, co robił przede mną mój ojciec. Być pisarzem.

Nie, myślę sobie, patrząc na błyszczące twarze moich uczniów. To nie było marzenie.

To był plan.

Jackie zdaje śpiewająco egzamin i dostaje się na uniwersytet. Jestem z niej dumny i jednocześnie zmartwiony. Już mnie więcej nie potrzebuje.

Chce zjeść ze mną obiad, żeby to uczcić, i mówię, że zapraszam ją do Shanghai Dragon. Jackie upiera się, że to ona funduje, i chce zjeść gdzieś w centrum, w małej włoskiej knajpce w Covent Garden, gdzie, jak słyszała, mają muzykę na żywo. Kiedy tam docieramy, muzyka na żywo okazuje się problemem. Jest tylko akordeon, dwie gitary i śpiewak w średnim wieku, ale grają na pełen regulator.

Zespół chodzi między stolikami z obrusami w białoczerwona kratę, wykonując „Volare”, „In Napoli” i „That's Amore” tak donośnie, że człowiek nie bardzo słyszy własne myśli. To jednak jeden z tych wieczorów, kiedy małe przykre detale nie są w stanie popsuć ci nastroju.

Jackie zdała egzamin. Spełniło się jej marzenie.

— Co teraz będzie? — mówię. Właściwie krzyczę.

— Likwiduję Machinej Marzeń — odkrzykuje. — Doszłam do wniosku, że dość czasu spędziłam już na kolanach. Kiedy zacznie się semestr, znajdę sobie jakąś pracę na pół etatu, która nie będzie mi przeszkadzała w nauce. A potem skończę studia i będę żyła długo i szczęśliwie — dodaje, podnosząc w górę kieliszek z czerwonym winem.

— Kiedy cię znowu zobaczę?

Jackie potrząsa głową i z początku myślę, że mnie nie usłyszała.

Ale ona bardzo dobrze mnie słyszy.

Zespół podchodzi do naszego stolika i natychmiast zaczyna rzępolić stary przebój Deana Martina „Return to Me”, choć w ich wykonaniu wyraźnie słyszę „Ritornale”. Jackie i ja po prostu na siebie patrzymy. Jest zbyt głośno, żeby dalej rozmawiać. A potem Jackie zaczyna się śmiać — odchyła do tyłu śliczną głowę i śmieje się w ten typowy dla siebie sposób, i wkrótce ja śmieję się także, ale nadal chcę, żeby przestali grać.

— Proszę, chłopcy — mówię. — To moja uczennica. Jestem jej nauczycielem. Uszanujcie świąty związek między nauczycielem i uczniem. Uciszcie się na chwilę, dobrze?

Ale oni nie reagują. Grają dalej „Return to Me”, jakbyśmy byli kochankami. Nie, nie kochankami. Kimś więcej. Jakbyśmy byli razem.

— KIEDY CIĘ ZNOWU ZOBACZĘ? — ryczę.

W tym momencie zespół przestaje grać.

A ja wrzeszczę na całe gardło w restauracji, w której zapada nagle kompletna cisza.

39.

— Wino, kobiety i trawka — wzdycha Josh, kiedy czekamy na wejście do samolotu lecącego do Amsterdamu. — Brązowe kafejki. Czerwone latarnie. Filmy porno. Ostatnia przygoda, zanim ustatkuję się w ramionach mojej pięknej nowej żony.

Ponieważ wieczór kawalerski Josha ma się odbyć w starym Amsterdamie, spotykamy się w piątek późnym popołudniem przy stanowisku odpraw British Airways — ja, Josh oraz kilkunastu jego kolegów z pracy, wszyscy w garniturach po dniu spędzonym w biurze, trajkoczący z nerwowym podnieceniem o czekającej nas upojnej nocy.

Lot z Londynu na Schiphol trwa tylko czterdzieści pięć minut i wkrótce meldujemy się w hotelu i ruszamy na przechadzkę wzdłuż wysadzanych drzewami kanałów, w których odbijają się wysokie kamieniczki. Wąskie uliczki wypełniają rowery, z kafejek sączy się słodko-kwaśny zapach haszyszu i marihuany.

Z początku jest całkiem spokojnie. Josh zarezerwował duży stół w dobrej indonezyjskiej restauracji i jemy tam kolację. Jego znajomi są hałaśliwi, ale sympatyczni, nie w typie śliniących się bystrzaków, jakich się obawiałem, i w miarę jak mija noc, nastrój robi się prawie, jak mówią Holendrzy, *gezellig*. Swojski.

Jednak po kolacji zaczynają się schody i już nie jest swojsko.

— Poczekaj, aż zobaczysz to miejsce, Alfie — mówi mi Josh, kiedy zatrzymujemy kilka taksówek. — Dziś w nocy zesrasz się z wrażenia, chłopie.

— To nic złego, prawda? Dokąd dokładnie jedziemy? - pytam. Zaczynają mnie dręczyć złe przecucia.

— Zobaczysz — śmieje się.

Naszym celem jest kamieniczka o spadzistym dachu przy wysadzonej wiązami cichej uliczce. Przy brzegu kanału stoją duże mieszkalne barki. Słychać tylko brzęczące w oddali rowerowe dzwonki. Jesteśmy z dala od zgiełku, dziewczyn w oknach i tłumów zwiedzających dzielnicę czerwonych latarni. Stojący przy wejściu do kamieniczki dwaj barczyści mężczyźni w strojach wieczorowych świadczą o tym, że w gruncie rzeczy nie jesteśmy tak daleko.

— Witajcie, panowie — mówią, oceniając jednym spojrzeniem nasze ubrania, stopień upojenia oraz limit kart kredytowych.

Płacimy sto pięćdziesiąt guldenów za samo wejście. Około pięćdziesięciu funtów. Wnętrze jest olbrzymie. Kiedyś musiała tu mieszkać rodzina. Teraz to inny dom. Zdecydowanie nie rodzinny.

Gładki facet w średnim wieku, również w wieczorowym stroju, wyjaśnia nam, ile będzie kosztowało zabranie jednej z dziewcząt do pokoju na górze.

— Josh — mówię, pociągając za rękaw mojego przyjaciela. — To nie jest bar. To burdel.

— Och, nie bądź taki cnotliwy, Alfie. Nie martw się. Ja funduję.

— Ale ja nie chcę...

— Zamknij się i ciesz się życiem. Jeśli nie ze względu na siebie, to ze względu na mnie. Raz w życiu mi odpuść, Alfie. W przyszłym tygodniu się żenię. Ciesz się razem ze mną, dobrze? To najważniejszy dzień w życiu każdego młodego człowieka. Mój wieczór kawalerski.

Wchodzimy do pomieszczenia, które wygląda jak wiktoriańska bawialnia. Mnóstwo perkalu. Potężne kotary zasłaniają okna z zamkniętymi okiennicami. Mnóstwo wielkich miękkich sof, gdzie biznesmeni rozmawiają z młodymi kobietami w ekstremalnie krótkich sukienkach, z mocno umalowanymi twarzami, które wyglądają, jakby były wykute w granicie.

Tym, co sprawia, że pomieszczenie nie przypomina do końca wiktoriańskiej bawialni, jest urządzony po drugiej stronie bar. Stojący za nim czarny mężczyzna mierzy nas beznamiętnym spojrzeniem. Wcześniej, przy wejściu poinstruowano nas, że mamy prawo do kilku darmowych drinków. Te drinki czekają teraz na nas, podczas gdy młode kobiety z twarzami wykutymi w granicie uśmiechają się w stronę naszej podchmielonej grupki, zarzucając przynętę.

My też się do nich nieśmiało uśmiechamy, mile polechtani, tak jakby to nasz osobisty wdzięk sprawił, iż znaleźliśmy się wśród nich, a one opadają nas niczym wysypka, w większości farbowane blondynki, ale również kilka Hindusek, Azjatek z Dalekiego Wschodu oraz Murzynek. Wszyscy zamawiają szampana. Jest zdecydowanie zbyt drogi i zimny. Tak jak kobiety.

Widzę w menu, że butelka szampana i godzina na górze z jedną z dziewczyn kosztują dokładnie tyle samo. Pięćset pięćdziesiąt guldenów. Ponad dwieście funtów. Przyjaciele Josha zaczynają wymachiwać kartami kredytowymi.

Siedząca obok ze skrzyżowanymi nogami wysoka czarna kobieta dmucha mi w twarz papierosowym dymem i zaczyna wystudiowaną niezobowiązującą pogawędkę.

— W jakim hotelu się zatrzymałeś? — pyta. To kurewski odpowiednik „Spod jakiego jesteś znaku?”.

Uśmiecham się grzecznie i odwracam do Josha.

— Nie chcę nikomu popsuć zabawy — mówię.

— Więc nie psuj.

— Ale to naprawdę nie dla mnie.

— Zapomnij o swojej żalostnej nauczycielskiej pensji, Alfie — wzdycha Josh, zapalając cygaro. Tuląca się do niego blondynka mierzy mnie pustym spojrzeniem. — Dziś ja funduję. — Pochyliła się w stronę mojej towarzyszki. — Dobrze obsłużysz mojego przyjaciela, prawda, kochanie?

Czarna dziewczyna uśmiecha się bez krzty humoru i ciepła, tak jakby mogła zjeść Josha na śniadanie, krając go i dosypując do swoich płatków. On tego nie zauważa. Albo nie zwraca uwagi. Przygryza cygaro i obejmuje jedną ręką mnie, a drugą swoją dziwkę o twarzy z nagrobka.

— Skąd wiadomo że twoja żona nie żyje, Alfie?

— Nie wiem.

— Seks jest taki sam, ale w zlewie przybywa niepozomywanych talerzy. Jak się miewa Pani Miotelka?

— Wiesz co? Naprawdę zabawny z ciebie facet.

— Czy nadal spędza sporo czasu, no wiesz, na czworakach? Brudząc sobie paluszki? Próbując rzeczy, których brzydzą się normalne kobiety?

— Zastanawiam się, dlaczego tak bardzo jej nienawidzisz.

— Wcale jej nie nienawidzę, staruszk. Nawet jej nie znam.

— Josh zaciąga się mocno cygarem. — Szczerze mówiąc, nie bardzo mam ochotę poznać. Mam nadzieję, że nie przyjdiesz z nią na wesele.

— Ale ona jest dokładnie taka jak ty, Josh.

— Nie wydaje mi się.

— Chce tylko zmienić swoje życie. Chce znaleźć się w lepszym miejscu niż to, z którego startowała. — Podnoszę w salucie szklankę z piwem. — Dokładnie jak ty, staruszk.

Nawet w przyćmionym świetle wiktoriańskiej bawialni wyraźnie widać, jak ciemnieje mu twarz.

— Co chcesz przez to powiedzieć, staruszk?

— Zmieniłeś swoje życie, nieprawdaż? Zaliczyłeś szkołę wdzięku. Nabrałeś ogłady i gracji, jakich nigdy nie miałeś. Zachowujesz się jak książkę Karol. A nie dorastający bez ojca pierwszy lepszy chłopak z przedmieścia.

Robi taką minę, jakby miał ochotę mnie uderzyć albo wybuchnąć płaczem. A może jedno i drugie.

— Nie masz czego się wstydzić, Josh. W tym, co zrobiłeś, nie ma nic złego — mówię i naprawdę tak myślę. Najbardziej mi się w Joshu ta sama rzecz, której on w sobie nie znosi. — Chciałeś stać się kimś lepszym. Zmienić swoje życie.

Dokładnie tak jak Jackie.

— Wiesz, że ją przeleciałem, nie?

Wybucham głośnym śmiechem.

— Nie sądzę, Josh. Kiedy to się stało? Kiedy poszedłem do klopa na twoim zaręczynowym przyjęciu? Wiem, że szybki z ciebie zawodnik, ale to śmieszne.

Josh potrząsa niecierpliwie głową. Nasze dwie zahartowane w bojach prostytutki wymieniają między sobą zaniepokojone spojrzenia.

— Nie Jackie — wyjaśnia. — Rose.

Przez moment nie jestem w stanie myśleć. Ten moment staje się coraz dłuższy. Nadal nie mogę myśleć. O czym on mówi?

— Moją Rose?

— Twoją Rose! — parska. — Nie zawsze była twoją Rose, pierdolony wieśniaku.

— Nie żartuj sobie z niej, Josh. Mówię serio.

— Wcale nie żartuję, staruszku. Mówię, że ją przeleciałem. I to dobre kilka razy. Nie żeby była taka dobra. Zawsze miała słabość do serduszek i księżycowej poświaty, nasza Rose. Tuż przedtem, zanim pojawiłeś się ze swoimi pieprzonymi rozmazanymi oczyma, bukietem kwiatów i romantycznymi przejażdżkami promem Star.

— Kłamiesz.

— Pieprzyłem ją dokładnie tego samego dnia, kiedy ją poznałem. W moim mieszkaniu w Mid-Levels. Koło szóstej. Potem pojechaliśmy taksówką do Central wypić parę drinków w hotelu Mandarin. Nic o tym nie wiedziałeś, prawda? Nigdy nie zdobyła się na to, żeby się przyznać? — Josh zaciąga się cygarem, którego czubek jarzy się czerwienią w półmroku burdelu.

— Tak, zanim się pojawiłeś, mieliśmy mały biurowy romansik. Nie trwało to długo. Jakiś miesiąc. Wybawiając mnie od niej, oddałeś mi prawdziwą przysługę.

Zanim Josh jest w stanie wyjąć z ust cygaro, zrywam się z barowego stołka, zaciskam ręce na jego szyi i wrzeszczę, że jest kłamcą, chociaż dobrze wiem, że mówi prawdę. Twarz Josha robi się czerwona, a oczy płoną niczym czubek jego drogiego cygara.

A potem wielki czarny facet zza baru opasuje mnie ramionami, fachowo podnosi z podłogi i odciąga na bok na oczach zaskoczonych kolegów Josha, dziewczyn o granitowych twarzach i biznesmenów gawędzących z kobietami, które widziały już w życiu tysiące takich jak oni.

Moje stopy stykają się z ziemią dopiero w momencie, gdy wielki czarny facet wyrzuca mnie na cichą brukowaną ulicę przed wysoką kamieniczką.

Wracam do hotelu, wymeldowuję się i jadę taksówką na puste lotnisko, żeby zaczekać na pierwszy poranny lot do domu, wiedząc, że nigdy już nie spotkam się z Joshem i że zawsze już będzie się co do mnie mylił.

Nie rozwścieczyło mnie to, że z nią spał.

Rozwścieczyło mnie to, że jej nie kochał.

Jackie wygląda inaczej.

Zmieniła się bardziej, niż zmienili się Zeng i Yumi. Bardziej, niż to wynika z dojrzewania. To ma coś wspólnego z faktem, że staje się kimś, kim zawsze planowała, że zostanie.

Nie ma makijażu. To nowość. Ma dłuższe włosy i ściągnęła je w kucyk, nie malując odrostów. Ubrana jest w dżinsy i krótki T-shirt. Wydaje się młodsza, swobodniejsza, mniej przejmując się tym, jaki wizerunek prezentuje światu. Ale to wciąż ta sama kobieta. Rozpoznaję ją w mgnieniu oka. Nie mógłbym jej pomylić z nikim innym.

Siedzę na drewnianej ławce naprzeciwko college'u. Jackie jest w grupie studentów, którzy schodzą po kamiennych schodach budynku, śmiejąc się beztrząsco, rozmawiając i niosąc książki. Po chwili odłącza się od reszty razem z młodym, chudym facetem z długimi włosami.

Facet kładzie jej rękę na ramieniu, tak jakby to robił od wieków, i robi mi się słabo na sercu. W tej samej chwili Jackie dostrzega mnie.

Podchodzi bliżej. Chudy młody facet nadal trzyma rękę na ramieniu, spoglądając jej niepewnie w twarz, a potem zerkając na mnie. Może jemu też robi się trochę słabo na sercu.

— Jak leci? — pytam.

— Leci dobrze — odpowiada. Przez chwilę patrzymy się na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć. Jackie odwraca się w końcu do chudego faceta. — *J'arriverai plus tard** — mówi mu.

* *J'arriverai plus tard* — franc. Przyjdę później.

— *D'accord, j'y serai*** — odpowiada tamten, lecz nie bardzo chce odejść. Jackie uśmiecha się i facet wycofuje się, wiedząc, że moja obecność niczego między nimi nie zmieni.

** *D'accord, j'y serai* — franc. Dobrze, będę.

— Nowy chłopak? — pytam, starając się, żeby nie usłyszała pretensji w moim głosie.

— Zwykły znajomy.

— Francuz?

— Nic się przed tobą nie ukryje, prawda? Jest w mojej grupie. Nie mówiłam ci, że zmieniłam kurs?

— Nie, o niczym mi nie mówiłaś.

— Miałam zamiar zadzwonić. Przepraszam, Alfie. Jestem taka, taka zajęta.

— Rozumiem.

— Nie chodzę już na kurs angielskiego. Przeniosłam się na

kulturę europejską. Wydawało mi się to właściwe. Wiesz, o co mi chodzi? To inny kraj. Prawie inne stulecie. Świat robi się stale coraz mniejszy.

– Co słyhać u Plum?

– W porządku. Lepiej jej idzie w szkole.

– Wciąż zakochana w Drągalu?

– Wydaje mi się, że zaczyna z tego wyrastać. Dzieci w jej wieku tak szybko się zmieniają. Myślę, że któregoś dnia Drągal podzieli los Kena i Barbie. A jak tobie się wiedzie?

– Całkiem nieźle, całkiem nieźle. W szkole wszystko po staremu. Mam całą grupę nowych uczniów. Miłe dzieciaki. Nie spałem dotąd z żadną z uczennic.

– A planujesz?

Potrząsam głową.

– To też podzieliło los Kena i Barbie. Okazało się ślepą uliczką. Zawsze kończyło się w tym samym miejscu.

– To znaczy gdzie?

– Na lotnisku Heathrow. Ale wiedzie mi się dobrze.

– Cieszę się.

– Choć właściwie to nie do końca prawda. Szczerze mówiąc, czuję się trochę samotny.

– Samotny?

– Tak. Brakuje mi chyba ciebie. I Plum. Tego, co było między nami, kiedy się stale spotykaliśmy.

– Och, Alfie.

– Dlatego tu przyszedłem. Nie chcę, żeby wszystko się zmieniło. Wiem, że pewne rzeczy muszą się zmienić. Ale nie chcę niczego tracić. Nie chcę tracić tego, co było między nami.

– Nie możesz zatrzymać życia w miejscu.

– Zdaję sobie z tego teraz sprawę. Naprawdę. Czy nie powinno się zachowywać tego, co było dobre? Tak długo, jak można?

– Czy nie jest już trochę za późno dla ciebie i dla mnie? Nie możesz prosić mnie, żebym z tego zrezygnowała. Nie teraz,

kiedy zaszłam tak daleko. Nie byłabym szczęśliwa. Ty też nie.

— Nie proszę, żebyś z czegokolwiek zrezygnowała. Chcę po prostu, żebyś dała mi ostatnią szansę, Jackie. Ostatnią szansę, żeby mi się powiodło. Chcę mieć rodzinę. Jakiś rodzaj rodziny. To nie musi być rodzina w tradycyjnym stylu, rozumiesz? To może być nowy rodzaj rodziny. To może być każdy rodzaj rodziny. Ale chcę mieć wreszcie własną rodzinę. Wydaje mi się dość smutne, że wszyscy na świecie lądują w końcu sami. To zbyt smutne.

— A co z Rose? Nagle o niej zapomniałeś?

— Nigdy jej nie zapomnę. Nigdy nie przestanę jej kochać. Nauczyłem się, że można czcić przeszłość i można ją pamiętać. Można ją nawet kochać. Ale nie można w niej żyć.

— Przyszedłeś tutaj, żeby zrobić coś ze swoją przyszłością.

— Zgadza się.

— Ale to nie funkcjonuje w ten sposób.

— Nie?

— Nie. Może ty jesteś gotów potraktować to serio, ale ja nie. Jeśli naprawdę ci na kimś zależy, pozwalasz mu spełnić jego marzenia. A potem może któregoś dnia ten ktoś do ciebie wróci. Jeśli coś was naprawdę łączy. Coś ważnego.

— Myślisz, że któregoś dnia możesz do mnie wrócić?

— Przecież tak naprawdę nigdy nie byliśmy razem.

— Myślisz, że kiedy już zrobisz dyplom, gdy spotkasz masę interesujących ludzi i poznasz kilku napalonych młodych Francuzów, wtedy być może poczujesz, że ci mnie trochę brakuje?

— Już teraz mi ciebie brakuje.

— Więc w czym leży problem?

— Nie wiem. W złej synchronizacji czasowej.

— I o to tylko chodzi? O niezgranie się w czasie?

— Muszę już iść, Alfie — mówi Jackie.

I odchodzi. Patrzę, jak znika w tłumie studentów, wśród

wszystkich tych rozpromienionych młodych twarzy, które patrzą w przyszłość, jakby stanowiła ich osobistą własność.

Nawet się nie ogląda.

Lecz ja nie czuję się źle. To dziwne. Moje serce wydaje się zupełnie nieważkie. Czuję się trochę tak, jak czułem się kiedyś.

Ponieważ wiem, że nawet jeśli już nigdy jej nie zobaczę, Jackie przywróciła mi coś, co uważałem za stracone na zawsze.

Przywróciła mi moją wiarę.

A trzeba mieć w sobie trochę wiary, nieprawdaż?

40.

Przeszło rok później wrzucam dwa hongkońskie dolary w poobijany metalowy otwór i przechodzę przez bramkę, dołączając do tłumu, który czeka na prom linii Star.

Nadal obecna jest stara obsada, nawet jeśli zmieniła się trochę pod tym czy innym względem, którego nie potrafię zdefiniować. Są młodzi chińscy biznesmeni z Central w białych koszulach i ciemnych krawatach, rozmawiający po kantońsku przez małe komórki. Są ubrane w minispódniczki sekretarki z lśniąco czarnymi włosami i torebkami od Prady. Są starsi mężczyźni zagłębiający nos w gazecie, sprawdzający ze zmarszczonym czołem, w jakiej formie są konie w Sha Tin i w Happy Valley. No i ja.

Hongkong też się zmienił. Nie o to chodzi, jak wygląda, chociaż Hongkong zmienia się bez przerwy, w miarę jak wyrzyna się morzu kolejne tereny, wyburza stare budynki i stawia nowe wieżowce. To coś czuje się w tropikalnym powietrzu. Czuje się, że to miasto nie jest już dłużej brytyjskie. Hongkong jest teraz chińskim miastem. Agresywnym, pewnym siebie, pozbawionym sentymentów wobec przeszłości. Nie stanowi już mojego dziedzictwa. Jeśli kiedykolwiek w ogóle nim było.

Mimo to wciąż kocham to miasto. Nawet jeśli nie jest moje, kocham je. Nie mogę na to nic poradzić.

Idę na górę do przestronnej poczekalni i patrzę, jak do portu w Tsim Sha Tsui wciska się stary zielono-biały prom linii Star, którym mam popłynąć. W oddali widzę wzniesione ze stali i szkła biurowce Central, a za nimi zielone wzgórza i majaczący w tle Victoria Peak.

Wchodząc na prom, doświadczam tych samych starych uczuć — smutku zmieszanego z podnieceniem. Poczucia przynależności i jednocześnie świadomości, że nigdy nie będzie się tutaj należało.

Wkrótce podniosą pomost i ogarnia mnie lekka panika. Wiem, że to głupie, ale czekam, żeby przekonać się, czy Rose zdąży na czas na prom, czy wbiegnie po pomoście, tuż zanim go podniosą. Wiem, że będzie zdyszana i piękna i że będzie dźwigała wielkie pudło z dokumentami, które niesie do kancelarii gdzieś w Alexandra House.

Rose oczywiście nie pojawi się w ostatnim momencie. To się nie zdarzy. Nie czekając na nią, podnoszą pomost i wiem — po raz pierwszy wiem to ze stuprocentową pewnością — że resztę podróży muszę odbyć bez niej.

A potem nagle ją widzę. Młodą kobietę w dwuczęściowym kostiumie. Niesie wielkie tekturowe pudło, opierając je desperacko o biodro i starając się nie wypuścić go pośrodku zatłoczonego promu. Zmagając się ze swoim bagażem, pochyła się lekko do przodu i czarne włosy zasłaniają jej twarz. Wstaję i przez moment mam wrażenie, że zwracam się do ducha.

— Przepraszam. Proszę pani?

Dopiero kiedy podnosi wzrok, widzę, że to Chinka. Chinka z krwi i kości. Młoda, koło dwudziestu pięciu lat, choć poznałem już dość Azjatek, by wiedzieć, że trudno odgadnąć ich wiek.

— Może chce pani usiąść?

Przez sekundę albo dwie patrzy na mnie przez okulary w złotych oprawkach, a potem nagle się uśmiecha, dochodząc widać do wniosku, że jestem nieszkodliwy.

— Dziękuję — mówi z akcentem z amerykańskiego Zachodniego Wybrzeża. Kształciła się w Stanach? Możliwe. Chociaż

mogła również nabrać tego akcentu, nie wyjeżdżając z Kowloonu.

Siada koło mnie. Jeśli trochę się przesunę, wystarczy miejsca dla nas obojga. Chinka sadowi się przy przejściu i kładzie pudło na kolanach. W środku są dokumenty, akta, segregatory.

— Jest pani prawniczką?

— Nie — odpowiada, nadal się uśmiechając. — Jestem księgową. To znaczy uczę się dopiero zawodu. A pan? Jest pan turystą?

— Nie. Jestem pisarzem.

— Naprawdę?

— To znaczy próbuję pisać.

— Próbuje pan?

— Chcę napisać opowiadanie o tym miejscu. Sprzedać je, jeszcze nie wiem gdzie. Ale wiem, że znam to miejsce i chcę o nim pisać.

Chinka uśmiecha się, bardziej powodowana lokalną dumą niż grzecznością.

— Więc podoba się panu Hongkong?”

— Nie ma takiego drugiego miejsca na świecie. Nigdy nie było. I nigdy nie będzie. To tutaj przecież spotykają się wszystkie światy. W tym miejscu wszystko się ze sobą miesza.

— Pan pierwszy raz tutaj?

— Och, byłem tu już wcześniej. Ale mam wrażenie, jakby to było dawno temu.

Dwaj starzy kantońscy marynarze, obojętni, chudzi jak patyki, tacy sami jak zawsze, podnoszą cumy, które wiążą nas z Kowloonem, koniuszkiem chińskiego łądu, i prom odpływa od nabrzeża.

Siedem minut. Tyle trzeba, żeby przepłynąć promem Star z Kowloonu na wyspę Hongkong. Siedem minut. Ten rejs zawsze wprawiał mnie w lekki niepokój, ponieważ trwał tak krótko. Tylko siedem minut. Nie ma nawet czasu, żeby wszystko ogarnąć.

Przypuszczam, że trzeba ogarnąć, co się da. Zrobić to, kiedy jeszcze można.

— Dla kogo pan normalnie pisze? — pyta dziewczyna.

— Ja? Dla nikogo. To znaczy, chyba dla siebie. Niczego jeszcze nie sprzedałem. I nikt nie prosił mnie, żebym pisał o Hongkongu. Po prostu poczułem, że muszę to zrobić. Miała pani kiedyś takie uczucie?

Dziewczyna śmieje się.

— Mam bez przerwy.

— Trzeba mieć w sobie trochę wiary, prawda?

— O tak. Trzeba mieć trochę wiary.

Oboje milkniemy i odwracam się do otwartego okna. Tropikalny skwar łagodzi wiejąca od morza bryza. Patrząc na pływające po porcie statki. Stare chińskie dżonki z bosymi marynarzami. Wielki niczym małe miasto statek pasażerski. Holowniki, pogłębiarki, policyjne motorówki, nowsze promy, pomalowane na żywsze kolory niż skromne zielono-białe statki linii Star.

Promy Star stanowią część starego Hongkongu, podobnie jak pomniki królowej Wiktorii, Brytyjczycy pijący koktajle na dachu China Club i niedzielne popołudnia spędzane na pokładzie firmowej dżonki. Te promy należą do tego utraconego miejsca, mojego starego Hongkongu.

Choć może to nieprawda, bo przecież wciąż widuje się je między Kowloonem a Hongkongiem, wciąż kursują pomiędzy miejscem pracy i miejscem odpoczynku, między przeszłością i przyszłością, wciąż tam są, zielono-białe siostrzane statki — „Day Star”, „Morning Star”, „Shining Star” i cała reszta, wszystkie roztańczone gwiazdy Hongkongu. Wciąż tam są.

A ja myślę o mojej babci i przechowywanych przez nią pamiątkach z cudzych wakacji, a także o George'u Changu, który porusza się na drugim krańcu świata w rytmie cichej melodii, rozbrzmiewającej w jego głowie. Myślę o ojcu mieszkającym samotnie w wynajętym mieszkaniu i zaczynającym wszystko od nowa, a także o mojej matce i nowym mężczyźnie w jej życiu. Myślę o Jackie i młodym Francuzie, który chce się z nią żenić,

a także o Plum, która uczy się, jak być szczęśliwą we własnej skórze, tej lekcji, której uczymy się przez całe życie.

I obserwując zapierającą dech hongkońską panoramę ze szkła, srebra i złota, myślę o mojej utraconej żonie, o czasie, który już nigdy nie wróci, i w tym momencie muszę odwrócić się od siedzącej obok mnie dziewczyny, żeby nie zobaczyła tego, co jest wypisane na mojej twarzy.

To zabawne. Kochasz coś i pewnego dnia to odchodzi, zmienia się albo na zawsze ginie. W jakiś sposób to nie niszczy twojej miłości. Może dzięki temu wiesz, że to coś prawdziwego. Kiedy to coś nie jest obwarowane klauzulami i warunkami wstępnymi. Kiedy nie ma daty przydatności do spożycia. Kiedy po prostu dajesz swoją miłość, nigdy nie przestajesz jej dawać i wiesz, że będziesz to robił zawsze. Wtedy to coś prawdziwego. Kiedy nikt nigdy nie może tego zepsuć ani ci odebrać.

Zbyt rychło docieramy do drugiego brzegu. To trwa tak krótko, to szybkie przemieszczenie się z miejsca na miejsce. Krótka słodka podróż, która zawsze zbyt szybko się kończy. Dziewczyna wstaje do wyjścia. Uśmiechamy się do siebie i zastanawiam się, co robi dzisiaj wieczorem. Wiem, że gdzieś w mieście czeka na nią przystojny młody mężczyzna, i myślę o tym z radością.

— Powodzenia w pisaniu — mówi. — Będę za pana trzymała kciuki.

— Dziękuję.

Dziewczyna unosi pudło w swoich chudych rękach, posyła mi ostatni uśmiech i wkrótce znika w niecierpliwym tłumie.

Odwracam się jeszcze raz do otwartego okna. I nagle widzę je obie, jak przeciskają się przez ciżbę, która wypełnia Central w porze lunchu. Jackie i Plum.

Idą obładowane torbami na zakupy, z wiszącymi na szyi aparatami, z czegoś się wspólnie śmiejąc.

Uśmiecham się do siebie. Kiedy widzi się je w takich jak ta chwilach, nieświadome, że ktoś je obserwuje, wydają się sobie

bliższe niż siostry, bliższe nawet niż matka i córka. Wyglądają jak najlepsze przyjaciółki.

Widzę je teraz, widzę, jak idą tam, gdzie po drugiej stronie nabrzeża cumują promy Star. Jeszcze mnie nie zobaczyły. Ale wkrótce zobaczą. Patrząc na ich twarze sunące przez wielki tłum samotnych ludzi, których nigdy nie poznam, obserwując Jackie i Plum, dopóki nie znikną w terminalu promowym, gdzie mamy się spotkać, dziwię się, że mogłem kiedyś wierzyć, iż można doznać w życiu zbyt wiele miłości.

A potem prom dygocze pod moimi stopami, cumując do wyspy Hongkong, a ja dołączam do tłumu ludzi czekających, aż opuszczą pomost, wszystkich nagle gotowych do drogi, i czuję w powietrzu aurę cichego oczekiwania, niczym ktoś, kto wraca w końcu do domu, albo jak dziecko czekające, by się narodzić.

Spis treści

Część pierwsza	
LUBIĘ CIĘ, JESTEŚ MIŁY	7
Część druga	
FRYTKI TYLKO DO POSIŁKU	203
Część trzecia	
POMARAŃCZE NA BOŻE NARODZENIE	301